Miłość jako stan emocjonalny — podskórna, potężna, zakazana, nieskończenie cierpliwa — przenika strony powieści Hosseiniego.
„O, The Oprah Magazine"

TYSIĄC WSPANIAŁYCH SŁOŃC

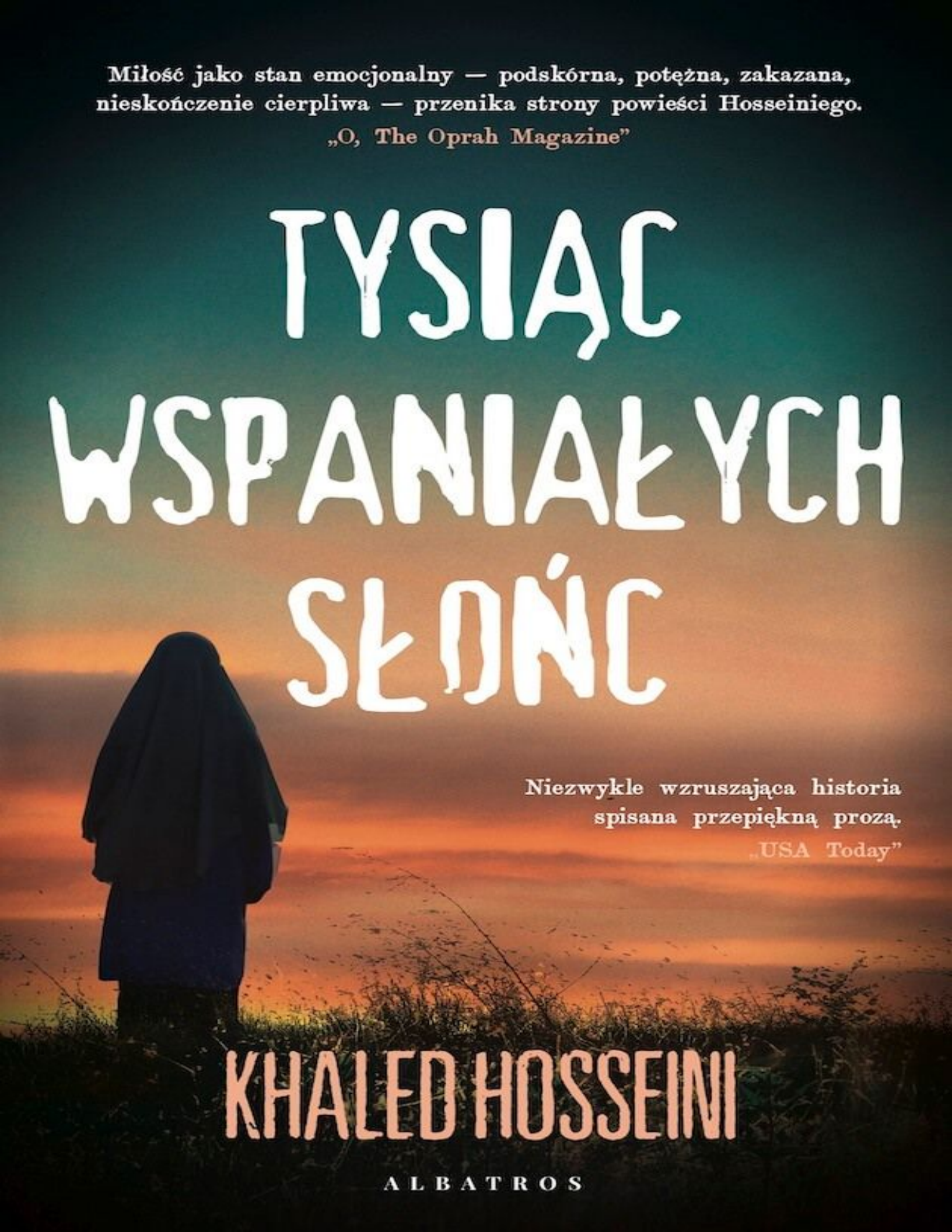

Niezwykle wzruszająca historia spisana przepiękną prozą.
„USA Today"

KHALED HOSSEINI

ALBATROS

POWIEŚĆ AUTORA
CHŁOPCA Z LATAWCEM ORAZI GÓRY ODPOWIEDZIAŁY ECHEM

Głęboko poruszająca historia o rodzinie, przyjaźni i ocaleniu dzięki miłości, rozgrywająca się na tle dramatycznych wydarzeń w Afganistanie. Jedna z najwyżej ocenianych, najgłośniejszych i najchętniej czytanych powieści pierwszej dekady XXI wieku.

Mariam ma zaledwie 15 lat, kiedy ojciec zmusza ją do małżeństwa z wziętym szewcem z Kabulu, człowiekiem starszym od niej o trzydzieści lat. Lajla, urodzona krótko przed rosyjską inwazją, marzy o podróżach i zdobyciu wykształcenia. Kiedy w wyniku wybuchu bomby traci całą rodzinę, zostaje przygarnięta do domu Raszida i Mariam. Wbrew żonie Raszid poślubia Lajlę w nadziei, że dziewczyna da mu upragnione dziecko. Mimo początkowej wrogości między kobietami rodzi się trudna przyjaźń. Rządy talibów wystawią ją na ciężką próbę…

TYSIĄC WSPANIAŁYCH SŁOŃC

KHALED HOSSEINI

Z angielskiego przełożyła
ANNA JĘCZMYK

KHALED HOSSEINI

Afgański autor piszący po angielsku, syn dyplomaty i nauczycielki, urodzony w 1965 r. w Kabulu, od 1980 r. mieszkający w USA. Ukończył studia medyczne na University of California w San Diego i przez blisko dziesięć lat pracował jako internista. W 2003 r. zadebiutował powieścią **Chłopiec z latawcem**, która przyniosła mu międzynarodową sławę. Została przełożona na 40 języków, a nakręcony na jej podstawie film – pod tym samym tytułem – odniósł ogromny sukces.

Z równie entuzjastycznym przyjęciem spotkała się druga powieść Hosseiniego, **Tysiąc wspaniałych słońc**, światowy bestseller w 2007 r. Jego trzecia książka, **I góry odpowiedziały echem**, została opublikowana w 2013 r.

W sierpniu 2018 r. ukazało się ilustrowane, przeznaczone dla czytelników w każdym wieku

opowiadanie Hosseiniego o uchodźcach pt. **Modlitwa do morza**.

Pisarz jest „wysłannikiem dobrej woli” w Biurze Wysokiego Komisarza Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców (UNHCR) oraz założycielem Fundacji Khaleda Hosseiniego, która zajmuje się organizowaniem pomocy humanitarnej dla mieszkańców Afganistanu.

khaledhosseini.com
khaledhosseinifoundation.org

Tego autora

CHŁOPIEC Z LATAWCEM
TYSIĄC WSPANIAŁYCH SŁOŃC
I GÓRY ODPOWIEDZIAŁY ECHEM
MODLITWA DO MORZA

Tytuł oryginału:
A THOUSAND SPLENDID SUNS

Copyright © 2007 ATSS Publications, LLC
All rights reserved
The moral right of the author has been asserted

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Anna Jęczmyk 2008

Redakcja: Beata Słama

Zdjęcia na okładce: Reephotoeasy/Shutterstock.com, Nastasia/Pexels, Victor Freitas/Pexels.com

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

ISBN 978-83-8125-924-8

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15

CZĘŚĆ DRUGA
- 16
- 17

18
19
20
21
22
23
24
25
26
CZĘŚĆ TRZECIA
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43

44
45
46
47
CZĘŚĆ CZWARTA
48
49
50
51
Posłowie
Podziękowania
Przypisy

Książkę tę dedykuję Harisowi i Farah,
noor[1] moich oczu,
oraz kobietom Afganistanu

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Mariam miała pięć lat, kiedy po raz pierwszy usłyszała słowo *harami*.

Stało się to w czwartek. To musiał być czwartek, ponieważ Mariam pamiętała, że tego dnia była niespokojna i przejęta, a tak czuła się jedynie w czwartki, kiedy Dżalil odwiedzał ją w jej *kolbie*. By zająć się czymś do chwili, gdy go ujrzy i pobiegnie, machając do niego przez wysoką do kolan trawę, Mariam wspięła się na krzesło i zdjęła należący do jej mamy chiński zestaw do herbaty. Zestaw do herbaty był jedynym reliktem, jaki mama Mariam, Nana, odziedziczyła po swej matce, która osierociła Nanę w wieku pięciu lat. Nana bardzo ceniła sobie tę niebiesko-białą porcelanę, eleganckie wygięcie dzióbka dzbanka, ręcznie malowane małe ptaszki, chryzantemy i smoka na cukierniczce, który miał odpędzać zło.

I to właśnie ta ostatnia część zestawu wyślizgnęła się z rąk Mariam na drewnianą podłogę i pękła. Kiedy Nana zobaczyła cukiernicę, jej twarz poczerwieniała, górna warga zaczęła drżeć, a oczy, zarówno to nieruchome, jak i zdrowe, spoczęły na Mariam. Ani razu nie mrugnęła. Nana wyglądała na tak szaloną, że Mariam bała się, że dżinn znów wejdzie w ciało jej matki. Ale dżinn nie przyszedł, nie tym razem. Zamiast tego Nana złapała Mariam za nadgarstki, przyciągnęła ją do siebie i przez zaciśnięte zęby powiedziała:

– Ty niezdarna mała *harami*. Oto moja nagroda za wszystko, co musiałam znosić. Niezdarna mała *harami*, która tłucze rodzinne pamiątki.

Mariam nie zrozumiała tego wtedy. Nie wiedziała, co oznacza słowo *harami* – nieślubne dziecko. Nie była też na tyle dorosła, by dostrzec niesprawiedliwość, nie wiedziała, że to rodzice *harami* są winni, a nie *harami*, których jedynym grzechem jest, że się narodziły. Ale Mariam domyśliła się po sposobie, w jaki Nana wymawiała to słowo, że *harami* jest czymś obrzydliwym i wstrętnym jak robak czy czmychające spod nóg karaluchy, które Nana zawsze przeklinała i wymiatała z domu.

Później kiedy Mariam była starsza, zrozumiała znaczenie tego słowa. To przez sposób, w jaki Nana je wymawiała – a raczej nie tyle wymawiała, ile wypluwała – Mariam czuła się nim dotknięta do żywego. Wtedy zrozumiała, co Nana miała na myśli: *harami* jest niechcianą rzeczą, a ona, Mariam, jest nieślubnym dzieckiem, które nigdy nie będzie miało prawa do tego, co mają inni ludzie: miłości, rodziny, domu, akceptacji.

Dżalil nigdy nie nazywał tak Mariam. Dżalil mawiał, że jest jego małym kwiatuszkiem. Lubił sadzać ją sobie na kolanach i opowiadać jej historie, jak wtedy, gdy powiedział, że Herat, miasto, w którym 1959 roku Mariam przyszła na świat, było kolebką perskiej kultury, domem pisarzy, malarzy i sufich.

– Nie sposób było wyciągnąć nogi, bo od razu niechcący kopało się w tyłek jakiegoś poetę – śmiał się.

Dżalil opowiedział jej historię królowej Gauhar Szad, która w piętnastym wieku zbudowała słynne minarety jako odę do jej ukochanego Heratu. Opisywał zielone pola pszenicy za miastem, sady, krzewy winorośli ciężkie od dojrzałych owoców, zatłoczone bazary pod łukowymi sklepieniami.

– Rośnie tam drzewo pistacjowe – powiedział któregoś dnia Dżalil – a pod nim, Mariam *dżun*[2], pochowany jest wielki poeta Dżami. – Nachylił się i dodał szeptem: – Dżami żył ponad pięćset lat temu. Naprawdę. Kiedyś cię tam zabrałem, tam gdzie rośnie to drzewo. Byłaś maleńka. Na pewno tego nie pamiętasz.

To była prawda – Mariam nie pamiętała. I choć przez piętnaście lat swojego życia mieszkała niedaleko od Heratu, nigdy nie miała zobaczyć drzewa z jego opowieści. Nigdy nie miała zobaczyć z bliska słynnych minaretów i nigdy nie miała zbierać owoców z sadów Heratu ani przechadzać się po polach pszenicy. Ale zawsze, kiedy Dżalil opowiadał, Mariam słuchała jak zaczarowana. Podziwiała Dżalila za jego rozległą wiedzę o świecie. Rozpierała ją duma, że ma ojca, który wie takie rzeczy.

– Jakie bogate kłamstwa! – sarkała Nana po wyjściu Dżalila. – Bogaty mężczyzna, opowiadający bogate kłamstwa. Nigdy nie pokazał ci żadnego drzewa. I nie daj mu się oczarować. Ten twój ukochany tata nas zdradził. Wyrzucił nas. Wyrzucił nas ze swojego wielkiego wspaniałego domu, jakbyśmy nic dla niego nie znaczyły. Zrobił to bardzo ochoczo.

Mariam słuchała tego posłusznie. Nigdy nie odważyła się powiedzieć Nanie, jak bardzo nie lubi, gdy mówi w ten sposób o Dżalilu. Prawda była taka, że przy nim Mariam wcale nie czuła się jak *harami*. Przez godzinę lub dwie, w każdy czwartek, Mariam czuła, że zasługuje na całe piękno i dobro, jakie życie ma do zaoferowania. I za to Mariam kochała Dżalila.

Choć musiała się nim dzielić.

Dżalil miał trzy żony i dziewięcioro dzieci – dziewięcioro prawowitych dzieci, których Mariam nie znała. Był jednym z najbogatszych ludzi w Heracie. Miał kino, którego Mariam nigdy nie widziała, ale na jej usilne prośby Dżalil opowiedział o nim, więc wiedziała, że fasadę zdobią niebieskie i jasnobrązowe płytki z terakoty, że w środku są prywatne loże, a sufit jest kratkowany. Podwójne wahadłowe drzwi prowadziły do holu wyłożonego płytkami ceramicznymi, gdzie wisiały oprawione w szkło plakaty z hinduskich filmów. We wtorki, powiedział jej kiedyś Dżalil, dzieci dostają lody za darmo.

Nana uśmiechała się łagodnie, kiedy o tym mówił. Odczekała, aż Dżalil opuści ich dom

i dopiero wtedy uśmiechnęła się złośliwie i mruknęła:

– Obce dzieci dostają lody. A ty co dostajesz, Mariam? Opowieści o lodach.

Oprócz kina Dżalil posiadał również ziemię w Karruch, ziemię w Farah, trzy sklepy z dywanami, sklep odzieżowy i czarnego buicka roadmastera rocznik 1956. Był jednym z najbardziej ustosunkowanych ludzi w Heracie, przyjaźnił się z merem miasta i gubernatorem prowincji. Miał kucharza, kierowcę i trzy gosposie.

Nana była jedną z nich. Dopóki nie zaczął jej rosnąć brzuch.

Kiedy to się stało, cała rodzina Dżalila wzięła, jak opowiadała Nana, tak głęboki oddech, że wyciągnęła powietrze z całego Heratu. Jego teściowie przysięgali, że poleje się krew. Żony zażądały, by ją wyrzucił. A ojciec Nany, skromny rzemieślnik rzeźbiący w kamieniu, z pobliskiej wioski Gol Daman, wyrzekł się jej. Zhańbiony spakował manatki, wsiadł do autobusu jadącego do Iranu, po czym słuch o nim zaginął.

– Czasami – stwierdziła Nana któregoś ranka, karmiąc kurczaki przed *kolbą* – żałuję, że ojcu zabrakło odwagi, by naostrzyć nóż i postąpić honorowo. Tak mogło być dla mnie lepiej. –

Rzuciła kolejną garść ziaren do kojca, zamilkła, spojrzała na Mariam i dodała: – Może lepiej również dla ciebie. Przynajmniej nie cierpiałabyś, wiedząc, że jesteś tym, kim jesteś. Ale on był tchórzem, ten mój ojciec. Brak mu było *del*, serca, aby to uczynić.

Dżalil też nie miał *del*, rzekła Nana, by postąpić honorowo. Przeciwstawić się rodzinie, żonom i teściom i wziąć odpowiedzialność za to, co uczynił. Zamiast tego za zamkniętymi drzwiami szybko dobito targu, który miał uratować jego twarz. Następnego dnia kazał jej spakować skromny dobytek i ją odesłał.

– Wiesz, co powiedział żonom na swoje usprawiedliwienie? Że ja go do tego zmusiłam. Że to była moja wina. *Didi*? Widzisz? Oto, co znaczy być kobietą na tym świecie.

Nana odstawiła miskę z karmą dla kurczaków i uniosła palcem podbródek Mariam.

– Spójrz na mnie, Mariam.

Mariam z ociąganiem podniosła wzrok.

Nana powiedziała:

– Naucz się tego, i to dobrze, córko. Tak jak igła kompasu zawsze wskazuje północ, tak oskarżycielski palec mężczyzny zawsze znajdzie kobietę. Zawsze. Pamiętaj o tym, Mariam.

2

Dla Dżalila i jego żon byłam szkarłatką. Bylicą. I ty też. A nawet jeszcze nie przyszłaś na świat.

– Co to jest szkarłatka? – spytała Mariam.

– Chwast – odpowiedziała Nana. – Coś, co wyrywasz i odrzucasz na bok.

Mariam odczuła wewnętrzny opór. Dżalil nigdy nie traktował jej, jakby była chwastem. Nigdy. Ale Mariam uznała, że rozsądniej jest zachować te przemyślenia dla siebie.

– Ale mnie w przeciwieństwie do chwastu trzeba było przesadzić, dać mi jedzenie i wodę. Z twojego powodu. Taką umowę zawarł Dżalil ze swoją rodziną.

Nana powiedziała, że odrzuciła propozycję zamieszkania w Heracie.

– Po co? Żebym całymi dniami oglądała, jak obwozi swoje żony *kinczini* po mieście?

Nie chciała również zamieszkać w pustym domu swojego ojca w wiosce Gol Daman, na

zboczu wzgórza, dwa kilometry za Heratem. Wolała zamieszkać gdzieś na uboczu, w odosobnieniu, gdzie sąsiedzi nie wpatrywaliby się w jej brzuch, nie wytykali jej palcami, nie węszyli albo, co gorsza, obrażali nieszczerą uprzejmością.

– I uwierz mi – mówiła Nana – dla twojego ojca było to prawdziwą ulgą. Bardzo mu to pasowało, że znikłam mu z oczu.

To Mohsen, najstarszy syn Dżalila i jego pierwszej żony Chadidżi, zaproponował tę polanę. Znajdowała się pod wioską Gol Daman. Żeby do niej dotrzeć, trzeba było iść w górę wzgórza wyboistą zabłoconą ścieżką odchodzącą od głównej drogi łączącej Gol Daman z Heratem. Po obu jej stronach rosła wysoka do kolan trawa, wśród której jaśniały białe i żółte kwiatki. Ścieżka wiła się w górę aż do płaskiego pola, gdzie rosły strzeliste topole i kępy dzikich krzaków. Można było stamtąd dostrzec końce zardzewiałych łopat wiatraka w wiosce Gol Daman, a po obu stronach rozciągał się widok na cały Herat. Ścieżka kończyła się przy szerokim, pełnym pstrągów strumieniu, który spływał z gór Safed-koh otaczających wioskę Gol Daman. Dwieście metrów w górę strumienia, bliżej gór,

rosła kępa wierzb. Pośrodku, w cieniu wierzb, znajdowała się ta polanka.

Dżalil pojechał ją zobaczyć. Kiedy wrócił, opowiadała Nana, mówił jak strażnik chełpiący się czystymi ścianami i lśniącą posadzką swojego więzienia.

– I tak twój ojciec zbudował dla nas tę mysią dziurę.

Kiedyś, kiedy Nana miała piętnaście lat, niewiele brakowało, a wyszłaby za mąż. O jej względy zabiegał chłopak z Szindandu, młody sprzedawca papug. Mariam znała tę historię bezpośrednio od Nany i choć Nana lekceważyła ten epizod, Mariam z jej pełnych nostalgii oczu wyczytała, że była wtedy szczęśliwa. Być może jedyny raz w życiu, w ciągu tamtych dni poprzedzających wesele Nana była wtedy naprawdę szczęśliwa.

Kiedy Nana o tym opowiadała, Mariam siedziała na jej kolanach i próbowała wyobrazić sobie swoją mamę szykującą się do włożenia sukni ślubnej. Wyobrażała ją sobie siedzącą na koniu, uśmiechającą się nieśmiało zza woalki, w zielonej sukni, z dłońmi pomalowanymi na czerwono henną, włosami obsypanymi srebrnym

pyłem, warkoczykami utrwalonymi żywicą. Widziała muzyków grających na fletach *szahnaj* i bijących w bębny *dohol*, gromadę biegnących rozkrzyczanych dzieci na ulicy.

Potem, tydzień przed planowaną datą ślubu, w ciało Nany wszedł dżinn. Tego nie trzeba było Mariam opisywać. Widziała to na własne oczy wystarczająco dużo razy. Nana nagle traci przytomność, jej ciało napina się, sztywnieje, przewraca oczami, jej ręce i nogi drżą, jakby coś ją dusiło od wewnątrz, w kącikach ust pojawia się piana, biała, a czasem różowa, pomieszana z krwią. A potem senność, przerażająca dezorientacja, nieskładne mamrotanie.

Kiedy wiadomość dotarła do Szindandu, rodzina sprzedawcy papug odwołała ślub.

– Wystraszyli się – tak tłumaczyła to Nana.

Suknia ślubna została schowana. Kolejnych kandydatów nie było.

Dżalil i jego synowie, Farhad i Mohsen, zbudowali na polanie małą *kolbę*, w której Mariam miała przeżyć pierwsze piętnaście lat swojego życia. Zbudowali ją z suszonych na słońcu cegieł i obłożyli błotem i garściami traw. Były w niej dwa posłania, drewniany stół, dwa

proste krzesła, okno i przybite do ścian półki, na których Nana ustawiła gliniane garnki i swój ukochany zestaw do herbaty. Dżalil zainstalował nowy żeliwny piecyk na zimę, a za domem ułożył stos polan. Na zewnątrz zrobił *tandur*, piec do pieczenia chleba, i kojec dla kur. Przyprowadził kilka owiec i zbudował dla nich koryto do karmienia. Farhadowi i Moshenowi kazał wykopać głęboki dół sto metrów za kępą wierzb i postawił na nim wychodek.

Dżalil mógłby wynająć robotników do zbudowania *kolby*, powiedziała Nana, ale tego nie uczynił.

– Jego koncepcja pokuty.

Według wersji Nany w dniu, w którym urodziła Mariam, nikt nie przyszedł jej pomóc. Stało się to w wilgotny, pochmurny dzień wiosną 1959 roku, opowiadała, w dwudziestym szóstym roku w większości spokojnego panowania króla Zahera Szaha. Dżalil nie zadał sobie trudu, aby wezwać lekarza czy położną, choć wiedział, że dżinn może wejść w jej ciało i wywołać w trakcie porodu atak. Leżała sama na podłodze, z nożem u boku, a pot oblewał całe jej ciało.

– Kiedy ból się nasilał, gryzłam poduszkę i krzyczałam, aż całkiem ochrypłam. A ty, Mariam *dżun*, wcale się nie spieszyłaś. Niemal przez dwa dni musiałam przez ciebie leżeć na zimnej twardej podłodze. Nie jadłam ani nie spałam, tylko parłam i modliłam się, żebyś wreszcie wyszła na zewnątrz.

– Przepraszam, Nano.

– Sama przecięłam pępowinę pomiędzy nami. Dlatego miałam nóż.

– Przepraszam.

Na twarzy Nany zawsze pojawiał się wtedy słaby uśmiech zatroskania i wciąż żywego oskarżenia lub niechętnego przebaczenia, Mariam nigdy nie była pewna. Maleńka Mariam nie zastanawiała się nad tym, jaka to niesprawiedliwość zmuszać dziecko, by przepraszało za sposób, w jaki przyszło na świat.

Kiedy wreszcie się nad tym zastanowiła, a miała wtedy mniej więcej dziesięć lat, nie wierzyła już w opowieść o swoich narodzinach. Wierzyła w wersję Dżalila, zgodnie z którą Dżalil, choć w tym czasie wyjechał z Heratu, załatwił Nanie szpital i opiekę lekarza. Leżała w czystym łóżku w jasno oświetlonym pokoju. Dżalil ze smutkiem pokręcił głową, kiedy dziewczynka opowiedziała mu o nożu.

Mariam zaczęła też powątpiewać, czy rzeczywiście Nana cierpiała przez nią aż dwa dni.

– Poinformowali mnie, że wszystko trwało jakąś godzinę – rzekł Dżalil. – Byłaś dobrą córką, Mariam *dżun*. Już od chwili narodzin byłaś dobrą córką.

– Nawet go tam nie było! – warknęła Nana. – Był w Tacht-e-Safar, jeździł sobie konno ze swoimi wspaniałymi przyjaciółmi.

Kiedy Dżalil dowiedział się, że ma kolejną córkę, powiedziała Nana, wzruszył ramionami, wciąż głaszcząc konia po grzywie, i został w Tacht-e-Safar przez kolejne dwa tygodnie.

– Prawda jest taka, że po raz pierwszy wziął cię w ramiona, dopiero kiedy miałaś miesiąc. Rzucił na ciebie okiem, stwierdził, że masz długą buzię, i od razu mi ciebie oddał.

Mariam z czasem zaczęła powątpiewać również w tę część historii. Tak, Dżalil przyznał, że jeździł wtedy konno w Tacht-e-Safar, ale kiedy otrzymał wiadomość, nie wzruszył ramionami, tylko wskoczył na konia i pognał do Heratu. Wziął ją w ramiona, przesunął kciukiem po jej łuszczących się brwiach i zanucił kołysankę. Mariam nie wyobrażała sobie, że Dżalil mógłby

powiedzieć, że ma długą buzię, choć naprawdę jej twarz była pociągła.

Nana mówiła, że wybrała imię Mariam, ponieważ tak miała na imię jej matka. Dżalil twierdził, że to on wybrał to imię, ponieważ „mariam”, tuberoza, jest ślicznym kwiatkiem.

– Twoim ulubionym? – spytała Mariam.

– Tak, jednym z moich ulubionych – odpowiedział Dżalil z uśmiechem.

3

Jednym z najwcześniejszych wspomnień Mariam jest odgłos skrzypiących żeliwnych kół taczek podskakujących na kamieniach. Taczki przyjeżdżały raz w miesiącu obładowane ryżem, mąką, herbatą, cukrem, oliwą do gotowania, mydłem i pastą do zębów. Pchali je przyrodni bracia Mariam, zazwyczaj był to Mohsen i Ramin, czasem Ramin i Farhad. Pod górę, po zabłoconej ścieżce, kamieniach i żwirze, przez dziury i chaszcze chłopcy na zmianę pchali taczki aż do strumienia. Tam wózek trzeba było rozładować i przenieść wszystkie produkty na drugą stronę. Potem przeprowadzali taczki przez strumień i znów je ładowali. Kolejne dwieście metrów pchania, tym razem przez wysokie gęste trawy, pomiędzy kępami krzaków. Żaby uciekały im z drogi. Bracia odganiali muchy ze swoich spoconych twarzy.

– Ma służących – zauważyła Mariam. – Mógłby wysłać służących.

Turkot kół sprawił, że Mariam i Nana wyszły na zewnątrz. Mariam na zawsze zapamiętała Nanę taką, jak zazwyczaj wyglądała w Dniu Zaopatrzenia: wysoka koścista kobieta, stojąca boso w progu, jej nieruchome oko zmrużone tak, że widać tylko szparkę, ręce skrzyżowane na piersiach w arogancki, drwiący sposób. Krótko obcięte włosy, rozjaśnione od słońca, odkryte i nieuczesane. Wkładała źle dopasowaną szarą koszulę zapiętą pod samą szyję, a w kieszeniach miała kamyki wielkości orzechów.

Chłopcy siadali nad strumieniem i czekali, aż Mariam i Nana przeniosą produkty do *kolby*. Dobrze wiedzieli, że nie mogą podejść bliżej niż na trzydzieści metrów, choć Nana nie rzucała zbyt celnie i większość kamyków lądowała daleko od nich. Nana krzyczała na chłopców, wnosząc torby ryżu do domu i wyzywała ich, ale większości tych słów Mariam nie rozumiała. Przeklinała ich matki, robiła do nich pełne nienawiści grymasy. Chłopcy nigdy nie odpowiadali na te wyzwiska.

Mariam było ich żal. Muszą ich boleć ręce i nogi, myślała ze współczuciem, po pchaniu takiego ciężkiego ładunku. Żałowała, że nie może

podać im wody. Ale nic nie mówiła, a gdy do niej machali, nie reagowała. Kiedyś, aby sprawić przyjemność Nanie, Mariam krzyknęła nawet na Mohsena, powiedziała, że jego usta przypominają tyłek jaszczurki – a potem dręczyło ją poczucie winy, wstyd i lęk, że chłopcy powtórzą to Dżalilowi. Ale Nana zaczęła śmiać się tak bardzo, pokazując zepsute przednie zęby, że Mariam pomyślała, że za moment dostanie ataku. Kiedy przestała, popatrzyła na Mariam i powiedziała: „Dobra z ciebie córka”.

Kiedy taczki były puste, chłopcy wstawali i ruszali w drogę powrotną, a Mariam czekała, aż znikną wśród wysokich traw i kwitnących chwastów.

– Wchodzisz do środka?

– Tak, Nano.

– Śmieją się z ciebie. Naprawdę. Słyszę ich.

– Już idę.

– Nie wierzysz mi?

– Już jestem.

– Wiesz, że cię kocham, Mariam *dżun*.

Rankami budziło ich dalekie beczenie owiec i wysokie dźwięki fletów używanych przez pasterzy z Gol Daman prowadzących stada na

trawiaste wzgórze. Mariam i Nana doiły kozy, karmiły kury i zbierały jajka. Razem piekły chleb. Nana nauczyła córkę wyrabiać ciasto, rozpalać piec *tandur* i rzucać rozwałkowane ciasto na wewnętrzne ściany pieca. Nana nauczyła ją też szyć, gotować ryż i przyrządzać różne potrawy: potrawki z rzepą *szalgham*, szpinakowe *sabzi*, kalafior z imbirem.

Nana nie ukrywała, że nie lubi gości – i w gruncie rzeczy ludzi w ogóle – ale dla kilku osób robiła wyjątek. Był zatem wójt wioski Gol Daman, Habib Chan, brodaty mężczyzna o małej głowie i dużym brzuchu, który przychodził mniej więcej raz w miesiącu w towarzystwie służącego, który niósł kurczaka, a czasem garnek z ryżem *kichiri* albo koszyk malowanych jajek dla Mariam.

Potem była pulchna starsza kobieta, nazywana przez Nanę Bibi *dżun*, której zmarły mąż był kamieniarzem i przyjacielem ojca Nany. Bibi *dżun* zawsze przychodziła z jedną ze swych sześciu synowych i jednym albo dwoma wnukami. Szła ścieżką, utykając, nabzdyczona, i zawsze odstawiała widowisko, rozcierając sobie biodra i opadając z westchnieniem bólu na krzesło, które przysuwała jej Nana. Bibi *dżun* również zawsze przynosiła coś dla Mariam –

pudełko słodkich *diszleme* albo koszyk pigw. Dla Nany zawsze miała najpierw narzekania na temat swego podupadającego zdrowia, a potem plotki z Heratu i Gol Daman, które opowiadała powoli i z przyjemnością, a jej synowa cichutko i grzecznie siedziała z tyłu za nią.

Ale Mariam najbardziej lubiła, oczywiście poza Dżalilem, mułłę Faizullaha, starszego wiejskiego nauczyciela Koranu, miejscowego *achunda*. Przychodził raz albo dwa razy w tygodniu z Gol Daman i uczył Mariam odmawianych pięć razy dziennie modlitw *namaz* oraz recytacji Koranu, tak samo jak niegdyś uczył Nanę, kiedy była dzieckiem. To mułła Faizullah nauczył Mariam czytać, cierpliwie zaglądał jej przez ramię, gdy jej usta bezdźwięcznie starały się powtórzyć litery, a palec wskazujący przesuwał się pod każdym słowem, z tak dużym naciskiem, że aż bielały jej paznokcie, zupełnie jakby chciała wycisnąć znaczenie z niezrozumiałych znaków. To mułła Faizullah trzymał jej dłoń, kierował ołówkiem, który ściskała przy każdym wznoszącym się *alefie*, każdym zawiniętym *be*, przy każdej z trzech kropek *se*.

Był wychudzonym, zgarbionym starcem z bezzębnym uśmiechem i białą brodą sięgającą

aż do pasa. Zwykle przychodził sam, a czasem towarzyszył mu jego rudy, kilka lat starszy od Mariam syn Hamza. Kiedy się zjawiał, Mariam całowała go w rękę – to było tak, jakby całowała wiązkę gałązek pokrytych cienką warstwą skóry – a on całował ją w czoło i zaczynali lekcję. Potem oboje siadali przed *kolbą*, pogryzali orzeszki pinii, popijali zieloną herbatę i przyglądali się śmigającym między drzewami ptaszkom bolbol. Czasem spacerowali wśród brązowych opadłych liści i olszyn wzdłuż strumienia, w stronę gór. Mułła Faizullah w trakcie przechadzki przesuwał paciorki różańca *tasbih* i drżącym głosem opowiadał Mariam o tym, co widział w młodości, na przykład o dwugłowym wężu, którego znalazł w mieście Isfahan, w Iranie, na moście o trzydziestu trzech łukach, albo o arbuzie, którego kiedyś rozłupał przed Niebieskim Meczetem w mieście Mazar i odkrył, że nasiona w jednej połówce tworzą słowo „Allah”, a te w drugiej słowo „Akbar”.

Mułła Faizullah przyznał się Mariam, że czasem sam nie rozumie znaczenia niektórych słów Koranu. Ale powiedział, że lubi czarujący dźwięk arabskich słów, które wypływają z jego ust. Twierdził, że przynoszą mu ulgę, koją jego serce.

– Tobie również przyniosą ulgę, Mariam *dżun* – mówił. – Możesz przywołać je, gdy będą ci potrzebne. Nie zawiodą cię. Słowo boże nigdy cię nie zdradzi, moje dziecko.

Mułła Faizullah nie tylko opowiadał, ale również słuchał. Kiedy Mariam opowiadała, zawsze był skupiony na jej słowach. Potakiwał i uśmiechał się z wdzięcznością, jakby otrzymał upragniony przywilej. Mariam chętnie mówiła mu o rzeczach, o których nie odważyłaby się powiedzieć Nanie.

Któregoś dnia podczas spaceru Mariam wyznała mu, że chciałaby pójść do szkoły.

– Mam na myśli prawdziwą szkołę, *achund sahebie*. W której są klasy. Taką, do jakiej chodzi reszta dzieci mojego ojca.

Tydzień wcześniej Bibi *dżun* przyniosła nowiny o córkach Dżalila, Saide i Nahid. Obie wybierały się do szkoły dla dziewcząt, Mehri, w Heracie. Od tego czasu Mariam bez przerwy myślała o klasach i nauczycielach, w jej głowie roiło się od obrazów liniowanych zeszytów, kolumn liczb i długopisów, którymi można pisać ciemne, mocne znaki. Wyobrażała sobie siebie w klasie ze swoimi rówieśnicami. Mariam marzyła o tym, by położyć linijkę na kartce

i rysować linie, które wyglądałyby bardzo poważnie.

– Tego chcesz? – spytał mułła Faizullah. Patrzył na nią swymi miękkimi, załzawionymi oczami, z rękoma założonymi na plecach, a cień jego turbanu padał na najeżoną jaskrami ścieżkę.

– Tak.

– I chcesz, żebym poprosił twoją matkę o zgodę?

Mariam się uśmiechnęła. Poza Dżalilem nikt inny na świecie nie rozumiał jej lepiej niż stary nauczyciel.

– Zatem, cóż mogę na to poradzić? Bóg, w swej mądrości, każdego z nas obdarzył słabościami, a jedną z moich największych jest to, że nie potrafię ci odmówić, Mariam *dżun* – powiedział, głaszcząc ją po policzku artretycznym palcem.

Ale później, gdy poruszył ten temat z Naną, nóż, którym kroiła cebulę, wypadł jej z dłoni.

– Po co?

– Skoro dziewczynka chce się uczyć, powinnaś jej na to pozwolić, moja droga. Niech dziecko ma wykształcenie.

– Uczyć się? Uczyć się czego, mułło *sahebie*? – spytała ostrym tonem Nana. – Czego można się tam nauczyć? – Rzuciła krótkie spojrzenie Mariam.

Dziewczynka wbiła wzrok w swoje ręce.

– Jaki sens ma posyłanie do szkoły takiej dziewczynki jak ty? To jak polerowanie spluwaczki. A w tych szkołach nie nauczysz się niczego wartościowego. Kobiecie takiej jak ty czy ja potrzebna jest w życiu tylko jedna umiejętność i w szkole się tego nie nauczysz. Spójrz na mnie.

– Nie powinnaś tak do niej mówić, moje dziecko – skarcił ją mułła Faizullah.

– Spójrz na mnie.

Mariam podniosła wzrok.

– Tylko jedna umiejętność. To *tahammol* – wytrzymać.

– Wytrzymać co, Nano?

– Och, tym się nie przejmuj – powiedziała Nana. – Tego nie zabraknie.

Zaczęła mówić o tym, jak żony Dżalila nazywały ją brzydką, pospolitą córką kamieniarza. Jak kazały jej robić pranie na zewnątrz na mrozie, aż jej twarz całkiem zdrętwiała, a odmrożone palce piekły.

– Taki jest nasz los, Mariam. Kobiet takich jak my. Wytrzymać. To jedyne, co mamy. Rozumiesz? Poza tym w szkole będą się z ciebie wyśmiewali. Naprawdę. Będą cię przezywać *harami*. Będą mówili o tobie same najgorsze rzeczy. Nie pozwolę na to.

Mariam pokiwała głową.

– Koniec gadania o szkole. Mam tylko ciebie. Nie oddam cię. Spójrz na mnie. Koniec gadania o szkole.

– Bądź rozsądna, przestań. Skoro dziewczynka chce – zaczął mułła Faizullah.

– A ty, *achund sahebie*, z całym należnym szacunkiem, powinieneś być mądrzejszy i nie podsycać tych jej głupich pomysłów. Jeżeli naprawdę o nią dbasz, to powinieneś jej wytłumaczyć, że jej miejsce jest tutaj, w domu, obok matki. Tam nic dobrego jej nie spotka. Tylko odrzucenie i rozdarte serce. Ja dobrze o tym wiem, *achund sahebie*. Ja dobrze wiem.

4

Mariam uwielbiała, kiedy odwiedzali je goście: wiejskiego arbaba i jego podarunki, Bibi *dżun* z jej chorym biodrem i niekończącymi się plotkami, i oczywiście mułłę Faizullaha. Ale na nikogo Mariam nie czekała z takim utęsknieniem jak na Dżalila.

Niepokój ogarniał ją już we wtorki wieczorem. Źle spała, obawiając się, że Dżalila zatrzymają jakieś sprawy, a ona będzie musiała na niego czekać przez cały następny tydzień. W środy kręciła się na zewnątrz, wokół *kolby*, i w roztargnieniu rzucała garście karmy kurom. Spacerowała bez celu, obrywając płatki kwiatków i odganiając muchy siadające jej na ramionach. Natomiast w czwartki mogła już tylko siedzieć pod ścianą ze wzrokiem wbitym w strumień i czekać. Jeżeli Dżalil się spóźniał, powoli ogarniał ją przeraźliwy lęk. Robiło jej się miękko w kolanach i musiała się położyć.

A potem Nana wołała:

– Oto i on, ten twój ojciec. W całej okazałości.

Mariam od razu zrywała się na równe nogi. Patrzyła, jak Dżalil przeskakuje po kamieniach przez strumień i cały roześmiany macha do niej. Wiedziała, że Nana ją obserwuje, bada jej reakcje, i zawsze sporo ją to kosztowało, by pozostać w drzwiach, czekać, patrząc, jak Dżalil zbliża się do niej powoli. Powstrzymywała się, czekając cierpliwie, aż Dżalil przejdzie przez wysokie trawy – marynarka przewieszona przez ramię, czerwony krawat unoszący się w porywach wiatru.

Kiedy Dżalil wchodził na polanę, rzucał marynarkę na piec *tandur* i szeroko otwierał ramiona. Mariam najpierw szła, a potem biegła w jego stronę, a on łapał ją w ramiona i podnosił wysoko w górę. Mariam piszczała.

Zawieszona w górze widziała poniżej twarz Dżalila wykrzywioną w uśmiechu, zakola na głowie, podbródek z dziurką – idealne miejsce na jej mały paluszek – jego zęby, najbielsze w mieście pełnym zepsutych zębów trzonowych. Lubiła jego przycięte wąsy i podobało jej się, że bez względu na pogodę, zawsze przychodził w garniturze – w jego ulubionym ciemnobrązowym kolorze, z białą złożoną

w trójkąt chusteczką w kieszeni na piersi – i z mankietami, i pod krawatem, zwykle czerwonym i poluzowanym. Mariam widziała też swoje odbicie w brązowych oczach Dżalila: falujące włosy, rozognioną z podniecenia twarz, niebo w tle.

Nana powiedziała, że któregoś dnia Dżalil nie utrzyma jej w ramionach i że ona, Mariam, wyślizgnie mu się z rąk i spadnie na ziemię, łamiąc sobie kości. Ale Mariam nie wierzyła, że Dżalil mógłby ją upuścić. Wierzyła, że zawsze wyląduje bezpiecznie w czystych, zadbanych dłoniach swego ojca.

Siadali w cieniu przed *kolbą*, a Nana podawała im herbatę. Dżalil i Nana witali się z wymuszonym uśmiechem i skinieniem głowy. Dżalil nigdy nie wypominał Nanie rzucania kamykami w jego synów ani wyzywania ich.

Chociaż podczas jego nieobecności Nana ciskała na niego gromy, to kiedy Dżalil przychodził w odwiedziny, zachowywała się powściągliwie i uprzejmie. Zawsze miała umyte włosy, czyściła zęby i wkładała dla niego swój najlepszy hidżab. Siadała cicho na krześle naprzeciw niego i składała ręce na podołku. Nie patrzyła wprost na Dżalila i nigdy nie używała

przy nim ordynarnych słów. Kiedy się śmiała, zakrywała usta dłonią, ukrywając zepsuty ząb.

Nana pytała, jak idą jego interesy. I pytała również o jego żony. Kiedy powiedziała mu, że słyszała od Bibi *dżun*, że jego najmłodsza żona spodziewa się trzeciego dziecka, Dżalil uśmiechnął się uprzejmie i pokiwał głową.

– Cóż, musisz być szczęśliwy – rzekła Nana. – To ile teraz ich masz? Dziesięcioro, prawda, *maszaallah*? Dziesięcioro?

Dżalil odparł, tak, dziesięcioro.

– To znaczy jedenaścioro, jeśli policzyć Mariam.

Potem, kiedy Dżalil poszedł do domu, Mariam i Nana trochę się na ten temat pokłóciły. Mariam uznała, że Nana go podeszła.

Po herbacie z Naną Mariam i Dżalil zawsze szli nad strumień, na ryby. Dżalil pokazał jej, jak zarzuca się żyłkę i łowi pstrągi. Nauczył ją prawidłowego sposobu patroszenia pstrąga, czyszczenia go i odrywania kawałka mięsa jednym ruchem. Kiedy czekali, aż ryba złapie się na haczyk, rysował dla niej. Pokazał jej, jak narysować słonia jednym pociągnięciem, bez odrywania ołówka od papieru. Nauczył ją wierszyków. Razem śpiewali:

Luli, luli, ptasia studnia,
w ptasiej studni woda brudna.
Mała płotka przypłynęła,
chciała pić, lecz utonęła.

Dżalil przynosił wycinki z herackiej gazety, „Ettefagh-e-Eslam”, i czytał je Mariam. Był łącznikiem Mariam, dowodem na to, że istnieje jakiś większy świat poza *kolbą*, poza Gol Daman, a nawet poza Heratem, świat pełen prezydentów o trudnych do wymówienia imionach, pociągów i muzeów, i piłki nożnej, i rakiet, które krążą po orbicie Ziemi i lądują na Księżycu. W każdy czwartek Dżalil przynosił ze sobą kawałek tego świata.

To on powiedział jej latem 1973 roku, kiedy Mariam miała czternaście lat, że król Zaher Szah, który rządził z Kabulu przez czterdzieści lat, został obalony w wyniku bezkrwawego zamachu stanu.

– Jego kuzyn, Daud Chan, dokonał tego, kiedy król przebywał we Włoszech na leczeniu. Pamiętasz Dauda Chana, prawda? Mówiłem ci o nim. Kiedy się urodziłaś, był premierem w Kabulu. W każdym razie Afganistan nie jest już monarchią, Mariam. Teraz jest republiką, a Daud Chan jest prezydentem. Krążą plotki, że władzę

pomogli mu przejąć socjaliści z Kabulu. Nie, żeby on sam był socjalistą, o nie, ale mu pomogli. Tak mówią ludzie.

Mariam spytała, kim są socjaliści, i Dżalil zaczął jej to wyjaśniać, ale ona prawie go nie słuchała.

– Słuchasz mnie?

– Tak.

Dżalil zauważył, że Mariam spogląda na wypchaną kieszeń jego marynarki.

– Ach, no tak, oczywiście. Proszę, to dla ciebie, bez dalszych…

Wyjął z kieszeni małe pudełeczko i dał je Mariam. Od czasu do czasu tak robił. Przynosił jej drobne prezenty. Bransoletę z karneolu, naszyjnik z lapis-lazuli. Tamtego dnia Mariam znalazła w pudełku naszyjnik z wisiorkiem w kształcie liścia z gwiazdkami i maleńkimi monetami, na których widniały księżyce.

– Przymierz, Mariam *dżun*.

Mariam założyła naszyjnik.

– Jak ci się podoba?

Dżalil uśmiechnął się promiennie.

– Wyglądasz jak królowa.

Kiedy Dżalil poszedł, Nana zauważyła wisiorek na szyi Mariam.

– Biżuteria nomadów – powiedziała. – Widziałam, jak ją wyrabiają. Roztapiają monety, które ludzie im rzucają, i robią z tego biżuterię. Zobaczymy, czy następnym razem ten twój cudowny ojciec przyniesie ci złoto. Zobaczymy.

Kiedy zbliżał się koniec wizyty, Mariam stawała w drzwiach i patrzyła, jak Dżalil odchodzi. Czuła się tak, jakby wypuszczono z niej całe powietrze, przerażała ją myśl o nadchodzącym tygodniu, który zdawał jej się niczym jakiś ogromny, niewzruszony przedmiot stojący pomiędzy nią a kolejną wizytą taty. Mariam zawsze wstrzymywała oddech, patrząc, jak Dżalil odchodzi. Wstrzymywała oddech i bezgłośnie odliczała sekundy. Miała cichą nadzieję, że za każdą sekundę bez oddechu Bóg da jej jeden dzień z ojcem.

Nocami Mariam leżała na posłaniu i zastanawiała się, jak wygląda dom ojca w Heracie. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby z nim mieszkała, widziała go każdego dnia. Wyobrażała sobie, że podaje mu ręcznik, kiedy Dżalil się goli, i mówi mu, że się zaciął. Parzyłaby mu herbatę, przyszywała oderwane guziki. Spacerowaliby razem po Heracie, po bazarze pod łukowatym sklepieniem, gdzie, jak mówił Dżalil, można znaleźć wszystko, czego się tylko

zapragnie. Jeździliby jego samochodem, a ludzie wskazywaliby na nich, mówiąc: „Oto jedzie Dżalil Chan ze swoją córką”. Pokazałby jej słynne drzewo, pod którym pochowany jest poeta.

Mariam postanowiła, że któregoś dnia, całkiem niedługo, opowie o tym Dżalilowi. A kiedy on się o tym dowie, kiedy przekona się, jak bardzo Mariam za nim tęskni, kiedy go nie ma, na pewno weźmie ją ze sobą. Zabierze ją do Heratu, do swojego domu, tak jak pozostałe dzieci.

5

Wiem, czego chcę – powiedziała Mariam do Dżalila.

Było to wiosną 1974 roku, kiedy Mariam zaczęła piętnasty rok życia. Siedzieli we trójkę przed *kolbą*, w plamie cienia rzucanego przez wierzby, na rozkładanych krzesłach ustawionych w trójkąt.

– Na moje urodziny… Wiem, czego chcę.

– Naprawdę? – spytał Dżalil, uśmiechając się zachęcająco.

Dwa tygodnie wcześniej, po długim dopytywaniu się Mariam, Dżalil wspomniał, że w jego kinie wyświetlany jest amerykański film. Był to specjalny rodzaj filmu, który Dżalil nazywał „rysunkowym”. Cały film składał się z serii rysunków, opowiadał Dżalil, były ich tysiące i wszystkie razem tworzyły film, a w trakcie wyświetlania go na ekranie miało się złudzenie, że rysunki się poruszają. Dżalil

powiedział, że jest to film o starym bezdzietnym lalkarzu, który czuje się samotny i rozpaczliwie pragnie mieć syna. Dlatego rzeźbi kukiełkę, chłopca, który w magiczny sposób ożywa. Mariam chciała dowiedzieć się więcej, więc Dżalil powiedział, że starzec i jego kukiełka przeżywają mnóstwo przygód, że w filmie pojawia się miejsce zwane Wyspą Przyjemności, a także chłopcy, którzy zamieniają się w osły. A na końcu połyka ich nawet, to znaczy lalkarza i jego kukiełkę, wieloryb. Mariam opowiedziała o tym filmie mulle Faizullahowi.

– Chcę, żebyś zabrał mnie do swojego kina – oświadczyła wtedy Mariam. – Chcę zobaczyć film rysunkowy. Chcę zobaczyć chłopca, który jest kukiełką.

Mówiąc to, Mariam wyczuła w powietrzu napięcie. Jej rodzice zaczęli niespokojnie kręcić się na krzesłach. Mariam miała wrażenie, że wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

– To nie jest dobry pomysł – stwierdziła Nana. Mówiła spokojnym, opanowanym głosem, jak zawsze przy Dżalilu, ale Mariam czuła na sobie jej ostre, oskarżycielskie spojrzenie.

Dżalil uniósł się na krześle. Zakaszlał, po czym powiedział:

– Wiesz, obraz nie jest dobrej jakości. Ani dźwięk. A ostatnio projektor często się psuje. Może twoja matka ma rację. Może pomyślisz o jakimś innym prezencie, Mariam *dżun*.

– Nie ma mowy – ucięła Nana. – Widzisz, twój ojciec jest tego samego zdania.

Ale później, nad strumieniem, Mariam poprosiła:

– Zabierz mnie do kina.

– Powiem ci coś – odparł Dżalil. – Wyślę kogoś po ciebie, kto cię tam zabierze. Zadbam, żebyś dostała dobre miejsce i tyle cukierków, ile tylko zechcesz.

– Nici. Chcę, żebyś to ty mnie zabrał.

– Mariam *dżun*…

– I chcę, żebyś zaprosił również moich braci i siostry. Chcę ich spotkać. Chcę, żebyśmy poszli wszyscy razem. Tego właśnie chcę.

Dżalil westchnął i odwrócił wzrok, patrząc w stronę gór.

Mariam przypomniała sobie, jak kiedyś opowiadał, że na ekranie twarz człowieka jest wielka jak dom, a kiedy rozbija się samochód, czujesz niemal blachy wbijające ci się w kości.

Wyobraziła sobie, że siedzi w prywatnej loży, liże lody, a obok niej siedzi jej rodzeństwo i Dżalil.

– Tego właśnie chcę – powtórzyła.

Dżalil popatrzył na nią ze smutkiem.

– Jutro o dwunastej spotkamy się w tym miejscu. Dobrze? Jutro.

– Chodź do mnie – powiedział. Przykucnął, przyciągnął ją do siebie i bardzo długo trzymał w ramionach.

Na początku Nana krążyła po chacie, zaciskając i rozwierając palce.

– Ze wszystkich córek, które mogłam mieć, dlaczego Bóg dał mi taką niewdzięcznicę jak ty? Po tym wszystkim, co musiałam dla ciebie znosić! Jak śmiesz! Jak śmiesz tak mnie porzucać, ty zdradziecka mała *harami*!

Potem zaczęła drwić.

– Ależ ty jesteś głupia! Myślisz, że coś dla niego znaczysz, że jesteś mile widziana w jego domu? Myślisz, że jesteś dla niego jak córka? Że cię ze sobą weźmie? Coś ci powiem: mężczyźni mają podłe serca, podłe, Mariam. To nie jest łono matki. Nie będzie krwawić, nie rozciągnie się, żeby zrobić dla ciebie miejsce. Tylko ja cię kocham. Jestem wszystkim, co masz na tym

świecie, Mariam, a kiedy mnie zabraknie, nie będziesz miała niczego. Niczego. Sama jesteś niczym!

Potem próbowała wywołać w niej poczucie winy.

– Umrę, jeżeli pójdziesz. Przyjdzie dżinn i dostanę ataku. Zobaczysz, połknę własny język i umrę. Nie zostawiaj mnie, Mariam *dżun*. Proszę. Umrę, jeżeli pójdziesz.

Mariam nic na to nie odpowiedziała.

– Wiesz, że cię kocham, Mariam *dżun*.

Mariam oznajmiła, że idzie na spacer.

Obawiała się, że jeśli zostanie, powie Nanie coś, co bardzo ją zrani: że wie, iż dżinn jest kłamstwem, że Dżalil uświadomił ją, że to, na co cierpi Nana, jest chorobą, która ma swoją nazwę i którą można złagodzić tabletkami. Mogłaby spytać Nanę, dlaczego nie chciała, by zbadali ją lekarze Dżalila, choć on nalegał, i dlaczego nie bierze tabletek, które jej kupił. Gdyby zdołała to powiedzieć, mogłaby również wyrzucić jej, że ma dość ciągłych pretensji, instrumentalnego traktowania, okłamywania i wykorzystywania. Że niedobrze jej się robi od bezustannego naciągania faktów z życia Nany i robienia z niej samej, Mariam, kolejnego wyrzutu do całego świata.

Boisz się, Nano, mogłaby powiedzieć. Boisz się, że mogłabym zaznać szczęścia, którego sama nigdy nie zaznałaś. I nie chcesz, abym była szczęśliwa. Nie chcesz, abym miała dobre życie. To ty masz podłe serce.

Na skraju polany był prześwit. Mariam lubiła tam chodzić. Usiadła tam teraz na suchej ciepłej trawie. Widać było stamtąd Herat, rozciągał się u jej stóp jak plansza do gry: Ogród Kobiet na północy miasta, Czahar sugh i ruiny cytadeli zbudowanej za czasów wielkiego Aleksandra na południu. Widziała w oddali minarety, jak zakurzone palce olbrzymów, i ulice, wypełnione, jak sobie wyobrażała, mnóstwem ludzi, wózków, mułów. Zobaczyła nurkujące i zataczające koła jaskółki. Zazdrościła tym ptakom. One były w Heracie. Latały nad meczetami i bazarami. Może siadały na murach domu Dżalila, na schodach przed jego kinem?

Zebrała dziesięć kamyków i ułożyła je pionowo w trzech kolumnach. Czasami, kiedy Nana nie widziała, bawiła się w tę grę. Ułożyła cztery kamyki w pierwszej kolumnie, to były dzieci Chadidżi, trzy kolejne jako dzieci Afsun i trzy w ostatnim rzędzie jako dzieci Narges.

A potem dodała czwartą kolumnę. Samotny jedenasty kamyk.

Następnego ranka Mariam włożyła kremową sukienkę sięgającą jej do kolan, bawełniane spodnie i zielony hidżab na włosy. Dręczył ją trochę ten hidżab, bo był zielony i nie pasował do sukienki, ale musiała się nim zadowolić, ponieważ mole zrobiły dziury w białym.

Spojrzała na zegarek. Był to stary zegarek na rękę, z czarnymi cyframi i jasnozieloną tarczą, prezent od mułły Faizullaha. Była dziewiąta rano. Zastanawiała się, gdzie jest Nana. Pomyślała, żeby wyjść na zewnątrz i jej poszukać, ale bała się konfrontacji, zranionego spojrzenia. Nana oskarżyłaby ją o zdradę. Wyśmiałaby jej chore ambicje.

Mariam usiadła. Starała się zabić czas, rysując słonia jednym pociągnięciem, tak jak nauczył ją Dżalil. Zdrętwiała od siedzenia bez ruchu, ale z obawy, że pogniecie ubranie, nie chciała się położyć.

Kiedy wskazówki zegarka pokazały wreszcie jedenastą, Mariam wrzuciła do kieszeni jedenaście kamyków i wyszła na zewnątrz. Idąc nad strumień, zauważyła Nanę siedzącą na

krześle, w cieniu, pod koroną płaczącej wierzby. Mariam nie była pewna, czy Nana ją zauważyła.

Mariam czekała nad strumieniem, w miejscu, w którym umówiła się z Dżalilem poprzedniego dnia. Po niebie przepłynęło kilka szarych chmur w kształcie kalafiorów. Dżalil wyjaśnił jej, że szare chmury mają taki kolor, ponieważ są tak gęste, że ich górne części absorbują światło słoneczne i rzucają cień na dolną część chmury. „To, co widzisz, Mariam *dżun* – powiedział – to ciemność ich brzuchów".

Minęło trochę czasu.

Mariam wróciła do domu. Tym razem okrążyła polanę od zachodniej strony, żeby nie przechodzić obok Nany. Spojrzała na zegarek. Była prawie pierwsza.

Jest człowiekiem interesu, pomyślała Mariam. Coś musiało mu wypaść.

Wróciła nad strumień i czekała jeszcze przez jakiś czas. Kosy krążyły nad jej głową, nurkowały gdzieś w trawach. Obserwowała gąsienicę mozolnie pokonującą drogę u stóp rozwijającego się ostu.

Czekała, aż zdrętwiały jej nogi. Tym razem nie wróciła do *kolby*. Podwinęła nogawki spodni do kolan, przeszła przez strumień i po raz pierwszy w życiu ruszyła w dół wzgórza w stronę Heratu.

Nana myliła się również co do Heratu. Nikt nie wytykał jej palcami. Nikt się z niej nie śmiał. Mariam szła przez hałaśliwe, zatłoczone miasto, wysadzane cyprysami bulwary, w strumieniu pieszych, rowerzystów i ciągniętych przez muły riksz i nikt nie rzucał w nią kamieniami. Nikt prawie na nią nie patrzył. Nieoczekiwanie w jakiś cudowny sposób była tam kimś zupełnie zwyczajnym.

Przez jakiś czas Mariam stała nad owalnym basenem pośrodku parku, gdzie krzyżowały się żwirowane alejki. Z zachwytem przesuwała dłonią po pięknych marmurowych koniach ustawionych wokół basenu, z matowymi oczami wbitymi w taflę wody. Podglądała grupę chłopców, którzy puszczali papierowe łódki. Wszędzie rosły kwiaty: tulipany, lilie, petunie, a ich płatki skąpane były w promieniach słońca. Ludzie spacerowali alejkami, siadali na ławkach i popijali herbatę.

Mariam z trudem mogła uwierzyć, że znalazła się w tym miejscu. Serce biło jej mocno z podniecenia. Chciałaby, żeby zobaczył ją teraz mułła Faizullah. Byłby nią zachwycony. Była taka dzielna! Rozkoszowała się myślą o czekającym ją tu życiu u boku ojca, z siostrami i braćmi, życiu,

w którym kochałaby i byłaby kochana bez zastrzeżeń i poczucia wstydu.

Żwawym krokiem wróciła na szeroką arterię biegnącą obok parku. Minęła starych sprzedawców o pomarszczonych twarzach, którzy siedzieli w cieniu platanów i patrzyli na nią beznamiętnym wzrokiem zza piramid wiśni i kopców winogron. Bosonodzy chłopcy uganiali się za samochodami i autobusami, machając torebkami z pigwami. Mariam stanęła na rogu ulicy i przyglądała się przechodniom, nie rozumiejąc, jak mogą być tak obojętni na te wszystkie otaczające ich cuda.

Po jakimś czasie zdobyła się na odwagę i spytała niemłodego woźnicę rikszy ciągniętej przez konia, czy wie, gdzie mieszka Dżalil, właściciel kina. Starszy mężczyzna miał pulchne policzki i ubrany był w pasiasty tęczowy *czapan*[3].

– Nie jesteś z Heratu, prawda? – spytał dobrotliwie. – Tu każdy wie, gdzie mieszka Dżalil.

– Może mi pan wskazać drogę?

Rozwinął cukierek z papierka i spytał:

– Jesteś sama?

– Tak.

– Wskakuj. Zawiozę cię tam.

– Nie mogę zapłacić. Nie mam żadnych pieniędzy.

Dał jej cukierek. Powiedział, że od dwóch godzin nie miał żadnego kursu, więc i tak zamierzał wrócić do domu. A dom Dżalila jest po drodze.

Mariam wsiadła do rikszy. Jechali w milczeniu, siedząc obok siebie. Po drodze Mariam widziała sklepy z ziołami, otwarte na ulicę sklepiki, gdzie można było kupić pomarańcze i gruszki, książki, szale, a nawet sokoły. Dzieci grały w kulki na okręgach wyznaczonych w ulicznym kurzu. Przed kawiarniami, na okrytych dywanami platformach, mężczyźni popijali herbatę i palili tytoń w fajkach wodnych.

Starszy mężczyzna skręcił w szeroką, wysadzaną iglastymi drzewami ulicę i zatrzymał konia w jej połowie.

– Jesteśmy na miejscu. Wygląda na to, że masz szczęście, *dochtar dżun*. To jego samochód.

Mariam wyskoczyła na chodnik. Woźnica uśmiechnął się i odjechał.

Mariam nigdy dotąd nie dotknęła samochodu. Teraz przesuwała palcami po masce. Samochód Dżalila był czarny, lśniący, a w jego połyskujących kołach widziała swoje odbicie,

płaskie i poszerzone. Siedzenia były obite białą skórą. Za kierownicą Mariam zobaczyła okrągłe szklane panele ze wskazówkami.

Przez chwilę miała wrażenie, że słyszy w głowie głos matki, drwiącej, wyszydzającej głęboko zakorzeniony blask jej nadziei. Na drżących nogach Mariam podeszła do frontowych drzwi. Obiema dłońmi dotknęła muru. Był taki wysoki, taki przerażający, mur Dżalila. Musiała wyciągnąć szyję, by zobaczyć wierzchołki cyprysów majaczące po drugiej stronie. Cyprysy zakołysały się w powiewie wiatru, a Mariam wyobraziła sobie, że kiwają jej na powitanie. Czuła, że za chwilę zemdleje, ale udało jej się opanować swoje ciało.

Drzwi otworzyła bosonoga kobieta. Miała tatuaż pod dolną wargą.

– Przyszłam do Dżalila Chana. Nazywam się Mariam. Jestem jego córką.

Dziewczyna zrobiła zdziwioną minę, a potem nagle jakby doznała olśnienia. Na jej ustach pojawił się lekki uśmiech i nagle z przejęciem i niecierpliwością powiedziała szybko:

– Poczekaj tutaj.

Zamknęła drzwi.

Minęło kilka minut. Potem drzwi otworzył jakiś mężczyzna. Był wysoki, szeroki w barach,

miał senne oczy i spokojną twarz.

– Jestem szoferem Dżalila Chana – oznajmił całkiem uprzejmie.

– Kim?

– Jego kierowcą. Dżalila Chana nie ma w domu.

– Widzę jego samochód – oświadczyła Mariam.

– Wyjechał w pilnych interesach.

– Kiedy wróci?

– Nie powiedział.

Mariam odparła, że poczeka.

Mężczyzna zamknął bramę. Mariam usiadła i podciągnęła kolana pod brodę. Był wczesny wieczór i zaczynała być głodna. Zjadła cukierka, którego dostała od woźnicy. Chwilę później kierowca znów się pojawił.

– Musisz już wracać do domu – rzekł. – Za niecałą godzinę zrobi się ciemno.

– Jestem przyzwyczajona do ciemności.

– Zrobi się też zimno. Mogę odwieźć cię do domu. Powiem mu, że tu byłaś.

Mariam ledwie na niego spojrzała.

– Wobec tego zabiorę cię do hotelu. Posłuchaj, nikt nie wie, kiedy wróci Dżalil. To może potrwać kilka dni.

Mariam skrzyżowała ręce na piersiach.

Kierowca westchnął i spojrzał na nią z lekkim wyrzutem.

Przez kolejne lata Mariam miała mnóstwo czasu, by zastanawiać się, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby pozwoliła kierowcy odwieźć się do wsi. Ale nie pozwoliła mu na to. Spędziła całą noc przed domem Dżalila. Patrzyła, jak zapada zmierzch, a fasady sąsiednich domów pochłaniają ciemności. Dziewczyna z tatuażem przyniosła jej trochę chleba i ryż, ale Mariam powiedziała, że nie chce jeść. Dziewczyna zostawiła jedzenie obok Mariam. Od czasu do czasu Mariam słyszała kroki gdzieś na ulicy, trzask otwieranych drzwi, stłumione powitania. Zapaliły się światła elektryczne i z okien domów sączyła się słaba poświata. Szczekały psy. Gdy nie mogła już dłużej znieść głodu, zjadła talerz ryżu i chleb. Potem słuchała świerszczy cykających w ogrodach. Nad jej głową na tle jasnego księżyca przesuwały się chmury.

Rankiem ktoś nią potrząsnął i Mariam się obudziła. Stwierdziła, że w nocy ktoś okrył ją kocem.

To kierowca potrząsał ją za ramię.

– Dość tego. Zrobiłaś scenę. *Bas*. Czas jechać.

Mariam usiadła i potarła oczy. Bolała ją szyja i plecy.

– Będę na niego czekała.

– Spójrz na mnie – rzekł. – Dżalil Chan mówi, że mam cię natychmiast odwieźć do domu. Rozumiesz? Dżalil Chan tak powiedział.

Otworzył tylne drzwi samochodu.

– *Bija.* No chodź – powiedział miękko.

– Chcę go zobaczyć – oświadczyła Mariam. Jej oczy były pełne łez.

Kierowca westchnął.

– Pozwól, że zawiozę cię do domu. No chodź, *dochtar dżun*.

Mariam wstała i ruszyła w jego stronę, ale w ostatniej chwili zmieniła kierunek i pobiegła do głównej bramy. Poczuła dłoń kierowcy usiłującą złapać ją za ramię. Wyślizgnęła mu się i wpadła do środka przez uchylone drzwi.

W ciągu tych kilku sekund, które spędziła w ogrodzie Dżalila, zdążyła zobaczyć lśniącą szklaną konstrukcję z kwiatami w środku, winorośl pnącą się po drewnianych kratach, staw dla ryb zbudowany z szarego kamienia, drzewa owocowe i rosnące wszędzie krzewy o jaskrawych kwiatach. Jej oczy prześlizgnęły się po tym wszystkim, nim odnalazły twarz, po drugiej stronie ogrodu, w oknie na piętrze. Twarz pojawiła się tam tylko na chwilę, na ułamek sekundy, ale jej to wystarczyło. Zdążyła zobaczyć

rozszerzone oczy i otwarte usta. A potem twarz znikła. Pojawiła się dłoń, która pociągnęła za sznur. Zasłony zostały zaciągnięte.

A potem czyjeś ręce wsunęły się pod jej pachy i została uniesiona w powietrzu. Mariam zaczęła kopać. Z kieszeni wysypały się kamyki. Mariam wciąż kopała i płakała, ale mimo to została przeniesiona do samochodu i posadzona na zimnym, skórzanym, tylnym siedzeniu.

Po drodze kierowca przemawiał do niej powściągliwym, uspokajającym tonem. Mariam go nie słuchała. Przez całą drogę podskakiwała na tylnym siedzeniu i płakała. Były to łzy żalu, złości, rozczarowania. Ale przede wszystkim łzy głębokiego wstydu z powodu tego, że w tak głupi sposób oddała się Dżalilowi, że tak się przejmowała, w co ma się ubrać, martwiła niepasującym hidżabem, szła taki kawał drogi, nie chciała odejść, spała na ulicy jak bezdomny pies. I wstyd jej było za to, że odrzuciła pełne bólu spojrzenie matki, jej spuchnięte oczy. Nana ją ostrzegała i przez cały czas miała rację.

Mariam wciąż myślała o jego twarzy, tam w oknie. Pozwolił jej spać na ulicy. Na ulicy. Mariam leżała i płakała. Nie chciała usiąść, nie

chciała, by ją ktoś zobaczył. Wyobrażała sobie, że tego ranka cały Herat dowiedział się, jak się zhańbiła. Chciała, żeby był przy niej teraz mułła Faizullah, mogłaby położyć głowę na jego kolanach, a on by ją pocieszył.

Po jakimś czasie droga stała się bardziej wyboista, a maska samochodu unosiła się raz po raz. Wjechali na biegnącą w górę drogę łączącą Herat z Gol Daman.

Zastanawiała się, co powie Nanie. Jak ją przeprosi? Jak w ogóle spojrzy jej w oczy?

Samochód zatrzymał się i kierowca pomógł jej wysiąść.

– Odprowadzę cię – powiedział.

Dała mu się poprowadzić przez drogę i dalej biegnącym w górę traktem. Przy ścieżce rosło kapryfolium i trojeść. Pszczoły latały wśród kolorowych polnych kwiatów. Kierowca wziął ją za rękę i pomógł jej przejść przez strumień. Potem puścił ją i zaczął opowiadać o tym, jak to wkrótce zaczną wiać od rana do zmierzchu słynne herackie wiatry wiejące sto dwadzieścia dni, a małe czarne muszki zaczną się gorączkowo odżywiać, a potem nagle stanął przed nią, starając się zakryć jej oczy i popychał ją w stronę, z której przyszli, mówiąc:

– Wracaj! Nie. Nie patrz. Nie odwracaj się! Wracaj!

Ale nie był dość szybki. Mariam spojrzała. Podmuch wiatru rozsunął opadające gałęzie płaczącej wierzby jak kurtynę i Mariam zdążyła zobaczyć pod drzewem przewrócone proste krzesło. Sznur zwisający z gałęzi. I wiszącą na nim Nanę.

6

Pochowali Nanę w rogu cmentarza w Gol Daman. Mariam stała obok Bibi *dżun*, wraz z innymi kobietami, a mułła Faizullah recytował nad grobem modlitwy. Potem mężczyźni opuścili owinięte w całun ciało Nany do grobu.

Dżalil odprowadził Mariam do domu i przed wszystkimi towarzyszącymi im mieszkańcami wioski odstawił przedstawienie, aby pokazać, jaki jest dla niej dobry. Zebrał jej niewielki dobytek i zapakował do walizki. Usiadł obok niej na posłaniu, na którym leżała, i wachlował jej twarz. Pogłaskał ją po czole i ze zbolałą miną spytał, czy jest jej coś, cokolwiek potrzebne – tak to powiedział, aż dwa razy.

– Chcę mułłę Faizullaha – poprosiła Mariam.

– Oczywiście. Jest na zewnątrz. Zaraz go tu przyprowadzę.

Dopiero kiedy w drzwiach *kolby* pojawiła się szczupła, zgarbiona sylwetka mułły Faizullaha,

Mariam po raz pierwszy tego dnia się rozpłakała.

– Och, Mariam *dżun*.

Usiadł obok niej i zakrył jej twarz swoimi dłońmi.

– Płacz, Mariam *dżun*, płacz. Nie ma się czego wstydzić. Ale pamiętaj, moje dziecko, co mówi Koran: *Błogosławiony niech będzie Ten, w którego ręku jest królestwo – On jest nad każdą rzeczą wszechwładny! Który stworzył śmierć i życie, aby was doświadczyć*[4]. Koran mówi prawdę, moje dziecko. Bóg nie bez przyczyny wystawia nas na próbę i zrzuca na nasze barki smutek.

Ale Mariam nie znajdowała pocieszenia w słowie bożym. Nie tego dnia. Nie wtedy. Jedyne, co słyszała, to słowa Nany mówiącej: „Umrę, jeśli odejdziesz, po prostu umrę". Mogła tylko płakać i płakać, a łzy kapały na cienką jak papier, pokrytą plamami skórę dłoni mułły Faizullaha.

W drodze do domu Dżalil usiadł na tylnym siedzeniu obok Mariam i otoczył ją ramieniem.

– Możesz ze mną zostać, Mariam *dżun* – powiedział. – Poprosiłem już o uprzątnięcie pokoju dla ciebie. Jest na piętrze. Myślę, że ci się spodoba. Będziesz miała ładny widok na ogród.

Po raz pierwszy Mariam słuchała go uszami Nany. Teraz wyraźnie słyszała nieszczerość, jaka zawsze czaiła się za jego słowami, czcze, fałszywe zapewnienia. Nie mogła zmusić się, by na niego spojrzeć.

Kiedy samochód zatrzymał się przed domem Dżalila, kierowca otworzył im drzwi i wziął walizkę Mariam. Dżalil wprowadził ją, trzymając obie dłonie na jej ramionach, przez tę samą bramę, przed którą dwa dni temu Mariam spała na chodniku, czekając na niego, dwa dni wcześniej – kiedy marzyła tylko o tym, by wejść do tego ogrodu z Dżalilem. Teraz czuła się tak, jakby działo się to wieki temu. Zastanawiała się, jak to możliwe, że jej życie przewróciło się do góry nogami w tak krótkim czasie. Szła ze spuszczonym wzrokiem, patrząc na swoje stopy kroczące po alejce z szarych kamiennych płyt. Była świadoma obecności jakichś ludzi w ogrodzie, szepczących, rozstępujących się przed nią i Dżalilem na boki. Czuła ciężar spoczywających na niej spojrzeń, oczu spoglądających z góry, z okien.

W domu Mariam również nie podniosła głowy. Szła po rdzawoczerwonym dywanie w biało-żółte ośmioboki, kątem oka dostrzegła marmurowe podstawy jakiś statuetek, dolne

części waz, postrzępione brzegi niezwykle kolorowych kobierców wiszących na ścianach. Schody, którymi szła z Dżalilem, były bardzo szerokie i okryte podobnymi dywanami, przybitymi do każdego schodka. Na szczycie schodów Dżalil skręcił w lewo, do kolejnego wykładanego dywanami holu. Stanął przed jakimiś drzwiami, otworzył je i wpuścił Mariam do środka.

– Twoje siostry, Nilufar i Atije, czasem tu się bawią – powiedział Dżalil. – Ale zwykle jest to pokój gościnny. Myślę, że będzie ci tu wygodnie. Jest ładny, prawda?

W pokoju stało łóżko przykryte zielonym kwiecistym kocem o zwartym splocie, na wzór plastra miodu. Zasłony, odsłonięte, by widać było ogród, pasowały do koca. Za łóżkiem stała komoda z trzema szufladami, a na niej wazon. Na ścianach pełno było półek z oprawionymi zdjęciami osób, których Mariam nie znała. Na jednej z półek zauważyła kolekcję identycznych drewnianych lalek ustawionych w rzędzie od największej do najmniejszej.

Dżalil zauważył, że im się przygląda.

– To matrioszki. Przywiozłem je z Moskwy. Możesz się nimi bawić, jeżeli chcesz. Nikomu nie będzie to przeszkadzać.

Mariam usiadła na łóżku.

– Czy ci czegoś potrzeba? – spytał Dżalil.

Mariam położyła się i zamknęła oczy. Po jakiejś chwili usłyszała, że Dżalil cicho zamyka za sobą drzwi.

Mariam wychodziła z pokoju tylko wtedy, gdy musiała skorzystać z łazienki znajdującej się w holu. Dziewczyna z tatuażem, ta, która otworzyła bramę, przynosiła jej posiłki na tacy: kebab z jagnięciny, *sabzi*, zupę *asz*. Większość z tego pozostawała nietknięta. Dżalil przychodził kilka razy dziennie, siadał obok niej na łóżku i pytał, czy wszystko jest w porządku.

– Możesz jeść na dole razem z nami – powiedział bez zbytniego przekonania. Trochę nazbyt gorliwie przytaknął, gdy odparła, że woli jeść sama.

Przez okno Mariam obserwowała beznamiętnie to, co przez większą część życia tak bardzo chciała zobaczyć: zwykły rytm życia Dżalila. Służących wchodzących i wychodzących przez główną bramę. Ogrodnika, który stale przycinał krzewy i podlewał rośliny w szklarni. Samochody o długich lśniących maskach parkujące na ulicy. I wysiadających z nich

mężczyzn w garniturach albo w *czapanach* i karakułowych czapkach, kobiety w hidżabach i starannie uczesane dzieci. A kiedy widziała, jak Dżalil podaje dłoń tym nieznajomym, jak krzyżuje dłonie na piersiach i skłania głowę przed ich żonami, wiedziała, że Nana mówiła prawdę. Ona nie należała do tego świata.

Ale gdzie jest moje miejsce? Co ja teraz zrobię?

„Jestem wszystkim, co masz na tym świecie, Mariam, a kiedy mnie zabraknie, niczego nie będziesz miała. Niczego. Sama jesteś niczym!”.

Mariam przenikały podmuchy trudnej do opisania ciemności, podobne wiatrom unoszącym gałęzie wierzb wokół *kolby*.

Drugiego dnia pobytu Mariam w domu Dżalila do jej pokoju przyszła mała dziewczynka.

– Muszę coś zabrać – powiedziała.

Mariam usiadła po turecku na łóżku i naciągnęła na kolana koc.

Dziewczynka przebiegła przez pokój, otworzyła drzwi szafy i wyjęła szare kwadratowe pudełko.

– Wiesz, co to jest? – spytała i otworzyła pudełko. – To jest gramofon. Gramo. Fon. Puszcza się na nim płyty. No wiesz, muzykę. Gramofon.

– Ty jesteś Nilufar. Masz osiem lat.

Dziewczynka się uśmiechnęła. Miała uśmiech Dżalila i taki sam jak on podbródek.

– Skąd wiesz?

Mariam wzruszyła ramionami. Nie powiedziała jej, że kiedyś nazwała jej imieniem kamyk.

– Chcesz posłuchać piosenki?

Mariam znów wzruszyła ramionami.

Nilufar włączyła gramofon. Z kieszeni pod pokrywką pudełka wyjęła małą płytę. Nałożyła ją i opuściła igłę. Zaczęła grać muzyka.

Wezmę kwiatuszka płatek,
napiszę do ciebie mój list,
tyś serca mego sułtanem,
sułtanem mego serca tyś jest.

– Znasz tę piosenkę?

– Nie.

– To z irańskiego filmu. Widziałam go w kinie mojego taty. Hej, chcesz coś zobaczyć?

Nim Mariam odpowiedziała, dziewczynka dotknęła dłońmi i głową podłogi. Uniosła stopy i stanęła do góry nogami, na głowie.

– Potrafisz tak zrobić? – wymamrotała.

– Nie.

Nilufar opuściła nogi na ziemię i obciągnęła bluzkę.

– Mogę cię nauczyć – zaproponowała, odgarniając włosy z zaczerwienionego czoła. – Więc jak długo tu zostaniesz?

– Nie wiem.

– Moja mama mówi, że naprawdę nie jesteś moją siostrą, chociaż tak mówisz.

– Nigdy nie powiedziałam, że jestem – skłamała Mariam.

– Ona mówi, że powiedziałaś. Nie obchodzi mnie to. To znaczy nie przeszkadza mi, jeśli tak powiedziałaś, ani czy jesteś moją siostrą. Nie przeszkadza mi to.

Mariam położyła się.

– Jestem zmęczona.

– Moja mama mówi, że twoja mama powiesiła się przez dżinna.

– Możesz już przestać? – poprosiła Mariam, odwracając się na drugą stronę. – To znaczy, zatrzymać muzykę.

Tego dnia odwiedziła ją również Bibi *dżun*. Kiedy przyszła, padało. Opadła z trudem na krzesło obok łóżka Mariam i skrzywiła się.

– Ten deszcz, Mariam *dżun*, to zbrodnia dla mojego biodra, po prostu zbrodnia. Mówię ci. Mam nadzieję… Och, chodź tu do mnie, moje

dziecko. Chodź do Bibi *dżun*. Nie płacz. No już. Biedactwo. Szszsz. Biedne maleństwo.

Tej nocy Mariam długo nie mogła zasnąć. Leżała w łóżku, wpatrując się w niebo, słuchając kroków na dole, głosów stłumionych przez ściany i uderzeń deszczu o szyby. Kiedy w końcu zasnęła, obudził ją krzyk. Głosy na dole, ostre i rozzłoszczone. Mariam nie mogła zrozumieć słów. Ktoś trzasnął drzwiami.

Następnego ranka przyszedł do niej mułła Faizullah. Kiedy zobaczyła swego przyjaciela w drzwiach, jego białą brodę i ciepły bezzębny uśmiech, znów poczuła łzy w kącikach oczu. Zerwała się na równe nogi i podbiegła do niego. Ucałowała mu dłoń jak zwykle, a on pocałował ją w czoło. Przysunęła mu krzesło.

Pokazał jej Koran, który ze sobą przyniósł, i otworzył go.

– Nie widzę powodu, abyśmy mieli zrywać z rutyną, prawda?

– Wiesz, że nie potrzebuję już lekcji, mułło *sahebie*. Nauczyłeś mnie każdej *sury* i każdego *ajatu* Koranu lata temu.

Uśmiechnął się i podniósł ręce na znak, że się poddaje.

– Przyznaję się zatem. Zostałem odkryty. Ale mogę wymyślić gorszy powód, żeby cię

odwiedzić.

– Nie potrzebujesz powodów. Nie ty.

– To bardzo miło z twojej strony, że tak mówisz, Mariam *dżun*.

Podał jej Koran. Trzykrotnie, zgodnie z jego naukami, ucałowała księgę – po każdym pocałunku dotykając jej czołem – i oddała mu ją.

– Jak się czujesz, moje dziecko?

– Wciąż myślę – zaczęła Mariam. Musiała przerwać, bo poczuła, że zaciska jej się gardło. – Wciąż myślę o tym, co powiedziała, zanim poszłam. Ona…

– *Nei, nei, nei*. – Mułła Faizullah położył dłoń na jej kolanie. – Twoja matka, niech Allah jej wybaczy, była niespokojną nieszczęśliwą kobietą, Mariam *dżun*. Zrobiła sobie coś strasznego. Sobie, a nie tobie, a także Allahowi. On jej wybaczy, bowiem Allah wszystko wybacza, ale jest zasmucony tym, co uczyniła. On nie akceptuje odbierania życia, czyjegoś ani własnego, albowiem Allah mówi, że życie jest święte. Widzisz… – Przysunął krzesło bliżej i ujął dłoń Mariam w swoje ręce. – Widzisz, znałem twoją matkę, zanim przyszłaś na świat, i uważam, że już wtedy była nieszczęśliwa. Obawiam się, że ziarno tego, co się później stało, zostało już zasiane dawno temu. Chcę przez to powiedzieć,

że to nie była twoja wina. To nie była twoja wina, moje dziecko.

– Nie powinnam była jej zostawiać. Nie powinnam…

– Przestań. Takie myśli nie są dobre, Mariam *dżun*. Słuchasz mnie, moje dziecko? Nie są dobre. Zniszczą cię. To nie była twoja wina. To nie była twoja wina. Nie.

Mariam pokiwała głową, ale choć bardzo tego pragnęła, nie mogła zmusić się, by mu uwierzyć.

Któregoś popołudnia, tydzień później, rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła wysoka kobieta. Miała jasną karnację, rudawe włosy i długie palce.

– Nazywam się Afsun – oznajmiła. – Jestem matką Nilufar. Czy mogłabyś się umyć, Mariam, i zejść na dół?

Mariam powiedziała, że wolałaby zostać w pokoju.

– Nie, *nafahmidi*, nie rozumiesz. Musisz zejść na dół. Musimy z tobą porozmawiać. To ważne.

7

Dżalil i jego żony usiedli naprzeciw niej przy długim ciemnobrązowym stole. Pomiędzy nimi na środku stołu stał kryształowy wazon ze świeżymi nagietkami i dzban wody. Rudowłosa kobieta, która przedstawiła się jako matka Nilufar, Afsun, siedziała po prawej stronie Dżalila. Pozostałe dwie, Chadidża i Narges, siedziały po jego lewej. Każda z żon miała cienki czarny szal okrywający głowę, ale luźno zawiązany pod szyją, jakby zarzuciły je po namyśle w ostatniej chwili. Mariam, która nie mogła uwierzyć, że noszą żałobę po Nanie, wyobraziła sobie, jak jedna z nich, a może Dżalil, wpada na ten pomysł tuż przed przyjściem Mariam.

Afsun nalała wody z dzbana i postawiła szklankę przed Mariam na serwetce w kartkę.

– Dopiero mamy wiosnę, a już jest tak gorąco – powiedziała, wachlując się dłonią.

– Czy jest ci tu wygodnie? – spytała Narges, ta o drobnym podbródku i czarnych kręconych włosach. – Mamy nadzieję, że jest ci wygodnie. Ta… udręka… to musiało być dla ciebie bardzo bolesne. Bardzo trudne.

Pozostałe dwie pokiwały głowami. Mariam zauważyła ich wyskubane brwi, słabe, tolerancyjne uśmiechy skierowane w jej stronę. W głowie Mariam rozległo się ostrzegawcze bzyczenie. Paliło ją w gardle. Upiła łyk wody.

Przez szerokie okno za plecami Dżalila Mariam widziała szpaler kwitnących jabłoni. Pod ścianą przy oknie stała ciemna drewniana serwantka, w niej zegar i zdjęcie Dżalila i trzech chłopców trzymających w rękach rybę. Promienie słońca odbijały się od rybich łusek. Dżalil i chłopcy uśmiechali się.

– Cóż – zaczęła Afsun – ja, to znaczy my, chcieliśmy, abyś tu przyszła, bo mamy dla ciebie dobre wiadomości.

Mariam spojrzała na nią.

Dostrzegła szybką wymianę spojrzeń między kobietami, ponad Dżalilem, który pochylił się nad stołem i wpatrywał niewidzącym wzrokiem w dzban wody. To Chadidża, wyglądająca na najstarszą z nich trzech, skierowała wzrok na Mariam, a ta odniosła wrażenie, że to również

zostało omówione i uzgodnione, zanim ją wezwali.

– Masz kandydata na męża – oznajmiła Chadidża.

Mariam poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła.

– Co mam? – spytała, czując, że ma zdrętwiałe usta.

– *Chastegar*. Kandydata. Ma na imię Raszid – ciągnęła Chadidża. – Jest przyjacielem znajomego, z którym twój ojciec prowadzi interesy. Jest Pasztunem. Pochodzi z Kandaharu, ale mieszka w Kabulu, w dzielnicy Deh-Mazang, w dwupiętrowym domu, którego jest właścicielem.

Afsun potakiwała, a potem dodała:

– I mówi farsi, tak jak my, jak ty, więc nie będziesz musiała uczyć się paszto.

Mariam czuła, że coś ściska ją w piersiach. Pokój kołysał się do góry i na dół, a podłoga pod jej stopami falowała.

– Jest szewcem – teraz zabrała głos Chadidża. – Ale nie jakimś zwykłym ulicznym *muczi*, nie. Ma własny sklep i jest jednym z najbardziej wziętych szewców w Kabulu. Robi buty dla dyplomatów, członków rodziny prezydenta, dla

tego typu osób. Więc widzisz, że nie będzie miał kłopotu z utrzymaniem ciebie.

Mariam wbiła wzrok w Dżalila, serce waliło jej w piersiach.

– Czy to prawda? Czy ona mówi prawdę?

Ale Dżalil nie patrzył na nią. Zagryzał dolną wargę i wpatrywał się w dzban.

– Co prawda jest od ciebie trochę starszy – wtrąciła Afsun. – Ale nie może mieć więcej niż… czterdzieści lat. Góra czterdzieści pięć. Prawda, Narges?

– Tak. Ale widywałam dziewięcioletnie dziewczynki wydawane za mąż za mężczyzn dwadzieścia lat starszych od twojego kandydata, Mariam. Wszystkie widziałyśmy. Ile ty masz lat? Piętnaście? To dobry wiek, odpowiedni do zamążpójścia. – Rozległo się entuzjastyczne potakiwanie. Uwagi Mariam nie umknął fakt, że ani słowem nie wspomniano o jej przyrodnich siostrach, Saide i Nahid, które były w jej wieku i uczyły się w szkole Mehri w Heracie, a potem zamierzały dostać się na uniwersytet w Kabulu. Piętnaście lat to najwyraźniej nie był dla nich obu odpowiedni do zamążpójścia wiek.

– Co więcej – mówiła Narges – on również przeżył stratę bliskich. Dowiedzieliśmy się, że jego żona zmarła dziesięć lat temu podczas

porodu. A potem, trzy lata temu, jego syn utonął w jeziorze.

– Tak, to bardzo smutne. Przez ostatnie kilka lat szukał żony, ale nie znalazł nikogo odpowiedniego.

– Nie chcę – zaprotestowała Mariam i spojrzała na Dżalila. – Nie chcę tego. Nie zmuszaj mnie. – Nienawidziła płaczliwego, błagalnego tonu swojego głosu, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Bądź rozsądna, Mariam – powiedziała jedna z żon.

Mariam straciła orientację, która z nich teraz mówi. Wpatrywała się uporczywie w Dżalila, czekając, aż on przemówi i powie, że to wszystko jest nieprawdą.

– Nie możesz spędzić reszty życia w tym domu.

– Nie chcesz mieć własnej rodziny?

– Tak. Domu, własnych dzieci?

– Musisz żyć dalej.

– To prawda, że byłoby lepiej, gdybyś wyszła za Tadżyka, za kogoś stąd, ale Raszid jest zdrowy i jest tobą zainteresowany. Ma dom i pracę. A naprawdę tylko to się liczy, prawda? No i Kabul jest pięknym, ekscytującym miastem.

Równie dobra okazja może ci się już więcej nie zdarzyć.

Mariam skierowała swoją uwagę na żony.

– Zamieszkam z mułłą Faizullahem – oświadczył. – On mnie weźmie do siebie. Wiem, że mnie weźmie.

– To nie jest dobry pomysł – odparła Chadidża. – Jest stary i jest tak… – Szukała właściwego słowa, ale Mariam wiedziała, że naprawdę chciała powiedzieć: „Jest tak blisko”. Zrozumiała, co zamierzały zrobić. „Równie dobra okazja może ci się już więcej nie zdarzyć”. Ani im. Jej narodziny przyniosły im hańbę, a teraz miały szansę zatrzeć raz a dobrze wszelkie ślady po skandalicznym wybryku ich męża. Odsyłano ją, ponieważ była chodzącym, żywym wcieleniem ich wstydu.

– Jest tak stary i słaby – powiedziała wreszcie Chadidża. – I co się z tobą stanie, kiedy go zabraknie? Staniesz się ciężarem dla jego rodziny.

Tak jak teraz jesteś ciężarem dla nas. Mariam niemal widziała, jak niewypowiedziane słowa płyną z ust Chadidżi niczym para w zimny dzień.

Mariam wyobraziła sobie siebie w Kabulu, wielkim, obcym, zatłoczonym mieście, które, jak oznajmił jej kiedyś Dżalil, znajduje się jakieś

sześćset pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Heratu. Sześćset pięćdziesiąt kilometrów. Jak dotąd nie dotarła dalej niż do Heratu, a był to tylko dwukilometrowy spacer, wtedy, do domu Dżalila. Wyobraziła sobie siebie mieszkającą tam, w Kabulu, na drugim końcu niewyobrażalnie długiej drogi, w domu obcego człowieka, gdzie będzie musiała podporządkować się jego humorom i żądaniom. Będzie musiała sprzątać po tym mężczyźnie, Raszidzie, gotować dla niego, prać jego ubrania. I będą też inne obowiązki – Nana powiedziała jej kiedyś, co mężczyźni robią swoim żonom. To właśnie myśl o tych intymnych chwilach, które Mariam wyobrażała sobie jako akty perwersji, sprawiła, że ogarnęła ją panika i cała oblała się potem.

Znów zwróciła się do Dżalila:

– Powiedz im. Powiedz im, że nie pozwolisz im na to, nie pozwolisz, by mi to zrobiły.

– Prawdę mówiąc, twój ojciec już dał Raszidowi odpowiedź – powiedziała Afsun. – Raszid jest tutaj, w Heracie. Przejechał całą drogę z Kabulu. *Nekoh* odbędzie się jutro rano, a potem o dwunastej odjeżdża autobus do Kabulu.

– Powiedz im! – krzyknęła Mariam.

Kobiety zamilkły. Mariam zauważyła, że teraz one również go obserwują. Czekały. W pokoju

zapadła cisza. Dżalil bawił się ślubną obrączką ze zranioną, bezradną miną. Z serwantki dobiegało tykanie zegara.

– Dżalil *dżun*? – powiedziała wreszcie jedna z kobiet.

Dżalil powoli podniósł wzrok, popatrzył Mariam w oczy, zawahał się przez chwilę, a potem znów spuścił wzrok. Otworzył usta, ale wydobyło się z nich jedynie pojedyncze, pełne bólu westchnienie.

– Powiedz coś – poprosiła Mariam.

I wtedy Dżalil odezwał się wątłym, słabym głosem, jakby to jemu działa się krzywda.

– Do diabła, Mariam, nie rób mi tego – powiedział.

I wtedy Mariam poczuła, że napięcie panujące w pokoju znika.

Kiedy żony Dżalila rozpoczęły – bardziej dziarsko – kolejną rundę zapewnień, Mariam wbiła wzrok w blat stołu. Kątem oka widziała połyskujące nogi stołu, zaokrąglone krawędzie, lśniący ciemnobrązowy blat. Zauważyła, że przy każdym jej oddechu blat pokrywa się parą, a ona sama znika ze stołu swojego ojca.

Afsun odprowadziła ją do pokoju na piętrze. A kiedy zamknęła za sobą drzwi, Mariam usłyszała trzask klucza przekręcanego w zamku.

8

Rano Mariam dostała ciemnozieloną sukienkę z długimi rękawami, którą miała włożyć na białe bawełniane spodnie. Afsun dała jej zielony hidżab i dopasowane kolorem sandałki.

Zaprowadzono ją do pokoju z długim brązowym stołem, tyle że teraz znajdowała się na nim misa z migdałami w cukrze, Koran, zielony welon i lustro. Dwaj mężczyźni, których Mariam nigdy dotąd nie widziała – jak się domyślała, świadkowie – i nieznany jej mułła siedzieli już przy stole.

Dżalil zaprowadził ją na jej miejsce. Ubrany był w letni brązowy garnitur i czerwony krawat. Miał umyte włosy. Kiedy odsunął jej krzesło, usiłował uśmiechnąć się, by dodać jej odwagi. Chadidża i Afsun usiadły tym razem po tej samej stronie stołu co Mariam.

Mułła sięgnął po welon, a Narges włożyła go na głowę Mariam, po czym usiadła. Mariam

spojrzała na swoje dłonie.

– Możesz go teraz wezwać – powiedział do kogoś Dżalil.

Mariam poczuła jego zapach, zanim go zobaczyła. Dym papierosowy i ciężka słodka woda kolońska, zupełnie inna od delikatnej nuty zapachu Dżalila. Woń uderzyła Mariam w nozdrza. Przez welon, kątem oka zobaczyła w progu wysokiego mężczyznę o dużym brzuchu i szerokich ramionach. Był tak wielki, że niemal westchnęła i musiała opuścić wzrok. Serce biło jej jak oszalałe. Czuła, że mężczyzna wciąż stoi w drzwiach, jakby się wahał. A potem usłyszała, jak wolno i ciężko wchodzi do pokoju. Misa ze słodyczami na stole drżała w rytm jego kroków. Z ciężkim stęknięciem opadł na krzesło obok niej, głośno sapał.

Mułła powitał zebranych. Oświadczył, że nie będzie to tradycyjny *nekoh*.

– Rozumiem, że Raszid *agha* ma już bilety na autobus do Kabulu, który wkrótce odjeżdża. Więc, by oszczędzić czas, ominiemy niektóre tradycyjne etapy, przyspieszając w ten sposób.

Mułła rozdzielił błogosławieństwa i powiedział kilka słów o znaczeniu małżeństwa. Spytał Dżalila, czy ma jakieś zastrzeżenia co do tego związku, a Dżalil pokręcił głową. Potem

mułła spytał Raszida, czy rzeczywiście ma zamiar zawrzeć kontrakt małżeński z Mariam. Raszid odparł: „Tak”. Jego szorstki, chropawy głos przywodził Mariam na myśl odgłos suchych jesiennych liści trzaskających pod stopami.

– A czy ty, Mariam *dżun*, akceptujesz tego mężczyznę jako swojego męża?

Mariam milczała. Kilka osób chrząknęło.

– Akceptuje – powiedział jakiś kobiecy głos.

– Zasada jest taka – oznajmił mułła – że to ona ma odpowiedzieć. I powinna poczekać, aż spytam trzy razy. Chodzi o to, że to on zabiega o nią, a nie odwrotnie.

Zadał pytanie kolejne dwa razy. Kiedy Mariam nie odpowiedziała, spytał raz jeszcze, tym razem dobitnie. Mariam czuła, że Dżalil kręci się na krześle obok niej. Znów rozległy się chrząknięcia. Mała biała dłoń wysunęła się i strzepnęła odrobinę kurzu ze stołu.

– Mariam – szepnął Dżalil.

– Tak – powiedziała drżącym głosem.

Pod welon wsunięto lustro. Mariam zobaczyła w nim najpierw odbicie własnej twarzy, bez wyraźnie zarysowanych łuków brwiowych, bezkształtne brwi, oklapnięte włosy, smutne zielone oczy osadzone tak blisko siebie, że ktoś mógłby uznać, że ma zeza. Jej skóra była

szorstka, matowa i cętkowana. Pomyślała, że jej brwi są za szerokie, podbródek zbyt mały, usta za wąskie. Ogólne wrażenie było takie: pociągła, trójkątna twarz, przypominająca trochę psa gończego. A mimo to Mariam zobaczyła, choć było to dla niej dziwne, że wszystkie te niezbyt korzystne cechy sprawiają, że jej twarz nie jest ładna, ale zarazem patrzenie na nią nie jest niemiłe.

W lustrze Mariam po raz pierwszy zobaczyła Raszida: dużą, kwadratową, rumianą twarz, haczykowaty nos, czerwone policzki, które nadawały mu przebiegły wesoły wygląd, załzawione, nabiegłe krwią oczy, stłoczone zęby, dwa przednie jak zachodzące na siebie dachówki, niezwykle niską linię włosów na czole, na szerokość ledwie dwóch palców powyżej krzaczastych brwi, chmurę gęstych, szorstkich, przyprószonych siwizną włosów.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy w lustrze i szybko rozdzieliły.

Oto twarz mojego męża, pomyślała Mariam.

Wymienili się cienkimi złotymi obrączkami, które Raszid wyjął z kieszeni marynarki. Jego paznokcie były żółtobrązowe, jak środek nadpsutego jabłka, a niektóre końcówki zawijały się i podnosiły do góry. Mariam drżały ręce, gdy

próbowała założyć obrączkę na jego palec i Raszid musiał jej pomóc. Jej własna obrączka była trochę za ciasna, ale Raszid bez problemu wcisnął ją na jej palec.

– Proszę, gotowe – powiedział.

– To bardzo ładny pierścionek – odezwała się jedna z żon. – Jest uroczy, Mariam.

– Teraz pozostało tylko podpisanie kontraktu – powiedział mułła.

Mariam podpisała się swoim imieniem – najpierw *mim*, potem *re*, *ja* i znowu *mim* – świadoma, że wszystkie oczy spoczywają teraz na jej dłoni. Następnym razem, kiedy Mariam znów, dwadzieścia siedem lat później, podpisywała dokument, mułła też był obecny.

– Jesteście teraz mężem i żoną – stwierdził mułła. – *Tabrik*. Gratulacje.

Raszid czekał w kolorowym autokarze. Mariam nie widziała go z miejsca, w którym stała z Dżalilem, przy tylnym zderzaku, dostrzegała jedynie smużkę dymu z jego papierosa wijącą się przez otwarte okno. Wokół nich ludzie ściskali się za ręce i żegnali, całowali Koran i podawali go sobie. Bosonodzy chłopcy biegali między

podróżnymi, z twarzami skrytymi za tacami z gumą do żucia i papierosami.

Dżalil opowiadał jej, że Kabul jest tak pięknym miastem, iż cesarz Babur prosił, by go tam pochowano. Mariam wiedziała, że za chwilę zacznie mówić o ogrodach Kabulu, sklepach, drzewach i powietrzu, aż nadejdzie czas odjazdu, Mariam wsiądzie do autobusu, a on będzie szedł obok, machając radośnie ręką i wszystko zostanie mu oszczędzone.

Mariam nie mogła na to pozwolić.

– Kiedyś cię wielbiłam – powiedziała.

Dżalil przerwał w połowie zdania. Splatał i rozplatał ręce. Między nimi przeszła młoda para rozmawiająca w języku hindi – żona kołysząca chłopca i mąż ciągnący walizkę. Dżalil był wdzięczny, że im na chwilę przerwali. Przeprosili, a on uśmiechnął się uprzejmie.

– W czwartki siedziałam całymi godzinami, czekając na ciebie. Zadręczałam się myślą, że coś się stanie i się nie pojawisz.

– To długa podróż. Powinnaś coś zjeść. Powiedział, że kupi trochę chleba i koziego sera.

– Myślałam o tobie przez cały czas. Modliłam się, abyś żył sto lat. Nie wiedziałam, nie wiedziałam, że się mnie wstydzisz.

Dżalil spojrzał pod nogi i jak przerośnięte dziecko kopał coś czubkiem buta.

– Wstydziłeś się mnie.

– Odwiedzę cię – wyszeptał. – Przyjadę do Kabulu i cię odwiedzę. Pójdziemy…

– Nie. Nie – powiedziała Mariam. – Nie przyjeżdżaj. Nie spotkam się z tobą. Nie waż się przyjeżdżać. Nie chcę więcej o tobie słyszeć. Nigdy. Nigdy.

Spojrzał na nią zranionym wzrokiem.

– Dla mnie wszystko między nami jest skończone. Możesz się teraz ze mną pożegnać.

– Nie odjeżdżaj w taki sposób – poprosił cichym głosem.

– Nie miałeś nawet tyle przyzwoitości, by dać mi czas na pożegnanie z mułłą Faizullahem.

Odwróciła się i ruszyła w stronę autokaru. Czuła, że za nią idzie. Kiedy doszła do pneumatycznych drzwi, usłyszała za plecami jego głos.

– Mariam *dżun*.

Weszła po schodkach i choć kątem oka widziała, że Dżalil idzie równolegle do niej chodnikiem, nie spojrzała przez okno. Doszła na tył autobusu, gdzie siedział Raszid z jej walizką pod nogami. Nie spojrzała, gdy Dżalil przycisnął dłoń do szyby ani gdy stukał w nią palcami.

Kiedy autobus ruszył, nie spojrzała, by popatrzeć, jak biegnie obok niego. A gdy autokar już odjeżdżał, nie odwróciła się i nie patrzyła na jego malejącą sylwetkę znikającą w chmurze spalin i dymu.

Raszid, który zajął miejsce przy oknie oraz środkowe, położył swoją ciężką dłoń na jej dłoni.

– No już, dziewczynko. Już. Już – powiedział. Wyglądał przy tym przez okno, jakby jego uwagę przykuło coś bardziej interesującego.

9

Do domu Raszida dojechali wczesnym wieczorem następnego dnia.

– Jesteśmy w Deh-Mazang – powiedział. Stali na zewnątrz, na chodniku. Raszid w jednej ręce trzymał walizkę Mariam, a drugą otwierał frontową drewnianą bramę. – W południowo-zachodniej części miasta. Niedaleko jest zoo i uniwersytet.

Mariam pokiwała głową. Wiedziała już, że choć go rozumie, musi być skupiona, kiedy Raszid mówi. Nie była przyzwyczajona do kabulskiego akcentu farsi ani do przebijającego przezeń akcentu paszto, języka jego rodzinnego Kandaharu. On z kolei nie miał żadnych kłopotów ze zrozumieniem jej herackiego farsi.

Mariam szybko rzuciła okiem na wąską, ubitą drogę, przy której stał dom Raszida. Wszystkie domy były ciasno do siebie przyklejone i miały wspólne ściany, a także małe ogrodzone murami

podwórka od frontu, które oddzielały je od ulicy. Większość domów miała płaskie dachy i była zbudowana z wypalanych cegieł, niektóre z gliny o tym samym zakurzonym kolorze co góry okalające miasto. Po obu stronach drogi biegł oddzielający ją od chodnika rynsztok. Płynęła nim zamulona woda. Mariam zobaczyła stosy śmieci z krążącymi nad nimi muchami, które zalegały tu i ówdzie ulicę. Dom Raszida był dwupiętrowy. Mariam od razu zauważyła, że niegdyś musiał być niebieski.

Kiedy Raszid otworzył bramę, Mariam znalazła się na małym zaniedbanym podwórku, na którym rosły kępki pożółkłej trawy. Po prawej stronie z boku stał wychodek, a po lewej znajdowała się studnia z ręczną pompą, i rósł rząd obumierających młodych drzewek. Obok studni była szopa na narzędzia, a pod ścianą stał rower.

– Twój ojciec mówił, że lubisz łowić ryby – powiedział Raszid, gdy szli przez podwórko w stronę domu. Mariam dostrzegła, że za domem nie ma żadnego ogródka. – Na północ stąd są doliny. Rzeki pełne ryb. Może któregoś dnia tam cię zabiorę.

Otworzył frontowe drzwi i wpuścił ją do domu.

Dom Raszida był dużo mniejszy niż dom Dżalila, ale w porównaniu z *kolbą* Mariam i Nany był to prawdziwy pałac. Był w nim hol, salon i kuchnia, gdzie Raszid pokazał jej garnki, rondle, szybkowar i naftowy *isztop*. W salonie stała skórzana sofa w kolorze pistacjowym. Na jednym jej boku widać było niedbale zszyte rozdarcie. Ściany były gołe. Stał tam też stół, dwa trzcinowe i dwa rozkładane krzesła, a w kącie czarny żeliwny piec.

Mariam stała pośrodku salonu i rozglądała się. W *kolbie* mogła dotknąć sufitu palcami. Mogła leżeć na posłaniu i po kącie padania promieni słonecznych wpadających przez okno powiedzieć, która jest godzina. Wiedziała, w którym momencie drzwi zaczną skrzypieć. Znała każdą szczelinę i pęknięcie w trzydziestu deskach na podłodze. Teraz te wszystkie znane jej rzeczy nie istniały. Nana nie żyła, a ona, Mariam, znajdowała się tutaj, w obcym mieście, oddzielona od wszystkiego, co znała, dolinami, łańcuchami ośnieżonych gór i pustyniami. Znajdowała się w domu obcego mężczyzny, z tymi różnymi pokojami i zapachem dymu tytoniowego, z nieznanymi szafkami pełnymi nieznanych przedmiotów. Z ciężkimi zielonymi zasłonami i sufitem, którego nie mogła

dosięgnąć. Przestrzeń przytłoczyła Mariam. Wezbrała w niej tęsknota za Naną, za mułłą Faizullahem, za dawnym życiem.

Rozpłakała się.

– Po co ten płacz – powiedział Raszid z rozdrażnieniem. Sięgnął do kieszeni spodni, otworzył zaciśnięte palce Mariam i wcisnął jej w dłoń chustkę. Zapalił papierosa i oparł się o ścianę. Patrzył, jak Mariam przyciska chustkę do oczu.

– Już?

Mariam pokiwała głową.

– Na pewno?

– Tak.

Wziął ją za ramię i podprowadził do okna salonu.

– To okno wychodzi na północ – powiedział, stukając w szybę zakrzywionym paznokciem palca wskazującego. – Na wprost nas jest góra Asmani, widzisz? A po lewej góra Abad. Uniwersytet leży u jej stóp. Za nami, na wschodzie, stąd tego nie zobaczysz, jest góra Szir Darwaza. Co dzień w południe strzelają stamtąd z armaty. Przestań płakać. No już. Mówię poważnie.

Mariam potarła oczy.

– To jedyna rzecz, której nie mogę znieść – oznajmił z gniewną miną. – Płacząca kobieta. Przepraszam. Nie mam do tego cierpliwości.

– Chcę wrócić do domu – powiedziała Mariam.

Raszid westchnął poirytowany. Tytoniowy oddech uderzył Mariam w twarz.

– Tym razem nie wezmę tego do siebie.

Znów wziął ją za ramię i zaprowadził na schody.

Na górze był wąski, słabo oświetlony korytarz i dwie sypialnie. Drzwi do tej większej były uchylone. Mariam zobaczyła, że sypialnia, podobnie jak reszta domu, jest skromnie umeblowana: łóżko w rogu nakryte brązowym kocem i poduszka, szafa, bieliźniarka. Ściany były gołe, nie licząc małego lustra. Raszid zamknął drzwi.

– To mój pokój.

Oznajmił, że powinna zająć pokój gościnny.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Przyzwyczaiłem się spać sam.

Mariam nie powiedziała mu, jak wielką przyniosło jej to ulgę.

Pokój Mariam był mniejszy od pokoju, który zajmowała w domu Dżalila. Stało tam łóżko, stara szarobrązowa bieliźniarka i mała szafa. Okno wychodziło na podwórko i widać było

przez nie kawałek ulicy. Raszid postawił jej walizkę w kącie.

Mariam usiadła na łóżku.

– Nie zauważyłaś – stwierdził. Stał w progu, lekko zgarbiony, aby się zmieścić w drzwiach. – Spójrz na parapet. Wiesz, co to za kwiaty? Wstawiłem je tutaj przed wyjazdem do Heratu.

Dopiero wtedy Mariam zauważyła na parapecie kosz z białymi tuberozami przechylającymi się na boki.

– Podobają ci się? Sprawiają ci przyjemność?

– Tak.

– Wobec tego możesz mi podziękować.

– Dziękuję. Przepraszam. *Taszakkor*…

– Cała drżysz. Może cię przerażam. Czy ja cię przerażam? Boisz się mnie?

Mariam nie patrzyła na niego, ale wyczuwała w tym pytaniu jakąś podstępną grę, jakby jej dokuczał. Szybko pokręciła głową, co było, jak sobie zaraz uświadomiła, pierwszym kłamstwem w jej małżeństwie.

– Nie? To dobrze. Dobrze dla ciebie. Cóż, teraz to jest twój dom. Spodoba ci się tutaj. Zobaczysz. Czy wspominałem ci, że mamy elektryczność? Przez większą część dnia i we wszystkie noce?

Obrócił się, jakby miał wyjść, ale w drzwiach zatrzymał się, zaciągnął papierosem i zmrużył

oczy od dymu. Mariam miała wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale się nie odezwał. Zamknął drzwi i zostawił ją samą z walizką i kwiatami.

10

Przez pierwszych kilka dni Mariam prawie nie wychodziła z pokoju. O świcie budził ją daleki *azan*, wezwanie do modłów. Potem znów wczołgiwała się do łóżka. Nie wychodziła z niego, kiedy Raszid wstawał, mył się w łazience, a potem, przed wyjściem do sklepu, zaglądał do niej, sprawdzić, jak się czuje. Przez okno obserwowała, jak wychodzi na podwórko, przywiązuje zawiniątko z drugim śniadaniem do bagażnika roweru, a potem wyprowadza rower na ulicę. Patrzyła, jak odjeżdża, widziała jego szerokie mocne plecy znikające za rogiem na końcu ulicy.

Przez większą część dnia Mariam leżała w łóżku, czuła się opuszczona, jakby samotnie gdzieś dryfowała. Czasem schodziła na dół do kuchni, przesuwała dłonią po lepkim, zatłuszczonym blacie, winylowych zasłonkach w kwiatki, przesiąkniętych zapachem

przypalonych potraw. Przeglądała zawartość obluzowanych szuflad: zdekompletowane łyżki i noże, durszlak i wytarte drewniane szpatułki, które miały służyć jej na co dzień w tym nowym życiu. Wszystko to przypominało jej o spustoszeniu, jakie dokonało się w jej życiu, wywołując w niej poczucie wykorzenienia, wysiedlenia, jakby była intruzem w żywocie należącym do kogoś innego.

W *kolbie* jej apetyt był przewidywalny. Tu jej żołądek rzadko dopominał się o jedzenie. Czasem zabierała do salonu talerz z resztką ryżu i kawałkiem chleba i siadała przy oknie. Widziała stamtąd dachy jednopiętrowych domów stojących przy ich ulicy. A także podwórka, kobiety rozwieszające pranie i przeganiające dzieci, kurczaki grzebiące w błocie, szufle i łopaty, przywiązane do drzew krowy.

Wspominała z tęsknotą letnie noce, kiedy spała z Naną na twardej podłodze chaty, patrząc na księżyc wznoszący się nad Gol Daman, noce tak gorące, że koszule przylepiały im się do piersi niczym mokre liście do okien. Tęskniła za zimowymi popołudniami wypełnionymi czytaniem z mułłą Faizullahem, za brzękiem sopli lodu spadających z drzew na dach, za

wronami kraczącymi na obsypanych śniegiem gałęziach.

Mariam krążyła niespokojnie między kuchnią a salonem, w górę po schodach do swojego pokoju i znów na dół. W końcu wracała do pokoju, odmawiała modlitwy albo po prostu siedziała w łóżku, tęskniąc za mamą i za domem.

Kiedy słońce z wolna chowało się na zachodzie, niepokój Mariam sięgał zenitu. Na myśl o nadchodzącej nocy, o tym, że Raszid mógłby wreszcie postanowić, że zrobi jej to, co mężowie robią swoim żonom, szczękały jej zęby. Leżała w łóżku, zdenerwowana, a Raszid jadł samotnie kolację na dole.

Zawsze zatrzymywał się przy jej pokoju i zaglądał do środka.

– Chyba jeszcze nie śpisz? Jest dopiero siódma. Śpisz? Odpowiedz. No, odpowiedz.

Nalegał tak długo, aż Mariam z głębi ciemnego pokoju odpowiadała: „Jestem tutaj”.

Wchodził i siadał w progu. Z łóżka widziała jego masywną sylwetkę, długie nogi, kłęby dymu wirujące wokół jego haczykowatego nosa, rozżarzony koniec papierosa, na przemian jaśniejący i ciemniejący.

Opowiadał jej o swoim dniu. O mokasynach zamówionych przez wiceministra spraw

zagranicznych – który, jak powiedział Raszid, kupował buty wyłącznie u niego. O zamówieniu na sandały dla polskiego dyplomaty i jego żony. Opowiadał jej o przesądach różnych ludzi na temat butów: że zakładanie ich, kiedy siedzi się na łóżku, sprowadza śmierć na rodzinę, że jeśli założy się but najpierw na lewą nogę, dojdzie do kłótni.

– Chyba że ktoś zrobił to niechcący w piątek – mówił. – A wiedziałaś, że jeśli się zwiąże buty razem i zawiesi na gwoździu, to jest to zły znak?

Raszid nie wierzył w to wszystko. Jego zdaniem przesądy były kobiecą sprawą.

Opowiadał jej o tym, co usłyszał na ulicy, na przykład, że amerykański prezydent Richard Nixon podał się do dymisji z powodu skandalu.

Mariam, która nigdy nie słyszała o Nixonie ani o skandalu, który zmusił go do dymisji, nic nie odpowiedziała. Pełna niepokoju czekała, aż Raszid skończy mówić, zgasi papierosa i wyjdzie. Dopiero gdy słyszała jego kroki w przedpokoju, a potem trzask otwieranych i zamykanych drzwi do sypialni, metalowa pięść zaciskająca jej żołądek znikała.

A potem którejś nocy zgasił papierosa i zamiast powiedzieć dobranoc, oparł się o framugę drzwi.

– Czy zamierzasz kiedyś to rozpakować? – spytał, wskazując głową jej walizkę. Skrzyżował ręce na piersiach. – Domyślałem się, że możesz potrzebować trochę czasu. Ale to robi się absurdalne. Minął tydzień i… Cóż, w takim razie oczekuję, że od jutra zaczniesz zachowywać się jak żona. *Fahmidi?* Czy to jasne?

Mariam zaczęła szczękać zębami.

– Muszę usłyszeć odpowiedź.

– Tak.

– Dobrze – powiedział. – Co ty sobie myślałaś? Że to jakiś hotel? Że jestem jakimś hotelarzem? Cóż, to… Och. Och. *La ilaha illa Allahu.* Co ja mówiłem na temat płakania, Mariam? Co ja mówiłem na temat płakania?

Następnego ranka, po wyjściu Raszida do pracy, Mariam rozpakowała swoje ubrania i ułożyła je w bieliźniarce. Przyniosła wiadro wody ze studni i umyła ścierką okna w swoim pokoju i w salonie na dole. Zamiotła podłogę, zdjęła pajęczyny z kątów pod sufitem i otworzyła okna, aby przewietrzyć dom.

Namoczyła trzy filiżanki soczewicy w garnku, znalazła nóż i pokroiła kilka marchewek i dwa ziemniaki i je również namoczyła. Poszukała

mąki, którą znalazła w głębi szafki za rzędem brudnych słoików z przyprawami, i zrobiła ciasto, zagniatając je tak, jak uczyła ją Nana, nadgarstkami dłoni, wywijając zewnętrzną krawędź, odwracając ciasto i znów je ugniatając. Posypała ciasto mąką, owinęła w wilgotną szmatkę, włożyła do hidżabu i ruszyła do wspólnego pieca *tandur*.

Raszid powiedział jej, gdzie jest piec. Trzeba było pójść w dół ulicy, a potem skręcić w lewo i od razu w prawo, ale wystarczyło, że Mariam ruszyła za strumieniem kobiet i dzieci idących w tę samą stronę. Dzieci, które zobaczyła Mariam, uganiające się za swoimi matkami albo uciekające od nich, ubrane były w zniszczone koszule, wielokrotnie cerowane i łatane. Ich spodnie były za duże albo za małe, a sandały miały poobrywane paski, które plątały im się pod nogami. Dzieci toczyły za pomocą kijów stare opony od rowerów.

Ich mamy szły grupkami, po trzy albo cztery, niektóre w burkach, inne nie. Mariam słyszała ich rozszczebiotane głosy i wybuchy śmiechu. Idąc z pochyloną głową, łapała urywki ich rozmów, które najwyraźniej zawsze dotyczyły chorych dzieci albo leniwych niewdzięcznych mężów.

„Tak jakby posiłki same się gotowały”.

„*Wallah o billah*, ani chwili odpoczynku!”.

„I mówi do mnie, przysięgam, mówi do mnie…”.

Te niekończące się przekomarzania, utrzymane w zawodzącym, ale, o dziwo, równocześnie rozbawionym tonie, unosiły się w powietrzu, zataczając kręgi. Biegły dalej, w dół ulicy, za róg, w kolejce do pieca *tandur*. Mężowie, którzy uprawiali hazard. Mężowie, którzy hołubili swoje matki, a nie chcieli wydać ani jednej rupii na nie, na żony. Mariam zastanawiała się, jak to możliwe, że tyle kobiet cierpi ten sam los, że wszystkie wychodzą za mąż za tak okropnych mężczyzn. A może to taka zabawa żon, której Mariam nie znała, codzienny rytuał, jak moczenie ryżu albo wyrabianie ciasta? Czy spodziewały się, że wkrótce i ona do nich dołączy?

W kolejce do pieca Mariam czuła ukradkowe spojrzenia, słyszała szepty. Dłonie zaczęły jej się pocić. Wyobrażała sobie, że wszystkie te kobiety już wiedzą, że urodziła się jako *harami*, przynosząc wstyd ojcu i jego rodzinie. Wszystkie wiedziały, że zdradziła swoją matkę i ściągnęła na siebie hańbę.

Rogiem hidżabu otarła wilgotną górną wargę. Starała się opanować nerwy.

Przez kilka minut wszystko było dobrze.

A potem ktoś poklepał ją po ramieniu. Mariam odwróciła się i zobaczyła pulchną kobietę o jasnej karnacji, która podobnie jak ona nosiła hidżab. Miała krótkie, szorstkie, czarne włosy i wesołą, niemal idealnie okrągłą twarz. Jej usta były pełniejsze od ust Mariam, dolna warga lekko opadała, jakby pod ciężarem dużego ciemnego pieprzyka tuż pod linią warg. Miała duże zielonkawe oczy, w których lśnił zachęcający błysk.

– Jesteś nową żoną Raszida, prawda? – zagadnęła kobieta, uśmiechając się szeroko. – Z Heratu. Jesteś taka młodziutka! Mariam *dżan*, prawda? Nazywam się Fariba. Mieszkam przy tej samej ulicy, pięć domów dalej na lewo, w domku z zielonymi drzwiami. A to mój syn Nur.

Stojący obok niej chłopiec miał gładką, zadowoloną buzię i szorstkie włosy, jak jego matka. Na płatku lewego ucha rosła mu kępka włosów. W oczach miał swawolne lekkomyślne chochliki. Uniósł dłoń.

– *Salam, chala dżan.*

– Nur ma dziesięć lat. Mam też starszego syna, Ahmada.

– On ma trzynaście lat – dodał Nur.

– Trzynaście, a tylko patrzeć, a zrobi się z tego czterdzieści – zaśmiała się Fariba. – Mój mąż nazywa się Hakim – ciągnęła. – Jest nauczycielem, tu, w Deh-Mazang. Powinnaś kiedyś do nas zajrzeć. Napijemy się…

Nagle inne kobiety, jakby ośmielone, wepchnęły się obok Fariby i otoczyły Mariam, tworząc wokół niej w zatrważającym tempie ciasny krąg.

– A więc to ty jesteś młodą narzeczoną Raszida…

– Jak ci się podoba Kabul?

– Byłam kiedyś w Heracie. Mam tam kuzyna.

– Chcesz mieć najpierw chłopca czy dziewczynkę?

– Te minarety! Och, jakie one piękne! Co za wspaniałe miasto!

– Chłopiec jest lepszy, Mariam *dżan*, przekazuje nazwisko rodziny…

– E tam! Chłopcy żenią się i uciekają. Dziewczynki zostają w domu i opiekują się tobą na starość.

– Słyszałyśmy, że przyjeżdżasz.

– Najlepiej, żebyś miała bliźniaki. Chłopca i dziewczynkę. Wtedy wszyscy są szczęśliwi.

Mariam cofnęła się. Z trudem łapała powietrze. Dzwoniło jej w uszach, miała przyspieszony puls, jej oczy przeskakiwały od jednej twarzy do drugiej. Znów się cofnęła, ale nie było więcej miejsca – znajdowała się pośrodku kręgu. Zauważyła Faribę, która zmarszczyła brwi. Widziała, że Mariam źle się czuje.

– Zostawcie ją! – krzyknęła Fariba. – Odsuńcie się i ją zostawcie! Przestraszyłyście ją.

Mariam przycisnęła ciasto do piersi i dała nura w otaczający ją tłum.

– Dokąd idziesz, *hamszira*?

Przepychała się, aż wreszcie wyszła na otwartą przestrzeń, a potem pobiegła w górę ulicy. Dopiero na skrzyżowaniu zorientowała się, że pobiegła w drugą stronę. Odwróciła się i zaczęła biec z powrotem z pochyloną głową. Przewróciła się i boleśnie skaleczyła kolano, ale wstała i pobiegła dalej, omijając pędem kobiety.

– Co się z tobą dzieje?

– Krwawisz, *hamszira*!

Mariam skręciła za róg, potem jeszcze raz. Znalazła właściwą ulicę, ale nagle nie mogła sobie przypomnieć, który dom jest domem Raszida. Pobiegła w górę ulicy, potem w dół, dysząc, bliska łez, zaczęła na oślep szarpać

klamki drzwi. Niektóre były zamknięte, inne otwarte, ale za nimi były tylko nieznane podwórka, szczekające psy i wystraszone kurczaki. Wyobraziła sobie, co to będzie, jeżeli Raszid wróci i zobaczy ją, szukającą drogi do domu, z krwawiącym kolanem, zagubioną na własnej ulicy. Zaczęła płakać. Szamotała się z kolejnymi drzwiami, mamrocząc w panice modlitwy, z twarzą mokrą od łez, aż wreszcie drzwi się otworzyły, a ona z ulgą zobaczyła wychodek, studnię i szopę na narzędzia. Zatrzasnęła za sobą drzwi i zaryglowała je. Zaraz potem padła na kolana pod ścianą i zaczęła wymiotować. Kiedy skończyła, odczołgała się kawałek dalej i usiadła pod ścianą z wyciągniętymi nogami. Nigdy w życiu nie czuła się równie samotnie.

Tego wieczoru Raszid wrócił do domu z szarą papierową torbą. Mariam była rozczarowana, że nie zauważył umytych okien, zamiecionej podłogi i braku pajęczyn, ale kiedy postawiła przed nim talerz z kolacją, na czystym obrusie, rozłożonym na podłodze w salonie, wyglądał na zadowolonego.

– Zrobiłam *dal* – powiedziała Mariam.

– Świetnie. Umieram z głodu.

Nalała mu wodę z *aftaby* do umycia rąk. Kiedy je wycierał, postawiła przed nim miskę z gorącym *dal* i talerz pulchnego białego ryżu. To był pierwszy posiłek, który dla niego przygotowała i żałowała, że gotując go, była w nie najlepszym stanie. Wciąż jeszcze trzęsła się po zajściu przy piecu *tandur*, a potem przez resztę dnia zamartwiała się, czy *dal* będzie miał należytą konsystencję i kolor i czy Raszid nie uzna, że dodała za dużo imbiru albo za mało kurkumy.

Raszid zanurzył łyżkę w złocistym *dal*.

Mariam aż się zachwiała. A jeśli będzie rozczarowany albo się zezłości? Jeżeli z niesmakiem odepchnie talerz?

– Ostrożnie – zdołała wykrztusić. – Gorące.

Raszid wydął wargi i podmuchał, a potem wsunął pełną łyżkę do ust.

– Dobre – pochwalił. – Trochę niedosolone, ale smaczne. Może nawet więcej niż smaczne.

Uspokojona patrzyła, jak Raszid je. Nagle ogarnęła ją duma. Dobrze się spisała – „może nawet więcej niż smaczne” – to było dla niej zaskoczeniem, ten dreszcz emocji, który ją przeszedł, gdy usłyszała komplement.

Nieprzyjemności, jakich doznała wcześniej tego dnia, zeszły na drugi plan.

– Jutro jest piątek – powiedział Raszid. – Co powiesz na to, żebym pokazał ci miasto?

– Kabul?

– Nie. Kalkutę.

Mariam zamrugała.

– To żart. Oczywiście, że Kabul. A co innego miałbym ci pokazać? – Sięgnął do szarej torby. – Ale najpierw muszę ci coś powiedzieć.

Wyjął z torby błękitną burkę. Kiedy ją podniósł, na jego kolana spłynęły metry pofałdowanej tkaniny. Zwinął burkę i spojrzał na Mariam.

– Mam klientów, Mariam, mężczyzn, którzy przyprowadzają do mojego sklepu swoje żony. Kobiety przychodzą niezasłonięte, rozmawiają ze mną, patrzą mi w oczy bez wstydu. Mają pomalowane twarze i spódniczki przed kolana. Czasem pokazują mi nawet swoje stopy, żebym wziął miarę, a ich mężowie stoją i się temu przyglądają. Pozwalają na to. Nie widzą nic dziwnego w tym, że jakiś obcy mężczyzna dotyka bosych stóp ich żon! Mają się za nowoczesnych mężczyzn, intelektualistów, przypuszczam, że z racji wykształcenia. Nie widzą, że niszczą sobie *nang* i *namus*, honor i cześć.

Pokręcił głową.

– Większość z nich mieszka w zamożnych dzielnicach Kabulu. Zabiorę cię tam. Sama zobaczysz. Ale nie brak ich i tu, Mariam, w naszym sąsiedztwie, tych miękkich mężczyzn. Kilka domów dalej mieszka nauczyciel, nazywa się Hakim, a jego żona przez cały czas chodzi po ulicy w samej chuście na głowie. Czuję się zażenowany, kiedy widzę coś takiego: mężczyznę niemającego kontroli nad swoją żoną.

Spojrzał na Mariam stanowczo.

– Ale ja jestem inny, Mariam. Tam, skąd pochodzę, jedno niewłaściwe spojrzenie, jedno nieodpowiednie słowo i już leje się krew. Tam, skąd pochodzę, twarz kobiety jest sprawą wyłącznie jej mężczyzny. Chcę, żebyś to zapamiętała. Rozumiesz?

Mariam pokiwała głową. Podał jej torbę.

Poczucie zadowolenia z aprobaty dla jej kucharskich umiejętności ulotniło się. W jego miejsce pojawiło się wrażenie kurczenia się, zapadania. Wola tego mężczyzny spadła na Mariam jak narzucające się i niewzruszone góry Safed-koh wznoszące się nad Gol Daman.

– Widzę, że się rozumiemy – powiedział Raszid. – A teraz pozwól mi zjeść trochę więcej tego *dal*.

11

Mariam nigdy wcześniej nie miała na sobie burki. Raszid musiał jej pomóc ją włożyć. Usztywniona część zakładana na głowę opasywała ciasno jej czaszkę i była ciężka, a patrzenie na świat przez siatkę było bardzo dziwne. Ćwiczyła, chodząc w burce po pokoju, ale stale nadeptywała na plączący się pod nogami materiał i potykała się. Utrata pola widzenia peryferyjnego była irytująca, a dodatkowo fałdy tkaniny przylepiały jej się do ust, przez co miała wrażenie, że zaraz się udusi.

– Przyzwyczaisz się – powiedział Raszid. – Założę się, że z czasem nawet to polubisz.

Pojechali autobusem do miejsca, które Raszid nazwał park Szahr-e Nau, gdzie dzieci huśtały się na huśtawkach i przerzucały piłki ponad postrzępionymi siatkami rozwieszonymi między drzewami. Spacerowali, oglądając chłopców puszczających latawce. Mariam szła obok

Raszida, nadeptując co chwila na rąbek burki. Raszid zabrał ją na obiad do małej kebabiarni obok meczetu, który nazwał Hadżi Jaghub. Podłoga była lepka, wnętrze zadymione, a ściany przesiąknięte zapachem surowego mięsa. Muzyka, którą Raszid określił mianem *logari*, była głośna. Kucharze, szczupli chłopcy, jedną ręką wachlowali obracające się rożna, a drugą, w której trzymali packę, odganiali muchy. Mariam nigdy dotąd nie była w restauracji i na początku wydało jej się to bardzo dziwaczne, że siedzi w zatłoczonym pomieszczeniu, pełnym obcych ludzi i unosi burkę, by włożyć sobie kawałek jedzenia do ust. W żołądku zaczął jej wzbierać ten sam niepokój co poprzedniego dnia przy piecu *tandur*, ale obecność Raszida dawała jej pewne poczucie bezpieczeństwa i po chwili muzyka, dym, a nawet ludzie przestali jej tak bardzo przeszkadzać. Ku swojemu zaskoczeniu odkryła, że burka również daje jej poczucie bezpieczeństwa. Była jak okno z widokiem w jedną tylko stronę. Mariam czuła się w niej jak obserwator ukryty przed badawczym wzrokiem nieznajomych. Nie musiała się już martwić, czy inni, rzuciwszy tylko na nią okiem, od razu poznają wszystkie sekrety jej wstydliwej przeszłości.

Na ulicach Raszid pokazywał jej różne budynki i pewnym głosem podawał ich nazwy: to jest ambasada amerykańska, mówił, a to Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Wskazywał samochody, wiedział, jak się nazywają i gdzie zostały zrobione: sowieckie wołgi, amerykańskie chevrolety, niemieckie ople.

– Jaki lubisz najbardziej? – spytał.

Mariam zawahała się i pokazała wołgę. Raszid się zaśmiał.

Kabul był dużo bardziej zatłoczony niż te części Heratu, które miała okazję zobaczyć Mariam. Było w nim mniej drzew i mniej riksz, zaprzężonych w konie, za to więcej samochodów, wyższych budynków, ulicznych świateł i brukowanych ulic. I wszędzie słychać było specyficzny dialekt: słowo „kochana” brzmiało *dżan* a nie *dżun*, a słowo „siostra” – *hamszira* zamiast *hamszire* i tak dalej.

U ulicznego sprzedawcy Raszid kupił jej lody. Mariam po raz pierwszy jadła lody i nie mogła uwierzyć, że można mieć tak niezwykłe doznania smakowe. Pochłonęła całą miseczkę lodów z pokruszonymi orzeszkami pistacjowymi na wierzchu i maleńkimi ryżowymi makaronikami na dnie. Zachwycała się zaskakującą konsystencją, miękką słodyczą tego deseru.

Spacerem doszli do miejsca zwanego Kucze Morgha, ulica Kurcząt. Był to wąski, zatłoczony bazar w dzielnicy, która, jak powiedział Raszid, jest jedną z najzamożniejszych w Kabulu.

– W tej okolicy mieszkają zagraniczni dyplomaci, bogaci biznesmeni, członkowie rodziny królewskiej – tego typu ludzie. Nie tacy jak ty czy ja.

– Nie widzę tu żadnych kurczaków – zauważyła Mariam.

– To jedyne, czego nie znajdziesz na ulicy Kurcząt – zaśmiał się Raszid.

Po obu stronach ulicy mieściły się sklepy i małe kramy z czapkami z jagnięcej skórki i *czapanami* w kolorach tęczy. Raszid zatrzymał się przy jednym ze sklepów, żeby obejrzeć grawerowany srebrny sztylet, a w drugim jego uwagę zwróciła stara strzelba, która, jak zapewniał sprzedawca, pochodziła z czasów pierwszej wojny przeciw Brytyjczykom.

– A ja jestem Mosze Dajan – szepnął Raszid. Uśmiechnął się lekko pod nosem i Mariam odniosła wrażenie, że ten uśmieszek zarezerwowany jest tylko dla niej. Prywatny małżeński uśmiech.

Przechodzili obok sklepów z dywanami i rękodziełem, mijali cukiernie i kwiaciarnie,

a także sklepy z ubraniami dla mężczyzn i dla kobiet, a w nich za koronkowymi zasłonkami Mariam zobaczyła młode dziewczęta przyszywające guziki i prasujące kołnierze. Od czasu do czasu Raszid pozdrawiał znajomych sprzedawców, czasem w języku farsi, czasem w paszto. Kiedy ściskali sobie dłonie i całowali się w policzki, Mariam stała kilka kroków dalej. Raszid nie machał, aby podeszła, ani jej nie przedstawiał.

Potem poprosił, by zaczekała przed sklepem z haftowanymi tkaninami.

– Znam właściciela – powiedział. – Wejdę tylko na chwilkę i powiem *„salam”*.

Mariam czekała na zatłoczonym chodniku. Patrzyła na samochody z wolna toczące się w górę ulicą Kurcząt, przeciskające się przez tabuny domokrążców i pieszych, trąbiące na dzieci i osły, które nie ustąpiły im z drogi. Przyglądała się sprzedawcom, którzy siedzieli w swych kramikach ze znudzonymi minami, paląc albo spluwając do mosiężnych spluwaczek. Od czasu do czasu, gdy zachwalali przechodniom tkaniny i *pustiny* o futrzanych kołnierzach, ich twarze wyłaniały się z cienia.

Ale najbardziej uwagę Mariam przykuwały kobiety.

Kobiety w tej części Kabulu stanowiły zupełnie inny gatunek niż kobiety z biedniejszych dzielnic – takich jak ta, w której mieszkała Mariam z Raszidem, gdzie wiele z nich nosiło burki. Te kobiety były – jakiego to słowa użył Raszid? – „nowoczesne”. Nowoczesne afgańskie kobiety, które wychodziły za mąż za nowoczesnych afgańskich mężczyzn, którym nie przeszkadzało, że ich żony chodzą wśród obcych z umalowanymi twarzami i odkrytymi głowami. Mariam patrzyła, jak swobodnie chodzą ulicami, niczym nieskrępowane – czasem w towarzystwie mężczyzny, a czasem same lub z dziećmi o zaróżowionych policzkach, noszącymi lśniące buty i zegarki na skórzanych paskach i prowadzącymi rowery z wysokimi kierownicami i złotymi szprychami – nie tak jak dzieci w Deh-Mazang ze śladami ukąszeń muszek na policzkach, toczące stare rowerowe opony.

Te kobiety szły tanecznym krokiem, wymachując torebkami i szeleszcząc spódnicami. Mariam zauważyła nawet jedną, która paliła papierosa za kierownicą samochodu. Ich paznokcie były długie, polakierowane na różowo albo pomarańczowo, a usta miały kolor czerwonych tulipanów. Nosiły okulary przeciwsłoneczne, a kiedy ją mijały, Mariam

wyczuwała lekki zapach perfum. Wyobrażała sobie, że wszystkie te kobiety mają dyplomy uniwersyteckie i pracują w biurach, mają własne biurka, stukają w klawiaturę, palą papierosy i dzwonią w ważnych sprawach do ważnych osób. Te kobiety zadziwiały Mariam. Sprawiły, że uświadomiła sobie swoją samotność, byle jaki wygląd, brak aspiracji i niewiedzę.

Z zadumy wyrwał ją Raszid. Poklepał ją po ramieniu, podając jakieś zawiniątko.

– Proszę.

Był to ciemny rdzawoczerwony jedwabny szal z ozdobionymi koralikami frędzelkami i rąbkami haftowanymi złotą nicią.

– Podoba ci się?

Mariam spojrzała na niego, a wtedy Raszid zrobił coś wzruszającego: zamrugał i uciekł spojrzeniem.

Mariam pomyślała o Dżalilu, o tym, jak władczo i jowialnie ubierał ją w różne ozdoby, o zniewalającej radości, jaką mu to sprawiało, niepozostawiającej miejsca na nic, tylko na potulną wdzięczność. Nana miała rację co do prezentów Dżalila; stanowiły wymuszone oznaki pokuty, nieszczere, zdeprawowane gesty, które miały raczej uspokoić jego, a nie ją. Natomiast

ten szal, Mariam wyraźnie to zobaczyła, był prawdziwym podarunkiem.

– Jest piękny – powiedziała.

Tej nocy Raszid znów ją odwiedził. Ale zamiast zapalić w drzwiach, wszedł do pokoju i usiadł na łóżku, obok niej. Sprężyny zaskrzypiały, kiedy materac ugiął się pod nim.

Wahał się przez chwilę, a potem położył nagle dłoń na jej szyi i grubymi palcami powoli masował jej kark. Jego kciuk ześlizgnął się i dotykał teraz wgłębienia pod jej obojczykiem, a potem poniżej. Mariam zaczęła dygotać. Jego dłoń pełzła coraz niżej i niżej, paznokciami zaczepiał o jej bawełnianą koszulę.

– Nie mogę – szepnęła ochrypłym głosem. Patrzyła na jego profil oświetlony światłem księżyca, jego szerokie ramiona i mocną pierś, kępki siwych włosów sterczące nad rozpiętym kołnierzykiem.

Jego dłoń leżała teraz na jej prawej piersi, ściskała ją mocno przez koszulę, a Raszid oddychał ciężko przez nos.

Wślizgnął się pod koc obok niej. Czuła, że manewruje ręką przy swoim pasku i przy sznureczkach, na które zawiązane były jej

spodnie. Jej własne dłonie ściskały kurczowo prześcieradło. Położył się na niej, powiercił trochę i uniósł. Mariam jęknęła. Zamknęła oczy i zacisnęła zęby.

Ból pojawił się nagle i był zaskakujący. Otworzyła szeroko oczy, wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby i zagryzła swój kciuk. Drugą rękę zarzuciła na ramiona Raszida i wbiła palce w jego koszulę.

Raszid wcisnął twarz w poduszkę, a Mariam wpatrywała się szeroko rozwartymi oczami w sufit nad jego plecami, dygocząc, z zaciśniętymi ustami, czując ciepło jego szybkich oddechów na swoim ramieniu. Wokół nich unosił się zapach dymu, cebuli i jagnięciny z rożna, którą wcześniej jedli. Co chwila jego ucho ocierało się o jej policzek, drapiąc ją, i zorientowała się, że musiał ogolić porastające je włoski.

Kiedy skończył, zsunął się z niej, ciężko dysząc i położył rękę na czole. W ciemności widziała niebieskie wskazówki jego zegarka. Leżeli przez chwilę na plecach, nie patrząc na siebie.

– Nie ma w tym niczego wstydliwego, Mariam – powiedział trochę bełkotliwie. – To właśnie

robią małżonkowie. To robił Prorok ze swoimi żonami. Nie ma się czego wstydzić.

Chwilę później odrzucił koc i wyszedł z pokoju, zostawiając ją ze śladem jego głowy na poduszce, czekającą, aż minie ból w dole brzucha, patrzącą na zastygłe gwiazdy na niebie i chmurę, która niczym ślubny welon przesłoniła tarczę księżyca.

12

W tamtym roku, 1974, ramadan wypadał jesienią. Po raz pierwszy w życiu Mariam zobaczyła, jak widok nowiu księżyca może przekształcić całe miasto, zmienić jego rytm i atmosferę. Kabul ogarniała senna cisza. Ruch na ulicach zwalniał, zmniejszał się, wręcz zamierał. Sklepy pustoszały. W restauracjach gaszono światła, zamykano drzwi. Na ulicach nikt nie palił, na parapetach okien nie widać było ani jednej filiżanki herbaty. A w porze *eftar*, kiedy słońce chowało się na zachodzie, a od strony góry Szir Darwaza dobiegał odgłos armatniego wystrzału, miasto przerywało post – a wraz z nim również Mariam, która smakowała po raz pierwszy w swym piętnastoletnim życiu słodyczy dzielonych z innymi ludźmi przeżyć.

Raszid przestrzegał postu tylko przez kilka dni, a wtedy wracał do domu w złym nastroju. Z głodu robił się szorstki, podirytowany,

niecierpliwy. Któregoś wieczoru Mariam spóźniła się kilka minut z podaniem kolacji i zaczął jeść chleb z rzodkwią. Nawet kiedy Mariam postawiła przed nim ryż, jagnięcinę i okrę *ghorma*, nie chciał ich tknąć. Nic nie mówił, przeżuwał chleb, skronie mu drgały, na czole wyskoczyła nabrzmiała żyła. Był wściekły. Żuł dalej, patrząc przed siebie, a kiedy Mariam się odezwała, spojrzał na nią niewidzącym wzrokiem i wsunął sobie do ust kolejny kawałek chleba.

Mariam z ulgą powitała koniec ramadanu.

Dawniej, kiedy mieszkała w *kolbie*, pierwszego dnia trzydniowych obchodów święta Eid ol-fetr, które następowało po ramadanie, Mariam i Nanę odwiedzał Dżalil. Ubrany w garnitur i krawat, przynosił prezenty z okazji Eid. Któregoś roku dał Mariam wełniany szal. We trójkę pili herbatę, a potem Dżalil przepraszał i odchodził.

– Idzie świętować Eid ze swoją prawdziwą rodziną – mówiła zawsze Nana, gdy Dżalil przechodził przez strumień i machał im z drugiego brzegu.

Mułła Faizullah również wtedy je odwiedzał. Przynosił Mariam czekoladowe cukierki owinięte w foliowe papierki, koszyk malowanych jajek,

ciasteczka. A kiedy odchodził, Mariam wdrapywała się ze swoimi smakołykami na wierzbę. Siadała wysoko na gałęzi, jadła czekoladki mułły Faizullaha i rzucała papierki na ziemię, aż leżało ich pod wierzbą tyle, że wyglądały jak srebrne kwiatki. Po czekoladkach zabierała się do ciasteczek, a na jajkach rysowała ołówkiem buzie. Ale nie miała z tego wiele przyjemności. Mariam bała się Eid, tego pełnego gościnności i świętowania okresu, kiedy rodziny stroiły się i odwiedzały. Wyobrażała sobie atmosferę panującą w Heracie, tryskającą radością, doskonałym nastrojem, ludzi z błyszczącymi oczami obsypujących się czułymi słowami i życzliwością. Rozpacz spowijała ją wtedy jak całun, który unosił się dopiero wraz z końcem Eid.

Tego roku po raz pierwszy Mariam na własne oczy zobaczyła Eid jej dziecięcych wyobrażeń.

Wyszła z Raszidem na ulice. Mariam nigdy nie szła wśród tak ożywionych tłumów. Całe rodziny, niezrażone chłodem, płynęły przez miasto, ogarnięte ferworem odwiedzania krewnych. Na swojej ulicy Mariam zobaczyła Faribę i jej syna, Nura, ubranego w garnitur. Fariba w białym szalu kroczyła obok drobnego, nieśmiałego mężczyzny w okularach. Był z nimi również jej

starszy syn – Mariam jakimś cudem zapamiętała jego imię, Ahmad, które usłyszała tamtego dnia przy piecu *tandur*. Miał głęboko osadzone, zadumane oczy i bardziej zamyśloną, uroczystą minę niż jego młodszy brat. Jego twarz sugerowała wczesną dojrzałość równie wyraziście, jak twarz Nura świadczyła o jego wciąż chłopięcym usposobieniu. Na szyi Ahmada wisiał lśniący wisiorek ze słowem Allah.

Fariba musiała ją rozpoznać, kroczącą w burce obok Raszida, bo zamachała i zawołała:

– *Eid-e mubarak!*

Skryta w burce Mariam kiwnęła lekko głową.

– A więc znasz tę kobietę, żonę nauczyciela? – zdziwił się Raszid.

Mariam zaprzeczyła.

– Lepiej, żebyś trzymała się od niej z daleka. Ta kobieta to wścibska plotkara, a jej mąż uważa się za jakiegoś wielkiego intelektualistę. Ale to szczur. Spójrz na niego. Czy nie wygląda jak szczur?

Poszli do parku Szahr-e Nau, pełnego baraszkujących dzieci w nowych czystych koszulach i ozdobionych koralikami barwnych kamizelkach, pokazujących sobie prezenty, które otrzymały z okazji Eid. Kobiety niosły talerze pełne słodyczy. Mariam zobaczyła odświętne

lampiony zawieszone w sklepowych witrynach, słyszała muzykę ryczącą z głośników. Mijający ich nieznajomi mówili do niej: *Eid-e mubarak!*

Tego wieczoru poszli do *Czaman*[5] i Mariam, stojąc za Raszidem, podziwiała fajerwerki rozświetlające niebo zielonymi, różowymi i żółtymi rozbłyskami. Tęskniła za czasem, gdy siedząc przed chatą z mułłą Faizullahem, oglądała z dużej odległości fajerwerki eksplodujące nad Heratem, nagłe wybuchy barw odbijające się w łagodnych, zmętniałych od zaćmy oczach jej nauczyciela. Ale przede wszystkim tęskniła za Naną. Mariam żałowała, że jej mama nie żyje i nie może tego zobaczyć. Nie może zobaczyć jej, Mariam, w samym środku tego wszystkiego. Przekonać się wreszcie, że radość i piękno nie są nieosiągalne. Nawet dla takich ludzi jak one.

Z okazji święta Eid podejmowali w domu gości. Byli to sami mężczyźni, przyjaciele Raszida. Kiedy zapukali do drzwi, Mariam wiedziała, że musi pójść na górę do swojego pokoju i zamknąć drzwi. Siedziała tam przez cały czas, a mężczyźni popijali na dole herbatę, palili

i rozmawiali. Raszid powiedział Mariam, że nie może wyjść z pokoju, dopóki goście są w domu.

Mariam to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, nawet jej to schlebiało. Dla Raszida to, co ich łączyło, było święte. Jej honor, jej *namus*, był dla niego czymś godnym ochrony. Jego opiekuńczość sprawiała, że czuła się wartościowa, wysoko ceniona i ważna.

Trzeciego i zarazem ostatniego dnia Eid Raszid poszedł odwiedzić jakichś znajomych. Mariam, której przez całą noc było niedobrze, zagotowała wodę i zaparzyła sobie zieloną herbatę z pokruszonym kardamonem. Zebrała w salonie poprzewracane kubki, na wpół przeżute pestki dyni wciśnięte między poduszki, talerze z resztkami jedzenia. Sprzątając, nie mogła uwierzyć, jak bardzo mężczyźni potrafią być leniwi.

Nie zamierzała wejść do pokoju Raszida, ale sprzątając, przeszła z salonu na schody, a potem na korytarz na piętrze i nagle stanęła pod jego drzwiami, po czym nagle zorientowała się, że po raz pierwszy znalazła się w jego pokoju. Usiadła na łóżku, czując się jak intruz.

Spojrzała na ciężkie zielone zasłony, kilka par wypastowanych butów ustawionych w równym rzędzie pod ścianą, drzwi szafy, z których

odchodziła zielona farba, odsłaniając drewno pod spodem. Zauważyła paczkę papierosów na komodzie obok łóżka. Wsunęła jeden do ust i stanęła przed małym lustrem zawieszonym na ścianie. Wypuszczała powietrze i udawała, że strząsa popiół. Potem schowała papierosa do paczki. Nigdy nie potrafiłaby palić z równie niewymuszoną gracją, jak czyniły to kabulskie kobiety. Wychodziło jej to niezgrabnie i śmiesznie.

Z poczuciem winy wysunęła górną szufladę komody.

Najpierw zobaczyła pistolet. Był czarny, miał oprawną w drewno rękojeść i krótką lufę. Mariam zapamiętała, jak był ułożony w szufladzie, po czym wzięła go do ręki. Obracała go w dłoniach. Był cięższy, niż się spodziewała. Rękojeść dobrze leżała w dłoni, lufa była zimna. Niepokoiło ją, że Raszid posiada taki przedmiot, którego jedynym przeznaczeniem jest zabijanie ludzi. Ale na pewno trzymał go ze względu na ich bezpieczeństwo. Jej bezpieczeństwo.

Za pistoletem leżało kilka czasopism o pozaginanych rogach. Mariam otworzyła jedno z nich. Nagle coś w niej pękło. Mimo woli otworzyła szeroko usta ze zdziwienia.

Na każdej stronie były kobiety, piękne kobiety, które nie miały na sobie żadnych koszul, spodni, skarpetek czy majtek. Nic na sobie nie miały. Leżały na łóżkach na pomiętej pościeli i spoglądały na Mariam spod półprzymkniętych powiek. Na większości zdjęć miały rozrzucone na boki nogi i Mariam doskonale widziała to ciemne miejsce między udami. Na niektórych zdjęciach kobiety leżały twarzą do ziemi, jakby – Boże wybacz to skojarzenie – w *sadżda* w trakcie modlitwy. Oglądały się przez ramię z wyrazem znudzonej pogardy.

Mariam szybko odłożyła czasopisma na miejsce. Była oszołomiona. Kim są te kobiety? Jak mogły dać się sfotografować w taki sposób? Z obrzydzenia zrobiło jej się niedobrze. A więc tym zajmuje się Raszid nocami, kiedy nie przychodzi do jej sypialni? Czy pod tym względem go rozczarowała? A co z tym całym mówieniem o honorze i własności, jego dezaprobacie dla tych klientek, które bądź co bądź pokazywały mu jedynie swoje stopy, aby dopasować buty? „Twarz kobiety – powiedział kiedyś – jest wyłącznie sprawą jej męża”. Z pewnością kobiety z tych zdjęć miały mężów, niektóre musiały ich mieć. Albo przynajmniej braci. A skoro tak, to dlaczego Raszid nalegał, aby

ona się zakrywała, a nie widział niczego złego w oglądaniu intymnych części ciała czyichś żon i sióstr?

Mariam usiadła na łóżku zażenowana i zagubiona. Schowała twarz w dłoniach i zamknęła oczy. Głęboko oddychała, aż wreszcie trochę się uspokoiła.

Powoli to sobie wytłumaczyła: przecież Raszid jest mężczyzną, który mieszkał samotnie przez całe lata, nim ona się tu sprowadziła. Jego potrzeby różnią się od jej potrzeb. Dla niej po tylu miesiącach ich spółkowanie wciąż było ćwiczeniem w znoszeniu bólu, natomiast jego apetyt był dziki, czasem niemal ocierał się o gwałt. Wbijał ją w materac, ściskał jej piersi i poruszał w szale biodrami. Jest mężczyzną przez tyle lat pozbawionym kobiety. Czy mogła winić go za to, że takim stworzył go Bóg?

Mariam wiedziała, że nigdy nie będzie mogła z nim o tym porozmawiać. To było tabu. Ale czy było niewybaczalne? Wystarczyło przypomnieć sobie innego mężczyznę obecnego w jej życiu, Dżalila. Wówczas mąż trzech żon, ojciec dziewięciorga dzieci, utrzymywał pozamałżeńskie stosunki z Naną. Co było gorsze, czasopisma Raszida czy to, co uczynił Dżalil?

A poza tym, jakim prawem, ona, wieśniaczka, *harami*, miałaby wydawać osąd?

Mariam zajrzała do najniższej szuflady.

Znalazła w niej zdjęcie chłopca, Yunusa. Było czarno-białe. Wyglądał na cztery, może pięć lat. Miał na sobie prążkowaną koszulę i muszkę. Był ładnym małym chłopcem z wąskim noskiem, kasztanowymi włosami i ciemnymi, trochę zapadniętymi oczami. Wyglądał na rozkojarzonego, jakby coś przykuło jego wzrok akurat w chwili, gdy błysnął flesz aparatu.

Pod tym zdjęciem Mariam znalazła drugie, również czarno-białe, trochę bardziej ziarniste. Widać było na nim siedzącą kobietę, a za nią szczuplejszego, młodszego Raszida z czarnymi włosami. Kobieta była piękna. Może nie aż tak piękna jak kobiety z czasopism, ale z pewnością piękna. Na pewno piękniejsza od niej, Mariam. Miała delikatne policzki i długie czarne włosy z przedziałkiem pośrodku, wysokie kości policzkowe i łagodne czoło. Mariam pomyślała o swojej twarzy, wąskich ustach i długiej brodzie i poczuła ukłucie zazdrości.

Długo patrzyła na to zdjęcie. W sposobie, w jaki Raszid nachylał się nad kobietą, było coś niepokojącego. Jego ręce spoczywały na jej ramionach. Uśmiechał się zaciśniętymi wargami,

jakby delektując się czymś, a ona miała ponurą minę. Kobieta była lekko pochylona do przodu, jakby próbowała oswobodzić się z jego rąk.

Mariam odłożyła wszystko na miejsce.

Później, kiedy robiła pranie, zaczęła żałować, że szperała w pokoju męża. Po co? Czy dowiedziała się o nim czegoś istotnego? Że ma pistolet, że jest mężczyzną i ma męskie potrzeby? I nie powinna była tyle czasu patrzeć na jego zdjęcie z żoną. Jej oczy zaczęły dopatrywać się znaczeń w czymś, co było jedynie zwykłą pozą ciała uchwyconą w ułamku sekundy.

Teraz, gdy kołysały się przed nią ciężkie od bielizny sznury, Mariam zrobiło się żal Raszida. On również miał ciężkie życie, naznaczone utratą bliskich i smutnymi kolejami losu. Wróciła myślami do jego syna, Yunusa, który kiedyś na tym podwórku lepił bałwana, którego stopy tupały na tych samych schodach. Jezioro wyrwało go Raszidowi, pochłonęło jak wieloryb, który według Koranu połknął proroka o tym samym co chłopiec imieniu. Mariam sprawiało to ból – dojmujący ból – kiedy wyobrażała sobie Raszida ogarniętego paniką i bezradnego, jak przemierza brzegi jeziora, błagając je, by wypluło chłopca z powrotem na ląd. I po raz pierwszy poczuła więź ze swoim mężem.

Powiedziała sobie, że mimo wszystko będą dla siebie dobrymi towarzyszami.

13

W drodze powrotnej od lekarza, w autobusie, działy się z Mariam niesamowite rzeczy. Gdziekolwiek spojrzała, wszędzie widziała żywe kolory: w szaroburych betonowych mieszkaniach, na cynowych dachach magazynów, w błotnistej wodzie płynącej rynsztokami. Jakby tęcza przesłoniła jej oczy.

Raszid stukał w kolano palcami w rękawiczkach i nucił piosenkę. Za każdym razem, kiedy autobus podskakiwał na wertepach i rzucało nimi do przodu, opiekuńczym gestem kładł dłoń na jej brzuchu.

– A może Zalmaj? – powiedział. – To dobre pasztuńskie imię.

– A jeśli to będzie dziewczynka? – spytała Mariam.

– Myślę, że to chłopiec. Tak. Chłopiec.

W autobusie rozległy się szepty. Niektórzy pasażerowie wskazywali na coś, inni wychylali

się z siedzeń, aby to coś zobaczyć.

– Spójrz – powiedział Raszid, stukając palcem w szybę. Uśmiechał się. – Tam. Widzisz?

Na ulicach Mariam zobaczyła zatrzymujących się ludzi. Oświetlone ulicznymi światłami twarze wychylające się z okien samochodów, zwracające się w stronę spadającego z nieba miękkiego puchu. Co tak urzekało ludzi w pierwszym śniegu, zastanawiała się Mariam? Może to, że to okazja do zobaczenia czegoś niezabrudzonego, po czym nikt jeszcze nie stąpał? Złapania ulotnego piękna nowej pory roku, cudownego początku, nim zostanie on zdeptany i zniszczony?

– Jeśli to dziewczynka – powiedział Raszid – chociaż to na pewno nie jest dziewczynka, ale jeśli to dziewczynka, możesz wybrać takie imię, jakie ci się podoba.

Następnego ranka Mariam obudził hałas piły i młotka. Owinęła się szalem i wyszła na zaśnieżone podwórko. Ciężki śnieg przestał padać. Teraz tylko garstka lekkich wirujących płatków śniegu łaskotała ją w policzki. Nie było wiatru, a w powietrzu unosił się zapach palonego węgla. Kabul spowijała niesamowita cisza,

miasto przykryte było kołdrą śniegu i tylko gdzieniegdzie unosiły się smużki dymu.

Mariam znalazła Raszida w szopie na narzędzia, gdzie wbijał gwoździe w drewnianą deskę. Kiedy ją zobaczył, wyjął gwóźdź z kącika ust.

– To miała być niespodzianka. Będzie mu potrzebne łóżeczko. Miałaś to zobaczyć, dopiero jak skończę.

Mariam wolałaby, żeby tego nie robił. Żeby nie przywiązywał się do myśli, że to będzie chłopiec. Choć była szczęśliwa z powodu ciąży, jego oczekiwania ciążyły jej. Poprzedniego dnia Raszid wyszedł i wrócił do domu z zamszowym zimowym płaszczykiem dla chłopca obszytym miękką owczą skórką i rękawami wyszywanymi czerwoną i żółtą jedwabną nicią.

Podniósł długą wąską deskę. Kiedy zaczął piłować ją na pół, powiedział, że martwią go schody.

– Trzeba będzie coś z nimi później zrobić, zanim chłopiec podrośnie i zacznie się po nich wspinać. – Powiedział, że piec też go martwi. A noże i widelce trzeba będzie schować gdzie indziej, by nie mógł po nie sięgnąć. – Ostrożności nigdy nie dość. Chłopcy to lekkomyślne istoty.

Mariam owinęła się szczelniej szalem.

Następnego ranka Raszid oznajmił, że chce zaprosić przyjaciół na kolację, aby uczcić to wydarzenie. Przez kilka godzin Mariam myła soczewicę i moczyła ryż. Pokroiła bakłażana na *burani*, ugotowała pory i posztkowała wołowinę na nadzienie do pierożków. Zamiotła podłogę, wytrzepała zasłony i mimo śniegu, który znów zaczął padać, wywietrzyła dom. Pod ścianami w salonie ułożyła materace i poduszki, a na stole ustawiła miski ze słodyczami i prażonymi migdałami.

Wczesnym wieczorem, nim przyszedł pierwszy gość, była już u siebie w pokoju. Leżała w łóżku, a pohukiwania, śmiechy i przekomarzania na dole stawały się coraz głośniejsze. Jej dłonie wciąż zsuwały się na brzuch. Nie mogła tego powstrzymać. Myślała o tym, co w niej rośnie, i nagle szczęście wtargnęło w nią niczym poryw wiatru otwierający drzwi na oścież. Oczy zaszły jej łzami.

Mariam myślała o sześćsetpięćdziesięciokilometrowej podróży z Raszidem, z leżącego na zachodzie, niedaleko granicy z Iranem, Heratu, do położonego na wschodzie Kabulu. Mijali miasteczka, miasta i węzełki wiosek, które wyskakiwały jedne po

drugich. Przejechali przez góry i surowe, wypalone do żywego pustynie, z jednej prowincji do następnej. I oto była tu, za tymi skałami i spękanymi wzgórzami, we własnym domu, z własnym mężem, zmierzając w stronę ostatniej radosnej prowincji: Macierzyństwa. Jak rozkoszna była myśl o tym dziecku, jej dziecku, ich dziecku. Jak wspaniała była świadomość, że jej miłość do niego już teraz przyćmiewa wszystko, co kiedykolwiek czuła, świadomość, że nie ma już teraz żadnego powodu, by bawić się w grę kamyków.

Na dole ktoś stroił akordeon, rozległy się uderzenia w bębenki *tabla*. Ktoś odchrząknął, a potem rozległo się pogwizdywanie, klaskanie, pokrzykiwanie i śpiew.

Mariam pogładziła swój miękki krągły brzuch. „Nie jest większe od paznokcia”, powiedział lekarz.

Będę matką, pomyślała Mariam.

– Będę matką – powiedziała do siebie, a potem zaczęła się śmiać i powtarzała w kółko to zdanie, delektując się każdym słowem.

Kiedy Mariam pomyślała o tym dziecku, poczuła, że jej serce rośnie. Rosło i rosło, aż cała pustka po śmierci matki, cały żal, samotność i samoponiżenie, które odczuwała, znikły bez

śladu. Dlatego Bóg ją tu przywiódł długą drogą biegnącą przez cały kraj. Teraz to rozumiała. Przypomniała sobie werset z Koranu, którego nauczył ją mułła Faizullah: *Do Boga należy Wschód i Zachód! I gdziekolwiek się obrócicie, tam jest oblicze Boga…*[6]. Rozłożyła swój dywanik modlitewny i odmówiła modlitwę *namaz*. Kiedy skończyła, ukryła twarz w dłoniach i poprosiła Boga, by nie dopuścił do tego, by ten szczęśliwy los jej się wymknął.

To Raszid wpadł na pomysł pójścia do *hammanu*. Mariam nigdy wcześniej nie była w łaźni, ale on powiedział, że nie ma nic lepszego od uczucia, które się ma po wyjściu, gdy człowiek nabiera w płuca zimnego powietrza i czuje, jak jego nagrzana skóra paruje.

Mariam siedziała w *hammanie* dla kobiet, w gęstej parze, w której poruszały się jakieś cienie, czasem gdzieś mignęło jej czyjeś biodro albo zarys czyichś pleców. Między ścianami odbijały się echem piski małych dziewczynek, pomruki starszych kobiet i sączenie się wody do kąpieli. Kobiety szorowały sobie plecy i myły włosy. Mariam usiadła sama w kącie, z dala od innych, i zaczęła szorować pumeksem stopy

odizolowana od przechodzących obok cieni ścianą gęstej pary wodnej.

A potem nagle zobaczyła krew i zaczęła krzyczeć.

Plaśnięcia stóp na mokrych kamieniach. Wyłaniające się zza zasłony pary wodnej ciekawe twarze. Cmokanie językami.

Później tego wieczoru, w łóżku, Fariba powiedziała mężowi, że kiedy usłyszała krzyk i podbiegła w stronę, skąd dochodził, zobaczyła żonę Raszida dygoczącą w kącie z podkulonymi nogami i kałużą krwi u stóp.

– Słychać było, jak tej biednej dziewczynie szczękają zęby, mówię ci, Hakimie, tak bardzo dygotała.

Kiedy Mariam ją zobaczyła, opowiadała Fariba, spytała wysokim błagalnym głosem: „To normalne, prawda? Prawda? Czy to jest normalne?”.

Kolejna jazda autobusem z Raszidem. Znów padał śnieg. Tym razem gęsty. Tworzył grube czapy na chodnikach, dachach, osiadał na korze krzaczastych drzew. Mariam przyglądała się kupcom odgarniającym śnieg sprzed sklepów. Gromadka chłopców goniła czarnego psa.

W sportowym zapale pomachali rękami w stronę przejeżdżającego autobusu. Mariam spojrzała na Raszida. Miał zamknięte oczy. Nie nucił żadnej melodii. Mariam pochyliła głowę i również zamknęła oczy. Chciała wydostać się ze swoich zimnych skarpetek, z wilgotnego wełnianego swetra, który kłuł jej skórę. Chciała znaleźć się jak najdalej od tego autobusu.

W domu Raszid okrył ją narzutą, kiedy położyła się na sofie, ale w jego geście było coś sztywnego, jakby zdawkowego.

– Co to za odpowiedź? – powtórzył znowu. – Coś takiego może powiedzieć mułła. Człowiek płaci lekarzowi i ma prawo spodziewać się lepszej odpowiedzi niż: „Wola boska”.

Mariam podkuliła nogi pod narzutą i poradziła Raszidowi, żeby odpoczął.

– Wola boska – wrzał ze złości.

Przez cały dzień siedział u siebie w pokoju, paląc papierosy.

Mariam leżała na sofie, z dłońmi wciśniętymi między kolana, i patrzyła na wirujące za oknem płatki śniegu. Przypomniała sobie Nanę, która powiedziała kiedyś, że każdy płatek śniegu jest westchnieniem pokrzywdzonej gdzieś w świecie kobiety. Że wszystkie westchnienia wznoszą się ku niebu, łączą w chmury, a potem rozpadają na

małe fragmenciki, które w ciszy spadają na ludzi w dole.

„Aby przypomnieć, jak bardzo cierpią takie kobiety jak my – powiedziała. – Jak spokojnie znosimy wszystko, co na nas spada”.

14

Mariam wciąż odczuwała żal po stracie dziecka. Pojawiał się znienacka. Wystarczyło, że pomyślała o niedokończonym łóżeczku w szopie na narzędzia albo zamszowym płaszczyku wiszącym w szafie Raszida. W takich chwilach dziecko ożywało, a ona słyszała, jak głodne popłakuje, gaworzy i kwili. Czuła, jak szuka jej piersi. Żal przenikał całe jej ciało, ścinał ją z nóg i targał nią na wszystkie strony. Mariam była zdumiona, że odczuwa tak obezwładniającą tęsknotę za istotą, której nigdy nawet nie widziała.

Były też takie dni, kiedy przygnębienie nie wydawało się Mariam aż tak wszechogarniające. Dni, kiedy na myśl o powrocie do dawnej rutyny nie czuła się wyczerpana, a wstanie z łóżka, odmówienie modlitwy i przygotowanie posiłku dla Raszida nie wymagało od niej niezwykłego wysiłku.

Mariam lękała się wyjścia na zewnątrz. Nagle zaczęła zazdrościć sąsiadkom, że mają dużo dzieci – niektóre siedmioro albo ośmioro. Nie rozumiały, jak dużo mają szczęścia, jakim błogosławieństwem jest to, że ich dzieci rozwinęły się w ich łonach, żyły, wtulały się w ich ramiona i piły mleko z ich piersi. Ich dzieci nie wykrwawiły się i nie spłynęły jakimś kanałem łaźni wraz z mydlaną wodą i brudem z ciał obcych ludzi. Mariam miała im za złe, kiedy narzekały na niegrzecznych synów i leniwe córki.

Wewnętrzny głos usiłował w dobrej wierze złagodzić jej ból, ale słowa pocieszenia nie trafiały na podatny grunt.

„Będziesz miała inne dzieci, *enszallah*. Jesteś młoda. Na pewno będą jeszcze inne okazje”.

Ale żal Mariam nie był bezkształtny ani nieokreślony. Mariam odczuwała żal z powodu tego konkretnego dziecka, które przez chwilę dało jej tyle szczęścia.

Zdarzały się też takie dni, kiedy myślała, że dziecko było niezasłużonym błogosławieństwem, że została ukarana za to, co zrobiła Nanie. Czyż nie było prawdą, że równie dobrze mogła sama zawiązać sznur na szyi swej matki? Zdradzieckie córki nie zasługują na bycie matkami, i to była jej

kara. Miała niespokojne sny, w których dżinn Nany wślizgiwał się nocą do jej pokoju, wbijał pazury w jej łono i wyrywał dziecko. W tych snach Nana chichotała z rozkoszą w poczuciu, że sprawiedliwości stało się zadość.

W inne dni Mariam ogarniała złość. To była wina Raszida, bo pospieszył się ze świętowaniem. Bo lekkomyślnie uznał, że Mariam nosi w łonie chłopca. Bo nadał dziecku imię. Bo brał wolę boską za pewnik. Jego wina, bo zabrał ją do łaźni. To przez to, przez parę, brudną wodę, mydło, przez coś, co tam było, to się stało. Nie, to nie Raszid jest winny, tylko ona. Była wściekła na siebie za to, że spała w niewłaściwej pozycji, że jadła zbyt pikantne potrawy, że nie jadła wystarczająco dużo owoców, że piła za dużo herbaty.

To była wina Boga, bo tak sobie z niej zadrwił. Bo nie dał jej tego, czym obdarzył tyle innych kobiet. Zamachał jej tylko przed oczami, zwodząc ją czymś, o czym wiedział, że da jej największe szczęście, a potem szybko to odebrał.

Ale to wszystko, zrzucanie winy i ciskanie oskarżeń na prawo i lewo, wcale nie pomagało. Takie myśli były *kofr*, świętokradztwem. Allah nie jest złośliwy. Nie jest małostkowym Bogiem. Mułła Faizullah szeptał jej w głowie:

Błogosławiony niech będzie Ten, w którego ręku jest królestwo – On jest nad każdą rzeczą wszechwładny! Który stworzył śmierć i życie, aby was doświadczyć[7].

Ogarnięta poczuciem winy Mariam klękała i modliła się o przebaczenie za takie myśli.

Tymczasem Raszid od dnia wypadku w łaźni zaczął się zmieniać. Wieczorami, po powrocie do domu, z reguły w ogóle się nie odzywał. Jadł, palił i kładł się spać. Czasami pojawiał się w środku nocy na krótką, ostatnimi czasy gwałtowną sesję spółkowania. Stał się bardziej skłonny do dąsów, stale coś mu nie smakowało, narzekał na bałagan na podwórku albo wytykał jej choćby najmniejsze zaniedbanie. Czasem w piątki zabierał ją jak dawniej do miasta, ale szedł szybko, zawsze kilka kroków przed nią, był milczący i nie zwracał uwagi na Mariam, która musiała niemal biec, by za nim nadążyć. Podczas tych spacerów nie był już skory do śmiechu. Nie kupował jej słodyczy ani podarunków i nie zatrzymywał się, żeby pokazać jej jakiś budynek. Jej pytania go irytowały.

Któregoś wieczoru siedzieli w salonie, słuchając radia. Ostre wiatry, przez które śnieg

oblepiał twarz, a oczy zachodziły łzami, ustały. Srebrzyste płatki śniegu topniały na gałęziach wysokich wiązów i za kilka tygodni miały na ich miejscu pojawić się pękate jasnozielone pączki. Raszid w roztargnieniu kiwał nogą w rytm *tabli* jakiejś piosenki Hamahanga i mrużył oczy od dymu.

– Jesteś na mnie zły? – spytała Mariam.

Raszid nie odpowiedział. Piosenka się skończyła i zaczęły wiadomości. Kobiecy głos oznajmił, że prezydent Daud Chan odesłał kolejną grupę sowieckich ekspertów z powrotem do Moskwy, co, jak się spodziewano, zostało przyjęte przez Kreml z niezadowoleniem.

– Martwię się, że jesteś na mnie zły.

Raszid westchnął.

– Jesteś?

Spojrzał na nią.

– Dlaczego miałbym być na ciebie zły?

– Nie wiem, ale odkąd z dzieckiem…

– To za takiego mężczyznę mnie masz, po tym wszystkim, co dla ciebie robię?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Więc przestań mnie dręczyć!

– Przepraszam. *Bebachszid*, Raszidzie. Przepraszam.

Zgasił papierosa, zapalił kolejnego, podkręcił głośniej radio.

– W każdym razie myślałam… – zaczęła Mariam, podnosząc głos, aby było ją słychać mimo grającej muzyki.

Raszid znów westchnął, tym razem bardziej poirytowany, i ściszył radio. Ze znużeniem potarł czoło.

– Co znowu?

– Myślałam, że może powinniśmy urządzić prawdziwy pogrzeb. To znaczy dziecku. Tylko sami, we dwoje, kilka modlitw, nic więcej.

Mariam myślała o tym od pewnego czasu. Nie chciała zapomnieć o dziecku. Wydawało jej się, że to nie w porządku, tak w ogóle nie zaznaczyć tej straty.

– Po co? To idiotyczne.

– Myślę, że poczułabym się lepiej.

– Wobec tego sama to zrób – powiedział ostro. – Ja już pochowałem jednego syna, nie będę chował kolejnego. A teraz, jeśli pozwolisz, chciałbym posłuchać radia.

Znów podkręcił głośność, odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy.

Kilka dni później Mariam wybrała miejsce na podwórku i wykopała dołek.

– W imię Allaha i z Allahem i w imię posłańca Allaha, niech spoczywają na nim pokój i błogosławieństwo Allaha – mamrotała pod nosem, wbijając szpadel w ziemię. Włożyła do dołka zamszowy płaszczyk, który Raszid kupił dla dziecka i zasypała go ziemią.

– *Ty wprowadzasz noc w dzień i Ty wprowadzasz dzień w noc. Ty wyprowadzasz żyjące z martwego i Ty wyprowadzasz martwe z żyjącego. Ty dajesz zaopatrzenie, komu chcesz; bez rachunku*[8].

Uklepała ziemię łopatą. Przykucnęła obok kopczyka i zamknęła oczy.

Daj zaopatrzenie, Allahu.

Daj mi zaopatrzenie.

15

Kwiecień 1978

Siedemnastego kwietnia 1978 roku, kiedy Mariam miała dziewiętnaście lat, został zamordowany mężczyzna o imieniu Mir Akbar Chajber. Dwa dni później w Kabulu odbyła się wielka demonstracja. Wszyscy ludzie z sąsiedztwa wyszli na ulice i rozmawiali o tym wydarzeniu. Przez okno Mariam obserwowała podekscytowanych sąsiadów, którzy krążyli po ulicy, plotkując z radiami tranzystorowymi przyciśniętymi do uszu. Zobaczyła Faribę opartą o ścianę jej domu, pogrążoną w rozmowie z kobietą, która niedawno przybyła do Deh-Mazang. Fariba uśmiechała się i przyciskała dłonie do nabrzmiałego brzucha, była w ciąży. Druga kobieta, której imienia Mariam nie znała, wyglądała na starszą od Fariby, a jej włosy miały dziwnie purpurowy odcień. Trzymała za rękę

małego chłopca. Mariam wiedziała, że chłopiec ma na imię Tarigh – słyszała, jak ta kobieta wołała go na ulicy po imieniu.

Mariam i Raszid nie dołączyli do sąsiadów. Słuchali w radiu relacji o tym, jak blisko dziesięć tysięcy ludzi wylało się na ulice i zaczęło maszerować w tę i z powrotem po dzielnicy rządowej. Raszid powiedział, że Mir Akbar Chajber był czołowym komunistą i że jego zwolennicy oskarżali o morderstwo rząd prezydenta Dauda Chana. Nie patrzył na nią, kiedy to mówił. W tamtym okresie w ogóle już na nią nie patrzył i Mariam nigdy nie była pewna, czy mówi do niej.

– Kto to jest komunista?

Raszid prychnął i uniósł brwi.

– Nie wiesz, kto to jest komunista? To takie proste. Każdy to wie. To wiedza podstawowa. Ale nie ty… Ech. Właściwie, wcale nie powinno mnie to dziwić.

Potem położył nogi na stole i mruknął, że komunista to ktoś, kto wierzy w Karola Marksa.

– Kim jest Karol Marks?

Raszid westchnął.

W radiu kobiecy głos mówił, że Taraki, przywódca frakcji Khalq w PDPA, afgańskiej

partii komunistycznej, był na ulicach i wygłaszał podjudzające przemówienia do demonstrantów.

– Chodziło mi o to, czego oni chcą – spytała Mariam. – Ci komuniści, w co oni wierzą?

Raszid zarechotał i pokręcił głową, ale Mariam miała wrażenie, że dostrzegła niepewność w jego gestach, coś w sposobie, w jaki skrzyżował ręce na piersiach i wzniósł oczy do nieba.

– Ty nic nie wiesz, prawda? Jesteś jak dziecko. Twój mózg jest pusty. Nie ma w nim żadnych informacji.

– Pytam, bo…

– *Czub kon*. Zamknij się.

Mariam usłuchała.

Niełatwo było tolerować to, jak się do niej zwracał, znosić pogardę, szyderstwa, obraźliwe słowa, przechodzenie obok niej, jakby była jakimś domowym kotem. Ale po czterech latach małżeństwa Mariam zrozumiała, ile może znieść kobieta, kiedy się boi. A Mariam się bała. Żyła w ciągłym strachu przed jego zmiennymi nastrojami, porywczym temperamentem, uporczywym kierowaniem najzwyklejszej rozmowy na wojenną ścieżkę, co od czasu do czasu kończyło się poszturchiwaniem, uderzeniami, kopniakami, czasem próbował

wszystko załagodzić, dukając jakieś nieszczere słowa przeprosin, czasem nie.

W ciągu tych czterech lat od czasu zajścia w łaźni przeżyli jeszcze sześć cykli wzbudzonych i zniweczonych nadziei, a każda strata, każde załamanie, każda wizyta u lekarza była jeszcze bardziej druzgocząca dla Mariam od poprzedniej. Po każdym rozczarowaniu Raszid stawał się coraz bardziej odległy i pełen urazy. Teraz niczym nie potrafiła go zadowolić. Sprzątała dom, dbała, by zawsze miał czyste koszule, przyrządzała jego ulubione potrawy. Kiedyś, z fatalnym skutkiem, kupiła nawet kosmetyki i umalowała się dla niego. Ale kiedy Raszid wrócił do domu, spojrzał na nią i skrzywił się z takim niesmakiem, że pobiegła do łazienki i zmyła wszystko z twarzy, a łzy wstydu mieszały się z wodą, mydłem, różem i tuszem do rzęs.

Mariam z lękiem czekała teraz na odgłosy zwiastujące jego powrót do domu. Zgrzyt klucza w zamku, skrzypienie drzwi – te dźwięki sprawiały, że serce waliło jej w piersiach jak oszalałe. Leżąc w łóżku, nasłuchiwała stukotu jego obcasów, stłumionego szurania nogami po zdjęciu butów. Wystarczały jej uszy, by po kolei odtworzyć wykonywane przez niego czynności: nogi krzesła szurające po podłodze, żałosny jęk

trzcinowego krzesła, kiedy na nim siadał, brzęk łyżki uderzającej o talerz, szelest przewracanych stron gazety, siorbanie zupy. Serce jej waliło i zastanawiała się, jaki pretekst wynajdzie, by na nią naskoczyć. Zawsze coś było, jakiś drobiazg, który doprowadzał go do furii, bo cokolwiek zrobiła, aby go zadowolić, jakkolwiek by się poddała jego zachciankom i żądaniom, nigdy nie miał dość. Nie mogła zwrócić mu jego syna. Zawiodła go w tej najbardziej istotnej sprawie – zawiodła go siedem razy – i teraz była dla niego tylko ciężarem. Widziała to w jego spojrzeniu, o ile w ogóle na nią patrzył. Była dla niego ciężarem.

– Co się stanie? – spytała go teraz.

Raszid spojrzał na nią z ukosa. Wydał z siebie jakiś dźwięk, coś między westchnieniem a pomrukiem, zdjął nogi ze stołu i wyłączył radio. Zabrał je na górę do swojego pokoju i zamknął drzwi.

Dwudziestego siódmego kwietnia wraz z terkotem i intensywnym rykiem silników nadeszła odpowiedź na pytanie Mariam. Pobiegła boso do salonu. Raszid stał już przy oknie, w nocnej koszuli, z potarganymi włosami,

i przyciskał dłonie do szyby. Mariam stanęła obok w drugim oknie. Wysoko w górze zobaczyła samoloty wojskowe wzbijające się w powietrze, lecące na północ i na wschód. Od ich ogłuszającego ryku bolały ją uszy. W oddali rozlegały się głośne wybuchy i co chwila strzelały w górę smugi dymu.

– Co się dzieje, Raszidzie? – spytała. – Co to w ogóle jest?

– Bóg jeden wie – wymamrotał. Spróbował włączyć radio, ale słychać było tylko trzaski.

– Co zrobimy?

Raszid odparł niecierpliwie:

– Będziemy czekali.

Później tego dnia Raszid wciąż próbował nastawić radio, a Mariam przyrządzała w kuchni ryż z sosem szpinakowym. Pamiętała czasy, kiedy lubiła, a nawet czekała na tę chwilę, kiedy będzie gotowała dla Raszida. Teraz przygotowanie posiłku wiązało się z ogromnym napięciem. *Ghorma* zawsze była dla niego za słona albo za miękka. Ryż wydawał mu się za tłusty albo za suchy, a chleb zbyt ciastowaty albo zbyt kruchy. Przez to ciągłe wypominanie

błędów Mariam przy gotowaniu stale dręczyła niepewność.

Kiedy przyniosła mu talerz z jedzeniem, w radiu puszczano hymn narodowy.

– Przygotowałam *sabzi* – powiedziała.

– Postaw talerz i siedź cicho.

Kiedy muzyka ucichła, przemówił jakiś mężczyzna. Przedstawił się jako pułkownik sił powietrznych, Abdul Ghader. Oświadczył, że wcześniej w ciągu dnia rebeliancka 4. Dywizja Pancerna przejęła kontrolę nad lotniskiem i innymi kluczowymi punktami w mieście. Budynki Radia Kabul, Ministerstwa Komunikacji i Spraw Wewnętrznych oraz Ministerstwa Spraw Zagranicznych również zostały przejęte. Kabul znajduje się teraz w rękach ludu, obwieścił z dumą. Rebelianckie migi zaatakowały pałac prezydencki. Czołgi wtargnęły na jego teren i obecnie toczy się tam zacięta walka. Lojalistyczne siły Dauda zostały całkowicie pokonane, zapewniał Abdul Ghader.

Później, kiedy komuniści zaczęli w przyspieszonym trybie dokonywać egzekucji ludzi związanych z reżimem Dauda Chana, a po Kabulu zaczęły krążyć pogłoski o wyłupywaniu oczu i genitaliach rażonych prądem w więzieniu Pol-e Czarchi, Mariam dowiedziała się

o masakrze, jakiej dokonano w pałacu prezydenckim. Daud Chan został zabity, ale wcześniej komunistyczni rebelianci zabili około dwudziestu członków jego rodziny, w tym kobiety i wnuki. Krążyły plotki, że sam odebrał sobie życie, że został zastrzelony w ogniu walki, ale inni twierdzili, że najpierw kazano mu patrzeć na masakrę jego rodziny, a dopiero potem zastrzelono.

Raszid nastawił głośniej radio i nachylił się nad nim.

– Ustanowiono rewolucyjną radę sił zbrojnych, a nasz *watan* będzie teraz znany jako Demokratyczna Republika Afganistanu – mówił Abdul Ghader. – Czasy arystokratów, nepotyzmu i nierówności skończyły się, bracia rodacy. Położyliśmy kres dziesięcioleciom tyranii. Władza znajduje się teraz w rękach mas i ludzi kochających wolność. Nadchodzi wspaniały nowy okres w historii naszego kraju. Narodził się nowy Afganistan. Zapewniamy was, bracia Afgańczycy, że nie macie się czego obawiać. Nowy reżim zachowa najwyższy respekt wobec zasad zarówno islamu, jak i demokracji. Jest to czas radości i świętowania.

Raszid wyłączył radio.

– A więc to dobrze czy źle? – spytała Mariam.

– Wygląda na to, że źle dla bogatych – powiedział Raszid. – Może nie najgorzej dla nas.

Myśli Mariam skierowały się w stronę Dżalila. Zastanawiała się, czy wobec tego komuniści zaczną go nękać. Czy wsadzą go do więzienia? Czy wsadzą do więzienia jego synów? Odbiorą mu jego przedsiębiorstwa i majątek?

– Czy jedzenie jest ciepłe? – spytał Raszid, zerkając na talerz.

– Dopiero co je nałożyłam, prosto z garnka.

Burknął coś i powiedział, by podała mu talerz.

Kilka domów dalej, w zapadającej wśród nagłych rozbłysków czerwieni i żółci nocy, wyczerpana Fariba oparła się na łokciach. Miała zlepione od potu włosy, a nad jej górną wargą drżały krople potu. Przy jej łóżku siedziała Wadżma, starsza położna, i patrzyła, jak mąż i synowie Fariby oglądają noworodka. Zachwycali się jasnymi włosami dziecka, różowymi policzkami i pomarszczonymi usteczkami przypominającymi pączek róży, szparkami zielonojadeitowych oczu, które poruszały się pod opuchniętymi powiekami. Uśmiechnęli się do siebie, kiedy po raz pierwszy usłyszeli jego głos, płacz podobny do miauczenia

kota, który za chwilę przerodził się w zdrowy donośny wrzask niemowlęcia. Nur powiedział, że jej oczy są jak klejnoty. Ahmad, najbardziej religijny członek rodziny, zanucił swej siostrze do ucha *azan* i trzy razy dmuchnął jej w twarz.

– A więc ma mieć na imię Lajla? – spytał Hakim, kołysząc córeczkę.

– Tak, Lajla. – Fariba uśmiechnęła się mimo zmęczenia. – Nocna Piękność. To idealne imię.

Raszid ulepił kulkę ryżu i włożył ją do ust. Przeżuł raz, potem drugi, po czym skrzywił się i wypluł ryż na obrus.

– O co chodzi? – spytała Mariam, czując obrzydzenie do swojego przepraszającego tonu. Jej tętno przyspieszyło, a skóra ścierpła.

– O co chodzi? – powtórzył, przedrzeźniając ją. – Chodzi o to, że znów to zrobiłaś.

– Przecież gotowałam ryż pięć minut dłużej niż zwykle.

– To czyste kłamstwo.

– Przysięgam…

Wściekły strząsnął ryż z palców i odsunął talerz, rozlewając sos i ryż na obrus. Mariam patrzyła, jak wybiega najpierw z salonu, a potem z domu, trzaskając drzwiami.

Uklękła i próbowała zebrać ziarnka ryżu na talerz, ale ręce trzęsły jej się tak bardzo, że musiała odczekać. Strach ścisnął jej piersi. Spróbowała wziąć kilka głębokich oddechów. Dostrzegła swoje blade odbicie w oknie salonu i odwróciła wzrok.

A zaraz potem usłyszała trzask otwieranych drzwi i Raszid wpadł do salonu.

– Wstań – powiedział. – Chodź tu. No, wstawaj.

Złapał ją za rękę, otworzył jej dłoń i wcisnął w nią garść kamyków.

– Włóż je do ust.

– Co?

– Włóż. To. Do ust.

– Przestań, Raszidzie, ja…

Jego silna dłoń zacisnęła się na jej szczękach. Wsunął dwa palce do jej ust i otworzył je siłą, a potem wcisnął jej do ust zimne twarde kamyki. Mariam usiłowała uwolnić się z jego uścisku, mamrocząc coś, ale on wciskał kamyki coraz bardziej, a jego górna warga wykrzywiała się w szyderczym grymasie.

– A teraz żuj – rozkazał.

Z ustami pełnymi żwiru i kamyków Mariam wymamrotała błagalną prośbę. Z kącików oczu płynęły jej łzy.

– Żuj! – krzyknął. W twarz uderzył ją zapach jego tytoniowego oddechu.

Mariam przeżuła. Coś w głębi jej ust zgrzytnęło.

– Dobrze – powiedział Raszid. Drżały mu policzki. – Teraz wiesz, jak smakuje twój ryż. Teraz wiesz, co mi dałaś w tym małżeństwie. Złe jedzenie, nic więcej.

A potem wyszedł, zostawiając ją samą z kamykami, które wypluła wraz z krwią i kawałkami dwóch złamanych zębów trzonowych.

CZĘŚĆ DRUGA

16

Kabul, wiosna 1987

Dziewięcioletnia Lajla wstała z łóżka spragniona, jak zwykle o poranku, widoku swego przyjaciela Tarigha. Jednak tego ranka wiedziała, że go nie zobaczy.

– Na jak długo wyjeżdżasz? – spytała, kiedy Tarigh powiedział jej, że rodzice zabierają go na południe, do miasta Ghazni, w odwiedziny do stryja.

– Na trzynaście dni.

– Trzynaście dni?

– To nie tak długo. Skrzywiłaś się, Lajlo.

– Nieprawda.

– Chyba nie zamierzasz się rozpłakać?

– Nie będę płakała! Nie przez ciebie. Nawet za tysiąc lat.

Kopnęła go w piszczel, nie w tę sztuczną, tylko w prawdziwą, a on żartobliwie poklepał ją po

głowie.

Trzynaście dni. Prawie dwa tygodnie. Minęło zaledwie pięć dni, a Lajla już poznała podstawową prawdę na temat czasu: podobnie jak akordeon, na którym ojciec Tarigha grywał czasami stare pasztuńskie pieśni, czas rozciągał się i kurczył w zależności od tego, czy Tarigh był, czy też nie był obecny.

Z dołu dobiegały odgłosy kłótni rodziców Lajli. Znowu. Lajla dobrze znała ten schemat: Mamusia rozzłoszczona, niepohamowana, chodząca szybkim krokiem tam i z powrotem, perorująca, i Babi, który siedział zażenowany i porażony i potakiwał posłusznie, czekając, aż burza minie. Nadal słyszała jej głos. Wreszcie trzasnęły drzwi. Ciężkie kroki. Łóżko Mamusi głośno zatrzeszczało. Wyglądało na to, że tym razem Babi dożyje kolejnego dnia.

– Lajlo! – zawołał ją teraz. – Spóźnię się do pracy!

– Chwileczkę!

Lajla wsunęła buty i stojąc przed lustrem, szybko rozczesała długie do ramion kręcone jasne włosy. Mamusia zawsze powtarzała, że Lajla odziedziczyła kolor włosów – podobnie jak turkusowozielone oczy ocienione grubymi rzęsami, policzki, w których przy uśmiechu

robiły się dołeczki, wysokie kości policzkowe, wydętą dolną wargę – po swojej praprababci, babci Mamusi. „Ona była pari, olśniewająca – mawiała Mamusia. – O jej urodzie mówiono w całej dolinie. Przeskoczyła dwa pokolenia kobiet w rodzinie, ale z pewnością nie ominęła ciebie, Lajlo”. Mówiąc o dolinie, Mamusia miała na myśli zdominowany przez Tadżyków Pandższir, gdzie mówiono językiem farsi, położony sto kilometrów na północny wschód od Kabulu. Zarówno Mamusia, jak i Babi, którzy byli blisko ze sobą spokrewnieni, urodzili się i wychowali w dolinie Pandższir i jako świeżo poślubieni małżonkowie, pełni nadziei przenieśli się do Kabulu w 1960 roku, kiedy Babi dostał się na tutejszy uniwersytet.

Lajla zbiegła na dół, mając nadzieję, że Mamusia nie wyjdzie ze swojego pokoju, gotowa do podjęcia drugiej rundy. Babi klęczał przy drzwiach z siatką przeciw owadom.

– Widziałaś to, Lajlo?

Siatka była rozdarta już od kilku tygodni. Lajla przykucnęła obok niego.

– Nie. To musiało rozedrzeć się całkiem niedawno.

– Tak powiedziałem Faribie. – Był wstrząśnięty i jakby cały się skurczył, jak zawsze,

kiedy Mamusia na niego napadała. – Narzeka, że przez tę dziurę wlatują pszczoły.

Lajla współczuła mu z całego serca. Babi był drobnym mężczyzną o wąskich ramionach i szczupłych, delikatnych, niemal kobiecych dłoniach. Wieczorami, kiedy Lajla wchodziła do jego pokoju, zawsze zastawała go pochylonego nad książką, z okularami przekrzywionymi na czubku nosa. Czasem nie zauważał nawet, że weszła. A kiedy już ją zobaczył, zaznaczał stronę, którą czytał, i uśmiechał się do niej przyjacielsko. Babi znał większość *gazale* Rumiego i Hafeza. Potrafił długo mówić o walce pomiędzy Wielką Brytanią a carską Rosją o Afganistan. Wiedział, czym różni się stalaktyt od stalagmitu i można było się od niego dowiedzieć, że odległość między Słońcem a Ziemią jest półtora miliona dłuższa od odległości między Kabulem a Ghazni. Ale jeśli Lajla potrzebowała silnej ręki do odkręcenia pokrywki słoika z cukierkami, musiała iść z tym do Mamusi. Odbierała to jako zdradę. Babi zupełnie nie radził sobie w takich sprawach. Pod jego nadzorem skrzypiące zawiasy drzwi nigdy nie były naoliwione. Dach, który uszczelnił, nadal przeciekał. Pleśń bezczelnie pleniła się w szafkach kuchennych. Mamusia powiedziała kiedyś, że zanim Ahmad w 1980 roku opuścił

wraz z Nurem dom, by dołączyć do dżihadu przeciw Sowietom, właśnie on sumiennie i fachowo zajmował się takimi sprawami.

– Ale jeśli trzeba pilnie przeczytać jakąś książkę – powiedziała Mamusia – to Hakim jest pierwszy do roboty.

Mimo to Lajla nie mogła pozbyć się wrażenia, że kiedyś, zanim Ahmad i Nur poszli na wojnę przeciw Sowietom – zanim Babi pozwolił im iść na wojnę – Mamusia również uważała, że jego zamiłowanie do książek jest ujmujące, że kiedyś, dawno temu, jego roztrzepanie i nieporadność były dla niej czarujące.

– A więc co dziś mamy? – spytał teraz z fałszywą obojętnością. – Dzień piąty? Czy już szósty?

– A co mnie to obchodzi? Nie zwracam na to uwagi – Lajla skłamała, wzruszając ramionami. Uwielbiała go za to, że pamiętał. Mamusia nie miała nawet pojęcia, że Tarigh wyjechał.

– Nim się obejrzysz, światło jego latarki znów rozbłyśnie – powiedział Babi, mając na myśli zabawę w sygnały świetlne, którą Lajla i Tarigh uprawiali co wieczór. Bawili się w ten sposób od tak dawna, że podobnie jak mycie zębów stało się to rytuałem odprawianym co dzień przed pójściem do łóżka.

Babi przesunął palcem po krawędzi dziury.

– Załatam to, gdy tylko będę mógł. Chodźmy już. – Podniósł głos i krzyknął przez ramię: – Wychodzimy, Faribo! Odprowadzam Lajlę do szkoły. Nie zapomnij jej odebrać!

Na ulicy, kiedy Lajla sadowiła się na bagażniku roweru Babiego, zauważyła samochód zaparkowany po drugiej stronie ulicy, przed domem, w którym mieszkał szewc Raszid ze swoją prowadzącą samotnicze życie żoną. Był to rzadko spotykany w tej dzielnicy mercedes, niebieski, z grubymi białymi pasami na masce, dachu i bagażniku. Lajla dostrzegła dwóch mężczyzn siedzących w środku, jednego za kierownicą, drugiego z tyłu.

– Kim oni są? – spytała.

– To nie nasza sprawa – odparł Babi. – Wskakuj, spóźnisz się na lekcje.

Lajla przypomniała sobie inną kłótnię rodziców, kiedy Mamusia stała nad Babim i mówiła z przejęciem: „To jest twoja sprawa, prawda, kuzynie? Nicnierobienie jest twoją sprawą. Nawet jeśli twoi synowie idą na wojnę. Ile ja ciebie prosiłam, błagałam. Ale ty wsadziłeś nos w te twoje przeklęte książki i pozwoliłeś naszym synom pojechać, jakby byli jakimiś *harami*”.

Babi pedałował w górę ulicy, a Lajla siedziała z tyłu, obejmując go mocno w pasie. Kiedy mijali błękitnego mercedesa, Lajli mignął przez chwilę mężczyzna siedzący z tyłu: chudy, siwy, w ciemnobrązowym garniturze, z trójkątną białą chusteczką w kieszeni na piersiach. Zauważyła jeszcze, że samochód miał rejestrację Heratu.

Przez resztę drogi jechali w milczeniu, nie licząc zakrętów, kiedy Babi ostrożnie hamował i mówił:

– Trzymaj się, Lajlo. Zwalniam. Zwalniam. Już.

Tego dnia z powodu nieobecności Tarigha i porannej kłótni rodziców Lajla nie mogła skupić się na lekcjach. Kiedy nauczycielka spytała ją o nazwy stolic Rumunii i Kuby, zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Nauczycielka miała na imię Szanzaj, ale uczniowie za jej plecami nazywali ją *chala* Rangmal, Ciocią Malarką, z powodu sposobu, w jaki biła ich po twarzy – otwartą dłonią, potem wierzchem dłoni, w tę i z powrotem, jak malarz malujący pędzlem. *Chala* Rangmal była młodą kobietą o ostrych rysach twarzy i grubych brwiach. Pierwszego dnia szkoły z dumą oznajmiła całej klasie, że jest córką biednego

wieśniaka z Chost. Stała wyprostowana, z kruczoczarnymi włosami spiętymi w ciasny kok, a kiedy się odwracała, Lajla mogła dostrzec ciemne włoski na jej szyi. *Chala* Rangmal nie malowała się ani nie nosiła biżuterii. Nie zakrywała głowy i zabraniała uczennicom nosić chusty. Mówiła, że mężczyźni i kobiety są równi pod każdym względem i nie ma żadnego powodu, dla którego kobiety miałyby się zakrywać, skoro mężczyźni tego nie robią.

Mówiła, że Związek Radziecki jest najlepszym krajem na świecie, podobnie jak Afganistan. Dba o swoich robotników i wszyscy obywatele są równi. Wszędzie w Związku Radzieckim ludzie są szczęśliwi i przyjaźnie do siebie nastawieni, w przeciwieństwie do Ameryki, gdzie z powodu licznych przestępstw mieszkańcy boją się wyjść z domów. W Afganistanie również wszyscy będą szczęśliwi, mówiła, kiedy przeciwnicy postępu, ci zacofani bandyci, zostaną pokonani.

– Dlatego nasi sowieccy towarzysze zjawili się tu w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku, aby podać pomocną dłoń swym sąsiadom. Pomóc nam pokonać tych brutali, którzy chcą, abyśmy pozostali zacofanym, prymitywnym narodem. Musicie informować o każdym, kto posiada jakieś

informacje na temat rebeliantów. To jest wasz obowiązek. Musicie słuchać, a potem informować. Nawet jeśli to dotyczy waszych rodziców, wujów czy ciotki. Bo nikt spośród nich nie kocha was tak jak wasz kraj. Wasz kraj jest na pierwszym miejscu, pamiętajcie o tym! Będę z was dumna i wasz kraj również będzie z was dumny.

Na ścianie za biurkiem Chali Rangmal wisiała mapa Związku Radzieckiego, mapa Afganistanu, oprawione w ramki zdjęcie ostatniego komunistycznego prezydenta Nadżibullaha, który, jak powiedział Babi, stał kiedyś na czele budzącego postrach CHAD-u, afgańskiej tajnej policji. Na ścianie wisiały też inne zdjęcia, głównie przedstawiające radzieckich żołnierzy ściskających dłonie rolników albo sadzących młode drzewka jabłoni, zawsze miło uśmiechniętych.

– Proszę, proszę – powiedziała teraz *chala* Rangmal. – Czyżbym przerwała ci marzenia na jawie, Dziewczynko Rewolucji?

Tak przezywała ją nauczycielka, Dziewczynką Rewolucji, ponieważ Lajla urodziła się w kwietniową noc 1978 roku podczas zamachu stanu – tyle że *chala* Rangmal złościła się, jeśli jakiś uczeń użył określenia „zamach stanu”. To,

co wtedy się stało, upierała się, to był *enghelab*, rewolucja, powstanie pracującego ludu przeciwko nierówności. Dżihad było kolejnym zakazanym słowem. Jej zdaniem w reszcie kraju nie toczyła się nawet wojna, tylko potyczki z wichrzycielami, manipulowanymi przez ludzi, których nazywała obcymi prowokatorami. I z całą pewnością nikt, ale to nikt, nie ważył się w jej obecności powtarzać plotek o tym, że po ośmiu latach walk Sowieci tę wojnę przegrywają. Zwłaszcza teraz, gdy prezydent Reagan zaczął wysyłać mudżahedinom rakiety Stinger do zestrzeliwania radzieckich helikopterów, a muzułmanie z całego świata przyłączali się do sprawy: Egipcjanie, Pakistańczycy, a nawet zamożni Saudyjczycy, którzy porzucili swoje miliony i przyjechali do Afganistanu, by przystąpić do dżihadu.

– Bukareszt. Hawana – udało jej się wreszcie odpowiedzieć.

– A czy te kraje są naszymi przyjaciółmi?

– Tak, *moallem sahebie*. Są zaprzyjaźnionymi krajami.

Chala Rangmal oschle przytaknęła.

Po lekcjach Mamusia znów po nią nie przyszła, więc Lajla wracała do domu z dwiema koleżankami z klasy, Giti i Hasiną.

Giti była bardzo spiętą, drobnokościstą dziewczynką, która zaplatała włosy w dwa warkocze i związywała gumkami. Zawsze miała nachmurzoną minę, a idąc, przyciskała książki do piersi niczym tarczę. Hasina miała dwanaście lat, była trzy lata starsza od Lajli i Giti, ale raz nie zdała do czwartej klasy, a dwa razy do piątej. Hasina nadrabiała braki w nauce szelmostwem i buzią, która, jak powiedziała Giti, pracuje jak maszyna do szycia. To Hasina wymyśliła przezwisko *chala* Rangmal.

Dziś Hasina udzielała porad, jak pozbyć się nieatrakcyjnych zalotników.

– Niezawodna metoda, sukces gwarantowany. Daję wam na to moje słowo.

– To głupie! Jestem za mała, żeby mieć zalotnika! – zauważyła Giti.

– Wcale nie jesteś za mała.

– Ale nikt nie przyszedł prosić o moją rękę.

– To dlatego, że masz brodę, kochanie.

Giti dotknęła swojego podbródka i spojrzała wystraszona na Lajlę, która uśmiechnęła się ze współczuciem – nie znała nikogo, kto miałby tak

mało poczucia humoru co Giti – i pokręciła uspokajająco głową.

– Tak czy owak, moje panie, chcecie wiedzieć, co robić w takiej sytuacji, czy nie?

– Mów – powiedziała Lajla.

– Fasola. Nie mniej niż cztery puszki. Tego wieczoru, gdy bezzębny jaszczur przyjdzie prosić o twoją rękę. Ale wyczucie czasu, moje panie, wyczucie czasu jest najważniejsze. Musicie powstrzymać fajerwerki do czasu, aż trzeba będzie podać mu herbatę.

– Zapamiętam to sobie – obiecała Lajla.

– On również.

Lajla mogła odpowiedzieć, że nie potrzebuje takich rad, ponieważ Babi nie zamierza w najbliższym czasie wydawać jej za mąż. Choć Babi pracował w Silo, ogromnym zakładzie piekarniczym, w upale i huku maszynerii podsycającej ogień w wielkich piecach i młynach do ziarna, miał wyższe wykształcenie. Był nauczycielem w szkole średniej, nim komuniści wyrzucili go z pracy – stało się to tuż po zamachu stanu w 1978 roku, jakieś półtora roku przed radziecką inwazją. Babi od dziecka jasno dawał Lajli do zrozumienia, że dla niego najważniejszą rzeczą w życiu, poza jej bezpieczeństwem, jest jej wykształcenie.

„Wiem, że jesteś jeszcze mała, ale chcę, żebyś już teraz to zrozumiała i zapamiętała – powiedział. – Małżeństwo może poczekać, ale wykształcenie nie. Jesteś bardzo bystrą dziewczynką. Naprawdę tak uważam. Możesz zostać, kimkolwiek zechcesz, Lajlo. Wiem o tym. I wiem również, że kiedy skończy się ta wojna, Afganistan będzie potrzebować ciebie tak bardzo jak swych mężczyzn, a może nawet bardziej. Ponieważ społeczeństwo nie ma szansy na sukces, jeśli kobiety nie są wykształcone, Lajlo. Nie ma szansy”.

Ale Lajla nie wspomniała Hasinie, że Babi mówił jej takie rzeczy, nie wspomniała, jaka jest szczęśliwa, że ma takiego ojca, i dumna, iż tak ją ceni, ani jak bardzo jest zdeterminowana, by za jego przykładem zdobyć wykształcenie. Ostatnie dwie klasy Lajla ukończyła ze świadectwem *awwal nomra*, przyznawanym najlepszemu uczniowi z każdego rocznika. Ale żadnej z tych rzeczy nie powiedziała Hasinie, której ojciec, łatwo wpadający w gniew taksówkarz, niemal na pewno zamierzał za dwa albo trzy lata wydać ją za mąż. Hasina zwierzyła się Lajli, w jednym z rzadkich dla niej momentów powagi, że już zostało postanowione, iż wyjdzie za ciotecznego brata, starszego o dwadzieścia lat, który jest

właścicielem warsztatu samochodowego w Lahore. „Widziałam go dwa razy – powiedziała Hasina. – Za każdym razem przeżuwał z otwartymi ustami”.

– Fasola, dziewczęta – przypomniała Hasina. – Zapamiętajcie to. Chyba że – w tym miejscu zrobiła szelmowską minę i szturchnęła Lajlę łokciem – do drzwi zapuka twój przystojny, jednonogi książę. Wtedy…

Lajla odepchnęła jej rękę. Obraziłaby się, gdyby ktokolwiek inny powiedział coś takiego o Tarighu. Ale wiedziała, że Hasina nie robi tego złośliwie. Kpiła sobie – tylko tyle zrobiła – a jej kpiny nikogo nie omijały, nawet jej samej.

– Nie powinnaś tak mówić o ludziach! – upomniała ją Giti.

– Jakich ludzi masz na myśli?

– Ludzi, którzy zostali ranni z powodu wojny – powiedziała Giti poważnym tonem, ignorując żarty Hasiny.

– Zdaje się, że mułła Giti jest zadurzona w Tarighu. Wiedziałam! Cha! Ale on już jest po słowie, nie wiedziałaś o tym? Prawda, Lajlo?

– Nie jestem zadurzona. W nikim nie jestem zadurzona!

Odłączyły od Lajli i nadal się przekomarzając, skręciły w uliczkę, przy której mieszkały.

Ostatnie trzy przecznice Lajla szła sama. Kiedy znalazła się na swojej ulicy, zauważyła, że przed domem Raszida i Mariam nadal stoi błękitny mercedes. Starszy pan w brązowym garniturze stał teraz na chodniku, wspierając się na lasce, i spoglądał na dom.

Nagle Lajla usłyszała za swoimi plecami głos:

– Hej, Żółtowłosa, spójrz tutaj.

Lajla odwróciła się i spojrzała wprost w wycelowaną w nią lufę pistoletu.

17

Pistolet był czerwony, cyngiel jasnozielony. Zza pistoletu wyłaniała się wykrzywiona twarz Chadima. Chadim miał jedenaście lat, tyle samo co Tarigh. Był gruby, wysoki i miał mocno wysuniętą do przodu dolną szczękę. Jego ojciec był rzeźnikiem w Deh-Mazang i od czasu do czasu Chadim, o czym wszyscy doskonale wiedzieli, obrzucał przechodniów kawałkami cielęcych jelit. Czasem, kiedy Tarigha nie było w pobliżu, Chadim skrycie śledził Lajlę, kryjąc się za drzewami, łypiąc na nią i wydając ciche płaczliwe odgłosy. Kiedyś złapał ją za ramię i szepnął: „Jesteś taka ładna, Żółtowłosa. Chcę się z tobą ożenić”.

Teraz wymachiwał pistoletem.

– Nie martw się – powiedział. – Nie będzie tego widać. Nie na twoich włosach.

– Ani się waż! Ostrzegam cię.

– A co mi zrobisz? – spytał. – Poszczujesz na mnie tego swojego kalekę? Och, Tarigh *dżan*. Och, kiedy wrócisz do domu i wybawisz mnie od tego *badmasz*!

Lajla zaczęła się wycofywać, ale Chadim już naciskał spust. Jakaś ciepła ciecz trysnęła strumieniami na włosy Lajli, a potem na dłoń, gdy uniosła ją, by zasłonić twarz.

Obraźliwe słowa, które usłyszała kiedyś na ulicy, same cisnęły jej się teraz na usta. Za bardzo ich nie rozumiała – nie mogła pojąć, jaka logika nimi kieruje – ale czuła, że niosą w sobie ładunek wściekłości, i teraz rzuciła mu je w twarz.

– Twoja matka ciągnie druta!

– Przynajmniej nie jest wariatką, jak twoja – odpalił z niewzruszonym spokojem Chadim. – Przynajmniej mój ojciec nie jest cykorem! A przy okazji, może powąchasz swoje ręce?

Inni chłopcy przyłączyli się do niego:

– Powąchaj ręce! Powąchaj ręce!

Lajla powąchała je, ale nim to zrobiła, wiedziała już, co miał na myśli, mówiąc, że nie będzie widać śladów na jej włosach. Wydała z siebie przenikliwy pisk. Na co chłopcy zareagowali jeszcze większym śmiechem i gwizdami.

Lajla odwróciła się i z płaczem pobiegła do domu.

Nabrała wody ze studni, po czym napełniła miednicę w łazience i zdarła z siebie ubranie. Namydliła włosy, gorączkowo masując głowę i pojękując z obrzydzeniem. Spłukała włosy wodą z mniejszej miski i znów je namydliła. Kilka razy myślała, że zwymiotuje. Jęczała i dygotała, szorując namydloną myjką twarz i szyję, aż poczerwieniały.

Nigdy by do tego nie doszło, gdyby Tarigh przy niej był, pomyślała, wkładając czystą koszulę i spodnie. Chadim by się nie odważył. Oczywiście nie doszłoby do tego również wówczas, gdyby Mamusia przyszła po nią do szkoły, tak jak to było ustalone. Czasami Lajla zastanawiała się, dlaczego w ogóle Mamusia zadała sobie trud wydania jej na świat. Lajla doszła ostatnio do wniosku, że ci, którzy całą swoją miłość oddali już posiadanym dzieciom, nie powinni mieć następnych. To nie w porządku. Ogarnęła ją złość. Poszła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko.

Kiedy najgorszy moment minął, przeszła przez przedpokój i zapukała do drzwi Mamusi.

Kiedy była młodsza, godzinami przesiadywała pod tymi drzwiami, cichutko w nie stukała i szeptała w kółko wyraz „Mamusia”, jak magiczne zaklęcie, które miało zdjąć urok: „Mamusiu, Mamusiu, Mamusiu…”. Ale Mamusia nigdy nie otwierała drzwi. Teraz też ich nie otworzyła. Lajla nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Czasem Mamusia miała lepszy dzień. Wyskakiwała z łóżka z błyszczącymi oczami, rozbawiona, a obwisła dolna warga unosiła się w uśmiechu. Brała kąpiel, wkładała czyste ubranie i malowała rzęsy. Pozwalała Lajli rozczesać sobie włosy, co Lajla uwielbiała robić, i zakładała kolczyki. Razem szły na zakupy na Mandaj Bazar. Lajla wciągała ją w grę „węże i drabiny” i jadły wiórki z bloków ciemnej czekolady, jednej z niewielu rzeczy, które im obu smakowały. Lajla najbardziej lubiła tę porę dobrych dni Mamusi, kiedy Babi wracał do domu, a ona i Mamusia siedziały za stołem i uśmiechały się do niego na powitanie, szczerząc brązowe zęby. Do pokoju wpadał wtedy powiew radości, a Lajla łapała przebłyski czułości i romantyzmu, które niegdyś, kiedy dom był

wypełniony ludźmi, hałasem i szczęściem, łączyły jej rodziców.

Czasami w dobre dni Mamusia zabierała się do pieczenia i zapraszała sąsiadki na herbatę i ciasteczka. Lajla wylizywała do czysta miski, a Mamusia nakrywała do stołu. Ustawiała filiżanki, rozkładała serwetki i wyjmowała najlepsze talerze. Później Lajla zajmowała swoje miejsce przy stole w salonie i usiłowała włączyć się do rozmowy, a kobiety hałaśliwie rozprawiały o różnych sprawach, popijały herbatę i prawiły Mamusi komplementy na temat jej wypieków. Choć Lajla zwykle nie miała wiele do powiedzenia, lubiła z nimi siedzieć i przysłuchiwać się, bo podczas tych wizyt spotykała ją rzadka przyjemność: mogła posłuchać, jak Mamusia mówi z uczuciem o Babim.

– Ależ on był pierwszorzędnym nauczycielem – mówiła. – Jego uczniowie go uwielbiali. I nie tylko za to, że nigdy nie bił ich linijką, jak inni nauczyciele. Oni go szanowali, bo on szanował ich. Był wspaniały.

Mamusia lubiła opowiadać o tym, jak Babi jej się oświadczył.

– Miałam szesnaście lat, a on dziewiętnaście. Nasze rodziny mieszkały w sąsiednich domach

w Pandższirze. Och, zadurzyłam się w nim, *hamszira!* Wdrapywałam się na mur pomiędzy naszymi domami i bawiliśmy się w sadzie jego ojca. Hakim zawsze bał się, że zostaniemy przyłapani, a mój ojciec go zbije. „Twój ojciec mnie zbije”, tak zawsze powtarzał. Był taki ostrożny, taki poważny, nawet wtedy. A potem, któregoś dnia, powiedziałam, ja to do niego powiedziałam: „Kuzynie, co z nami będzie? Poprosisz o moją rękę, czy sprawisz, że zostanę dla ciebie *khasteriksza*?”. Powiedziałam to tak po prostu. Trzeba było widzieć jego minę!

Mama klaskała w dłonie, a Lajla się śmiała.

Słuchając takich opowieści Mamusi, Lajla utwierdzała się w przeświadczeniu, że były takie czasy, gdy Mamusia zawsze w ten sposób mówiła o Babim. Czasy, kiedy jej rodzice nie spali w oddzielnych pokojach. Żałowała, że te czasy ją ominęły.

Opowieść Mamusi o oświadczynach nieuchronnie wywoływała temat swatów. Kiedy Afganistan będzie wolny od Sowietów, a chłopcy wrócą do domów, będą im potrzebne panny młode. I tak kobiety przedstawiały jedną po drugiej kolejne dziewczęta z sąsiedztwa, które mogłyby albo nie mogły być odpowiednie dla Ahmada i Nura. Kiedy rozmowa schodziła na jej

braci, Lajla zawsze czuła się wyłączona, tak jakby kobiety rozmawiały o ulubionym filmie, którego ona nie widziała. Miała dwa lata, gdy Ahmad i Nur wyjechali z Kabulu do Pandższiru na północ, by dołączyć do sił komendanta Ahmada Szaha Masuda i walczyć w dżihadzie. Lajla ledwo ich pamiętała. Lśniący wisiorek ze słowem Allah na szyi Ahmada. Kępka ciemnych włosów na uchu Nura. I to wszystko.

– A co powiesz o Azicie?

– Córce tkacza dywanów? – powiedziała Mamusia, klepiąc się po policzku z udawanym oburzeniem. – Ma gęstszy wąs niż Hakim.

– Jest też Anahita. Słyszałyśmy, że jest najlepsza z całej klasy w Zarghoona.

– Widziałyście jej zęby? Wyglądają jak płyty nagrobkowe. Za tymi ustami kryje się cmentarz.

– A siostry Wahidi?

– Te dwie karlice? Nie, nie, nie. Nie dla moich synów. Nie dla moich sułtanów. Zasługują na coś lepszego.

Pogaduszki ciągnęły się dalej, a Lajla wyłączała się i jej myśli jak zawsze zaczynały krążyć wokół Tarigha.

Mamusia zaciągnęła żółtawe zasłony. W ciemnościach w pokoju unosił się zastały zapach snu, niewypranej pościeli, potu, brudnych skarpetek, perfum, resztek *ghormy* z poprzedniego wieczoru. Lajla czekała, aż jej oczy przywykną do mroku i dopiero wtedy weszła głębiej do pokoju. Ale i tak jej stopy zaplątały się w porozrzucane po podłodze części garderoby.

Lajla odsłoniła okno. W nogach łóżka stało stare, metalowe, składane krzesło. Lajla usiadła na nim i spojrzała na nieruchomy przykryty kołdrą kopiec, który był jej mamą.

Ściany w pokoju Mamusi pełne były zdjęć Ahmada i Nura. Gdziekolwiek spojrzała, uśmiechali się do niej dwaj nieznajomi chłopcy. Nur na rowerku na trzech kółkach. Ahmad odprawiający modły, pozujący przy zegarze słonecznym, który zrobił razem z Babim, kiedy miał dwanaście lat. A oto oni obaj, jej bracia, siedzący ramię przy ramieniu pod starą gruszą na podwórku.

Spod łóżka Mamusi wystawał kawałek pudełka po butach Ahmada. Od czasu do czasu Mamusia pokazywała Lajli stare, pogniecione wycinki z gazet, które w nim przechowywała, i broszury zebrane przez Ahamada wśród grup

powstańczych i organizacji oporu, których kwatery główne mieściły się w Pakistanie. Lajla pamiętała, że jedno ze zdjęć przedstawia mężczyznę w długim białym płaszczu podającego lizaka małemu chłopcu bez nóg. Napis pod zdjęciem głosił: „Dzieci są zamierzonymi ofiarami sowieckiej kampanii minowej". Dalej w artykule była mowa o tym, że Sowieci lubili również ukrywać materiały wybuchowe w kolorowych zabawkach. Jeśli dziecko podniosło taką zabawkę, od razu wybuchała, odrywając mu palce albo całą dłoń. Ojciec takiego dziecka nie mógł dołączyć do dżihadu – musiał zostać w domu i opiekować się dzieckiem. W innym z artykułów z pudełka Ahmada młody mudżahedin opowiadał, że Sowieci zrzucili na jego wioskę gaz, który spalił ludziom skórę i ich oślepił. Powiedział, że widział, jak jego matka i siostra biegły do strumienia, kaszląc krwią.

– Mamusiu…

Kopiec nieznacznie się poruszył. Wydobyło się z niego westchnienie.

– Mamusiu, wstań. Jest trzecia.

Kolejne westchnienie. Pojawiła się dłoń, niczym peryskop łodzi podwodnej przedzierający się na powierzchnię. Dłoń opadła. Tym razem kopiec poruszył się nieco wyraźniej.

Pościel zaszeleściła i kolejne warstwy prześcieradeł zaczęły unosić się w górę. Powoli, etapami, Mamusia zaczynała się materializować: najpierw niechlujne włosy, potem biała skrzywiona twarz, zmrużone, broniące się przed światłem oczy, dłoń szukająca po omacku wezgłowia łóżka. Prześcieradła ześlizgiwały się na podłogę, a ona powoli wyłaniała się spod nich, pomrukując. Mamusia z wysiłkiem rozejrzała się wokół, zamrugała, bo raziło ją światło, i opuściła głowę na piersi.

– Jak było w szkole? – wymamrotała.

A więc zaczyna się. Obowiązkowe pytania, zdawkowe odpowiedzi. Jedne i drugie udawane. Pozbawieni entuzjazmu partnerzy, one obie, w tym męczącym starym tańcu.

– Dobrze – odparła Lajla.

– Nauczyłaś się czegoś?

– Jak zwykle.

– Jadłaś?

– Tak.

– To dobrze.

Mamusia znów podniosła głowę i spojrzała w stronę okna. Skrzywiła się i zamrugała. Prawa strona jej twarzy była czerwona, a włosy po tej stronie przyklepane.

– Boli mnie głowa.

– Mam ci przynieść aspirynę?

Mamusia pomasowała sobie skronie.

– Może później. Czy tata jest już w domu?

– Jest dopiero trzecia.

– Och. No tak. Już to mówiłaś. – Mamusia ziewnęła. – Właśnie coś mi się śniło – powiedziała głosem niemal tak cichym jak szelest jej koszuli nocnej i pościeli. – Dopiero co. Zanim tu weszłaś. Nie mogę sobie teraz przypomnieć, co to było. Czy też tak czasami masz?

– Wszyscy tak mają, Mamusiu.

– Bardzo to dziwne.

– Powinnam ci powiedzieć, że kiedy śniłaś, chłopiec wystrzelił w moje włosy sikami z pistoletu na wodę.

– Wystrzelił co takiego? Co to było? Przykro mi.

– Siki. Mocz.

– To… to straszne. Mój Boże. Przykro mi. Biedactwo. Porozmawiam z nim jutro z samego rana. Albo z jego matką. Tak, tak będzie chyba lepiej.

– Nie powiedziałam ci, kto to był.

– Och, no tak. A więc kto to był?

– Nieważne.

– Jesteś zła.

– Miałaś odebrać mnie ze szkoły.

– Miałam – powiedziała Mamusia chrapliwym głosem. Lajla nie potrafiła określić, czy było to pytanie. Mamusia zaczęła skubać sobie włosy. Fakt, że przez to skubanie nie była jeszcze łysa jak jajko, stanowił dla Lajli jedną z wielkich nieodgadnionych tajemnic. – A co z… Jak ma na imię ten twój przyjaciel, Tarigh? Tak, co z nim?

– Wyjechał i nie ma go już od tygodnia.

– Och. – Mamusia pociągnęła nosem. – Umyłaś się?

– Tak.

– A więc jesteś czysta. – Odwróciła zmęczone spojrzenie w stronę okna. – Jesteś czysta i wszystko jest w porządku.

Lajla wstała.

– Mam lekcje do odrobienia.

– Oczywiście. Zaciągnij zasłony, zanim wyjdziesz, kochanie – poprosiła Mamusia słabym głosem. Już zapadała się pod prześcieradła.

Kiedy Lajla podeszła do okna, zobaczyła samochód przejeżdżający ulicą. Unosiła się za nim chmura pyłu. Był to błękitny mercedes z rejestracją z Heratu, który wreszcie odjeżdżał. Odprowadziła go wzrokiem, aż znikł za zakrętem, połyskując w słońcu tylną szybą.

– Jutro nie zapomnę – powiedziała Mamusia za jej plecami. – Obiecuję.

– To samo mówiłaś wczoraj.

– Lajlo, ty nic nie wiesz.

– Czego nie wiem? – Lajla odwróciła się, by spojrzeć matce w twarz. – Czego nie wiem?

Dłoń Mamusi powędrowała w stronę piersi i poklepała to miejsce.

– Tutaj. Co jest tutaj. – Potem dłoń opadła bezwładnie. – Po prostu nie wiesz.

18

Minął cały tydzień, zaczął się kolejny i również minął, ale nadal nie było ani śladu Tarigha.

Aby wypełnić czymś czas, Lajla naprawiła siatkę w drzwiach, do której Babi nie zdążył się jeszcze zabrać. Zdjęła z półek książki Babiego, odkurzyła je i ustawiła w porządku alfabetycznym. Poszła na ulicę Kurcząt z Hasiną, Giti i mamą Giti, Nilą, która była szwaczką, i od czasu do czasu szyła coś razem z Mamusią. W ciągu tego tygodnia Lajla nabrała przekonania, że spośród wszelkich trudności, które spotykają człowieka w życiu, nic nie stanowi gorszej kary niż zwykłe czekanie.

Minął jeszcze jeden tydzień.

Lajlę napadły najczarniejsze podejrzenia.

Tarigh nigdy nie wróci. Jego rodzice wyjechali na dobre, podróż do Ghazni była tylko podstępem. Sposobem zastosowanym przez

dorosłych, by oszczędzić im smutnego pożegnania.

Znów wszedł na minę. Tak jak w 1981 roku, kiedy miał pięć lat. Wtedy rodzice też zabrali go na południe do Ghazni i od tamtej pory aż do teraz tam nie jeździli. Stało się to tuż po trzecich urodzinach Lajli. Miał szczęście, bo stracił tylko jedną nogę, miał szczęście, że w ogóle przeżył.

Po głowie bez przerwy chodziły jej takie myśli.

Wreszcie którejś nocy Lajla dostrzegła słabe światło latarki w dole ulicy. Z ust wyrwał jej się okrzyk, coś między piskiem a westchnieniem. Szybko sięgnęła pod łóżko po swoją latarkę, ale okazało się, że nie działa. Lajla potrząsnęła nią kilka razy, przeklinając rozładowane baterie. Ale nie miało to znaczenia. Tarigh wrócił. Lajla usiadła na brzegu łóżka. Czuła tak wielką ulgę, że aż kręciło jej się od tego w głowie. Siedziała i obserwowała piękne, żółte, mrugające oko.

Następnego dnia po drodze do domu Tarigha Lajla zauważyła po drugiej stronie ulicy Chadima z grupką kolegów. Siedział w kucki i rysował coś na ziemi patykiem. Na jej widok odrzucił patyk i potrząsnął palcami, jakby strząsał z nich krople

wody. Powiedział coś, co wzbudziło śmiech jego kolegów. Lajla opuściła głowę i przyspieszyła kroku.

– Coś ty zrobił?! – wykrzyknęła, kiedy Tarigh otworzył drzwi. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że jego wuj był fryzjerem.

– Podoba ci się?

– Wyglądasz, jakbyś miał zaciągnąć się do armii.

– Chcesz dotknąć? – nachylił głowę.

Drobne szorstkie włoski były miłe w dotyku. Tarigh nie był jak ci inni chłopcy, których włosy ukrywały jajowate głowy i szpecące je guzki. Tarigh miał doskonale sklepioną czaszkę, bez żadnych guzków.

Kiedy się wyprostował, zobaczyła, że ma ogorzałe od słońca policzki i czoło.

– Dlaczego tak długo cię nie było?

– Mój wuj był chory. Chodź. Wejdź do środka.

Poprowadził ją przez przedpokój do pokoju dziennego. Lajla uwielbiała wszystko w tym domu: sfatygowany stary dywan w pokoju dziennym, patchworkową narzutę na kanapie, zwykły bałagan obecny w codziennym życiu Tarigha: bele materiału jego mamy, jej igły do szycia wbite w szpulki, stare czasopisma,

akordeon w kącie, czekający, aż ktoś z trzaskiem go otworzy.

– Kto przyszedł?! – zawołała jego mama z kuchni.

– Lajla! – odpowiedział Tarigh.

Przysunął jej krzesło. Pokój dzienny był jasno oświetlony i miał podwójne okna wychodzące na podwórko. Na parapecie stały puste słoiki, w których mama Tarigha marynowała bakłażany i robiła marchewkową marmoladę.

– Masz na myśli naszą *arus*, naszą synową – sprostował jego ojciec, wchodząc do pokoju. Był stolarzem, sześćdziesięcioparoletnim, szczupłym, siwym mężczyzną. Miał szpary między przednimi zębami i stale zmrużone oczy, jak ktoś, kto niemal całe życie spędził na świeżym powietrzu. Lajla rzuciła się w jego szeroko otwarte ramiona. Powitał ją przyjemny znajomy zapach trocin. Ucałowali się trzy razy w policzki.

– Stale tak ją nazywasz, aż w końcu przestanie tu przychodzić – powiedziała mama Tarigha, przechodząc obok nich. Niosła tacę z wielką misą, łyżką do nakładania i czterema miseczkami. Postawiła tacę na stole. – Nie zwracaj uwagi na starego mężczyznę. – Ujęła buzię Lajli w dłonie. – Miło cię widzieć, kochanie.

Siadaj. Przywiozłam ze sobą trochę namoczonych w wodzie owoców.

Stół był masywny, wykonany z jasnego nielakierowanego drewna – zrobił go ojciec Tarigha, podobnie jak krzesła. Nakryty był ciemnozielonym winylowym obrusem w małe półksiężyce i gwiazdki w kolorze fuksji.

Większość ścian w pokoju zajmowały zdjęcia Tarigha z różnych okresów dzieciństwa. Na tych wcześniejszych miał obie nogi.

– Słyszałam, że pana brat był chory? – zwróciła się Lajla do ojca Tarigha, nabierając łyżką z misy namoczone rodzynki, pistacje i morele.

Zapalił papierosa.

– Tak, ale teraz ma się dobrze, *szokr-e Choda*, dzięki Bogu.

– Atak serca. Już drugi – dodała mama Tarigha, spoglądając z naganą na męża.

Ojciec Tarigha wypuścił dym i mrugnął porozumiewawczo do Lajli. Po raz kolejny uderzyło ją to, że rodzice Tarigha z łatwością mogliby być jej dziadkami. Tarigh przyszedł na świat, kiedy jego mama była już dobrze po czterdziestce.

– Jak się miewa twój ojciec, kochanie? – spytała mama Tarigha, spoglądając na Lajlę znad

swej miseczki.

Odkąd Lajla ją znała, mama Tarigha zawsze nosiła perukę. Z czasem peruka wyblakła i nabrała fioletowego odcienia. Dziś była zaciągnięta nisko na brwi, a spod jej brzegów przy policzkach wymykały się siwe pasemka. Czasami peruka tkwiła wysoko na czole. Ale w oczach Lajli mama Tarigha nigdy nie wyglądała w tej peruce żałośnie. Lajla widziała jedynie spokojną, pewną siebie twarz, wyłaniającą się spod peruki, bystre oczy, uprzejmość.

– Czuje się dobrze – powiedziała Lajla. – Oczywiście nadal pracuje w Silo. Czuje się dobrze.

– A twoja mama?

– Jak zwykle, ma dobre i złe dni.

– Tak – mruknęła z zamyśleniem mama Tarigha, nabierając łyżeczką kolejną porcję owoców. – Jakie to musi być straszne dla matki, jak okropnie trudne, być daleko od swych synów.

– Zostaniesz na obiad? – spytał Tarigh.

– Musisz zostać – powiedziała jego mama. – Dziś robię *szurbę*.

– Nie chciałabym *mozohem*.

– Narzucać się? – zdziwiła się mama Tarigha. – Wyjeżdżamy na dwa tygodnie, a ty od razu

stajesz się wobec nas taka ugrzeczniona.

– No dobrze, zostanę – zapaliła się Lajla ze śmiechem, oblewając się rumieńcem.

– Wobec tego postanowione.

Lajla uwielbiała jeść w domu Tarigha tak bardzo, jak bardzo nie cierpiała posiłków we własnym domu. U Tarigha nikt nie jadł sam, do stołu zawsze siadała cała rodzina. Lubiła fioletowe plastikowe kubki, których używali, i ćwiartkę cytryny, zawsze pływającą w dzbanie z wodą. Lubiła to, że każdy posiłek zaczynał się od miseczki świeżego jogurtu, że wszystko, nawet jogurt, skrapiali sokiem z kwaśnych pomarańczy i że stale robili sobie nawzajem drobne niewinne żarty.

W trakcie tych posiłków zawsze toczyła się wartka rozmowa. Choć Tarigh i jego rodzice byli z pochodzenia Pasztunami, kiedy odwiedzała ich Lajla, rozmawiali w języku farsi, mimo że Lajla mniej więcej rozumiała ich rodzimy język pasztuński, bo uczyła się go w szkole. Babi powiedział, że stosunki pomiędzy ich ludem – Tadżykami, będącymi w mniejszości, a ludem Tarigha, Pasztunami, którzy stanowili najliczniejszą grupę etniczną w Afganistanie, są napięte. „Tadżykowie zawsze czuli się lekceważeni – wyjaśnił Babi. – Pasztuńscy

królowie rządzili tym krajem przez ponad sto pięćdziesiąt lat, Lajlo, a Tadżykowie tylko przez dziewięć miesięcy w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym roku”.

„A ty – spytała Lajla – czy ty czujesz się lekceważony?”.

Babi przetarł szkła okularów rąbkiem koszuli. „Dla mnie to nonsensy – i to bardzo niebezpieczne nonsensy – cała ta gadanina o tym, że ja jestem Tadżykiem, ty jesteś Pasztunem, tamten to Hazar, a ona jest uzbecką kobietą. Wszyscy jesteśmy Afgańczykami i tylko to powinno się liczyć. Ale kiedy jedna grupa rządzi pozostałymi przez tak długi czas… Pojawia się pogarda. Rywalizacja. Tak właśnie jest. Zawsze tak było”.

Może i tak. Ale Lajla nigdy nie odczuwała tego w domu Tarigha, gdzie te kwestie w ogóle się nie pojawiały. To, że spędzała czas z rodziną Tarigha, wydawało jej się czymś najbardziej naturalnym pod słońcem, czuła się swobodnie, a różnice plemienne, narodowościowe i językowe nigdy nie komplikowały im życia tak jak na przykład wzajemne złośliwości i urazy, który zatruwały atmosferę w jej własnym domu.

– A może zagramy w karty? – zaproponował Tarigh.

– Tak, idźcie na górę – powiedziała jego mama, odganiając z dezaprobatą chmurę papierosowego dymu. – A ja zabiorę się za *szurbę*.

Położyli się na brzuchach na podłodze pokoju Tarigha i na zmianę rozdawali karty *pandżpar*. Wymachując w powietrzu nogami, Tarigh opowiedział jej o swojej podróży, o młodych brzoskwiniach, które sadził wraz z wujem, o wężu w ogrodzie, którego złapał.

W tym pokoju Lajla i Tarigh odrabiali lekcje, wznosili wieże z kart do gry i rysowali wzajemnie swoje karykatury. Jeśli padało, siadali na parapecie i popijając letnią musującą pomarańczową fantę, obserwowali, jak nabrzmiałe krople deszczu spływają po szybie.

– No dobrze, mam coś dla ciebie – powiedziała Lajla, tasując karty. – Co chodzi po świecie, ale siedzi w kącie?

– Zaczekaj. – Tarigh podniósł się i gwałtownie obrócił swoją sztuczną lewą nogę. Krzywiąc się, położył się na boku i wsparł na łokciu. – Podaj mi poduszkę. – Ułożył ją pod nogą. – Tak jest lepiej.

Lajla przypomniała sobie, jak pierwszy raz zobaczyła jego kikut. Miała sześć lat. Jednym palcem pomacała napiętą lśniącą skórę tuż pod jego lewym kolanem. Jej palec natrafił na twarde

grudki. Tarigh wyjaśnił jej, że to wyrostki kostne, które czasem pojawiają się po amputacji. Spytała, czy kikut czasem go boli, a on odparł, że pod koniec dnia robi się obolały, kiedy puchnie i przestaje mieścić się w protezie, jak palec w za ciasnym naparstku. „A czasem ociera się. Zwłaszcza kiedy jest gorąco. Wtedy robi mi się na nim wysypka i bąble, ale mama ma maść, która na to pomaga. Nie jest tak źle”.

Lajla wybuchła płaczem.

„Dlaczego płaczesz? – Tarigh znów założył sztuczną nogę. – Chciałaś to zobaczyć, ty *gerjanok*, bekso! Gdybym wiedział, że będziesz ryczała, tobym ci tego nie pokazał”.

– Znaczek pocztowy – powiedział.

– Co takiego?

– Zagadka. Odpowiedź brzmi: znaczek. Po obiedzie powinniśmy pójść do zoo.

– Znałeś ją. Prawda?

– Ależ skąd.

– Oszukujesz.

– A ty jesteś zazdrosna.

– O co?

– O moją męską mądrość.

– O twoją męską mądrość? Doprawdy? A kto zawsze wygrywa w szachy?

– Pozwalam ci wygrywać. – Zaśmiał się. Oboje wiedzieli, że to nieprawda.

– A kto oblał matematykę? Do kogo przychodzisz po pomoc z pracą domową z matematyki, chociaż jesteś w wyższej klasie?

– Byłbym dwie klasy wyżej, gdyby matematyka mnie nie nudziła.

– Przypuszczam, że geografia też cię nudzi.

– Skąd wiedziałaś? Dość już tego. Idziemy do zoo czy nie?

Lajla się uśmiechnęła.

– Idziemy.

– Świetnie.

– Tęskniłam za tobą.

Zapadła cisza. A potem Tarigh odwrócił się do niej z miną wyrażającą niesmak, ni to uśmiechając się półgębkiem, ni to krzywiąc z obrzydzeniem.

– Co z tobą?

Lajla zamyśliła się. Ile to razy ona sama, Hasina i Giti mówiły sobie te słowa bez wahania, zaledwie po dwu albo trzech dniach niewidzenia się. „Tęskniłam za tobą, Hasino”. „Och, ja też za tobą tęskniłam”. Grymas Tarigha nauczył ją, że pod tym względem chłopcy różnią się od dziewcząt. Nie demonstrowali wzajemnej przyjaźni. Nie odczuwali takiej potrzeby,

obchodzili się bez takich słów. Lajla pomyślała, że jej bracia też musieli tacy być. Zrozumiała, że chłopcy traktują przyjaźń tak samo jak słońce: jego istnienie jest niepodważalne, a jego blaskiem najlepiej jest się po prostu cieszyć, a nie na nie patrzeć.

– Chciałam cię zdenerwować – powiedziała.

Spojrzał na nią z ukosa.

– To ci się udało.

Ale miała wrażenie, że Tarigh trochę się rozpogodził i że przez moment jego ogorzałe policzki stały się jakby jeszcze bardziej opalone.

Lajla nie zamierzała mu o tym mówić. Uznała, że mówienie mu o tym jest bardzo złym pomysłem. Komuś stałaby się krzywda, bo Tarigh nie puściłby tego płazem. Ale kiedy później znaleźli się na ulicy, w drodze na przystanek, znów zobaczyła Chadima opierającego się o ścianę. Otaczali go kumple, a on stał z kciukami wciśniętymi za szlufki paska. Spojrzał na nią wyzywająco.

I wtedy opowiedziała o wszystkim Tarighowi. Słowa popłynęły same z jej ust, nim zdążyła je powstrzymać.

– Co takiego zrobił?

Opowiedziała mu jeszcze raz.

Tarigh pokazał palcem Chadima.

– On? To był on? Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

Tarigh zacisnął zęby i wymamrotał coś po pasztuńsku, czego Lajla nie dosłyszała.

– Zaczekaj tutaj – polecił w farsi.

– Nie, Tarigh…

Był już po drugiej stronie ulicy.

Chadim pierwszy go zauważył. Natychmiast zrzedła mu mina i oderwał się od ściany. Wyjął kciuki ze szlufek spodni i stał wyprostowany, przyjmując pewną siebie, groźną postawę. Pozostali podążyli za jego spojrzeniem.

Lajla żałowała, że w ogóle o tym wspomniała. A co, jeśli wszyscy się na niego rzucą? Ilu ich było? Dziesięciu? Jedenastu? Dwunastu? A jeśli zrobią mu krzywdę?

Tarigh zatrzymał się kilka kroków przed Chadimem i jego bandą. Lajla miała nadzieję, że rozsądnie oceni sytuację, może się rozmyśli, i kiedy pochylił się, sądziła, że udaje, że rozwiązało mu się sznurowadło, a potem spokojnie do niej wróci. Ale wtedy wykonał dłońmi jakiś szybki ruch i Lajla zrozumiała, co zamierza zrobić.

Pozostali również zrozumieli, kiedy Tarigh wyprostował się, stojąc na jednej nodze i zaczął skakać w stronę Chadima, aż w końcu natarł na niego, wymachując sztuczną nogą jak mieczem.

Chłopcy rozpierzchli się na boki. Miał teraz łatwy dostęp do Chadima.

A potem były już tylko tumany kurzu, zaciśnięte pięści, kopniaki i krzyki.

Chadim nigdy więcej nie prześladował Lajli.

Tego wieczoru Lajla jak zazwyczaj postawiła na stole tylko dwa nakrycia. Mamusia powiedziała, że nie jest głodna. Kiedy bywała głodna, zabierała talerz do swojego pokoju, zanim Babi w ogóle wrócił do domu. Zwykle spała albo leżała w łóżku, długo przed tym, nim Lajla i Babi siadali do stołu.

Babi wyszedł z łazienki, jego włosy – obsypane białą mąką, kiedy wrócił z pracy – były teraz umyte i zaczesane do tyłu.

– Co dziś mamy, Lajlo?

– Resztki po zupie *ausz*.

– Brzmi obiecująco – powiedział, składając ręcznik, którym wytarł włosy. – Nad czym dziś pracujemy? Nad dodawaniem ułamków?

– Nie, nad zamianą ułamków na liczby mieszane.

– Ach, no tak. Dobrze.

Każdego wieczoru po kolacji Babi pomagał Lajli w odrabianiu lekcji i uczył ją nowych rzeczy. Po to tylko, by Lajla zawsze była krok lub dwa przed resztą uczniów w klasie, a nie dlatego, że nie podobał mu się program realizowany w szkole – pomimo elementów propagandowych. W istocie Babi uważał, że jedyna dobra robota, którą zrobili – a przynajmniej starali się zrobić – komuniści, dotyczyła pola edukacji, powołania, w którym nie mógł się przez nich realizować. A szczególnie wykształcenia kobiet. Rząd opłacał lekcje czytania i pisania dla kobiet. Kobiety stanowiły teraz prawie dwie trzecie studentów uniwersytetu w Kabulu, powiedział Babi, kobiety studiujące prawo, medycynę, inżynierię.

„Kobiety zawsze miały ciężkie życie w tym kraju, Lajlo. Ale zapewne teraz, pod rządami komunistów, mają więcej wolności i praw niż kiedykolwiek przedtem – mówił Babi, zniżając głos, bo wiedział, jak bardzo Mamusia nie toleruje najmniejszej nawet pozytywnej wzmianki na temat komunistów. – Ale to prawda, ciągnął, że dla kobiet nastały w Afganistanie dobre czasy. A ty, Lajlo, możesz to wykorzystać.

Oczywiście wolność kobiet – w tym miejscu pokręcił z żalem głową – jest również jednym z powodów, dla których ludzie tam chwycili za broń”.

Mówiąc „tam”, nie miał na myśli Kabulu, który zawsze był względnie liberalny i postępowy. Tu, w Kabulu, kobiety wykładały na uniwersytecie, prowadziły szkoły, zajmowały stanowiska w rządzie. Babi miał na myśli tereny plemienne, zwłaszcza regiony zamieszkane przez Pasztunów na południu kraju czy na wschodzie, blisko granicy z Pakistanem, gdzie rzadko widać było na ulicach kobiety, a jeśli już, to zawsze w burkach i w towarzystwie mężczyzny. Miał na myśli te regiony, gdzie ludzie przestrzegający pradawnych plemiennych praw buntowali się przeciw komunistom i wydawanym przez nich dekretom, które nadawały więcej praw kobietom, znosiły przymusowe małżeństwa, podnosiły minimalny wiek zamążpójścia do szesnastu lat w przypadku dziewcząt. W tamtych regionach mężczyźni odbierali to jako zniewagę dla ich stuletnich tradycji, tłumaczył Babi, nie mogli pogodzić się z tym, że jakiś rząd – na dodatek bezbożny – ma im mówić, że córki mają wyjść z domów, uczęszczać do szkół i pracować razem z mężczyznami.

„Niech Bóg nas przed tym broni!”, Babi lubił powtarzać z sarkazmem. A potem wzdychał i mówił: „Lajlo, moje kochanie, jedynym wrogiem, którego Afgańczyk nie jest w stanie pokonać, jest on sam”.

Babi usiadł przy stole i umoczył kawałek chleba w zupie.

Lajla postanowiła, że opowie mu podczas kolacji, zanim usiądą do ułamków, o tym, co Tarigh zrobił Chadimowi. Ale nigdy mu o tym nie opowiedziała, bo w tym właśnie momencie do drzwi zastukał nieznajomy, przynosząc niedobre wieści.

19

– Muszę porozmawiać z twoimi rodzicami, *dochtar dżan* – powiedział, kiedy Lajla otworzyła drzwi. Był krępym mężczyzną o wyrazistej, ogorzałej od wiatru twarzy. Miał na sobie brunatny płaszcz, a na głowie brązowy wełniany *pakol*.

– Czy mogę wiedzieć, kim pan jest?

W tym momencie Babi położył dłoń na ramieniu Lajli i delikatnie odsunął ją od drzwi.

– Lajlo, może poszłabyś do swojego pokoju? No idź.

Wchodząc po schodach, usłyszała, jak gość mówi Babiemu, że ma wiadomości z Pandższiru. Mamusia od razu znalazła się w pokoju. Zakryła dłonią usta, a jej wzrok przenosił się z Babiego na mężczyznę w *pakolu* na głowie i z powrotem.

Lajla wychyliła się przez poręcz na szczycie schodów. Patrzyła, jak nieznajomy siada z rodzicami w pokoju. Nachylił się do nich.

Stłumionym głosem wypowiedział kilka słów. Babi pobladł na twarzy i robił się coraz bledszy. Wbił wzrok w swoje dłonie. A Mamusia krzyczała i krzyczała, wyrywając sobie włosy z głowy.

Następnego ranka, w dniu *fatihy*, gromada sąsiadek opanowała dom i zajęła się przygotowaniami do kolacji *chatm*, która miała się odbyć po pogrzebie. Mamusia przez cały ranek siedziała na kanapie z opuchniętą twarzą, mnąc w dłoniach chusteczkę. Opiekowały się nią dwie pociągające nosami kobiety, które na zmianę delikatnie poklepywały Mamusię po ręce, jakby była jakąś niezwykłą porcelanową lalką. Mamusia nie była chyba świadoma ich obecności.

Lajla uklękła przed mamą i wzięła jej dłonie w swoje ręce.

– Mamusiu.

Mama spuściła wzrok. Zamrugała.

– Zajmiemy się nią, Lajla *dżan* – powiedziała jedna z kobiet tonem kogoś bardzo ważnego. Lajla bywała już wcześniej na pogrzebach i widywała takie kobiety, które delektowały się wszystkim, co miało związek ze śmiercią,

oficjalne pocieszycielki, niepozwalające nikomu wtrącać się do obowiązków, które same sobie wyznaczyły.

– Wszystko jest pod kontrolą. Idź teraz, dziecko, i zajmij się czymś. Zostaw mamę w spokoju.

Po takiej odprawie Lajla poczuła się bezużyteczna. Przez chwilę pokręciła się po kuchni. Przyszła Hasina, bardzo opanowana, co było dla niej wyjątkowo nietypowe, i jej mama. A także Giti ze swoją matką. Kiedy Giti ją zobaczyła, od razu do niej podbiegła, zarzuciła swoje kościste ramiona na jej szyję i przytulała ją bardzo długo i niespodziewanie mocno. Kiedy ją puściła, z oczu popłynęły jej łzy.

– Jest mi tak przykro, Lajlo – powiedziała.

Lajla podziękowała jej. Dziewczynki wyszły na podwórko i siedziały tam, aż któraś z kobiet przydzieliła im zadanie umycia szklanek i ustawienia talerzy na stole.

Babi też wchodził i wychodził z domu bez celu, rozglądając się chyba za czymś, czym mógłby się zająć.

– Trzymajcie go z dala ode mnie. – To były jedyne słowa, które Mamusia wypowiedziała przez cały ranek.

W końcu Babi usiadł samotnie na rozkładanym krześle w przedpokoju. Wyglądał na opuszczonego i bardzo małego. Potem któraś z kobiet powiedziała, że zawadza, siedząc w tym miejscu. Przeprosił i znikł w swoim pokoju.

Po południu mężczyźni udali się do sali w Karta Se, którą Babi wynajął na *fatihę*. Kobiety zebrały się w domu. Lajla zajęła miejsce obok Mamusi, tuż przy wejściu do salonu, gdzie tradycyjnie siadała rodzina zmarłego. Kobiety zdejmowały buty w przedpokoju, a potem, wchodząc do środka, pozdrawiały skinieniem głowy znajome i siadały na rozkładanych krzesłach ustawionych pod ścianami. Lajla zauważyła Wadżmę, starszą położną, która asystowała przy jej narodzinach. Zauważyła też mamę Tarigha w czarnym szalu zarzuconym na perukę. Pozdrowiła Lajlę skinieniem głowy i uśmiechnęła się do niej powoli, przez zaciśnięte usta.

Z magnetofonu popłynął męski nosowy głos intonujący wersety z Koranu. Kobiety wzdychały, wierciły się na krzesłach i pociągały nosami. Słychać było ściszone pokasływania, szepty, a od

czasu do czasu któraś szlochała teatralnie w nieutulonym żalu.

Przyszła też żona Raszida. Miała na sobie czarny hidżab. Kosmyki włosów wymykały się spod niego i opadały jej na brwi. Zajęła miejsce pod ścianą naprzeciw Lajli.

Mamusia kołysała się w przód i w tył. Lajla położyła jej rękę na swoich kolanach i przykryła ją swoimi dłońmi, ale Mamusia chyba tego nie zauważyła.

– Mamusiu, podać ci trochę wody? – szepnęła jej Lajla na ucho. – Chce ci się pić?

Ale Mamusia nie odpowiedziała. Kołysała się tylko i wpatrywała w dywan nieobecnym, błędnym wzrokiem.

Kiedy Lajla siedziała tak u boku Mamusi i patrzyła na przygnębione zbolałe twarze, momentami docierał do niej ogrom nieszczęścia, które spadło na jej rodzinę. Możliwości które zostały przekreślone. Rozwiane nadzieje.

Ale to uczucie nie trwało długo. Trudno jej było odczuwać, naprawdę odczuwać, stratę, jaka dotknęła Mamusię. Trudno przywołać żal, rozpacz po śmierci osób, o których Lajla nigdy tak naprawdę nie myślała jak o żywych istotach z krwi i kości. Ahmad i Nur zawsze byli dla niej

rodzinną legendą. Jak postaci z bajki czy królowie z podręczników historii.

To Tarigh był prawdziwy, był kimś z krwi i kości. Tarigh, który nauczył ją przeklinać po pasztuńsku, który lubił listki koniczyny namoczone w słonej wodzie, który marszczył brwi i wydawał ciche pomruki, kiedy przeżuwał, i który miał jasnoróżowe znamię tuż pod lewym obojczykiem w kształcie odwróconej mandoliny.

Siedziała więc obok Mamusi i przykładnie opłakiwała Ahmada i Nura, ale w głębi serca czuła, że jej prawdziwy brat żyje i ma się dobrze.

20

Mamusia zaczęła cierpieć na różne dolegliwości, które miały towarzyszyć jej już do końca życia: bóle w klatce piersiowej i bóle głowy oraz stawów, nocne poty, paraliżujące kłucie w uszach, guzki, których nikt poza nią nie wyczuwał. Babi zabrał ją do lekarza, który zrobił badania krwi i moczu oraz różne prześwietlenia, ale nie znalazł żadnej choroby fizycznej.

Przez większość dni Mamusia leżała w łóżku. Ubierała się na czarno. Skubała swoje włosy i zagryzała pieprzyk pod dolną wargą. Kiedy nie spała, krążyła po domu, słaniając się na nogach. Zawsze na koniec siadała w pokoju Lajli, tak jakby bała się, że prędzej czy później trafi na chłopców, jeśli przypadkiem wejdzie do pokoju, w którym kiedyś obaj spali, bawili się i rzucali w siebie poduszkami. Ale jedyne, na co trafiała, była ich nieobecność. I Lajla. Co, jak sądziła Lajla, stało się dla niej jednym i tym samym.

Jedynym zajęciem, którego Mamusia nigdy nie zaniedbywała, była modlitwa *namaz* odmawiana pięć razy dziennie. Każdy *namaz* kończyła z głową pochyloną w dół, otwarte dłonie wznosiła na wysokości twarzy i szeptem modliła się do Boga o zwycięstwo mudżahedinów. Lajla musiała wziąć na swoje barki coraz więcej obowiązków. Jeśli przestawała na chwilę dbać o porządek, wkrótce wszędzie leżały porozrzucane ubrania, buty, otwarte torebki z ryżem, puszki po fasoli i brudne naczynia. Lajla prała ubrania Mamusi i zmieniała jej pościel. Wyciągała ją z łóżka na kąpiele i posiłki. Prasowała koszule Babiego i składała jego spodnie. Coraz częściej też gotowała.

Czasem, gdy wykonała już wszystkie prace w domu, kładła się w łóżku obok Mamusi, obejmowała ją, splatała dłoń z jej dłonią i wtulała twarz w jej włosy. Mamusia poruszała się wtedy i coś szeptała. A w końcu zaczynała opowiadać o chłopcach.

Któregoś dnia, kiedy tak leżały obok siebie, Mamusia powiedziała:

– Ahmad był urodzonym przywódcą. Miał charyzmę. Trzy razy starsi od niego ludzie słuchali go z szacunkiem, Lajlo. Trzeba było to

widzieć. I Nur. Och, mój Nur. Zawsze rysował domy i mosty. Miał zostać architektem, wiesz. Jego projekty miały całkiem zmienić Kabul. A teraz obaj moi chłopcy są *szahidami*, obaj są męczennikami.

Lajla leżała i słuchała, żałując, że Mamusia nie zauważa, że ona, Lajla, nie została *szahidem*, że nadal żyje i jest tutaj, w łóżku razem z nią, i też ma plany i nadzieje na przyszłość. Ale Lajla wiedziała, że jej przyszłość nie może równać się z przeszłością jej braci. Już za życia usunęli ją w cień. A wraz ze śmiercią zupełnie ją wymazali. Mamusia była teraz kuratorem muzeum ich dokonań, a ona, Lajla, zwykłym zwiedzającym. Pojemnikiem na opiewające ich legendy. Pergaminem, który Mamusia zamierzała wypełnić opowieściami o nich.

– Posłaniec, który przyniósł tę wiadomość, powiedział, że kiedy przynieśli chłopców do obozu, Ahmad Szah Masud osobiście dopilnował pogrzebu. Odmówił za nich modlitwę nad grobem. Twoi bracia, Lajlo, byli takimi dzielnymi młodymi mężczyznami, że sam komendant Masud zajął się ich pogrzebem.

Mamusia odwróciła się na plecy. Lajla podniosła się i położyła głowę na jej piersiach.

– Czasami – powiedziała Mamusia ochrypłym głosem – wsłuchuję się w tykanie zegara w przedpokoju. I myślę wtedy o wszystkich czekających mnie sekundach, minutach, godzinach, dniach, tygodniach, miesiącach i latach, które przeżyję bez nich. I nie mogę wtedy oddychać, jakby ktoś stanął mi na sercu, Lajlo. Robię się taka słaba. Taka słaba, że chciałabym tylko stracić przytomność.

– Chciałabym ci jakoś pomóc – powiedziała Lajla szczerze o tym przekonana. Ale zabrzmiało to bardzo zdawkowo, jak symboliczne słowa pocieszenia wypowiedziane przez jakąś uprzejmą nieznajomą osobę.

– Jesteś dobrą córką. – Mamusia westchnęła. – A ja nie najlepiej wywiązałam się z roli matki wobec ciebie.

– Nie mów tak.

– Ale to prawda. Wiem o tym i jest mi z tego powodu przykro, kochanie.

– Mamusiu?

– Mhm.

Lajla usiadła i spojrzała na nią. We włosach Mamusi widać teraz było siwe pasma. Lajla była też zaskoczona, jak bardzo Mamusia, zawsze taka pulchna, schudła. Jej policzki były zapadnięte i ziemiste. Koszula wisiała na niej luźno, między

szyją a kołnierzykiem widać było spory odstęp. Lajla nieraz widziała, jak obrączka ślubna ześlizguje się z palca Mamusi.

– Chciałam cię o coś zapytać.

– O co takiego?

– Nie zrobiłabyś sobie chyba… – zaczęła Lajla.

Rozmawiała o tym z Hasiną. Za jej namową wspólnie wyrzuciły zawartość buteleczki z aspiryną do rynsztoka, pochowały pod dywanem za kanapą noże kuchenne i ostre szpikulce do kebabu. Hasina znalazła sznur na podwórku. Kiedy Babi nie mógł znaleźć żyletek, Lajla musiała opowiedzieć mu o swoich obawach. Przysiadł na brzegu kanapy z dłońmi wciśniętymi między kolana. Lajla spodziewała się, że ją uspokoi. Ale w odpowiedzi otrzymała jedynie oszołomione spojrzenie zapadniętych oczu.

– Nie zrobiłabyś sobie chyba… Mamusiu, martwię się, że…

– Myślałam o tym tej nocy, kiedy dostaliśmy wiadomość – przyznała. – Nie będę cię okłamywała, od tamtej pory też o tym myślałam. Ale nie. Nie martw się, Lajlo. Chcę zobaczyć, jak spełnia się marzenie moich synów. Chcę dożyć dnia, gdy Sowieci wrócą zhańbieni do domu, a mudżahedini wjadą zwycięsko do Kabulu. Chcę

tu być, kiedy to się stanie, kiedy Afganistan będzie wolny, aby chłopcy też mogli to zobaczyć. Zobaczą to moimi oczami.

Wkrótce Mamusia zasnęła, zostawiając Lajlę z mieszanymi uczuciami: uspokojoną, że Mamusia zamierza dalej żyć, i dotkniętą tym, że nie ona jest tego powodem. Ona nigdy nie byłaby w stanie wycisnąć takiego piętna w sercu Mamusi jak jej bracia, ponieważ serce jej mamy było jak bezbarwna plaża, na której wzbierały i załamywały się fale smutku, bezustannie zmywając ślady stóp Lajli.

21

Taksówkarz zatrzymał się, by przepuścić długi konwój radzieckich jeepów i opancerzonych pojazdów. Tarigh poruszył się na przednim siedzeniu, przechylił nad kierowcą w stronę okna i krzyknął:

– *Pażaujsta! Pażaujsta!*

Zatrąbił klakson któregoś z jeepów, Tarigh zagwizdał w odpowiedzi, uśmiechając się promiennie i machając ręką.

– Wspaniała broń! – zawołał. – Fantastyczne jeepy! Fantastyczne wojsko! Jaka szkoda, że przegrywacie z bandą wieśniaków strzelających z procy!

Konwój przejechał. Kierowca ruszył dalej.

– Ile jeszcze zostało nam drogi?

– Najwyżej godzina – odpowiedział kierowca. – O ile nie będzie więcej konwojów i punktów kontrolnych.

Lajla, Babi i Tarigh wybrali się na całodniową wycieczkę. Hasina też chciała pojechać, błagała swojego ojca o pozwolenie, ale się nie zgodził. Wycieczka była pomysłem Babiego. Choć właściwie nie mógł sobie na to pozwolić, wynajął na cały dzień kierowcę. Nie chciał zdradzić Lajli, dokąd jadą. Powiedział tylko, że przyczynia się w ten sposób do jej wykształcenia.

Od piątej rano byli w drodze. Lajla obserwowała przez okno zmieniający się krajobraz. Ośnieżone szczyty ustąpiły miejsca pustyni, a potem pojawiły się wąwozy i spieczone w słońcu skały. Mijali domki z gliny kryte strzechą i pola usiane wiązkami pszenicy. Gdzieniegdzie Lajla dostrzegała rozrzucone po zakurzonych polach czarne namioty nomadów Koochi. Ale częściej widziała kadłuby spalonych radzieckich czołgów i wraki helikopterów. Oto, pomyślała, Afganistan Ahmada i Nura. W końcu to właśnie tu, na prowincji, toczyła się wojna. Nie w Kabulu. W Kabulu zazwyczaj panował spokój. Nie licząc rzadkich odgłosów wystrzałów, sowieckich żołnierzy palących papierosy na chodnikach czy sowieckich jeepów podskakujących na wyboistych ulicach, można by sądzić, że wojna jest tylko plotką.

Późnym przedpołudniem minęli kolejne dwa punkty kontrolne i wjechali w dolinę. Babi kazał Lajli nachylić się i wyjrzeć przez okno. W dali majaczyły czerwonawe, wysuszone w słońcu wysokie mury. Wyglądały na bardzo stare.

– To Szahr-e Zohak. Czerwone Miasto. Niegdyś była to forteca. Została wzniesiona jakieś dziewięćset lat temu, by bronić doliny przed najeźdźcami. W trzynastym wieku zaatakował ją wnuk Czyngis-chana, ale zginął. I wtedy zniszczył ją sam Czyngis-chan.

– I taka jest, moi młodzi przyjaciele, historia naszego kraju, jeden najeźdźca po drugim – dodał taksówkarz, strzepując za okno popiół z papierosa. – Macedończycy, Sasanidzi, Arabowie, Mongołowie. A teraz Sowieci. Ale my jesteśmy jak te mury: zniszczone i widok może nie jest zbyt ładny, ale nadal stoją. Prawda, *baradar?*

– W istocie, tak właśnie jest – przyznał Babi.

Pół godziny później kierowca zatrzymał się.

– No, dzieci – powiedział Babi. – Chodźcie i spójrzcie na to.

Wysiedli z taksówki. Babi wyciągnął rękę.

– Oto i oni. Spójrzcie.

Tarigh wciągnął głęboko powietrze i westchnął z zachwytem. Lajla również. Już teraz była pewna, że choćby żyła i sto lat, nigdy więcej nie zobaczy czegoś tak wspaniałego.

Oba posągi Buddy były gigantyczne, sięgały dużo wyżej, niż to sobie wyobrażała, oglądając je na zdjęciach. Wyrzeźbione w wyblakłej od słońca skale spoglądały na nich z góry, podobnie jak dwa tysiące lat temu, pomyślała Lajla, musiały spoglądać na karawany przemierzające dolinę leżącą na Jedwabnym Szlaku. Po obu stronach posągów wokół nisz, w których się znajdowały, widać było niezliczone jaskinie.

– Czuję się taki mały – westchnął Tarigh.

– Chcecie się wspiąć na górę?

– Na posągi? – spytała Lajla. – A to możliwe?

Babi uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– Chodźcie.

Wspinaczka była wyczerpująca dla Tarigha i musiał trzymać się zarówno Lajli, jak i Babiego, kiedy mozolnie pięli się w górę po krętych, wąskich i słabo oświetlonych schodach. Po drodze widzieli mroczne jaskinie i tunele wydrążone w skale na wzór plastra miodu.

– Patrzcie pod nogi – ostrzegł Babi, a jego głos odbił się od ścian niesamowitym echem. – Grunt jest tu bardzo zdradliwy.

W niektórych miejscach ze schodów widać było niszę z Buddą.

– Nie patrzcie w dół, dzieci, tylko prosto przed siebie.

Podczas wspinaczki Babi opowiedział im, że Bamjan był niegdyś kwitnącym ośrodkiem buddyjskim, aż w dziewiątym wieku znalazł się pod rządami muzułmańskich Arabów. Skały z piaskowca były domem buddyjskich mnichów, którzy mieszkali w wydrążonych w nich jaskiniach i gościli strudzonych pielgrzymów. Mnisi, opowiadał Babi, pokryli ściany i sufity jaskiń pięknymi malowidłami.

– W pewnym momencie mieszkało tu pięć tysięcy mnichów.

Kiedy dotarli na samą górę, Tarigh był u kresu sił. Babi również ciężko dyszał, ale oczy lśniły mu z podniecenia.

– Stoimy na jego głowie – powiedział, ocierając chusteczką pot z czoła. – Jest tu nisza, z której możemy rozejrzeć się po okolicy.

Przeszli powoli na skalny występ i stojąc blisko siebie, z Babim pośrodku, spojrzeli na dolinę.

– Zobacz! – krzyknęła Lajla.

Babi się uśmiechnął. Rozciągająca się u ich stóp dolina była usłana bujnymi polami uprawnymi. Babi powiedział, że rośnie tu zielona pszenica ozima, lucerna i ziemniaki. Między polami czerwieniły się maki. Widać też było przecinające je strumienie i kanały irygacyjne, a na ich brzegach drobne przykucnięte figurki kobiet piorących bieliznę. Babi wskazał ryżowe poletka i pola jęczmienia pnące się na zboczach. Była jesień i Lajla mogła dostrzec ludzi w jaskrawych tunikach rozkładających na dachach lepianek zżęte zboże do wyschnięcia. Wzdłuż głównej drogi biegnącej przez osadę również rosły maki. Po obu jej stronach widać było sklepy, herbaciarnie i ulicznych golibrodów. Za wioską, za rzeką i za strumieniami Lajla zobaczyła pogórze, zakurzone, brunatne i nagie, a za nim, jakby za wszystkim innym, co było w Afganistanie, ośnieżony Hindukusz.

Ponad całym tym pejzażem rozciągało się niewzruszone, nieskazitelnie błękitne niebo.

– Jest tak spokojnie – szepnęła Lajla. Widziała maleńkie owieczki i konie, ale nie słyszała ich beczenia ani rżenia.

– We wspomnieniach zawsze tak widziałem to miejsce – powiedział Babi. – Cisza. Spokój.

Chciałem, abyście także tego doświadczyli. Chciałem również, abyście zobaczyli dziedzictwo waszego kraju, dowiedzieli się o jego bogatej przeszłości. Widzicie, jednych rzeczy mogę was nauczyć, innych uczycie się z książek. Ale są pewne rzeczy, które trzeba po prostu zobaczyć i poczuć.

– Spójrz! – powiedział Tarigh.

Zobaczyli jastrzębia krążącego nad wioską.

– Czy przywiozłeś tu kiedyś Mamusię?

– Och, wiele razy. Przed narodzeniem się chłopców. I po ich narodzinach również. Twoja mama była wtedy odważną osobą, lubiła przygody i była taka… pełna życia. Była najbardziej żywą, szczęśliwą osobą, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem. – Uśmiechnął się na to wspomnienie. – I miała taki cudowny śmiech. Przysięgam, to dlatego się z nią ożeniłem, Lajlo, z powodu tego śmiechu. Nie można było mu się oprzeć. Człowiek był bez szans.

Lajla poczuła wobec niego przypływ czułości. Od tamtej pory zawsze miała go takim pamiętać: wspominającego Mamusię, z łokciami opartymi na skale, podbródkiem wspartym na dłoniach, włosami zmierzwionymi wiatrem, oczami zmrużonymi od słońca.

– Pójdę obejrzeć te jaskinie – powiedział Tarigh.

– Tylko bądź ostrożny – upomniał go Babi.

– Na pewno będę, *kaka dżan* – rozległy się echem słowa chłopca.

Lajla obserwowała trzech mężczyzn stojących daleko w dole przy krowie przywiązanej do płotu i rozprawiających o czymś z ożywieniem. Drzewa rosnące wokół powoli nabierały barwy ochry, pomarańczy i szkarłatnej czerwieni.

– Ja również tęsknię za chłopcami – wyznał Babi i z jego oczu popłynęło kilka łez. Drżały mu policzki. – Może nie potrafię… Z twoją mamą tak jest, że zarówno jej radość, jak i smutek są krańcowe. Niczego nie potrafi ukryć. Nigdy nie potrafiła. Ja jestem chyba inny. Staram się raczej… Ale mnie to też załamało, śmierć chłopców. Ja też za nimi tęsknię. Nie ma dnia, abym… To bardzo trudne, Lajlo. Bardzo trudne. – Przycisnął kciuki i palce wskazujące do kącików oczu. Próbował mówić dalej, ale głos mu się łamał. Zagryzł wargi i odczekał chwilę, po czym wziął głęboki oddech i spojrzał na nią. – Ale cieszę się, że mam ciebie. Każdego dnia dziękuję Bogu, że mi ciebie dał. Każdego dnia. Czasem, kiedy twoja mama ma jeden z naprawdę złych

dni, mam wrażenie, że jesteś wszystkim, co mam, Lajlo.

Lajla przysunęła się do niego i położyła mu głowę na piersiach. Wydawał się lekko wystraszony. W przeciwieństwie do mamy rzadko okazywał uczucia. Pocałował ją pospiesznie w czoło, objął i odsunął od siebie. Stali tak przez chwilę, spoglądając na dolinę Bamjan.

– Choć bardzo kocham ten kraj, czasem myślę o wyjeździe – powiedział Babi.

– Dokąd?

– Gdziekolwiek, gdzie łatwo jest zapomnieć. Zapewne najpierw do Pakistanu. Na rok, może dwa. Tyle, ile zajmie załatwienie papierów.

– A potem?

– A potem… cóż, świat jest wielki. Może do Ameryki. Gdzieś nad morze. Na przykład do Kalifornii.

Babi powiedział, że Amerykanie są bardzo hojni i wspaniałomyślni. Pomogliby im finansowo i zapewnili wyżywienie do czasu, aż staną na nogi.

– Znalazłbym pracę, a po kilku latach, kiedy mielibyśmy dość oszczędności, moglibyśmy otworzyć małą afgańską restaurację. Nic eleganckiego, o nie, zwykły skromny lokal

z kilkoma stolikami i dywanami. Może powiesilibyśmy zdjęcia Kabulu. Dalibyśmy Amerykanom posmak afgańskiej kuchni. A biorąc pod uwagę, jak twoja mama gotuje, ustawialiby się do nas w kolejce.

A ty oczywiście nadal chodziłabyś do szkoły. Wiesz, jakie mam na ten temat zdanie. To byłoby dla nas priorytetem, żebyś otrzymała wykształcenie, poszła do gimnazjum, a potem do college'u. Ale w wolnym czasie, gdybyś oczywiście chciała, mogłabyś nam pomagać, przyjmować zamówienia, napełniać dzbany z wodą, i tak dalej.

Babi powiedział, że w restauracji urządzaliby przyjęcia urodzinowe, zaręczyny i spotkania noworoczne. Byłoby to miejsce spotkań innych Afgańczyków, którzy, podobnie jak oni, uciekli przed wojną. A późnym wieczorem, kiedy nie byłoby już klientów i wszystko byłoby posprzątane, siadaliby przy herbacie, wśród pustych stolików, we trójkę, zmęczeni, ale szczęśliwi, że spotkał ich tak dobry los.

Babi skończył opowiadać i zamilkł. Oboje zamilkli. Wiedzieli, że Mamusia nigdzie nie pojedzie. Dopóki żyli Ahmad i Nur, wyjazd z Afganistanu był nie do pomyślenia. Teraz, kiedy obaj stali się *szahidami*, spakowanie się

i ucieczka z kraju byłaby jeszcze gorszą zniewagą, zdradą, wyparciem się poświęcenia jej synów.

„Jak możesz o tym myśleć? – Lajla niemal słyszała jej słowa. – Czy ich śmierć nic dla ciebie nie znaczy, kuzynie? Jedyne pocieszenie daje mi świadomość, że stąpam po tej samej ziemi, w którą wsiąkła ich krew. Nie. Nigdy”.

A Babi, Lajla doskonale o tym wiedziała, nigdy by bez niej nie wyjechał, chociaż Mamusia nie była już dla niego żoną, podobnie jak dla niej nie była już matką. Ze względu na nią Babi był gotów strzepnąć z siebie to marzenie, tak jak strzepywał mąkę z płaszcza po powrocie z pracy. A więc zostaną. Zostaną aż do końca wojny. I później, cokolwiek po wojnie się wydarzy.

Lajla przypomniała sobie, że kiedyś Mamusia powiedziała Babiemu, że wyszła za mąż za człowieka bez żadnych przekonań. Mamusia nie rozumiała. Nie rozumiała, że gdyby spojrzała w lustro, zobaczyłaby jedno niezachwiane przekonanie jego życia, patrzące prosto w jej oczy.

Później, po obiedzie składającym się z jajek na twardo, ziemniaków i chleba, Tarigh zdrzemnął

się po drzewem nad brzegiem szumiącego strumienia. Spał z równiutko złożonym płaszczem pod głową zamiast poduszki, z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach. Kierowca poszedł do wioski po migdały, a Babi oparł się o gruby pień akacji i czytał książkę. Lajla znała jej treść, kiedyś ją przeczytała. Była to opowieść o starym rybaku o imieniu Santiago, który złapał ogromną rybę. Ale zanim dopłynął do lądu, z jego zdobyczy nic nie zostało – rekiny rozszarpały ją na drobne części.

Lajla siedziała nad brzegiem strumienia i zanurzała stopy w zimnej wodzie. Nad jej głową bzyczały komary i wirowały nasiona topoli. W pobliżu furczała ważka. Lajla patrzyła, jak przelatuje z jednej trawy na drugą, a w jej skrzydłach tańczą refleksy słońca. Mieniły się purpurą, zielenią, barwą pomarańczy. Po drugiej stronie potoku grupa miejscowych hazarskich chłopców zbierała wysuszone krowie placki do worków z grubego płótna, które nosili na plecach. Gdzieś zaryczał osioł. Jakiś agregat obudził się z terkotem do życia.

Lajla znów pomyślała o marzeniu Babiego: „Gdzieś nad morzem”.

Jednej rzeczy nie powiedziała Babiemu, tam na górze, na głowie Buddy: że w zasadzie cieszy

się, że nie mogą nigdzie pojechać. Tęskniłaby za Giti, za tą jej poważną miną, tak, a także za Hasiną, jej zwariowanym śmiechem i wygłupami. Ale przede wszystkim Lajla zbyt dobrze pamiętała, jak ciężko przeżyła te cztery tygodnie bez Tarigha, kiedy rodzice zabrali go do Ghazni. Zbyt dobrze pamiętała, jak nieznośnie wlókł się bez niego czas. Jaka była przygnębiona, wytrącona z równowagi. Jak miałaby sobie kiedykolwiek poradzić, gdyby kiedyś na zawsze znikł z jej życia?

Może w kraju, w którym kule rozerwały jej braci na strzępy, tak silne pragnienie bycia blisko kogoś było nierozsądne. Ale wystarczyło, by Lajla przypomniała sobie, jak Tarigh zaatakował Chadima swoją sztuczną nogą, a już nic nie wydawało jej się bardziej rozsądne niż to uczucie.

Sześć miesięcy później, w kwietniu 1988 roku, Babi wrócił do domu z wielką nowiną.

– Podpisali traktat! – oznajmił. – W Genewie. To informacja oficjalna! Wynoszą się stąd! Za dziewięć miesięcy nie będzie już żadnych Sowietów w Afganistanie!

Mamusia usiadła na łóżku i wzruszyła ramionami.

– Ale reżim komunistyczny zostanie – stwierdziła. – Nadżibullah jest marionetką Sowietów. On nigdzie się nie wybiera. Nie, wojna będzie toczyć się dalej. To jeszcze nie koniec.

– Nadżibullah długo nie wytrzyma – powiedział Babi.

– Mamusiu, oni opuszczają nasz kraj! Naprawdę wyjeżdżają!

– Możecie sobie we dwójkę świętować. Ale ja nie spocznę, póki nie zobaczę zwycięskiej defilady mudżahedinów, tu, w Kabulu.

I z tymi słowami położyła się i naciągnęła kołdrę na głowę.

22

Styczeń 1989

W pewien zimny, pochmurny styczniowy dzień w 1989 roku, trzy miesiące przed jedenastymi urodzinami Lajli, ona, jej rodzice i Hasina poszli obejrzeć, jak ostatnie konwoje sowieckie opuszczają miasto. Widzowie zebrali się po obu stronach głównej ulicy przed klubem wojskowym, obok Wazir Akbar Chan. Stali w topniejącym śniegu i patrzyli na kawalkadę czołgów, transporterów opancerzonych i jeepów, a płatki śniegu wirowały w blasku mijających ich świateł. Ludzie pokrzykiwali i gwizdali. Afgańscy żołnierze pilnowali, by nikt nie wchodził na jezdnię. Od czasu do czasu musieli oddać ostrzegawczy strzał.

Mamusia trzymała wysoko nad głową zdjęcie Ahmada i Nura. To było to zdjęcie, na którym siedzieli ramię przy ramieniu pod gruszą. Takich

kobiet jak ona było więcej. Wszystkie unosiły w górę zdjęcia swoich mężów, synów i braci, którzy stali się *szahidami*.

Lajla i Hasina poczuły, że ktoś klepie je po ramionach. To był Tarigh.

– Skąd wytrzasnąłeś coś takiego?! – krzyknęła Hasina.

– Pomyślałem, że przyjdę ubrany stosownie do okoliczności – powiedział Tarigh. Na głowie miał ogromną rosyjską futrzaną czapę z nausznikami, które opuścił w dół.

– Jak wyglądam?

– Komicznie – zaśmiała się Lajla.

– O to chodziło.

– Jesteś z rodzicami? Pozwolili ci przyjść w takim czymś na głowie?

– Zostali w domu.

Poprzedniej jesieni wuj Tarigha zmarł w Ghazni na atak serca, a kilka tygodni później ojciec Tarigha również dostał ataku. Od tamtej pory był osłabiony i zmęczony, łatwo się denerwował i miewał napady depresji, które czasem trwały po kilka tygodni. Lajla cieszyła się, że widzi Tarigha w tak dobrej formie, znów był sobą. Przez wiele tygodni po ataku ojca snuł się ze zbolałą miną, poważny i osowiały.

Wymknęli się we trójkę, zostawiając Mamusię i Babiego oglądających Sowietów. Tarigh kupił im u ulicznego sprzedawcy po talerzu gotowanej fasoli polanej gęstym kolendrowym sosem chutney. Zjedli skryci pod daszkiem zamkniętego sklepu z dywanami, potem Hasina poszła poszukać swoich rodziców.

W drodze do domu, w autobusie, Tarigh i Lajla usiedli za jej rodzicami. Mamusia wyglądała przez okno, przyciskając zdjęcie do piersi. Obok niej Babi beznamiętnie przysłuchiwał się mężczyźnie, który twierdził, że może i Sowieci wyjeżdżają, ale i tak będą wysyłali broń do Kabulu dla Nadżibullaha.

– Jest ich marionetką. Będą dalej prowadzić wojnę za jego pośrednictwem. Możecie być tego pewni.

Jakiś pasażer głośno przytaknął.

Mamusia szeptała modlitwy, które ciągnęły się i ciągnęły w nieskończoność, aż zabrakło jej tchu i ostatnie słowa wydusiła z siebie piskiem.

Później tego dnia Lajla i Tarigh poszli do Cinema Park. Nie mieli zbyt dużego wyboru i musieli zadowolić się radzieckim filmem z dubbingiem w języku farsi, co w sposób

zupełnie niezamierzony dawało komiczny efekt. Akcja rozgrywała się na statku handlowym. Pierwszy oficer zakochał się w córce kapitana, która miała na imię Aljona. Potem rozpętała się straszna burza, grzmiało i błyskało, padał deszcz, a wzburzone morze targało okrętem na wszystkie strony. Jakiś zrozpaczony marynarz coś krzyknął, a absurdalnie spokojny afgański głos lektora przetłumaczył: „Mój drogi panie, czy byłby pan łaskaw podać mi linę?”.

Tarigh zaczął chichotać. Wkrótce oboje dostali niepohamowanego ataku śmiechu. Kiedy jedno już się uspokajało, drugie zaczynało chichotać i wszystko zaczynało się od nowa. Mężczyzna siedzący dwa rzędy przed nimi odwrócił się i ich uciszył.

Pod koniec filmu była scena ślubu. Kapitan poddał się i pozwolił Aljonie wyjść za pierwszego oficera. Nowożeńcy uśmiechali się do siebie. Wszyscy pili wódkę.

– Nigdy się nie ożenię – szepnął Tarigh.

– Ja też nie – powiedziała Lajla po chwili nerwowego wahania. Obawiała się, że jej głos zdradza rozczarowanie słowami Tarigha. Serce waliło jej w piersiach, ale dodała, tym razem pewniejszym głosem:

– Nigdy.

– Wesela są głupie.
– Całe to zamieszanie.
– I tyle pieniędzy na to idzie.
– I na co to wszystko?
– Na ubrania, których nigdy się już nie włoży.
– Ha!
– Jeżeli kiedykolwiek miałoby jednak do tego dojść – powiedział Tarigh – to musieliby zrobić miejsce dla trojga na ślubnym podium. Dla mnie, panny młodej i gościa trzymającego pistolet przy mojej głowie.

Mężczyzna przed nimi znów posłał im karcące spojrzenie.

Na ekranie Aljona i jej właśnie poślubiony mąż połączyli usta w długim pocałunku.

Lajla nagle odniosła wrażenie, że wszyscy na nią patrzą. Była aż nadto świadoma, że serce wali jej w piersiach, krew napływa do uszu, a obok niej siedzi Tarigh, coraz bardziej spięty, niemal nieruchomy. Pocałunek ciągnął się w nieskończoność. Nagle najważniejsze stało się dla niej to, by się nie poruszyć ani nie wydać najmniejszego odgłosu. Czuła, że Tarigh ją obserwuje – jednym okiem zerkał na ekran, a drugim na nią – podobnie jak ona obserwowała jego. Zastanawiała się, czy wsłuchuje się w jej oddech, szmer powietrza wypuszczanego

i wpuszczanego przez nos, w oczekiwaniu na jakieś odstępstwo od normy zdradzające jej myśli?

Ciekawe, jak by to było, gdyby się pocałowali, gdyby poczuła włoski nad jego górną wargą łaskoczące jej usta?

Tarigh zaczął niespokojnie wiercić się na fotelu. Spiętym głosem powiedział:

– Czy wiedziałaś, że jeśli z nosa poleci ci smark na Syberii, to nim spadnie na ziemię, zamieni się w zielony sopel?

Roześmiali się oboje, ale tym razem krótkim, nerwowym śmiechem. A kiedy film się skończył i wyszli na zewnątrz, Lajla z ulgą stwierdziła, że niebo pociemniało i dzięki temu nie będzie musiała spojrzeć Tarighowi w oczy w jasnym świetle dnia.

23

Kwiecień 1992

Minęły trzy lata.

W tym czasie ojciec Tarigha miał kilka wylewów, po których zostały mu niedowład lewej ręki i trudności z mówieniem. Kiedy był niespokojny, co zdarzało się dość często, trudności się nasilały.

Tarigh po raz kolejny wyrósł ze swojej nogi i Czerwony Krzyż przyznał mu następną protezę, choć musiał na nią czekać sześć miesięcy.

Hasina, tak jak się obawiała, została wywieziona przez rodziców do Lahore, gdzie wydano ją za mąż za kuzyna, właściciela warsztatu samochodowego. W dniu jej wyjazdu Lajla i Giti przyszły do niej, aby się pożegnać. Hasina powiedziała im, że kuzyn, przyszły mąż, rozpoczął już starania o przeniesienie się do Niemiec, gdzie mieszkali jego bracia. Obliczała,

że za jakiś rok powinni już znaleźć się we Frankfurcie. Płacząc, padły sobie we trzy w objęcia. Giti była niepocieszona. Potem ojciec pomógł Hasinie wcisnąć się na tylne siedzenie taksówki, gdzie siedziała już reszta jej rodziny. Lajla widziała wtedy Hasinę po raz ostatni.

Związek Radziecki rozpadał się w zaskakującym tempie. Lajla miała wrażenie, że Babi niemal co dwa tygodnie wraca do domu z wiadomością o kolejnej republice, która ogłosiła niepodległość. Litwa. Estonia. Ukraina… Nad Kremlem opuszczono flagę sowiecką.

W Kabulu Nadżibullah zmienił taktykę i usiłował zaprezentować się jako pobożny muzułmanin. „Za mało i za późno – powiedział Babi. – Nie można jednego dnia stać na czele CHAD-u, a następnego modlić się w meczecie z ludźmi, których krewnych się torturowało i zabijało”. Nadżibullah czuł, że wokół Kabulu zaciska się pętla, i próbował zawrzeć porozumienie z mudżahedinami, ale oni udaremnili jego starania.

Mamusia, nie podnosząc się z łóżka, skomentowała:

– Mieli rację.

Wciąż modliła się za mudżahedinów i czekała na swoją zwycięską defiladę. Czekała, aż upadną

wrogowie jej synów.

I wreszcie tak się stało. W kwietniu 1992 roku, kiedy Lajla skończyła trzynaście lat.

Nadżibullah wreszcie się poddał i udzielono mu azylu w przedstawicielstwie ONZ niedaleko pałacu Darulaman na południu miasta.

Dżihad się zakończył. Wszystkie reżimy komunistyczne, które od czasu narodzin Lajli sprawowały władzę, zostały pokonane. Bohaterowie Mamusi, towarzysze broni Ahmada i Nura, wygrali. I teraz, po ponad dziesięciu latach poświęcenia, porzucenia rodzin na rzecz życia w górach i walki o suwerenność Afganistanu, mudżahedini wracali do Kabulu jako ludzie z krwi i kości, choć ich kości były mocno nadwerężone walką.

Mamusia znała imiona ich wszystkich.

Był wśród nich Dostum, krzykliwy uzbecki komendant, lider ugrupowania Dżonbesz-e Melli, znany z tego, że łatwo zmieniał sojuszników. Zasadniczy, gburowaty Golbuddin Hekmatjar, przywódca ugrupowania Hezb-e Eslami, Pasztun, który niegdyś studiował inżynierię i zabił studenta maoistę. Rabbani, Tadżyk – lider ugrupowania Dżamjat-e Eslami – w czasach

monarchii nauczał teologii i prawa islamu na Uniwersytecie Kabulskim. Sayyaf, Pasztun z Paghmanu, mający kontakty z Arabami, niezłomny muzułmanin, lider ugrupowania Ettehad-e Eslami. Abdul Ali Mazari, lider ugrupowania Hezb-e Wahdat, znany wśród swych hazarskich pobratymców jako Baba Mazari, silnie związany z irańskimi szyitami.

I oczywiście bohater Mamusi, sprzymierzeniec Rabbaniego, zamyślony, charyzmatyczny komendant, z pochodzenia Tadżyk, Ahmad Szah Masud, zwany Lwem Pandższiru. Mamusia powiesiła w swoim pokoju plakat z jego zdjęciem. Piękna, zamyślona twarz Masuda z uniesionymi brwiami i przechyloną czapką *pakol* stanowiącą jego znak firmowy stała się w Kabulu wszechobecna. Jego zatroskane czarne oczy spoglądały z billboardów, murów, witryn sklepowych, a nawet małych chorągiewek umieszczonych na antenach taksówek.

To o tym dniu marzyła Mamusia. Te wszystkie lata oczekiwania nie poszły na marne.

Wreszcie mogła zakończyć czuwanie, a jej synowie mogli odtąd spoczywać w pokoju.

Następnego dnia po poddaniu się Nadżibullaha Mamusia podniosła się z łóżka jako inna kobieta. Po raz pierwszy od pięciu lat, odkąd Ahmad i Nur stali się *szahidami*, nie ubrała się na czarno. Włożyła kobaltowoniebieską sukienkę w białe kropki, umyła okna, zamiotła podłogę, wywietrzyła dom i wzięła długą kąpiel. Jej głos drżał z radości.

– Wydaję przyjęcie – oznajmiła.

Wysłała Lajlę z zaproszeniem do sąsiadów.

– Powiedz im, że jutro zapraszam ich na wspaniały obiad.

W kuchni Mamusia wzięła się pod boki i rozejrzała wokół, po czym powiedziała z lekkim wyrzutem w głosie:

– Co ty zrobiłaś z moją kuchnią, Lajlo? *Woj*. Nic nie stoi na swoim miejscu.

Zaczęła teatralnie przestawiać garnki i rondle, jakby teraz, kiedy wróciła do życia, od nowa musiała je zawłaszczyć i w ten sposób odzyskać swoje terytorium. Lajla trzymała się z daleka. Mamusia potrafiła być równie niepohamowana w przypływie euforii, jak w ataku furii. Z niespotykaną energią zabrała się do gotowania: zupa *asz* z czerwoną fasolą kidney i suszonym koprem, *kofta*, ciepłe pierożki *mantu* polane świeżym jogurtem i posypane miętą.

– Wyskubujesz sobie brwi – stwierdziła Mamusia, otwierając na blacie w kuchni duży worek ryżu.

– Tylko troszeczkę.

Mamusia wysypała ryż z worka do dużego czarnego garnka z wodą. Podwinęła rękawy i zaczęła mieszać.

– A co u Tarigha?

– Jego ojciec był chory – powiedziała Lajla.

– Ile on ma teraz lat?

– Nie wiem. Pewnie blisko sześćdziesiąt.

– Mam na myśli Tarigha.

– Och. Szesnaście.

– Jest miłym chłopcem, prawda?

Lajla wzruszyła ramionami.

– Choć właściwie to już nie jest chłopiec. Szesnaście lat. To prawie mężczyzna, nie sądzisz?

– Mamusiu, do czego zmierzasz?

– Do niczego – odparła Mamusia z niewinnym uśmiechem. – Do niczego… Chodzi tylko o to, że ty… Ach, nic takiego. Lepiej nic nie będę mówiła.

– Widzę, że jednak chcesz – Lajla zirytowała się tym okrężnym, niby-żartobliwym oskarżeniem.

– No dobrze. – Mamusia oparła dłonie na brzegu garnka. Nie uszło uwagi Lajli to, że Mamusia powiedziała te słowa jakimś

nienaturalnym tonem, jakby wcześniej to przećwiczyła, i na dodatek oparła dłonie w taki złowieszczy sposób. Lajla obawiała się, że zaraz zacznie się kazanie.

– Kiedy byliście mali i biegaliście sobie razem, to było co innego. Nie było w tym nic złego. Było to nawet dość czarujące. Ale teraz… teraz zauważyłam, że nosisz stanik.

Lajla się tego nie spodziewała.

– Zresztą, tak przy okazji, mogłaś mi powiedzieć o staniku. Nie wiedziałam. Przykro mi, że mi nie powiedziałaś. – Wyczuwając swoją przewagę, Mamusia ciągnęła: – Zresztą nie chodzi o mnie ani o stanik. Tylko o ciebie i Tarigha. Widzisz, on jest chłopcem i jako taki nie musi dbać o swoją reputację. Ale ty? Reputacja dziewczynki, szczególnie tak ładnej jak ty, to delikatna rzecz, Lajlo. Jest jak ptaszek majna, którego trzymasz w dłoniach. Wystarczy, że trochę poluzujesz uchwyt, a od razu odleci.

– A co z twoim wdrapywaniem się na mur i zabawami z Babim w sadzie? – odcięła się Lajla zadowolona, że mama tak szybko wróciła do zdrowia.

– Byliśmy kuzynami. I się pobraliśmy. Czy ten chłopiec poprosił cię o rękę?

– On jest przyjacielem. Jest *rafigh*. Między nami nie jest tak, jak myślisz – powiedziała Lajla na swoją obronę, choć czuła, że nie brzmi to zbyt przekonująco. – On jest dla mnie jak brat – dodała nierozważnie. I natychmiast, jeszcze zanim twarz Mamusi spochmurniała i stężała, wiedziała, że popełniła błąd.

– Tym to on z pewnością nie jest – stwierdziła Mamusia kategorycznym tonem. – Nie możesz porównywać tego jednonogiego syna stolarza do swoich braci. Nie ma nikogo takiego jak twoi bracia.

– Nie powiedziałam, że Tarigh jest… Nie to miałam na myśli.

Mamusia westchnęła i zacisnęła zęby.

– W każdym razie – podjęła, ale ton jej głosu nie był już tak beztroski jak kilka minut temu – próbuję tylko cię ostrzec, że jeśli nie będziesz ostrożna, ludzie zaczną gadać.

Lajla otworzyła usta, żeby coś odpowiedzieć. Nie chodziło o to, że Mamusia nie ma racji. Lajla wiedziała, że dni niewinnych, niczym nieograniczonych zabaw z Tarighiem na ulicach minęły. Od jakiegoś czasu, kiedy pokazywali się razem publicznie, Lajla wyczuwała, że jest w tym coś dziwnego. Była świadoma, że ludzie na nich patrzą, obrzucają ich bacznym spojrzeniem,

szepczą na ich temat. Wcześniej niczego takiego nie zauważała. I nie zauważałaby również teraz, gdyby nie jedna rzecz: Lajla zakochała się w Tarighu. Beznadziejnie i bez reszty. Kiedy był obok niej, mimo woli nachodziły ją najbardziej nieprzyzwoite myśli o jego smukłym nagim ciele splecionym z jej ciałem. Nocami w łóżku wyobrażała sobie Tarigha całującego jej brzuch, rozmyślała o jego miękkich wargach, o tym, jak by to było, gdyby położył dłonie na jej szyi, piersiach, plecach i przesunął je niżej. Kiedy nachodziły ją takie myśli, czuła się winna, ale równocześnie ogarniało ją dziwne uczucie ciepła, które emanowało z jej brzucha i pięło się wyżej, aż czuła, że jej twarz oblewa rumieniec.

Nie. Mamusia miała rację. I to bardziej, niż sądziła. Lajla podejrzewała, że niektórzy, jeśli nie wszyscy, sąsiedzi już plotkują o niej i Tarighu. Zauważała wymowne miny i była świadoma, że ludzie szepczą między sobą, że ona i Tarigh są parą. Poprzedniego dnia na przykład, kiedy szła z Tarighiem ulicą, minął ich szewc Raszid z towarzyszącą mu, odzianą w burkę żoną Mariam. Kiedy ich mijał, rzucił żartobliwie: „To musi być Lajla i Mandżun”, mając na myśli parę nieszczęśliwych kochanków ze znanego dwunastowiecznego poematu Nizamiego – wersji

Romea i Julii w języku farsi, jak powiedział kiedyś Babi, choć zaraz dodał, że Nizami napisał swoją opowieść o niefortunnych kochankach cztery wieki przed Szekspirem.

Mamusia miała rację.

Ale Lajlę irytowało to, że Mamusia nie zasłużyła sobie na prawo do robienia jej takich uwag. Gdyby Babi poruszył ten temat, to byłoby co innego. Ale Mamusia? Po tylu latach trzymania się na dystans, wycofania się z życia i niedbania o to, dokąd Lajla poszła, z kim się spotykała i o czym rozmyślała… To było nie w porządku. Lajla miała wrażenie, że niczym nie różni się od tych garnków i rondli, które można było zaniedbać, a potem znów rościć sobie do nich prawa, w zależności od ochoty i nastroju.

Ale to był wielki i ważny dzień dla nich wszystkich. Szkoda byłoby go zepsuć. W tej sytuacji Lajla postanowiła, że tym razem odpuści.

– Rozumiem, o co ci chodzi – zapewniła.

– Świetnie! – odparła Mamusia. – Wobec tego mamy to z głowy. A teraz powiedz mi, gdzie podziewa się Hakim? Gdzie też podziewa się mój słodki, kochany mąż?

To był olśniewający, bezchmurny dzień, idealny na przyjęcie. Mężczyźni zasiedli na rozklekotanych składanych krzesłach na podwórku. Popijali herbatę, palili i prowadzili głośne, przeplatane śmiechem rozmowy o planach mudżahedinów. Babi wyjaśnił Lajli, na czym z grubsza one polegają: Afganistan nazywał się teraz Islamskim Państwem Afganistanu. Islamska Rada Dżihadu, utworzona w Peszawarze przez kilka mudżahedińskich ugrupowań, miała przez dwa miesiące wszystko nadzorować pod kierownictwem Sebghatullaha Modżaddidiego. Następnie przez cztery miesiące władzę miała sprawować rada kierownicza pod kierownictwem Rabbaniego. Przez te sześć miesięcy miały się również odbywać obrady *Loja dżirga*, wielkiej rady przywódców i starszyzny, która miała utworzyć tymczasowy rząd, sprawujący władzę przez następne dwa lata, co miało doprowadzić do demokratycznych wyborów.

Jeden z mężczyzn wachlował jagnięcinę nadzianą na szpikulce i skwierczącą na ruszcie. Babi i ojciec Tarigha grali w szachy w cieniu starej gruszy. Ich twarze były napięte i skupione. Tarigh siedział razem z nimi, na zmianę obserwując przebieg rozgrywki i przysłuchując

się rozmowom o polityce prowadzonym przy sąsiednim stole.

Kobiety zebrały się w salonie, przedpokoju i kuchni. Gawędziły, kołysząc na rękach niemowlęta, i z wprawą robiły uniki, unosząc lekko biodra, przed uganiającymi się wszędzie dzieciakami. Z magnetofonu dobywały się głośne dźwięki *gazelu* Ostada Sarahanga.

Lajla była w kuchni i wraz z Giti przygotowywała napój jogurtowy *dogh*. Giti nie była już tak nieśmiała ani poważna jak niegdyś. Od kilku miesięcy nie marszczyła brwi, a z jej twarzy znikła nachmurzona, gniewna mina. W ostatnich dniach uśmiechała się szeroko, częściej i – to uderzyło Lajlę najbardziej – nieco zalotnie. Nie splatała już włosów w nijakie warkoczyki, tylko zapuściła je i zrobiła sobie rude pasemka. W końcu Lajla dowiedziała się, że przyczyną tej przemiany jest osiemnastoletni chłopak, który zwrócił na Giti uwagę. Miał na imię Saber i był bramkarzem w drużynie piłkarskiej starszego brata Giti.

– Och, on ma najpiękniejszy uśmiech na świecie i takie gęste czarne włosy! – zwierzyła się kiedyś Giti. Oczywiście nikt nie wiedział, że pałają do siebie sympatią. Giti spotkała się z nim potajemnie raz czy dwa na herbacie – za każdym

razem trwało to piętnaście minut – w małej herbaciarni po drugiej stronie miasta, w Tajmani.

– Poprosi o moją rękę, Lajlo! Może nawet już tego lata. Możesz w to uwierzyć? Przysięgam, że nie potrafię przestać o nim myśleć.

– A co ze szkołą? – spytała Lajla. Giti przechyliła głowę i posłała jej spojrzenie mówiące: „Obie wiemy najlepiej”.

„Nim skończymy dwadzieścia lat – powtarzała często Hasina – obie, Giti i ja, wydamy na świat po czworo albo pięcioro dzieci. Ale ty, Lajlo, jeszcze nas zaskoczysz i będziemy z ciebie dumne jak pawie. Zostaniesz kimś. Wiem, że któregoś dnia wezmę do ręki gazetę i zobaczę na pierwszej stronie twoje zdjęcie”.

Giti stała teraz obok Lajli i kroiła ogórki z rozmarzonym, nieobecnym wyrazem twarzy.

Mamusia też była w kuchni, we wspaniałej letniej sukience, i obierała gotowane jajka z położną Wadżmą i mamą Tarigha.

– Zamierzam sprezentować komendantowi Masudowi zdjęcie Ahmada i Nura – mówiła Mamusia do Wadżmy, która potakiwała, starając się przybrać zainteresowany, szczery wyraz twarzy.

– Osobiście doglądał pogrzebu. Odmówił modlitwę nad ich grobem. To będzie dowód wdzięczności za jego przyzwoitość. – Mamusia rozbiła skorupkę kolejnego jajka. – Słyszałam, że jest skłonnym do refleksji, honorowym człowiekiem. Myślę, że to doceni.

Kobiety wchodziły i wychodziły z kuchni, wynosząc miski z *ghorma*, talerze z *mastawa*, bochenki chleba, po czym rozstawiały dania na obrusie rozłożonym na podłodze w salonie.

Co jakiś czas zaglądał do nich Tarigh, skubnął trochę tego, trochę tamtego, coś przekąsił.

– Mężczyźni nie mają tu wstępu – powiedziała Giti.

– Wynocha, wynocha! – krzyknęła Wadżma.

Tarigh z uśmiechem przyjmował to, że rozbawione kobiety go przeganiają. Chyba sprawiało mu przyjemność, że nie jest tu mile widziany, że kala tę kobiecą atmosferę swoją psotną miną, okazując męski brak szacunku.

Lajla bardzo się pilnowała, by na niego nie patrzeć, nie dać tym kobietom więcej powodów to plotek. Spuszczała wzrok i nie odzywała się do niego, ale przypomniał jej się sen, który przyśnił jej się kilka dni temu: jego twarz i jej, razem w lustrze pod miękkim zielonym welonem.

I ziarna ryżu spadające z jego włosów, uderzające w szklankę.

Tarigh sięgnął po smakowicie wyglądający kawałek cielęciny gotowanej z ziemniakami.

– *Ho bacza!* – Giti dała mu po łapach, mimo to Tarigh ze śmiechem porwał upatrzony kąsek.

Był teraz niemal o głowę wyższy od Lajli. Golił się. Jego twarz była szczuplejsza, bardziej wyrazista. Był też szerszy w ramionach. Lubił nosić spodnie zaprasowane w kant, czarne lśniące mokasyny i koszulki z krótkimi rękawami odsłaniające jego umięśnione ramiona, które zawdzięczał zardzewiałym sztangom podnoszonym co dzień na podwórku. Ostatnio jego twarz nabrała swawolnego wyrazu przekory. Kiedy mówił, celowo przechylał lekko głowę, a śmiejąc się, unosił jedną brew. Zapuścił włosy i nabrał zwyczaju bawienia się kosmykami, co robił często i zupełnie niepotrzebnie. Przekorny półuśmiech również był czymś nowym.

Kiedy Tarigh po raz ostatni został przegoniony z kuchni, jego mama zauważyła, że Lajla ukradkiem na niego spogląda. Serce podskoczyło Lajli w piersiach i zamrugała szybko z poczuciem winy. Natychmiast zabrała się do wrzucania pokrojonych ogórków do dzbanka

z solonym rozwodnionym jogurtem. Ale czuła, że mama Tarigha obserwuje ją i wiedziała, że uśmiecha się dyskretnie z aprobatą.

Kiedy wszystko było już gotowe, mężczyźni nałożyli sobie jedzenie na talerze, napełnili szklanki i usiedli na podwórku. Dopiero wtedy kobiety rozsiadły się razem z dziećmi wokół *sofrah* i zaczęły jeść.

Gdy uprzątnięto obrus, zabrano talerze do kuchni i zaczęło się parzenie herbaty i przypominanie sobie, kto pije zieloną, a kto czarną, Tarigh dał Lajli dyskretny znak i wyślizgnął się za drzwi.

Lajla odczekała kilka minut i poszła za nim.

Znalazła go trzy domy dalej. Stał oparty o mur przy wejściu do wąziutkiej alejki pomiędzy dwoma przylegającymi do siebie domami. Nucił starą pasztuńską pieśń Ostada Awal Mira:

Da ze ma ziba watan,
Da ze ma dada watan.
Oto nasz przepiękny kraj,
Oto nasz ukochany kraj.

I palił. To był kolejny nowy zwyczaj przejęty od kolegów, z którymi Lajla często go ostatnio widywała. Lajla nie znosiła ich, tych nowych

kumpli Tarigha. Wszyscy ubierali się tak samo: spodnie w kant i obcisłe koszulki, które uwydatniały ramiona i torsy. Wszyscy używali za dużo wody kolońskiej i wszyscy palili. Dumnym krokiem przechadzali się grupkami po okolicy, żartując i śmiejąc się głośno, czasem nawet wołali coś za dziewczętami z identycznymi, głupimi minami wyrażającymi samozadowolenie. Jeden z kolegów Tarigha, z racji bardzo dalekiego podobieństwa do Sylwestra Stalone'a, nalegał, by nazywano go Rambo.

– Mama by cię zabiła, gdyby wiedziała, że palisz – powiedziała Lajla. Rozejrzała się na prawo i lewo, po czym szybko wślizgnęła się do alejki.

– Ale nie wie – odparł Tarigh, przesuwając się, by zrobić jej miejsce.

– To może się zmienić.

– A kto jej powie? Ty?

Lajla zabębniła palcami w mur.

– Podziel się moją tajemnicą z wiatrem, ale nie miej pretensji, że on przekaże ją drzewom.

Tarigh uśmiechnął się, unosząc jedną brew.

– Kto to powiedział?

– Chalil Gibran.

– Popisujesz się.

– Daj mi papierosa.

Pokręcił głową i założył ręce. To była nowość w jego dotychczasowym repertuarze póz: oparty o ścianę, ze skrzyżowanymi rękami, papierosem w kąciku ust i niedbale zgiętą zdrową nogą.

– Dlaczego nie?

– To nie jest dla ciebie dobre.

– A dla ciebie jest?

– Robię to z powodu dziewcząt.

– Jakich dziewcząt?

Uśmiechnął się z wyższością.

– Uważają, że to seksowne.

– Wcale nie jest.

– Nie?

– Zapewniam cię, że nie.

– Nie jest seksowne?

– Wyglądasz jak *chila*, półgłówek.

– To boli – powiedział.

– Zresztą dla jakich dziewcząt?

– Jesteś zazdrosna.

– Jestem obojętnie ciekawa.

– To sprzeczność. – Zaciągnął się jeszcze raz i zmrużył oczy od dymu. – Założę się, że teraz o nas rozmawiają.

W głowie Lajli rozbrzmiał głos Mamusi: „Jak ptaszek majna, którego trzymasz w dłoniach. Wystarczy, że trochę poluzujesz uchwyt, a od

razu odleci”. Poczucie winy wbiło w nią swoje zęby. Lajla odsunęła od siebie głos mamy i w zamian zaczęła delektować się tonem, jakim powiedział „o nas”. W jego ustach zabrzmiało to tak porywająco, tak konspiracyjnie. I ile otuchy jej to dodało, że powiedział to w taki sposób – zwyczajnie, naturalnie. „O nas”. Było to potwierdzeniem tego, że coś ich łączy.

– A co mówią?

– Że płyniemy Rzeką Grzechu. Jemy kawałki Zakazanego Ciasta.

– Jedziemy Rikszą Niegodziwości.

– Dopuszczamy się Świętokradztwa *Qurma*.

Oboje się roześmieli. Tarigh zauważył, że Lajla ma coraz dłuższe włosy.

– Ładnie wyglądają, takie długie – uznał.

Lajla miała nadzieję, że się nie zaczerwieniła.

– Zmieniłeś temat.

– Z jakiego?

– Z idiotek, które myślą, że jesteś seksowny.

– Przecież wiesz.

– Co wiem?

– Że widzę tylko ciebie.

Lajla wpadła w uniesienie, ale nie dała tego po sobie poznać. Usiłowała wyczytać coś z jego twarzy, ale było to niemożliwe: radosny kretyński uśmiech, niepasujący do nieco

desperackiego, uważnego spojrzenia zmrużonych oczu. Bystre spojrzenie, wykalkulowane tak, by plasowało się równo pośrodku między drwiną a szczerością.

Tarigh zgniótł papierosa obcasem buta zdrowej nogi.

– No i co o tym wszystkim myślisz?

– O przyjęciu?

– I kto teraz jest głupkiem? Miałem na myśli mudżahedinów, Lajlo. Ich wejście do Kabulu.

– Ach.

Zaczęła mówić mu o czymś, co powiedział jej Babi, że mariaż broni palnej i osobistych ambicji przysparza wiele kłopotów, kiedy usłyszała wrzawę dochodzącą z domu: podniesione głosy i krzyki.

Lajla rzuciła się biegiem w tamtą stronę. Za nią, skacząc, ruszył Tarigh.

Na podwórku panowało zamieszanie. W samym środku dostrzegli dwóch mężczyzn z zaciekłymi minami, siłujących się na ziemi. Od czasu do czasu połyskiwał między nimi nóż. Jednym z nich był człowiek, który wcześniej przy stole rozprawiał o polityce, drugim – ten, który wachlował jagnięcinę. Kilku innych próbowało ich rozdzielić. Nie było wśród nich Babiego. Stał

pod ścianą w bezpiecznej odległości od pola walki obok ojca Tarigha, który płakał.

Lajla zebrała razem to, co udało jej się usłyszeć od podekscytowanych ludzi: facet od polityki, Pasztun, nazwał Ahmada Szaha Masuda zdrajcą za „dogadanie się” z Sowietami w 1980 roku. Gość od kebabów, Tadżyk, uznał to za obrazę i domagał się, by tamten odwołał swoje słowa. Pasztun odmówił. Wtedy Tadżyk powiedział, że gdyby nie Masud, siostra tamtego drugiego nadal dawałaby sowieckim żołnierzom. Zaczęli się bić i jeden z nich, nie było zgodności co do tego który, wyciągnął nóż.

Lajla patrzyła z przerażeniem, jak Tarigh rzuca się w gromadę splątanych mężczyzn. Zauważyła też, że niektórzy spośród nich zamiast zaprowadzić porządek, sami rozdają ciosy. Miała też wrażenie, że widzi kolejny nóż.

Później wieczorem Lajla długo nie mogła przestać myśleć o skłębionych mężczyznach, skaczących sobie do gardeł, wśród skowytu, krzyków, wrzasków i zaciśniętych pięści, i o skrzywionej twarzy Tarigha, który z rozwianymi włosami i bez protezy, bo ta gdzieś w tym zamęcie mu się odczepiła, próbował wstać z ziemi.

Wszystko potoczyło się w oszałamiającym tempie.

Rada kierownicza została utworzona przed czasem. Rabbaniego wybrano na prezydenta, co pozostałe ugrupowania uznały za nepotyzm. Masud nawoływał do zachowania spokoju i cierpliwości.

Hekmatjar, którego wyłączono z tych spraw, był rozsierdzony. Hazarowie, przez lata ciemiężeni i zaniedbywani, kipieli ze złości.

Zaczęło się wzajemne obrzucanie obelgami, wytykanie palcami, oskarżenia. W złości odwoływano zebrania, trzaskano drzwiami. Miasto wstrzymało oddech. W górach z trzaskiem odskakiwały naładowane magazynki w kałasznikowach.

Mudżahedini uzbrojeni po zęby, ale nieposiadający już wspólnego wroga, znaleźli go w sobie nawzajem.

Dla Kabulu nadszedł dzień Sądu Ostatecznego.

A kiedy na miasto posypały się rakiety, ludzie zaczęli szukać schronienia. Mamusia również, i to dosłownie. Znów ubrała się na czarno, poszła do swojego pokoju, zasłoniła okna i naciągnęła kołdrę na głowę.

24

– To ten świst – powiedziała Lajla do Tarigha. – Najbardziej nienawidzę tego przeklętego świstu.

Tarigh pokiwał ze zrozumieniem głową.

Później Lajla pomyślała, że nie chodziło nawet o sam świst, ale raczej o te sekundy pomiędzy jego początkiem a uderzeniem. Krótki niekończący się moment trwania w zawieszeniu. Niewiedzy. Czekanie. Jak skazaniec, który zaraz usłyszy wyrok.

Często działo się to w porze obiadu, kiedy siedziała z Babim przy stole. Kiedy się zaczynało, unosili gwałtownie głowy i wsłuchiwali się w świst, z widelcami uniesionymi w górę, z nieprzełkniętym jedzeniem w ustach. Lajla widziała odbicia ich twarzy w półmroku na czarnych jak smoła szybach, ich nieporuszone cienie na ścianach. Świst. A potem wybuch, szczęśliwie gdzie indziej, po którym wypuszczali

wstrzymywane powietrze, wiedząc, że na razie zostali oszczędzeni, a tam, gdzieś wśród krzyków i kłębów duszącego dymu, ktoś się czołga, gorączkowo odgarnia gruz gołymi rękami, wyciąga szczątki tego, co zostało po siostrze bracie, wnuku…

Ale radość z bycia ocalonym nierozłącznie związana była z męką zastanawiania się, kto tym razem nie miał szczęścia. Po każdym wybuchu rakiety Lajla wybiegała na ulicę i zacinając się, modliła, pewna, że tym razem w kłębach dymu znajdą Tarigha pogrzebanego pod gruzem.

Nocami leżała w łóżku i obserwowała lśnienie nagłych błysków rozświetlających niebo. Wsłuchiwała się w terkot karabinów maszynowych i liczyła przelatujące rakiety, a dom drżał w posadach i kawałki tynku spadały jej na głowę z sufitu. Czasami, gdy blask wystrzelonych rakiet był tak jasny, że można było czytać przy nim książkę, sen w ogóle nie nadchodził. A jeśli już, to sny Lajli były wtedy wypełnione ogniem, oderwanymi kończynami i jękami rannych.

Ranek nie przynosił ulgi. Rozlegały się nawoływania muezinów do *namaz* i mudżahedini odkładali karabiny, zwracali się twarzami na zachód i się modlili. Potem

dywaniki składano, ładowano karabiny, góry zaczynały ostrzeliwać Kabul, a Kabul ostrzeliwał góry, Lajla zaś i reszta mieszkańców, bezradni niczym stary Santiago, patrzyli, jak rekiny rozszarpują po kawałku ich zdobycz.

Lajla i tak już prawie nie wychodziła z domu. A jeśli, to tylko w towarzystwie Tarigha, który z wyraźną przyjemnością spełniał ten rycerski obowiązek.

– Kupiłem pistolet – oznajmił jej któregoś dnia. Siedzieli na ziemi pod gruszą na podwórku domu Lajli. Pokazał jej broń. Powiedział, że to półautomat Beretta. Dla Lajli pistolet był po prostu czarny i śmiercionośny.

– Nie podoba mi się – powiedziała. – Pistolety mnie przerażają.

Tarigh obracał w dłoniach magazynek.

– W zeszłym tygodniu w jednym domu w Karta Se znaleziono trzy ciała – oznajmił. – Słyszałaś o tym? To były siostry. Wszystkie trzy zostały zgwałcone. Poderżnięto im gardła. Ktoś odgryzł im palce, żeby zdjąć pierścionki. Naprawdę, były ślady zębów…

– Nie chcę tego słuchać.

– Nie chciałem cię zasmucić. Ja tylko… lepiej się czuję, kiedy mam go przy sobie.

Dzięki niemu utrzymywała teraz jakiś kontakt ze światem zewnętrznym. Słyszał, o czym mówili ludzie, i wszystko jej powtarzał. To od niego dowiedziała się, że stacjonujący w górach bojownicy doskonalili swoje umiejętności strzeleckie – i zakładali się o te umiejętności – strzelając do cywilów w dole, mężczyzn, kobiet i dzieci wybranych na chybił trafił. Powiedział jej też, że strzelają rakietami do samochodów, ale z jakiegoś powodu zostawiają w spokoju taksówki – dzięki czemu Lajla zrozumiała, dlaczego ostatnio wszyscy zaczęli w pośpiechu lakierować swoje auta na żółto.

Tarigh objaśnił jej zdradliwe, zmienne granice w obrębie Kabulu. Lajla dowiedziała się na przykład od niego, że ta ulica w górę do drugiej akacji po lewej stronie należy do jednego watażki, a kolejne cztery ulice, aż do piekarni mieszczącej się obok zburzonej apteki, to sektor innego watażki i że gdyby przeszła przez tę ulicę i poszła pół mili na zachód, znalazłaby się na terytorium jeszcze innego watażki, a tym samym byłaby wystawiona na polowanie snajperów. Tak teraz nazywano bohaterów Mamusi – watażkami. Lajla słyszała też, że ludzie mówią o nich *tofangdar* – strzelcy. Inni wciąż mówili o nich „mudżahedini”, ale robili przy tym miny –

szydercze, pełne obrzydzenia – bo to słowo śmierdziało głęboką niechęcią i pogardą. Jak obelga.

Tarigh wsunął magazynek do pistoletu.

– Czy masz to w sobie? – spytała Lajla.

– Co takiego?

– Używanie tego czegoś. Zabijanie bronią.

Tarigh wcisnął pistolet za pasek dżinsów, a potem powiedział uroczo i zarazem przerażająco:

– Dla ciebie zabiłbym tym każdego, Lajlo.

Przysunął się bliżej i ich dłonie otarły się o siebie raz, a potem drugi. Kiedy palce Tarigha zaczęły niepewnie splatać się z jej palcami, Lajla nie protestowała. A gdy nagle nachylił się i pocałował ją w usta, również nie miała nic przeciwko temu.

W tej chwili całe gadanie Mamusi o reputacji i ptaszku majna wydało jej się nieistotne. Wręcz absurdalne. W środku tego całego zabijania, szabrownictwa, całej tej ohydy siedzenie pod drzewem i całowanie się z Tarighiem wydawało się czymś niegroźnym i nieszkodliwym. Drobnostką. Łatwo wybaczalną słabością. Więc pozwoliła mu się całować, a kiedy odsunął się, nachyliła się i pocałowała jego. Serce podeszło jej

do gardła, czuła mrowienie na twarzy, a w dole brzucha palił ją ogień.

W czerwcu tego roku, 1992, w zachodnim Kabulu wybuchły ostre walki między pasztuńskimi siłami watażki Sayyafa i Hazarami z ugrupowania Wahdat. W wyniku ostrzału zostały zerwane linie elektryczne, a całe ulice ze sklepami i domami obróciły się w pył. Lajla słyszała, że pasztuńscy bojownicy atakowali domy Hazarów, wdzierali się do środka i zabijali całe rodziny, dokonując czegoś na kształt egzekucji, i że Hazarowie brali odwet, uprowadzając pasztuńskich cywilów, gwałcąc pasztuńskie dziewczęta, ostrzeliwując pasztuńskie domy i zabijając bez opamiętania. Każdego dnia znajdowano ciała przywiązane do drzew, czasem tak spalone, że nie sposób było ich zidentyfikować. Często ludzie ci ginęli od kuli w głowę, bywało, że znajdowano ich z wyłupionymi oczami czy odciętymi językami.

Babi próbował namówić Mamusię do opuszczenia Kabulu.

– Poradzą sobie z tym – odpowiedziała Mamusia. – Te walki są chwilowe. Usiądą i coś wymyślą.

– Faribo, jedyne, na czym ci ludzie się znają, to wojna – przekonywał Babi. – Nauczyli się maszerować z butelką mleka w jednej dłoni i pistoletem w drugiej.

– A kim ty jesteś, żeby coś takiego mówić? – odparowała Mamusia. – Czy walczyłeś w dżihadzie? Czy porzuciłeś wszystko, co miałeś, i ryzykowałeś życie? Gdyby nie mudżahedini, nadal bylibyśmy sługusami Sowietów, nie zapominaj o tym. A teraz chcesz, abyśmy ich zdradzili!

– To nie my ich zdradzamy, Faribo.

– Wobec tego jedź sam. Weź swoją córkę i uciekaj. Wyślij mi pocztówkę. Ale wiem, że nadchodzi pokój, i zamierzam tu na niego poczekać.

Na ulicach było tak niebezpiecznie, że Babi zrobił coś nie do pomyślenia: zabronił Lajli chodzić do szkoły.

Sam zajął się jej nauką. Każdego dnia po zachodzie słońca Lajla siadała w jego pokoju i gdy Hekmatjar z południowego skraju miasta strzelał w Masuda rakietami, ona omawiała z Babim *gazale* Hafeza i dzieła ukochanego afgańskiego poety Ostada Chalilullaha Chaliliego. Babi nauczył ją rozwiązywania równań kwadratowych, pokazał jej, jak rozłożyć

wielomiany na czynniki i jak się rysuje wykresy krzywych. Kiedy Babi uczył, przechodził całkowitą przemianę. W swoim żywiole, wśród książek, wydawał się Lajli wyższy, jego głos był spokojniejszy i głębszy i znacznie rzadziej mrugał. Lajla próbowała sobie wyobrazić, jak musiał kiedyś wyglądać, kiedy wycierał pełnymi gracji ruchami tablicę i spoglądał przez ramię na uczniów ojcowskim, uważnym wzrokiem.

Ale Lajla nie mogła się skupić. Wciąż coś ją rozpraszało.

– Jaka jest powierzchnia piramidy? – pytał Babi, ale Lajla mogła jedynie myśleć o pełnych ustach Tarigha, jego gorącym oddechu tuż przy jej ustach, swoim odbiciu w jego orzechowych oczach. Od tamtego razu pod drzewem pocałowała go jeszcze dwa razy, dłużej, bardziej namiętnie, i jak jej się wydawało, mniej niezdarnie. Za każdym razem spotkali się ukradkiem w mrocznej alejce między domami, gdzie Tarigh palił papierosa w dniu przyjęcia, które wydała Mamusia. Za drugim razem pozwoliła mu dotknąć swoich piersi.

– Lajlo?

– Tak, Babi.

– Piramida. Powierzchnia. O czym ty myślisz?

– Przepraszam, Babi. Myślałam, mhm… Niech się zastanowię. Piramida… piramida… Jedna trzecia powierzchni podstawy pomnożona przez wysokość.

Babi pokiwał niepewnie głową i rzucił jej długie spojrzenie. A Lajla pomyślała o dłoniach Tarigha ściskających jej piersi, ześlizgujących się po jej szczupłych plecach, kiedy całowali się i całowali bez końca.

Któregoś dnia w tym samym miesiącu, w czerwcu, Giti wracała do domu z dwiema koleżankami ze szkoły. Zaledwie trzy ulice przed domem Giti zabłąkana rakieta trafiła dziewczynki. Później tego strasznego dnia Lajla dowiedziała się, że Nila, mama Giti, biegała po ulicy, na której zginęła Giti, zbierając do fartucha kawałki ciała swojej córki i wrzeszcząc histerycznie. Gnijąca prawa noga Giti w nylonowej skarpetce i fioletowej tenisówce została znaleziona dopiero dwa tygodnie później na dachu jednego z domów.

Podczas *fatihy* Giti, dzień po jej śmierci, Lajla siedziała oszołomiona w pokoju pełnym płaczących kobiet. Po raz pierwszy zginął ktoś bliski Lajli, ktoś, kogo kochała. Nie mogła

przyzwyczaić się do niepojętego faktu, że Giti nie żyje. Giti, z którą Lajla wymieniała potajemnie liściki na lekcjach, której malowała paznokcie, której wyskubywała pęsetą cienkie włoski rosnące na policzkach. Giti, która miała wyjść za bramkarza Sabera. Giti nie żyła. Była martwa. Rozerwana na kawałki. Lajla zaczęła opłakiwać przyjaciółkę. Z jej oczu popłynęły teraz wszystkie łzy, których nie potrafiła wylać na pogrzebie swych braci.

25

Lajla ledwo mogła się poruszać, tak jakby w jej ciele, w każdym stawie zastygł cement. Toczyła się rozmowa i Lajla wiedziała, że w niej uczestniczy, ale czuła się z niej usunięta, jakby tylko podsłuchiwała. Tarigh mówił, a ona wyobraziła sobie swoje życie jak przegniłą linę, pękającą z trzaskiem, rozplątującą się, odpadające z niej włókna, linę lecącą gdzieś w dół.

Działo się to w gorące i parne sierpniowe popołudnie 1992 roku. Oboje siedzieli w salonie w domu Lajli. Mamusię przez cały dzień bolał brzuch i kilka minut temu, mimo rakiet, które Hekmatjar wystrzeliwał z południa, Babi zabrał ją do lekarza. I oto teraz obok niej siedział na kanapie Tarigh ze wzrokiem wbitym w podłogę i dłońmi wciśniętymi między kolana.

I mówił, że wyjeżdża.

Nie z tej dzielnicy, nie z Kabulu. Ale w ogóle z Afganistanu. Wyjeżdża.

Lajla była porażona.

– Ale dokąd? Dokąd pojedziesz?

– Najpierw do Pakistanu. Do Peszawaru. A potem nie wiem. Może Hindustan? A może Iran?

– Jak długo?

– Nie wiem.

– Miałam na myśli, jak długo o tym wiesz?

– Od kilku dni. Miałem ci powiedzieć, Lajlo, przysięgam, ale nie mogłem się zebrać. Wiedziałem, jak bardzo cię to zmartwi.

– Kiedy?

– Jutro.

– Jutro?

– Lajlo, spójrz na mnie.

– Jutro.

– Chodzi o mojego ojca. Jego serce dłużej tego nie wytrzyma, tych walk i zabijania.

Lajla ukryła twarz w dłoniach. Jej piersi wypełniał pęcherz przerażenia.

Pomyślała, że powinna była się tego spodziewać. Niemal wszyscy, których znała, spakowali dobytek i wyjechali. W okolicy nie widać już było znajomych twarzy i teraz, zaledwie cztery miesiące po tym, jak zaczęły się

walki między różnymi ugrupowaniami mudżahedinów, Lajla nie widziała na ulicach już niemal nikogo znajomego. W maju rodzina Hasiny uciekła do Teheranu. Wadżma i jej klan w tym samym miesiącu pojechali do Islamabadu. Rodzice Giti i jej rodzeństwo wkrótce po jej śmierci też wyjechali. Lajla nie wiedziała dokąd – słyszała, że zmierzali do Meszhedu w Iranie. Kiedy ludzie wyjeżdżali, przez kilka dni ich domy stały puste, a potem albo zajmowali je bojownicy, albo wprowadzali się tam jacyś obcy.

Wszyscy wyjeżdżali. I teraz także Tarigh.

– A moja mama ma już swoje lata – mówił dalej. – Przez cały czas się boją. Lajlo, spójrz na mnie.

– Powinieneś był mi powiedzieć.

– Proszę, spójrz na mnie.

Z gardła Lajli wydobył się jęk. A potem wycie. Rozpłakała się, a kiedy Tarigh wyciągnął dłoń i kciukiem chciał otrzeć jej łzy z policzka, odepchnęła jego rękę. To było samolubne i irracjonalne, ale była wściekła, że ją zostawia. Tarigh, który był niemal jej przedłużeniem, którego cień wyskakiwał przy niej w każdym wspomnieniu. Jak może wyjechać? Uderzyła go w twarz. Raz i drugi i zaczęła ciągnąć go za włosy, tak że musiał złapać ją za nadgarstki.

Mówił coś uspokajająco i rozsądnie, czego nie mogła zrozumieć, i w jakiś sposób nagle siedzieli twarzą w twarz, ich brwi i nosy stykały się, a ona znów czuła jego gorący oddech na swoich ustach.

A potem nagle Tarigh zbliżył się jeszcze bardziej. Ona również.

W następnych dniach i tygodniach Lajla rozpaczliwie starała się przypomnieć sobie wszystko, co się potem wydarzyło. Jak miłośnik sztuki uciekający z płonącego muzeum zgarniała wszystko, co mogła – spojrzenie, szept, westchnienie – aby uratować je przed zniknięciem, zachować. Ale czas jest najbardziej niemiłosierną bestią i koniec końców nie udało jej się uratować wszystkiego. Mimo to część zapamiętała. Pierwsze uderzenie bólu w dole brzucha. Promień słońca na dywanie. Jej pięta obcierająca się o jego zimną twardą nogę, leżącą obok nich, niecierpliwie odczepioną. Jej dłonie zaciskające się na jego łokciach. Zaczerwienione znamię w kształcie odwróconej mandoliny pod jego obojczykiem. Jego twarz pochylona nad nią. Jego czarne kręcone włosy, łaskoczące jej usta i policzki. Przerażenie, że ktoś ich przyłapie. Niedowierzanie, że stać ich było na taką

zuchwałość, taką odwagę. Dziwna nieopisana przyjemność pomieszana z bólem. I spojrzenie, miliony spojrzeń na Tarigha: pełne zrozumienia, czułości, przepraszające, zażenowane, ale przede wszystkim spragnione.

Wszystko było potem gorączkowe. Pospiesznie zapinane koszule, wsuwane paski, włosy przeczesywane palcami. Usiedli obok siebie, pachnąc sobą nawzajem, z zaczerwienionymi twarzami, oboje porażeni, oniemiali wobec ogromu tego, co się przed chwilą stało. Co razem zrobili.

Lajla zobaczyła trzy krople krwi na obiciu, jej krwi, i wyobraziła sobie, jak później na tej samej kanapie usiądą jej rodzice nieświadomi popełnionego przez nią grzechu. Ogarnął ją wstyd i poczucie winy, a na górze tykał nieznośnie głośno zegar, jak młotek sędziego stukający raz za razem, wydający na nią wyrok skazujący.

I wtedy Tarigh powiedział:

– Jedź ze mną.

Przez chwilę Lajla niemal uwierzyła, że to możliwe. Ona, Tarigh i jego rodzice szykują się razem do drogi. Pakują walizki, wsiadają do

autobusu, zostawiają za sobą całą tę przemoc i jadą na spotkanie z błogosławieństwem albo kłopotami, ale cokolwiek ich spotka, stawią temu czoło razem. Wcale nie musiało czekać jej ponure odosobnienie, zabójcza samotność.

Mogłaby pojechać. Mogliby pojechać razem.

Mieliby więcej takich popołudni jak to.

– Chcę się z tobą ożenić, Lajlo.

Po raz pierwszy, odkąd znaleźli się na podłodze, podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Przyjrzała mu się uważnie. Tym razem nie miał swawolnej miny. Jego wyraz twarzy był zdecydowany, może prostoduszny, ale niezłomny i szczery.

– Tarigh…

– Pozwól, że się z tobą ożenię, Lajlo. Dzisiaj. Możemy wziąć ślub już dziś.

Zaczął mówić coś jeszcze, że pójdzie do meczetu, znajdzie mułłę, kilku świadków, że to będzie szybka *nekoh*…

Ale Lajla myślała o Mamusi, równie upartej i bezkompromisowej jak mudżahedini, o atmosferze wokół niej zdławionej urazą i rozpaczą, i myślała o Babim, który poddał się już dawno temu, który w tak smutny, żałosny sposób przeciwstawiał się Mamusi.

„Czasami… czuję się tak, jakbyś była wszystkim, co posiadam, Lajlo”.

To były realia jej życia, fakty, przed którymi nie było ucieczki.

– Poproszę *kakę* Hakima o twoją rękę. Da nam swoje błogosławieństwo, Lajlo, wiem o tym.

Miał rację. Babi by to zrobił. Ale to by go zniszczyło.

Tarigh wciąż mówił ściszonym głosem, potem głośniej, błagalnie, a później rozsądnie. Na jego twarzy malowała się nadzieja, a potem rozpacz.

– Nie mogę – szepnęła Lajla.

– Nie mów tak. Kocham cię.

– Przepraszam…

– Kocham cię.

Jak długo czekała, aż usłyszy te słowa? Ile razy marzyła, że Tarigh je wypowie? I oto wreszcie padły, wypowiedziane na głos, a Lajlę poraziła ironia losu.

– Nie mogę zostawić ojca – powiedziała Lajla. – Tylko ja mu zostałam. Jego serce też by tego nie wytrzymało.

Tarigh o tym wiedział. Wiedział, że Lajla nie może zignorować zobowiązań rodzinnych, podobnie jak on nie mógł zignorować swoich, ale ciągnął to dalej – prosił i błagał, a ona

odmawiała, on się oświadczał, a ona przepraszała wśród łez jego i jej.

W końcu zmusiła go, by wyszedł.

W drzwiach kazała mu obiecać, że wyjedzie bez pożegnania. Zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Oparła się o nie plecami, drżąc, a on walił w nie pięściami. Jedną ręką trzymała się za brzuch, a drugą zasłaniała usta, a on mówił dalej przez drzwi i obiecywał, że po nią wróci. Stała tam, aż Tarigh się zmęczył, aż się poddał, a potem słuchała jego oddalających się kroków, aż ucichły, aż wszystko się uspokoiło, poza strzelaniną na wzgórzach i jej własnym sercem, którego bicie rozbrzmiewało echem w jej brzuchu, uszach, kościach.

26

To był jak dotąd najgorętszy dzień roku. Otaczające Kabul góry utrzymywały żar w pułapce i miasto dusiło się upałem jak dymem. Przez kilka dni nie było prądu. W całym Kabulu wentylatory niemal szyderczo próżnowały.

Lajla leżała nieruchomo na kanapie w salonie i czuła, że pot przesiąka jej przez koszulę. Każdy wydychany oddech palił jej czubek nosa. Wiedziała, że rodzice rozmawiają w pokoju Mamusi. Dwa dni temu, a także zeszłej nocy, obudziła się i miała wrażenie, że z dołu dochodzą ich głosy. Rozmawiali teraz co dzień, od czasu kuli, od kiedy w bramie pojawiła się ta dziura.

Na zewnątrz daleki łomot artylerii, a potem bliżej przerywana długa seria z karabinu maszynowego, a po niej kolejna.

We wnętrzu Lajli również toczyła się walka: z jednej strony poczucie winy, a wraz z nim wstyd, a z drugiej przekonanie, że to, co zrobiła

z Tarighiem, wcale nie było grzeszne, że było to naturalne, dobre, piękne, wręcz nieuniknione, wywołane świadomością, że być może nigdy już się nie zobaczą.

Lajla przewróciła się na bok i próbowała coś sobie przypomnieć. W pewnym momencie, kiedy leżeli na podłodze, Tarigh nachylił się nad nią, a potem coś wydyszał: albo „Czy sprawiam ci ból?”, albo „Czy to sprawia ci ból?”.

Lajla nie mogła zdecydować, co dokładnie powiedział.

„Czy sprawiam ci ból?”.

„Czy to sprawia ci ból?”.

Wyjechał zaledwie dwa tygodnie temu, a już się to działo. Czas stępiający krawędzie tych wyrazistych wspomnień. Lajla wwiercała się w swoją pamięć. Co on powiedział? Nagle wydało jej się to najważniejszą rzeczą na świecie. Musiała to wiedzieć.

Zamknęła oczy. Skupiła się.

Z upływem czasu zmęczą ją te starania. Przywoływanie fragmentów wspomnień, odkurzanie i wskrzeszanie tego, co dawno umarło, stanie się coraz bardziej wyczerpujące. Nadejdzie taki dzień, wiele lat później, w którym Lajla nie będzie już opłakiwała jego straty. A przynajmniej nie tak rozpaczliwie, nie aż tak.

Nadejdzie dzień, w którym rysy jego twarzy zaczną wyślizgiwać się z uścisku pamięci, kiedy Lajla nie będzie rozsypywała się w drobny mak, gdy jakaś matka na ulicy zawoła swojego synka imieniem Tarigh. Nie będzie za nim tęskniła tak, jak tęskni teraz, gdy ból spowodowany jego nieobecnością stale jej towarzyszy – jak fantom bólu po amputacji.

Tylko czasem, kiedy Lajla była już dojrzałą kobietą, w trakcie prasowania koszuli albo huśtając swoje dzieci, coś zupełnie trywialnego, na przykład ciepło dywanu pod jej bosymi stopami w gorący dzień albo kształt czoła nieznajomego mężczyzny przywoływało nagle wspomnienie tamtego popołudnia. I wtedy wszystko stawało jej nagle przed oczami. Spontaniczność tego zdarzenia. Szokująca nieostrożność. Ich nieporadność. Towarzyszący temu ból i przyjemność, i smutek. Ich gorące splecione ciała.

W takich chwilach wspomnienia dosłownie ją zalewały. Zapierały jej dech w piersiach.

Ale potem to mijało. Ten moment mijał, a ona opadała z sił i nie czuła nic prócz niepokoju.

Zdecydowała, że powiedział: „Czy sprawiam ci ból?”. Tak. Zdecydowanie tak powiedział. Lajla była szczęśliwa, że sobie przypomniała.

Zaraz potem w przedpokoju stanął Babi i zaczął wołać ją ze szczytu schodów, prosząc, by szybko przyszła na górę.

– Zgodziła się! – Jego głos drżał z hamowanego podniecenia. – Wyjeżdżamy, Lajlo. Wszyscy troje. Wyjeżdżamy z Kabulu.

W pokoju Mamusi usiedli we trójkę na łóżku. Na zewnątrz rakiety przecinały niebo – siły Hekmatjara i Masuda toczyły niekończące się walki. Lajla wiedziała, że gdzieś w mieście ktoś właśnie zginął i że chmury czarnego dymu unoszą się nad jakimś budynkiem, który zawalił się w tumanach kurzu. Rankiem będą tam leżeć ciała. Niektóre zostaną zabrane. Inne nie. Wtedy kabulskie psy, które zasmakowały w ludzkim mięsie, będą miały ucztę.

Lajla miała ochotę rzucić się pędem tymi ulicami. Z trudem powstrzymywała ogarniające ją szczęście. Usiedzenie w miejscu sporo ją kosztowało. Miała ochotę krzyczeć z radości. Babi powiedział, że najpierw pojadą do Pakistanu, gdzie postarają się o wizy. Do Pakistanu, tam, gdzie jest Tarigh! Tarigha nie było zaledwie od siedemnastu dni, obliczała podekscytowana Lajla. Gdyby Mamusia zdecydowała się

siedemnaście dni temu, mogliby wyjechać razem. Byłaby już teraz z Tarighiem! Ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Jechali do Peszawaru – ona, Mamusia i Babi – gdzie na pewno odszukają Tarigha i jego rodziców. Na pewno. Razem będą załatwiali sobie papiery. A potem, kto wie? Kto wie? Europa? Ameryka? Może tak jak zawsze powtarzał Babi: jakieś miejsce nad morzem…

Mamusia leżała oparta o wezgłowie łóżka. Miała spuchnięte oczy. Skubała włosy na głowie.

Trzy dni wcześniej Lajla wyszła na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Stanęła przy bramie wejściowej, opierając się o nią, gdy nagle usłyszała głośny trzask i coś świsnęło jej obok prawego ucha, a przed jej oczami rozprysły się drobne drzazgi. Po śmierci Giti, tysiącach wystrzałów z broni maszynowej i niezliczonych ilościach rakiet, które spadły na Kabul, dopiero widok tej maleńkiej okrągłej dziurki w bramie, mniej niż trzy palce od miejsca, w którym znajdowała się głowa Lajli, sprawił, że Mamusia się ocknęła. Wreszcie dotarło do niej, że o ile jedna wojna kosztowała ją życie dwojga dzieci, o tyle ta może ją kosztować życie ostatniego, pozostałego przy życiu dziecka.

Ahmad i Nur uśmiechali się do nich ze ścian pokoju. Lajla obserwowała, jak Mamusia

z poczuciem winy przenosi wzrok z jednego zdjęcia na drugie. Jakby czekała na ich zgodę. Błogosławieństwo. Jakby prosiła o przebaczenie.

– Nic nas już tu nie trzyma – powiedział Babi. – Nasi synowie odeszli, ale wciąż mamy Lajlę. Wciąż mamy siebie, Faribo. Możemy zacząć nowe życie.

Babi przysunął się do niej. Kiedy wziął jej dłonie w swoje, Mamusia nie protestowała. Na jej twarzy malował się wyraz przyzwolenia. Rezygnacji. Trzymali się za ręce i kołysali delikatnie, leciutko objęci. Mamusia wcisnęła twarz w jego szyję. Ścisnęła w garści rąbek jego koszuli.

Tej nocy przez wiele godzin podniecenie nie pozwalało Lajli zasnąć. Leżała w łóżku i obserwowała, jak na horyzoncie rozpalają się jaskrawe odcienie barwy pomarańczowej i żółcieni. W jakimś momencie, mimo euforii i łomotu ognia artyleryjskiego na zewnątrz, zasnęła.

I przyśnił jej się sen.

Siedzą na kocu, na wąskim pasie plaży. Jest chłodny, pochmurny dzień, ale obok Tarigha pod kocem, który zarzucili sobie na ramiona, jest jej ciepło. Lajla widzi samochody zaparkowane za niskim ogrodzeniem, z którego odłazi biała farba,

pod rzędem targanych wiatrem palm. Wiatr wyciska jej łzy z oczu, przysypuje piaskiem ich buty i unosi kępki traw z jednego miękkiego grzbietu wydmy na drugi. Obserwują żaglówki podskakujące na wodzie w oddali. Wokół nich krzyczą dygoczące od wiatru mewy. Wiatr unosi kolejną chmurę piasku z niskich nawietrznych pagórków. Towarzyszy temu dźwięk podobny do śpiewu i Lajla mówi Tarighowi coś, co dawno temu powiedział jej Babi o śpiewających piaskach.

Tarigh ściera jej ziarna piasku z brwi. Lajla dostrzega błysk obrączki na jego palcu. Jest taka sama jak jej obrączka – złota, z wygrawerowanym wokół zawiłym wzorem.

„To prawda – mówi do niego. – To tarcie jednego ziarnka piasku o drugie. Posłuchaj". Tarigh nasłuchuje. Czekają. Znów to słyszą. Pomruk, kiedy wiatr jest łagodny, a gdy wieje mocniej – zawodzący wysokimi głosami chór.

Babi powiedział, że powinni wziąć tylko to, co jest absolutnie niezbędne. Resztę mieli sprzedać.

– To powinno wystarczyć do czasu, aż znajdę w Peszawarze pracę.

Przez następne dwa dni zbierali przedmioty, które miały zostać sprzedane, i układali je w stosy.

W swoim pokoju Lajla odłożyła na bok stare bluzki, stare buty, książki i zabawki. Pod łóżkiem znalazła małą żółtą, szklaną świnkę, którą Hasina dała jej w czasie przerwy w zajęciach w piątej klasie. Łańcuszek na klucze z maleńką piłeczką futbolową. Drewnianą zebrę na kółkach. Ceramicznego astronautę, którego znalazła kiedyś z Tarighiem w rynsztoku. Miała wtedy sześć lat, a Tarigh osiem. Pamiętała, że pokłócili się wtedy o to, kto znalazł go pierwszy.

Mamusia również zebrała swoje rzeczy. Jej ruchy zdradzały niechęć, oczy miała pogrążone w letargu, patrzyła nieobecnym wzrokiem. Odłożyła na bok dobre talerze, chusteczki, całą biżuterię – poza obrączką – oraz większość starych ubrań.

– Chyba nie zamierzasz tego sprzedać? – spytała Lajla, podnosząc suknię ślubną Mamusi, która spłynęła kaskadą na jej podołek. Dotknęła koronki obwiedzionej wstążką przy dekolcie, ręcznie przyszywanych perełek na rękawach.

Mamusia wzruszyła ramionami i wzięła sukienkę. Rzuciła ją byle jak na stos ubrań. Jakby

jednym ruchem zrywała plaster z opatrunkiem, pomyślała Lajla.

Babiego czekało najbardziej bolesne zadanie.

Lajla znalazła go w jego pokoju, gdzie ze smutną miną przeglądał książki na półkach. Miał na sobie T-shirt ze sklepu z używaną odzieżą ze zdjęciem czerwonego mostu w San Francisco. Wieże mostu spowijała gęsta mgła unosząca się ze spienionych fal.

– Znasz tę starą grę? – zapytał. – Jesteś na bezludnej wyspie. Możesz mieć tylko pięć książek. Które wybierasz? Nigdy nie myślałem, że naprawdę będę musiał dokonać takiego wyboru.

– Będziemy musieli zacząć od nowa zbierać książki, Babi.

– Mhm. – Uśmiechnął się smutno. – Nie mogę uwierzyć, że opuszczam Kabul. W tym mieście skończyłem szkołę, dostałem pierwszą pracę, zostałem ojcem. Czuję się nieswojo na myśl, że wkrótce będę spał pod niebem jakiegoś innego miasta.

– Mnie też wydaje się to dziwne.

– Przez cały dzień krąży mi pod głowie ten wiersz o Kabulu. Saeb Tabrizi napisał go w siedemnastym wieku. Znałem kiedyś cały wiersz na pamięć, ale teraz pamiętam tylko dwie linijki:

Nikt nie policzy księżyców, co lśnią na jego dachach,
ani tysiąca wspaniałych słońc, co kryją się za jego murami.

Lajla podniosła głowę i zobaczyła, że ojciec płacze. Objęła go.

– Och, Babi. Wrócimy tu, kiedy skończy się wojna. Wrócimy do Kabulu, *enszaallah*. Zobaczysz.

Trzeciego ranka Lajla zaczęła przenosić stosy rzeczy na podwórko i układać je przed frontowymi drzwiami. Potem mieli załadować wszystko do taksówki i zawieźć do lombardu.

Lajla kursowała między domem a podwórkiem, w tę i z powrotem, przenosząc sterty ubrań, naczyń i kartony pełne książek Babiego. Do południa, kiedy sterty ich dobytku przy drzwiach wejściowych urosły do pokaźnych rozmiarów, powinna być wyczerpana, ale każdy kolejny karton zbliżał ją coraz bardziej do Tarigha i za każdym razem jej nogi poruszały się żwawiej, a ręce mniej bolały.

– Będzie nam potrzebna duża taksówka.

Lajla podniosła głowę. To Mamusia wołała do niej z okna sypialni na górze. Wychyliła się, opierając ręce na parapecie. Słońce, jasne i ciepłe, połyskiwało w jej siwych włosach, oświetlało jej mizerną, szczupłą twarz. Mamusia miała na sobie tę samą kobaltowoniebieską sukienkę, którą włożyła w dniu przyjęcia cztery miesiące temu, dziewczęcą sukienkę odpowiednią dla młodej kobiety, ale przez chwilę Mamusia wydała się Lajli bardzo stara. Stara kobieta z żylastymi ramionami, zapadniętymi skroniami i wyblakłymi, podkrążonymi ze zmęczenia oczami. Zupełnie inna istota niż pulchna kobieta o krągłej buzi, która uśmiechała się radośnie z nieostrych ślubnych zdjęć.

– Dwie duże taksówki – powiedziała Lajla.

Widziała też Babiego w salonie. Ustawiał jedne na drugim kartony z książkami.

– Wejdź do środka, kiedy już z tym skończysz – poleciła Mamusia. – Usiądziemy i zjemy obiad. Gotowane jajka i resztki fasoli.

– Moje ulubione – powiedziała Lajla.

Nagle przypomniała sobie ten sen: ona i Traigh siedzący na kocu. Ocean. Wiatr. Wydmy.

Zastanawiała się teraz, jak brzmiały te śpiewające piaski.

Lajla zatrzymała się. Zobaczyła szarą jaszczurkę wychodzącą ze szczeliny w ziemi. Jaszczurka szybko pokręciła głową na boki. Zamrugała i czmychnęła pod kamień.

Lajla znów wyobraziła sobie plażę. Tyle że teraz słyszała wokół śpiew. Narastający. Coraz głośniejszy i wyższy. Wdzierał się do jej uszu. Pochłonął wszystko inne. Mewy stały się teraz pierzastymi mimami, bezgłośnie otwierającymi i zamykającymi dzioby, a spienione fale rozbijały się we mgle skroplonej wody, ale bez huku. Piaski nadal śpiewały. Krzyczały. Dźwięk przypominał… dzwonienie?

Nie, nie dzwonienie. Nie. Raczej świst.

Książki wypadły jej z rąk. Spojrzała na niebo i zakryła oczy ręką.

A potem rozległ się potężny ryk.

Za jej plecami biały błysk.

Ziemia zadrżała.

Coś gorącego i potężnego uderzyło w nią od tyłu. Zerwało jej ze stóp sandały. Uniosło do góry. Leciała teraz skręcona, obracając się w powietrzu, widziała niebo, potem ziemię, potem znów niebo i znów ziemię. Obok niej przeleciał duży płonący kawałek drewna. I tysiące odłamków szkła, a Lajla miała wrażenie, że widzi każdy z nich, wirujący wokół niej,

z wolna obracający się w powietrzu, i w każdym odbijały się promienie słońca. Maleńkie, piękne tęcze.

A potem Lajla uderzyła w mur. Upadła na ziemię. Jej twarz i ramiona pokrywał kurz, kamyki i szkło. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, było coś, co z głuchym odgłosem upadło na ziemię obok niej. Jakiś zakrwawiony kloc. A na nim fragment czerwonego mostu wyłaniający się zza gęstej mgły.

Cienie poruszające się wokół. Fluorescencyjne światło padające z sufitu nad nią. Pojawia się jakaś kobieca twarz, nachyla.

Lajla znów zapada się w ciemność.

Kolejna twarz. Tym razem mężczyzny. Ma wyraziste rysy, ale jego twarz jest jakaś obwisła. Jego usta poruszają się, lecz nie wydają żadnego dźwięku. Lajla słyszy tylko dzwonienie.

Mężczyzna macha ręką przed jej twarzą. Ściąga brwi. Jego usta znów się poruszają.

Ból. Oddychanie sprawia jej ból. Wszystko ją boli.

Szklanka wody. Różowa tabletka.

Powrót do ciemności.

Znowu kobieta. Pociągła twarz z blisko osadzonymi oczami. Coś mówi. Lajla słyszy tylko dzwonienie. Ale widzi słowa, jak gęsty czarny syrop wypływające z ust kobiety.

Czuje ból w piersiach. A także w ramionach i nogach.

Wokół poruszają się cienie.

Gdzie jest Tarigh?

Dlaczego go tu nie ma?

Ciemność. Rój gwiazd.

Babi i ona siedzą gdzieś wysoko w górze. Babi pokazuje pole jęczmienia. Jakiś agregat zaczyna pracować.

Obok niej stoi kobieta o pociągłej twarzy i patrzy na nią.

Oddychanie sprawia jej ból.

Gdzieś słychać akordeon.

Na szczęście znów różowa tabletka. A potem głęboka cisza. Wszystko ogarnia głęboka cisza.

CZĘŚĆ TRZECIA

27

Mariam

Wiesz, kim jestem?

Dziewczyna zamrugała.

– Wiesz, co się stało?

Jej usta zaczęły drżeć. Zamknęła oczy. Przełknęła. Potarła lewy policzek. Coś wymamrotała.

Mariam nachyliła się niżej.

– To ucho – szepnęła dziewczyna. – Nic nie słyszę.

Przez pierwszy tydzień dziewczyna właściwie nic nie robiła, tylko spała za sprawą różowych tabletek, za które zapłacił w szpitalu Raszid. Przez sen coś szeptała. Czasem wygadywała brednie, łkała, wykrzykiwała imiona, które nic

Mariam nie mówiły. We śnie popłakiwała, kręciła się niespokojnie, zrzucała z siebie kołdrę, a wtedy Mariam musiała ją uspokajać. Czasem wymiotowała, zwracała wszystko, czym Mariam ją karmiła.

Kiedy była spokojniejsza, stawała się parą smutnych oczu wyglądających spod kołdry, i wyrzucała z siebie szeptem krótkie odpowiedzi na pytania Mariam i Raszida. Czasami zachowywała się dziecinnie, odwracała głowę, kiedy Mariam, a potem Raszid próbowali ją nakarmić. Sztywniała, gdy Mariam podsuwała jej pod nos łyżkę. Ale szybko się męczyła i w końcu, wobec upartych nalegań Mariam, poddawała się. Po kapitulacji następowały napady płaczu.

Raszid dał Mariam specjalną maść z antybiotykiem do wcierania w zadrapania na twarzy i szyi dziewczyny oraz w zszyte w szpitalu rany na jej plecach, przedramionach i łydkach. Mariam owijała je bandażami, które prała i używała ponownie. Kiedy dziewczyna wymiotowała, odgarniała jej włosy do tyłu.

– Jak długo u nas zostanie? – spytała Raszida.

– Aż wydobrzeje. Spójrz na nią. W takim stanie nigdzie nie może iść. Biedactwo.

To Raszid znalazł dziewczynę i odkopał ją spod gruzu.

– Całe szczęście, że byłem w domu – powiedział. Siedział na rozkładanym krześle obok łóżka Mariam, na którym leżała dziewczyna. – To znaczy całe szczęście dla ciebie. Odkopałem cię własnymi rękami. Taki duży kawałek metalu. – W tym miejscu Raszid rozciągał kciuk i palec wskazujący, aby pokazać, zdaniem Mariam mocno przesadzając, wielkość odłamka. – Taki duży. Wystawał z twoich pleców. Naprawdę był tam wbity. Myślałem, że będę musiał pójść po obcęgi. Ale naprawdę nic ci nie jest. Ani się obejrzysz, a będziesz *nau sochta*. Jak nowa.

To Raszid uratował trochę książek Hakima.

– Z większości został tylko popiół. A resztę chyba ukradziono.

Przez pierwszy tydzień pomagał Mariam opiekować się dziewczyną. Któregoś dnia wrócił z pracy z nową kołdrą i poduszką. Innym razem przyniósł buteleczkę z pastylkami.

– Witaminy – oznajmił.

To Raszid poinformował Lajlę, że dom jej przyjaciela Tarigha został zajęty.

– Prezent – powiedział. – Od jednego z komendantów Sayyafa dla jego trzech ludzi. Prezent.

Ci trzej ludzie Sayyafa byli w istocie chłopcami o opalonych dziecięcych buziach. Mariam widziała ich, kiedy przechodziła obok domu Tarigha. Stale nosili polowe mundury, przesiadywali przed drzwiami wejściowymi, grali w karty i palili, a ich kałasznikowy leżały pod ścianą. Ten krzepki, zawsze zadowolony z siebie, odnoszący się do wszystkich z pogardą, był ich dowódcą. Najmłodszy z nich był najspokojniejszy i dość niechętnie znosił poczucie bezkarności, które żarliwie okazywali jego koledzy. Kiedy Mariam ich mijała, uśmiechał się i pochylał głowę w *salam*. Kiedy to robił, jego powierzchowne samozadowolenie jakby zanikało i Mariam wyczuwała odrobinę zachowanej jeszcze skromności.

Któregoś ranka rakiety uderzyły w tamten dom. Później pojawiły się plotki, że wystrzelili je Hazarowie z Wahdatu. Przez jakiś czas sąsiedzi odnajdywali kawałki ciał chłopców.

– Wcześniej czy później musiało ich to spotkać – powiedział Raszid.

Dziewczyna miała niesamowicie dużo szczęścia, pomyślała Mariam, że wyszła z tego ze stosunkowo niewielkimi obrażeniami, choć rakieta zamieniła jej dom w dymiącą stertę gruzu. Powoli wracała do zdrowia. Zaczęła więcej jeść, sama rozczesywała sobie włosy. Kąpała się. I zaczęła jadać na dole, razem z Raszidem i Mariam.

Ale nagle mimo woli nachodziły ją wspomnienia, a wtedy milkła albo stawała się niespodziewanie opryskliwa. Zamykała się w sobie i zapadała. Nieobecne spojrzenie. Nocne koszmary i nagłe ataki rozpaczy. Wymioty.

A czasem wyrzuty sumienia.

– Nie powinnam tu w ogóle być – powiedziała któregoś dnia.

Mariam zmieniała pościel. Dziewczyna obserwowała ją, siedząc na podłodze z nogami podciągniętymi pod brodę.

– Mój ojciec chciał wynieść pudła. Książki. Powiedział, że są dla mnie za ciężkie. Ale nie pozwoliłam mu. Za bardzo rwałam się do pracy. To ja powinnam być w domu, kiedy to się stało.

Mariam zarzuciła prześcieradło na łóżko i poczekała, aż opadnie. Spojrzała na dziewczynę, na jej jasne loki, smukłą szyję i zielone oczy, wysokie kości policzkowe i pełne usta. Mariam

przypomniała sobie, jak widywała ją na ulicy jako małą dziewczynkę, drepczącą za mamą w drodze do pieca *tandur*, siedzącą na barana na plecach jednego z braci, tego młodszego, z kępką włosów na uchu. Grającą w kulki z synem stolarza.

Dziewczyna patrzyła na nią, jakby czekała, aż Mariam przekaże jej odrobinę jakiejś mądrości, powie coś, co doda jej odwagi. Ale jaką mądrość mogła zaoferować jej Mariam? Jakie słowa otuchy? Mariam wciąż pamiętała dzień, w którym pochowali Nanę, i pamiętała, jak nikłe pocieszenie dały jej słowa Koranu przytoczone przez mułłę Faizullaha: *Błogosławiony niech będzie Ten, w którego ręku jest królestwo – On jest nad każdą rzeczą wszechwładny! Który stworzył śmierć i życie, aby was doświadczyć*. Albo kiedy powiedział o jej poczuciu winy: „Takie myśli nie są dobre, Mariam *dżan*. Zniszczą cię. To nie była twoja wina. To nie była twoja wina”.

Co mogła powiedzieć tej dziewczynce, aby ulżyć jej w cierpieniu?

Okazało się, że nic nie musiała mówić. Bo dziewczyna nagle się skrzywiła, opadła na czworaki i oznajmiła, że zaraz zwymiotuje.

– Zaczekaj! Przyniosę miskę. Nie na podłogę. Właśnie ją umyłam… Och. Och. *Chadaja*. Już

dobrze.

A potem, któregoś dnia, mniej więcej miesiąc po wybuchu, który zabił jej rodziców, do drzwi zapukał pewien człowiek. Mariam wpuściła go do środka.

– Przyszedł do ciebie jakiś mężczyzna – powiedziała.

Dziewczyna uniosła głowę z poduszki.

– Mówi, że nazywa się Abdul Szarif.

– Nie znam żadnego Abdula Szarifa.

– Cóż, ale jest tutaj i pyta o ciebie. Musisz zejść na dół i z nim porozmawiać.

28

Lajla

Lajla usiadła naprzeciw Abdula Szarifa, który był szczupłym mężczyzną o małej główce i kartoflowatym nosie, pooranym bliznami bardzo podobnymi do tych, które przecinały mu policzki. Na jego głowie sterczały krótkie kasztanowe włosy, niczym igły wbite w poduszeczkę.

– Wybacz mi, *hamszira* – powiedział, poprawiając luźny kołnierzyk i ocierając brwi chusteczką. – Obawiam się, że nie całkiem doszedłem do siebie. Czeka mnie jeszcze pięć dni na tych, jak oni je nazywają… sulfonamidach.

Lajla usiadła tak, aby jej prawe ucho, to dobre, znajdowało się bliżej niego.

– Byłeś zaprzyjaźniony z moimi rodzicami?

– Nie. Nie – Abdul Szarif pospiesznie zaprzeczył. – Wybacz mi.

Podniósł palec i upił duży łyk wody ze szklanki, którą postawiła przed nim Mariam.

– Powinienem chyba zacząć od początku. – Otarł chusteczką usta, a potem znów czoło. – Prowadzę interesy. Sklepy z odzieżą, przede wszystkim z odzieżą dla mężczyzn. *Czapany*, czapki, *tombany*, garnitury, krawaty… wszystko, co zechcesz. Dwa sklepy tu w Kabulu, w Tajmani i w Szahr-e Nau, choć właśnie je sprzedałem. I dwa w Pakistanie, w Peszawarze. Tam zresztą mam magazyn. Więc dużo podróżuję w tę i z powrotem. Co ostatnimi czasy – pokręcił głową i westchnął – powiedzmy, że dostarcza sporo mocnych wrażeń.

Byłem ostatnio w Peszawarze w interesach, miałem zrobić remanent i tym podobne. I odwiedzić rodzinę. Mamy trzy córki, *alhamdulellah*. Wywiozłem je i żonę do Peszawaru, kiedy mudżahedini rzucili się sobie do gardeł. Nie pozwolę, aby ich imiona znalazły się na liście *szahidów*. Ani moje imię, jeśli mam być szczery. Wkrótce sam też się tam przeniosę, *enszaallah*.

W każdym razie miałem wrócić do Kabulu dwa tygodnie temu, we środę. Nie będę cię tym zanudzał, *hamszira*, wystarczy, jeśli powiem, że gdy załatwiałem potrzebę, tę prostszą z dwóch,

poczułem, jakby wypływały ze mnie odłamki szkła. Nie życzę tego nawet Hekmatjarowi. Moja żona, Nadia Dżan, niech ją Allah błogosławi, błagała, abym poszedł do lekarza. Ale myślałem, że przegonię to aspiryną i dużymi ilościami wody. Nadia *dżan* nalegała, ja odmawiałem i tak się spieraliśmy. Znasz to powiedzenie: „Uparty tyłek musi mieć upartego kierowcę”. Tym razem, obawiam się, tyłek wygrał. To znaczy ja.

Dopił wodę i podał Mariam pustą szklankę.

– Jeśli to nie byłby zbyt duży *zahmat*… Nie muszę chyba mówić, że powinienem był się jej posłuchać. Zawsze miała więcej rozsądku, niech Bóg da jej długie życie. Nim dojechałem do szpitala, dopadła mnie gorączka i dygotałem jak drzewo *beid* na wietrze. Ledwo trzymałem się na nogach. Pani doktor powiedziała, że mam zatrutą krew. Że gdybym zwlekał jeszcze dwa albo trzy dni, moja żona zostałaby wdową. Umieścili mnie na specjalnym oddziale, takim dla naprawdę ciężko chorych pacjentów. Och, *taszakkor*. – Wziął szklankę z rąk Mariam i z kieszeni płaszcza wyjął dużą białą tabletkę. – Najgorsze, że są takie wielkie.

Lajla patrzyła, jak połyka tabletkę. Wiedziała, że ma przyspieszony oddech. Jej nogi były ociężałe, jakby ktoś przyczepił do nich ciężarki.

Powtarzała sobie, że przecież ten mężczyzna jeszcze nie skończył, nic jej jeszcze nie powiedział. Ale zaraz to zrobi i Lajla ze wszystkich sił musiała zwalczyć chęć zerwania się z miejsca i opuszczenia tego pokoju, zanim on powie rzeczy, których nie chciała słyszeć.

Abdul Szarif odstawił szklankę na stół.

– Tam poznałem twojego przyjaciela, Mohammada Tarigha Walizaja.

Serce Lajli podskoczyło. Tarigh w szpitalu? Na specjalnym oddziale? „Dla naprawdę ciężko chorych pacjentów”?

Zrobiło jej się sucho w gardle. Mimo to przełknęła. Poruszyła się na krześle. Musiała się przygotować. W przeciwnym razie mogła rozpaść się na kawałki. Odsunęła myśli o szpitalach i specjalnych oddziałach i skupiła się na tym, że po raz pierwszy do wielu lat, odkąd zapisała się z Tarighiem na zimowy kurs języka farsi, nie słyszała, by ktoś, tak jak ten mężczyzna, nazywał go pełnym imieniem – Mohammad Tarigh Walizaj. Uderzyło ją, jak komicznie oficjalnie zabrzmiało to imię w ustach tego mężczyzny.

– Od jednej z pielęgniarek dowiedziałem się, co mu się przydarzyło – Abdul Szarif podjął przerwaną opowieść, stukając się w pierś, aby

ułatwić przełknięcie tabletki. – Spędziłem tyle czasu w Peszawarze, że całkiem nieźle radzę sobie z językiem urdu. W każdym razie dowiedziałem się, że twój przyjaciel jechał ciężarówką pełną uciekinierów. Było ich ponad dwadzieścioro. Wszyscy chcieli dotrzeć do Peszawaru. Niedaleko granicy dostali się w krzyżowy ogień. W ciężarówkę trafiła rakieta. Zapewne zabłąkana, ale z tymi ludźmi nigdy nie wiadomo, nigdy nic nie wiadomo. Przeżyło tylko sześć osób. Wszyscy trafili na ten sam oddział. Trzech zmarło w ciągu pierwszej doby. Dwie ocalały – zdaje się, że były to siostry – i tego samego dnia zostały wypisane ze szpitala. Twój przyjaciel, pan Walizaj, był ostatnim z nich. Kiedy trafiłem do szpitala, leżał tam już prawie od trzech tygodni.

A więc żyje. Jak poważnie jest ranny? – zastanawiała się gorączkowo Lajla. Jak poważnie? Ewidentnie na tyle, że musi leżeć na specjalnym oddziale. Lajla czuła, że się poci i ma rozpaloną twarz. Próbowała myśleć o czymś innym, o czymś przyjemnym, na przykład o wycieczce do Bamjanu z Tarighiem i Babim, gdzie oglądali posągi Buddy. Ale zamiast twarzy Tarigha zobaczyła jego rodziców: mamę uwięzioną w ciężarówce, leżącą na brzuchu

i wołającą Tarigha przez kłęby dymu, jej ramiona i piersi w płomieniach, perukę wtapiającą się jej w czaszkę…

Lajla wzięła kilka gwałtownych wdechów.

– Leżał w łóżku obok mnie. Rozdzielała nas jedynie zasłonka. Więc mogłem mu się dobrze przyjrzeć.

Abdul Szarif nagle zaczął bawić się obrączką. Mówił teraz powoli, z namysłem.

– Widzisz, twój przyjaciel był ciężko… bardzo ciężko… ranny. Zewsząd wychodziły z niego gumowe rurki. Najpierw – odchrząknął – najpierw sądziłem, że stracił w tym wybuchu obie nogi, ale pielęgniarka powiedziała, że nie, że tylko prawą, bo lewą stracił już dawno temu. Miał też obrażenia wewnętrzne. Operowali go aż trzy razy. Wycięli część jelita i nie pamiętam co jeszcze. I był poparzony. Dość mocno. Tylko tyle mogę powiedzieć. Jestem pewny, *hamszira*, że masz dość własnych koszmarów. Nie ma sensu, abym dodawał do tego kolejne.

Tarigh nie ma teraz nóg. Jest korpusem z dwoma kikutami. Beznogim. Lajla miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Z rozmyślnym, rozpaczliwym wysiłkiem wysłała wici swojego umysłu na zewnątrz, daleko od tego pokoju, tego mężczyzny, na ulice, ponad miasto i jego niskie

domy, bazary i plątaninę wąskich uliczek zamienionych w zamki z piasku.

– Przez większość czasu był ogłuszony lekami. Przeciwbólowymi, jak się domyślam. Jednak chwilami, kiedy leki przestawały działać, odzyskiwał przytomność. Cierpiał, ale był przytomny. Mówiłem do niego, leżąc w łóżku. Powiedziałem mu, kim jestem i skąd pochodzę. Chyba się cieszył, że ma u boku rodaka.

Ja mówiłem najwięcej, bo jemu przychodziło to z trudem. Miał ochrypły głos i chyba poruszanie ustami sprawiało mu ból. Więc opowiedziałem mu o moich córkach i o naszym domu w Peszawarze i o werandzie, którą buduję ze szwagrem. A także, że sprzedałem sklepy w Kabulu i że wracam, aby dokończyć sprawy papierkowe. Niewiele miałem mu do powiedzenia. Ale przynajmniej miał jakieś zajęcie. Taką mam nadzieję.

Czasem on też mówił. Połowy nie rozumiałem, ale część udało mi się złapać. Opis miejsca, w którym mieszkał. Opowiadał o wujku w Ghazni. O przysmakach, jakie gotowała jego mama, i stolarce ojca, o tym, jak ojciec grał na akordeonie.

Ale przez większość czasu mówił o tobie, *hamszira*. Powiedział, że byłaś… jak on to

powiedział… jego najwcześniejszym wspomnieniem. Chyba tak powiedział, tak. Jestem pewien, że byłaś dla niego kimś bardzo ważnym. *Balei,* to było widać jak na dłoni. Cieszy się też, że ciebie tam nie ma, bo nie chciałby, abyś oglądała go w takim stanie.

Lajla znów poczuła, że ma ociężałe nogi, przywiązane do ziemi, jakby cała krew nagle odpłynęła jej do stóp. Ale jej myśli były daleko, leciały wolne i niczym niezwiązane, mknęły jak pociski przelatujące nad Kabulem, ponad skalistymi brunatnymi wzgórzami i pustyniami z postrzępionymi kępkami szałwi, ponad wąwozami poszarpanych czerwonych skał i ośnieżonymi górami…

Abdul Szarif otarł czoło chusteczką.

– Którejś nocy obudziłem się – ciągnął, znów zajęty własną obrączką. – W każdym razie zdawało mi się, że była to noc, w takich miejscach człowiek nigdy nie jest pewien. Nie ma tam żadnych okien. Wschód słońca, zachód, nic nie wiadomo. Ale obudziłem się, a przy sąsiednim łóżku panowało jakieś poruszenie. Musisz wiedzieć, że ja też byłem nafaszerowany tabletkami, zasypiałem i budziłem się i sam już nie wiedziałem, czy to, co się dzieje, to sen czy jawa. Pamiętam tylko, że lekarze kręcili się przy

łóżku, coś wołali i stale bzyczał alarm, a na podłodze leżały porozrzucane strzykawki.

Rankiem łóżko było puste. Spytałem pielęgniarkę. Powiedziała, że mężnie walczył do końca.

Z początku nie sądziłem nawet, że istniejesz – mówił dalej Abdul Szarif. – Myślałem, że to majaki wywołane morfiną. Może nawet miałem nadzieję, że nie istniejesz, zawsze bałem się chwili, gdy będę musiał przynieść komuś złą wiadomość. Ale obiecałem mu. I jak mówiłem, bardzo go polubiłem. Więc zjawiłem się tu kilka dni temu. Rozpytywałem się o ciebie, popytałem sąsiadów. Wskazali mi ten dom. Powiedzieli mi również, co stało się z twoimi rodzicami. Kiedy się o tym dowiedziałem, odwróciłem się i odszedłem. Nie zamierzałem ci mówić. Uznałem, że to dla ciebie za dużo. Dla każdego byłoby tego za dużo.

Abdul Szarif przechylił się nad stolikiem i położył jej rękę na kolanie.

– Ale wróciłem. Bo koniec końców pomyślałem sobie, że on chciałby, żebyś o tym wiedziała. Tak sądzę. Tak mi przykro, chciałbym…

Lajla już go nie słuchała. Przypomniała sobie dzień, w którym mężczyzna z Pandższiru przyniósł wiadomość o śmierci Nura i Ahmada. Przypomniała sobie Babiego, który osunął się na kanapę blady jak ściana i Mamusię, zakrywającą usta dłońmi, gdy usłyszała, co się stało. Lajla pamiętała, że tego dnia Mamusia zbiegła z góry w niedopiętym szlafroku, i to ją przeraziło, ale sama nie odczuwała szczególnej rozpaczy. Nie rozumiała, jak straszne było dla niej to przeżycie. Teraz inny nieznajomy przynosił wiadomość o śmierci kogoś innego. Teraz to ona siedziała na krześle. Czy to ma być kara za to, że zachowała dystans wobec cierpienia swojej matki?

Lajla pamiętała, że Mamusia padła na kolana i krzycząc, wyrywała sobie włosy z głowy. Ale Lajli nie było stać na coś takiego. Nie mogła poruszyć nawet ręką.

Siedziała nieruchomo na krześle, z dłońmi złożonymi na kolanach, wpatrywała się w przestrzeń i pozwoliła swoim myślom odpłynąć. Pozwoliła im płynąć, aż znalazły dobre, bezpieczne miejsce, gdzie pola jęczmienia były zielone, płynęły potoki czystej wody, a w powietrzu wirowały tysiące nasion topoli, gdzie Babi czytał książkę w cieniu akacji, a Tarigh drzemał z dłońmi skrzyżowanymi na

piersiach, i gdzie ona sama mogła zanurzyć stopy w strumieniu i snuć piękne marzenia pod czujnym wzrokiem pradawnych bogów wykutych w starych, spalonych słońcem skałach.

29

Mariam

– Tak mi przykro – powiedział Raszid do dziewczyny i wziął z rąk Mariam, w ogóle na nią nie patrząc, miskę z *mastawą* i mięsnymi kulkami. – Wiem, że byliście bardzo bliskimi… przyjaciółmi… ty i Tarigh. Od dziecka byliście nierozłączni. To, co się stało, to straszna rzecz. Zbyt wielu młodych Afgańczyków umiera taką śmiercią.

Zamachał niecierpliwie ręką, nie odrywając wzroku od dziewczyny. Mariam podała mu serwetkę.

Od lat patrzyła, jak Raszid je, jego skronie poruszały się, jedną ręką lepił z ryżu małe kulki, a wierzchem drugiej ocierał tłuszcz, strząsał ziarnka, które przylgnęły w kącikach ust. Przez lata jadł, nie podnosząc wzroku znad talerza, nie odzywając się w pełnym potępienia milczeniu,

które przerywały jedynie oskarżycielskie pomruki, ganiące mlaśnięcia albo krótkie rozkazy, gdy domagał się więcej chleba czy wody.

Teraz jadł łyżką. Używał serwetki. Mówił *loftan*, gdy prosił o wodę. I mówił. Z werwą i bez ustanku.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, Amerykanie uzbroili niewłaściwego człowieka. Cała ta broń, którą CIA dała Hekmatjarowi w latach osiemdziesiątych do walki z Sowietami. Sowietów już nie ma, ale on nadal ma broń i teraz kieruje ją przeciw niewinnym ludziom, takim jak twoi rodzice. I nazywa to dżihadem. Co za farsa! A co dżihad ma wspólnego z zabijaniem kobiet i dzieci? Lepiej by było, gdyby CIA uzbroiła komendanta Masuda.

Mariam mimo woli uniosła brwi. Komendant Masud? Wciąż rozbrzmiewał jej w głowie głos Raszida grzmiący przeciw Masudowi, jakim to on jest zdrajcą i komunistą. Ale Masud był Tadżykiem. Tak jak Lajla.

– Oto rozsądny człowiek. Honorowy Afgańczyk. Człowiek szczerze zainteresowany pokojowym rozwiązaniem. – Raszid wzruszył ramionami i westchnął. – Nie to, żeby w Ameryce się nami przejmowali, nie myśl sobie. Co ich to obchodzi, że Pasztunowie, Hazarowie,

Tadżykowie i Uzbecy zabijają się nawzajem? Nie spodziewaj się od nich pomocy. Mówię ci. Teraz, kiedy Związek Radziecki się załamał, nie mają z nas żadnego pożytku. Już im posłużyliśmy do osiągnięcia ich celu. Dla nich Afganistan to *kenarab*, wstrętna nora. Wybacz mi mój język, ale to prawda. Co o tym myślisz, Lajlo *dżan*?

Dziewczyna wymamrotała coś niezrozumiałego i zaczęła bawić się kulką mięsa na talerzu.

Raszid pokiwał głową z namysłem, tak jakby Lajla powiedziała najmądrzejszą rzecz, jaką kiedykolwiek słyszał. Mariam musiała odwrócić wzrok.

– Wiesz, twój ojciec, niech spoczywa w pokoju, twój ojciec i ja odbyliśmy na ten temat wiele rozmów. Oczywiście jeszcze zanim się urodziłaś. W kółko mówiliśmy o polityce. O książkach również. Prawda, Mariam? Na pewno pamiętasz.

Mariam pospiesznie upiła łyk wody.

– W każdym razie mam nadzieję, że nie zanudzam cię tym mówieniem o polityce.

Później, kiedy Mariam była w kuchni i moczyła naczynia w mydlinach, poczuła, że w brzuchu zawiązuje jej się ciasny supeł.

Nie chodziło o to, co powiedział, o te bezczelne kłamstwa, udawane współczucie, ani nawet o to, że ani razu, odkąd wykopał tę dziewczynkę spod stosu cegieł, nie podniósł na Mariam ręki.

Chodziło o teatralne zachowanie. Jakby to było przedstawienie. Jakby starał się w przebiegły i żałosny zarazem sposób wywrzeć wrażenie. Oczarować.

I nagle Mariam nabrała pewności, że jej podejrzenia są słuszne. Przerażona zrozumiała, zupełnie jakby coś uderzyło ją nagle w głowę, że to, czego była świadkiem, to były po prostu zaloty.

Kiedy wreszcie zebrała się na odwagę, poszła do jego pokoju.

Raszid zapalił papierosa i powiedział:

– Dlaczego nie?

Mariam od razu wiedziała, że jest na przegranej pozycji. Po części oczekiwała, a po części miała nadzieję, że Raszid wszystkiemu zaprzeczy, uda zdziwienie, może nawet złość z powodu takich podejrzeń. Wtedy zyskałaby przewagę. Może udałoby jej się go zawstydzić.

Ale jego spokojne przyznanie się, jego rzeczowy ton odebrał jej całą zawziętość.

– Usiądź – powiedział. Leżał na łóżku, tyłem do ściany, z grubymi długimi nogami rozrzuconymi na materacu. – Usiądź, bo jeszcze zemdlejesz i rozbijesz sobie głowę.

Mariam opadła na rozkładane krzesło przy łóżku.

– Możesz mi podać popielniczkę?

Posłusznie wykonała polecenie.

Raszid musi mieć teraz koło sześćdziesiątki albo i więcej, pomyślała Mariam. W istocie sam Raszid nie wiedział dokładnie, ile ma lat. Włosy mu posiwiały, ale wciąż były gęste i szorstkie. Pod oczami miał teraz worki, skóra na szyi też była obwisła, pomarszczona i szorstka. Policzki opadały mu bardziej niż kiedyś. Rankiem nieco się garbił. Ale nadal miał szerokie ramiona, mocny tors, silne ręce i duży brzuch, który pojawiał się pierwszy w pokoju, jeszcze nim pokazała się jakakolwiek inna część ciała Raszida.

– Musimy zalegalizować tę sytuację – powiedział, usiłując utrzymać popielniczkę na brzuchu. Wydął usta w żartobliwym grymasie. – Ludzie zaczną gadać. To okrywa nas hańbą – niezamężna młoda kobieta, mieszkająca u nas

w domu. To nie jest dobre dla mojej reputacji. I jej. I twojej, powinienem również dodać.

– Osiemnaście lat – powiedziała Mariam. – I nigdy o nic cię nie prosiłam. Ani o jedną rzecz. Ale proszę cię teraz.

Zaciągnął się i wolno wypuścił dym.

– Nie może tak po prostu tu zostać, jeśli to próbujesz mi zasugerować. Nie mogę dalej jej karmić i ubierać i dawać jej dach nad głową. Nie jestem Czerwonym Krzyżem, Mariam.

– Ale coś takiego?

– No co takiego? Co? Myślisz, że jest za młoda? Ma czternaście lat. Trudno powiedzieć, że to jeszcze dziecko. Ty miałaś piętnaście, pamiętasz? Moja matka miała czternaście, kiedy ja się urodziłem. Trzynaście, gdy wychodziła za mąż.

– Ja… Ja tego nie chcę – wyjąkała Mariam sparaliżowana okazywaną jej pogardą i własną bezsilnością.

– Nie do ciebie należy decyzja, tylko do niej i do mnie.

– Jestem na to za stara.

– Ona jest za młoda, ty jesteś za stara. To jakiś nonsens.

– Ale ja jestem za stara. Za stara, żebyś robił mi coś takiego – powiedziała Mariam, zaciskając w dłoniach rąbek sukienki tak mocno, że drżały

jej ręce. – Za stara, żebyś po tylu latach robił ze mnie *ambagh*.

– Nie dramatyzuj. To zwykła rzecz i dobrze o tym wiesz. Twój ojciec miał trzy żony. Poza tym to, co teraz robię, większość mężczyzn zrobiłaby już dawno temu. Wiesz, że to prawda.

– Nie pozwolę na to.

Raszid uśmiechnął się ze smutkiem.

– Jest jeszcze jedno rozwiązanie – powiedział, pocierając jedną nogą zrogowaciałą piętę drugiej stopy. – Może opuścić ten dom. Nie stanę jej na drodze. Ale podejrzewam, że daleko nie zajdzie. Bez jedzenia, bez wody i bez ani jednej rupii w kieszeni, a wszędzie latają kule i rakiety. Jak sądzisz, ile dni przeżyje, nim zostanie napadnięta, zgwałcona albo porzucona gdzieś na poboczu z poderżniętym gardłem? Albo przydarzy jej się to wszystko naraz?

Zakaszlał i poprawił sobie poduszkę pod głową.

– Tam na zewnątrz warunki są bezlitosne, Mariam, uwierz mi. Szpiedzy i bandyci są na każdym rogu. Nie chciałbym znaleźć się w jej skórze. Ale powiedzmy, że jakimś cudem zdoła dojechać do Peszawaru. Co wtedy? Masz pojęcie, jak wyglądają te obozy?

Spojrzał na nią przez smugę dymu.

– Ludzie mieszkają pod kawałkami dykty. Gruźlica, dyzenteria, głód, przestępstwa. A nie ma jeszcze zimy. Potem nadejdą mrozy. Zapalenie płuc. Ludzie zamarzający jak sople lodu. Te obozy zamienią się w zamarznięte cmentarze. Oczywiście – zaczął kręcić młynka palcami – mogłaby się ogrzać w jednym z peszawarskich burdeli. Słyszałem, że ten interes tam kwitnie. Taka piękność jak ona mogłaby przynieść całkiem ładny zysk, nie sądzisz?

Odstawił popielniczkę na stolik i przerzucił nogi na drugą stronę łóżka.

– Posłuchaj – powiedział bardziej pojednawczym tonem, na który zwycięzca może sobie pozwolić. – Wiedziałem, że nie przyjmiesz tego zbyt dobrze. Nie winię cię za to. Ale tak będzie najlepiej. Pomyśl o tym w ten sposób, Mariam. Daję ci kogoś do pomocy w domu, a jej bezpieczne schronienie. Dom i męża. W tych czasach sprawy tak się mają, że kobiecie potrzebny jest mąż. Nie widziałaś tych wszystkich wdów śpiących na ulicach? Każda z nich zabiłaby za taką okazję. W zasadzie to jest… Cóż, można powiedzieć, że to, co robię, jest wręcz aktem miłosierdzia.

Uśmiechnął się.

– Uważam, że zasługuję na medal.

Później, w ciemnościach, Mariam powiedziała o wszystkim dziewczynie.

Przez długi czas dziewczyna milczała.

– Chce rano usłyszeć odpowiedź – oznajmiła Mariam.

– Może dostać ją już teraz – odparła dziewczyna. – Moja odpowiedź brzmi: tak.

30

Lajla

Następnego dnia Lajla została w łóżku. Rano, kiedy Raszid zajrzał do pokoju i powiedział, że idzie do fryzjera, leżała pod kołdrą. Nadal była w łóżku, gdy wrócił później niż zwykle do domu i pokazał jej swoją nową fryzurę, nowy używany garnitur, niebieski w kremowe prążki, i obrączkę, którą dla niej kupił.

Raszid usiadł na łóżku obok niej i odstawił całe przedstawienie, powoli rozwiązując wstążkę, otwierając pudełko i wyjmując z niego delikatnie obrączkę. Wymknęło mu się, że oddał za nią starą obrączkę Mariam.

– Jej na tym nie zależy. Uwierz mi. Nawet nie zauważy, że jej nie ma.

Lajla odsunęła się w kąt łóżka. Słyszała Mariam na dole, syczenie jej żelazka.

– I tak nigdy jej nie nosiła – dodał Raszid.

– Nie chcę jej – odparła Lajla słabym głosem. – Nie w taki sposób. Musisz ją oddać.

– Oddać? – Na jego twarzy pojawił się wyraz zniecierpliwienia, ale szybko znikł. Uśmiechnął się. – Musiałem trochę dopłacić. W zasadzie całkiem sporo. To lepsza obrączka, dwudziestodwukaratowe złoto. Czujesz, jaka jest ciężka? No zobacz. Nie? – Zamknął pudełko. – A co powiesz na kwiaty? To na pewno sprawi ci przyjemność. Masz jakieś ulubione? Stokrotki? Tulipany? Bzy? Żadnych kwiatów? Dobrze. Też nie widzę w tym zbyt wiele sensu. Pomyślałem sobie… Tak, znam jednego krawca tu w Deh-Mazang. Pomyślałem, że mógłbym tam cię jutro zabrać, żeby zdjął miarę na sukienkę.

Lajla pokręciła głową.

Raszid uniósł brwi.

– Wolałabym, żebyśmy… – zaczęła Lajla.

Położył dłoń na jej szyi. Lajla nie mogła powstrzymać grymasu i wzdrygnęła się odruchowo. Jego dotyk przywodził jej na myśl przemoczony kłujący stary sweter z wełny włożony na gołe ciało.

– Tak?

– Wolałabym, żebyśmy jak najszybciej to załatwili.

Raszid otworzył usta, a potem roześmiał się, ukazując żółte zęby.

– Bardzo chętnie – powiedział.

Przed wizytą Abdula Szarifa Lajla zamierzała wyjechać do Pakistanu. Nawet po tym, jak Abdul Szarif przyniósł tę wiadomość, Lajla myślała, że mogłaby wyjechać. Gdzieś daleko stąd. Oderwać się od miasta, w którym na każdym rogu czaiła się pułapka, gdzie w każdej alejce czekał na nią duch, który wyskakiwał jak diabeł z pudełka. Mogłaby podjąć to ryzyko.

Ale nagle wyjazd z miasta przestał być alternatywą.

Nie przy tych codziennych wymiotach.

Nie przy tych piersiach, które nagle stały się obrzmiałe.

I świadomości, że jakoś w całym tym zamieszaniu nie miała we właściwym czasie okresu.

Lajla wyobraziła sobie siebie w obozie dla uchodźców: nagie pole z tysiącami plastikowych płacht przyczepionych do prowizorycznych słupków trzepoczących w zimnym, szczypiącym wietrze. A pod jednym z tych prowizorycznych namiotów zobaczyła niemowlę, dziecko Tarigha,

z wychudzoną buzią, otwartymi ustami, plamistą fioletowosiną skórą. Wyobraziła sobie jego maleńkie ciało obmyte przez obcych, owinięte w spłowiały całun i opuszczone do dziury wykopanej na skrawku owiewanej wiatrem ziemi pod rozczarowanym spojrzeniem sępów.

Jak mogłaby teraz uciec?

Lajla sporządziła smutną listę bliskich jej osób: Ahmad i Nur nie żyją, Hasina wyjechała, Giti nie żyje, Mamusia nie żyje, Babi nie żyje. A teraz Tarigh…

Ale jakimś cudem coś z jej dawnego życia pozostało, ostatnia więź łącząca ją z tą osoba, którą była, nim stała się tak potwornie samotna. Jakaś cząstka Tarigha wciąż w niej żyła, jej malutkie rączki kiełkowały, przezroczyste paluszki rosły. Jak mogła narazić jedyne, co jej po nim zostało, jedyne, co zostało z jej dawnego życia?

Szybko podjęła decyzję. Od czasu wyjazdu Tarigha minęło sześć tygodni. Jeszcze trochę, a Raszid zacznie coś podejrzewać.

Wiedziała, że to, co robi, jest haniebne. Haniebne, zakłamane i karygodne. I wyjątkowo niesprawiedliwe wobec Mariam. Ale choć dziecko w jej łonie było niewiele większe od owocu morwy, Lajla już teraz wyraźnie widziała,

jakich poświęceń musi dokonać matka. Cnota była zaledwie pierwszym z nich.

Położyła dłoń na brzuchu i zamknęła oczy.

Lajla pamiętała tylko fragmenty tej niemej uroczystości. Kremowe prążki na garniturze Raszida. Ostry zapach jego wody kolońskiej. Małe zacięcie po goleniu tuż nad jego grdyką. Szorstkie opuszki żółtych od nikotyny palców, kiedy wsuwał jej obrączkę na palec. Długopis. Nie pisze. Szukanie drugiego długopisu. Kontrakt. Podpisy, jego skreślony pewną ręką i jej drżący. Modlitwy. Odbicie jego twarzy w lustrze. Dostrzegła, że przystrzygł sobie brwi.

I gdzieś w pokoju obserwująca to wszystko Mariam. Powietrze duszne od jej dezaprobaty.

Lajla nie mogła zmusić się, by spojrzeć starszej kobiecie w oczy.

Tamtej nocy, leżąc w jego zimnej pościeli, patrzyła, jak Raszid zaciąga zasłony. Dygotała, nim jeszcze zaczął rozpinać guziki jej bluzki i szarpać sznurek u jej spodni. Był podniecony. Jego palce bez końca szamotały się z koszulą,

z paskiem. Lajla wyraźnie widziała jego obwisłe piersi, sterczący pępek z małą niebieską żyłką w samym środku, kępki grubych siwych włosów na piersiach, plecach i ramionach. Czuła, że jego wzrok prześlizguje się po jej ciele.

– Boże, pomóż mi, myślę, że cię kocham – szeptał.

Szczękając zębami, poprosiła, by zgasił światło.

Później, gdy była już pewna, że zasnął, Lajla cichutko sięgnęła pod materac po nóż, który tam wcześniej ukryła. Nacięła nim opuszek palca wskazującego. Potem uniosła kołdrę i przycisnęła krwawiący palec do prześcieradła, na którym oboje leżeli.

31

Mariam

Za dnia jedynym śladem obecności dziewczyny było skrzypienie sprężyn w łóżku albo odgłos kroków nad głową Mariam. Była pluskiem wody w łazience albo łyżeczką dzwoniącą o szklankę w sypialni na piętrze. Czasem było ją trochę widać: niewyraźna plama rozwianej sukienki na granicy pola widzenia Mariam, mknąca w górę po schodach, ręce skrzyżowane na piersiach, stukot sandałków obijających się o bose stopy i stopnie.

Ale i tak ich spotkania były nieuniknione. Mariam mijała dziewczynę na schodach, w wąskim przedpokoju, w kuchni albo w drzwiach, gdy wracała z podwórka. Kiedy na siebie wpadały, czuć było między nimi krępujące napięcie. Dziewczyna zbierała fałdy spódnicy i szeptała jakieś przepraszające słowa, a gdy ją

pospiesznie mijała, Mariam ryzykowała ukradkowe spojrzenie i dostrzegała rumieniec. Czasem czuła bijący od niej zapach Raszida. Czuła jego pot na skórze dziewczyny, tytoń, pożądanie. Na szczęście seks stanowił już w jej życiu zamknięty rozdział. Było tak już od pewnego czasu, a teraz nawet sama myśl o żmudnych sesjach leżenia pod Raszidem wywoływała w niej mdłości.

Ale wieczorami ten wzajemny taniec uników pomiędzy Mariam a dziewczyną nie był możliwy. Raszid powiedział, że stanowią rodzinę. Upierał się, że tak właśnie jest, a rodziny, powiedział, jadają wspólnie posiłki.

– Co to jest? – spytał, odrywając kawałki mięsa od kości (już tydzień po poślubieniu dziewczyny przestał odgrywać komedię z łyżką i widelcem). – Czy ożeniłem się z dwoma posągami? No, dalej, Mariam, *gap bezan*, powiedz coś. Gdzie się podziały twoje maniery?

Wysysając szpik z kości, powiedział do dziewczyny:

– Ale nie możesz jej za to winić. Jest cicha. Prawdziwe błogosławieństwo, naprawdę, bo, *wallah*, jeśli ktoś nie ma zbyt wiele do powiedzenia, równie dobrze może być oszczędny w słowach. My jesteśmy ludźmi z miasta, ty i ja,

ale ona jest *dehati* – wiejską dziewczyną. Właściwie nie jest nawet wiejską dziewczyną. Nie. Wychowała się w *kolbie*, zbudowanej z gliny za wioską. Ojciec ją tam umieścił. Czy powiedziałaś jej, Mariam, że jesteś *harami*? Co, powiedziałaś jej? Tak, tym właśnie jest. Ale biorąc pod uwagę całokształt, ma też zalety. Sama się przekonasz, Lajlo *dżan*. Jest na przykład mocna, dobrze pracuje i nie narzeka. Powiem to tak: gdyby była samochodem, to byłaby wołgą.

Mariam była teraz trzydziestotrzyletnią kobietą, ale to słowo, *harami*, wciąż dotykało ją do żywego. Kiedy je słyszała, nadal czuła się jak zaraza, jak karaluch. Pamiętała, jak Nana ściskała jej nadgarstki: „Ty niezdarna mała *harami*. Oto moja nagroda za wszystko, co musiałam znosić. Niezdarna mała *harami*, która tłucze rodzinne pamiątki”.

– A ty – Raszid zwrócił się do dziewczyny – ty byłabyś mercedesem. Fabrycznie nowym, pierwszorzędnym, lśniącym mercedesem. *Wah, wah*. Ale, ale. – Uniósł zatłuszczony palec wskazujący. – Człowiek musi o takiego mercedesa dbać… w szczególny sposób. Jako wyraz szacunku dla jego urody i wykonania, rozumiesz. Ach, pewnie teraz myślisz, że jestem szalony, *diwana*, z całą tą gadką o samochodach.

Nie twierdzę, że jesteście samochodami. Chcę tylko, żebyś mnie dobrze zrozumiała.

Po tych słowach Raszid odłożył na talerz ryżową kulkę, którą lepił w palcach. Oparł łokcie o stół, splótł dłonie nad talerzem i z poważną, zamyśloną miną spuścił wzrok.

– Nie należy mówić źle o zmarłych ani tym bardziej o *szahidach*. I nie chcę okazać braku szacunku, mówiąc to, co zaraz powiem. Ale chciałbym, żebyś wiedziała, że mam pewne… zastrzeżenia… co do tego, jak twoi rodzice, niech Allah im wybaczy i zapewni im miejsce w niebie, jak twoi rodzice byli wobec ciebie pobłażliwi. Przykro mi.

Zimne, nienawistne spojrzenie, które dziewczyna rzuciła wtedy Raszidowi, nie uszło uwagi Mariam, ale on patrzył w dół i tego nie zauważył.

– Nieważne. Chodzi o to, że teraz jestem twoim mężem i to na mnie spada obowiązek pilnowania nie tylko twojego honoru, ale naszego, tak, naszych *nang* i *namus*. To brzemię spoczywa na barkach męża. Więc nie musisz się tym martwić. Proszę. Jeśli chodzi o ciebie, to jesteś królową, jesteś *maleka*, a ten dom jest twoim pałacem. Jeżeli będziesz czegokolwiek potrzebowała, poproś Mariam, a ona zrobi to dla

ciebie. Prawda, Mariam? A jeśli będziesz miała na coś ochotę, załatwię to dla ciebie. Widzisz, takim jestem mężem.

Wszystko, o co w zamian proszę, jest bardzo proste. Proszę, abyś unikała opuszczania tego domu beze mnie. Tylko tyle. To proste, prawda? Kiedy mnie nie ma, a ty pilnie czegoś potrzebujesz, to znaczy coś jest ci absolutnie niezbędne i nie możesz z tym poczekać do mojego powrotu, możesz wysłać Mariam, a ona pójdzie i ci to przyniesie. Na pewno zauważyłaś różnicę. Cóż, wołgi i mercedesa nie można prowadzić w ten sam sposób. To byłoby nierozważne, prawda? Och i jeszcze jedno: kiedy razem wychodzimy, chciałbym, abyś wkładała burkę. Dla twojego własnego bezpieczeństwa, oczywiście. Tak jest najlepiej. Po mieście krąży teraz tylu lubieżnych mężczyzn. Z takimi plugawymi intencjami gotowi są zhańbić nawet zamężną kobietę. Tak. A więc to wszystko.

Zakaszlał.

– Powinienem jeszcze dodać, że pod moją nieobecność Mariam będzie moimi oczami i uszami. – W tym miejscu rzucił Mariam przelotne spojrzenie tak znaczące jak uderzenie okutym czubkiem buta w skronie. – Nie żebym nie miał zaufania. Przeciwnie. Szczerze mówiąc,

uważam, że jesteś jak na swoje lata bardzo mądra. Ale nadal jesteś młodą kobietą, Lajlo *dżan*, jesteś *dochtar-e dżawan*, a młode kobiety mogą podejmować niefortunne decyzje. Mają skłonność do kokieterii. W każdym razie Mariam będzie za ciebie odpowiedzialna. A jeśli zdarzy się jakieś potknięcie…

I tak ciągnął w nieskończoność. Mariam siedziała, obserwując dziewczynę kątem oka, a żądania i oceny Raszida spadały na nie rzęsistym deszczem zupełnie jak rakiety na Kabul.

Któregoś dnia Mariam w dużym pokoju składała koszule Raszida, które przed chwilą zdjęła ze sznurów na podwórku. Nie wiedziała, jak długo dziewczyna tam stała, ale gdy podniosła kolejną koszulę i odwróciła się, zobaczyła ją w drzwiach ze szklanką herbaty w dłoniach.

– Nie chciałam cię przestraszyć – powiedziała. – Przepraszam.

Mariam rzuciła jej przelotne spojrzenie.

Na twarz dziewczyny padło słońce, rozświetlając jej duże zielone oczy, gładkie czoło, wysokie kości policzkowe i wdzięczne gęste brwi,

które w niczym nie przypominały brwi Mariam, cienkich i bez wyrazu. Jej jasne włosy, których tego ranka nie rozczesała, miały pośrodku przedziałek.

Po sposobie, w jaki dziewczyna trzymała szklankę, kurczowo ją ściskając, i po jej ściągniętych ramionach Mariam domyśliła się, że jest zdenerwowana. Wyobraziła ją sobie siedzącą na łóżku i zbierającą się na odwagę.

– Liście opadają – powiedziała dziewczyna przyjacielskim tonem. – Widziałaś? Jesień jest moją ulubioną porą roku. Lubię jej zapach, kiedy wszyscy palą liście w ogrodach. Moja mama najbardziej lubiła wiosnę. Znałaś moją mamę?

– Właściwie nie.

Dziewczyna przyłożyła dłoń do ucha.

– Słucham?

Mariam uniosła głos.

– Powiedziałam: nie. Nie znałam twojej mamy.

– Och.

– Czy czegoś potrzebujesz?

– Mariam *dżan*, chciałabym… to wszystko, co powiedział tamtego wieczoru…

– Zamierzałam z tobą o tym porozmawiać – przerwała jej Mariam.

– Tak, proszę – odparła żarliwie dziewczyna, może nawet zbyt żarliwie. Zrobiła krok naprzód. Wyglądało na to, że jej ulżyło.

Na zewnątrz świergotała wilga. Ktoś ciągnął wózek. Mariam słyszała skrzypienie zawiasów, podskakiwanie i stukot żeliwnych kół. Gdzieś niedaleko rozległy się odgłosy strzelaniny, pojedynczy wystrzał, potem trzy kolejne i wreszcie cisza.

– Nie będę twoją służącą – powiedziała Mariam. – Nie będę.

Dziewczyna wzdrygnęła się.

– Nie. Oczywiście, że nie!

– Możesz być pałacową *maleka*, a ja *dehati*, ale nie będę wykonywała twoich poleceń. Możesz mu na mnie narzekać, a on może mi poderżnąć gardło, ale nie będę tego robiła. Słyszysz? Nie będę twoją służącą.

– Nie! Wcale tego nie oczekuję…

– A jeśli sądzisz, że możesz wykorzystać swój wygląd, żeby się mnie pozbyć, to się mylisz. Byłam tu pierwsza. Nie pozwolę się wyrzucić. Nie pozbędziesz się mnie. Nie.

– Wcale tego nie chcę – powiedziała cichym głosem dziewczyna.

– I widzę, że twoje rany już się zagoiły. Więc możesz zacząć wykonywać swoją część

obowiązków domowych…

Dziewczyna pospiesznie potakiwała. Wylało jej się trochę herbaty ze szklanki, ale tego nie zauważyła.

– Tak, zeszłam na dół również po to, żeby ci podziękować, że się mną opiekowałaś…

– Cóż, wcale bym tego nie robiła – odparowała Mariam. – Wcale bym cię nie karmiła, nie myła i nie pielęgnowała, gdybym wiedziała, że zamierzasz zwrócić się przeciwko mnie i ukraść mi męża.

– Ukraść…

– Będę nadal gotowała i zmywała naczynia. Ty będziesz robiła pranie i myła podłogę. Resztę będziemy robiły na zmianę. I jeszcze jedno. Nie potrzebuję twojego towarzystwa. Nie chcę. Chcę być sama. Zostaw mnie w spokoju, a ja odpłacę ci się tym samym. Tak to będzie między nami wyglądać. Takie są zasady.

Kiedy skończyła mówić, serce waliło jej w piersiach, a usta miała spieczone. Mariam nigdy wcześniej nie przemawiała w taki sposób, nigdy tak stanowczo nie wyraziła swojej woli. Powinno ją to wprawić w upojenie, ale oczy dziewczyny zaszły łzami i mina całkiem jej zrzedła. I tak cała satysfakcja, którą Mariam odczuwała z powodu tego wybuchu złości, nagle

wydała jej się mizerna i w jakiś sposób niewłaściwa.

Podała dziewczynie koszule.

– Włóż je do *almari*, nie do szafy. Lubi mieć białe w górnej szufladzie, a pozostałe w środkowej, razem ze skarpetkami.

Dziewczyna odstawiła szklankę na podłogę i wyciągnęła ręce po koszule.

– Przykro mi z powodu tego wszystkiego – wychrypiała.

– I bardzo dobrze – odparła Mariam. – Powinno ci być przykro.

32

Lajla

Lajla pamiętała spotkanie, które odbyło się kilka lat temu w jej domu, kiedy Mamusia miała jeden ze swoich lepszych dni. Kobiety siedziały w ogrodzie i jadły świeże owoce morwy, które Wadżma zebrała z drzewa rosnącego na jej podwórku. Pulchne morwy były białoróżowe, a niektóre miały równie ciemnopurpurowy kolor, co małe popękane żyłki na nosie Wadżmy.

– Słyszałyście, jak zginął jego syn? – zapytała Wadżma, energicznie wrzucając sobie do ust kolejną garść morw.

– Utopił się, prawda? – powiedziała Nila, mama Giti. – W jeziorze Ghargha, tak?

– Ale czy wiedziałyście, czy wiedziałyście, że Raszid… – Wadżma uniosła palec, po czym odstawiła cały teatr, kiwając głową, żując i każąc im czekać, aż przełknie. – Czy wiedziałyście, że

w tamtym okresie popijał *szarab* i że tamtego dnia był skandalicznie pijany? To prawda. Skandalicznie pijany, tak słyszałam. I to już z samego rana. W południe rozwalił się na krześle i zasnął. Można było strzelać mu obok ucha z armaty, a on nawet by nie mrugnął.

Lajla pamiętała, że Wadżma zasłoniła sobie usta dłonią i beknęła, a potem jej język zaczął krążyć pośród resztek zębów.

– Resztę możecie sobie wyobrazić. Chłopiec poszedł pod wodę niepostrzeżenie. Zauważono go dopiero po jakimś czasie, kiedy unosił się na powierzchni, twarzą w dół. Ludzie rzucili się na pomoc, jedni próbowali ocucić chłopca, a inni ojca. Ktoś nachylił się nad chłopcem, zrobił… usta-usta, tak jak należy w takich sytuacjach. Ale to było na nic. Wszyscy to widzieli. Chłopiec już nie żył.

Lajla pamiętała, że Wadżma uniosła palec, a głos drżał jej z pobożności.

– Dlatego Święty Koran zabrania picia *szarabu*. Bo zawsze trzeźwy musi płacić za grzechy pijanego. Dlatego jest to zabronione.

Ta historia wciąż krążyła jej po głowie, odkąd powiedziała Raszidowi o dziecku. Raszid natychmiast wskoczył na rower, pognał do meczetu i pomodlił się o chłopca.

Tego wieczoru podczas posiłku Lajla obserwowała, jak Mariam dłubie widelcem w talerzu. Lajla była przy tym, kiedy Raszid przekazał Mariam podniosłym, dramatycznym tonem wiadomość – Lajla nigdy dotąd nie była świadkiem takiego pełnego radości okrucieństwa. Kiedy Mariam się o tym dowiedziała, zamrugała, a jej twarz oblał rumieniec. Usiadła nadąsana i samotna.

Potem Raszid poszedł na górę posłuchać radia, a Lajla została, by pomóc Mariam sprzątnąć *sofrah*.

– Nie wyobrażam sobie, kim jesteś teraz – powiedziała Mariam, zbierając ziarnka ryżu i okruchy chleba – skoro wcześniej byłaś mercedesem.

Lajla spróbowała podejść ją humorem.

– Pociągiem? A może wielkim jumbo jetem.

Mariam wyprostowała się.

– Mam nadzieję, że nie sądzisz, że to zdejmuje z ciebie obowiązki domowe.

Lajla otworzyła usta, ale po namyśle nic nie powiedziała. Powtórzyła sobie w duchu, że Mariam jest tylko niewinnym uczestnikiem tej sytuacji. Mariam i dziecko.

Później w łóżku Lajla wybuchła płaczem.

– Co się stało? – dopytywał się Raszid, unosząc jej podbródek. Czy jest chora? Czy to przez dziecko, czy coś jest nie tak z dzieckiem? Nie?

Czy Mariam źle ją traktuje?

– To przez nią, prawda?

– Nie.

– *Wallah-o-billah*, zejdę na dół i dam jej nauczkę. Co ona sobie myśli, ta *harami*, że kim ona jest, żeby traktować cię…

– Nie!

Już się podnosił i musiała złapać go za ręce i ściągnąć z powrotem do łóżka.

– Nie rób tego! Nie! Ona jest dla mnie dobra. Potrzebuję chwili. Nic mi nie jest. Zaraz mi przejdzie.

Usiadł obok, gładząc ją po szyi i szepcząc. Jego ręka powoli wędrowała w dół na jej plecy i znów w górę. Nachylił się, szczerząc żółte zęby.

– Zobaczmy wobec tego – wymruczał – czy ja nie sprawię, że poczujesz się lepiej.

Najpierw drzewa – te, które nie zostały ścięte na opał – zrzuciły swe dropiate żółtordzawe liście. Potem nadeszły wiatry, zimne i surowe, pustoszące miasto. Zerwały ostatnie kołyszące się na gałęziach liście i pozostawiły nagie drzewa

niczym duchy na tle oniemiałych brunatnych wzgórz. Pierwszy śnieg w tym sezonie był lekki, płatki topniały, ledwie spadły na ziemię. Potem drogi zamarzły, a zaspy śniegu pokryły dachy i podwórka, sięgając do połowy pokrytych szronem okien. Wraz ze śniegiem pojawiły się latawce. Niegdyś królujące na zimowym kabulskim niebie, teraz były zaledwie nieśmiałymi intruzami na terytorium zagarniętym przez mknące z dużą prędkością rakiety i bojowe odrzutowce.

Raszid wciąż przynosił do domu wiadomości o wojnie i Lajla była zaskoczona obrotem spraw. Sayyaf walczy z Hazarami, powiedział Raszid. Hazarowie walczą z Masudem.

– A on oczywiście walczy z Hekmatjarem, który ma wsparcie Pakistańczyków. Ci dwaj, Masud i Hekmatjar, są śmiertelnymi wrogami. Sayyaf trzyma z Masudem. A Hekmatjar na razie wspiera Hazarów.

Jeśli chodzi o nieprzewidywalnego komendanta Dostuma, mówił Raszid, to nikt nie wiedział, czyją stronę weźmie. Dostum walczył przeciw Sowietom w 1980 roku razem z mudżahedinami, ale przeszedł na drugą stronę i kiedy Sowieci wyjechali, dołączył do marionetkowego komunistycznego reżimu

Nadżibullaha. Dorobił się nawet medalu, który wręczył mu osobiście Nadżibullah, a potem znów zmienił zdanie i przeszedł na stronę mudżahedinów. Na razie, powiedział Raszid, Dostum wspiera Masuda.

W Kabulu, zwłaszcza w zachodniej części miasta, szalał ogień i czarne chmury dymu unosiły się nad przysypanymi śniegiem budynkami. Ambasady były zamknięte. Szkoły także. W szpitalnych poczekalniach, opowiadał Raszid, ranni umierają z upływu krwi. Na salach operacyjnych amputuje się kończyny bez znieczulenia.

– Ale nie martw się – powiedział. – Przy mnie jesteś bezpieczna, mój kwiatuszku, moja *Gol*. Niechby tylko ktoś próbował zrobić ci krzywdę, a wyszarpię mu wątrobę i każę mu ją zjeść.

Tej zimy, gdziekolwiek Lajla się ruszyła, drogę zagradzały jej mury. Z tęsknotą wspominała szerokie horyzonty swego dzieciństwa, czasy, kiedy chadzała z Babim na zawody *bozkaszi*, robiła zakupy z Mamusią na Mandaj, biegała wolna jak ptak po ulicach i plotkowała o chłopcach z Giti i Hasiną. Czasy, kiedy siadywała z Tarighiem na koniczynie porastającej brzegi strumienia i wymieniali się

zagadkami albo cukierkami, obserwując zachód słońca.

Ale myślenie o Tarighu było zdradliwe, bo nim się zorientowała, już widziała go na łóżku, daleko od domu, z rurkami wychodzącymi z poparzonego ciała. A wtedy w jej piersiach narastał głęboki paraliżujący żal podobny do żółci, która ostatnio paliła jej gardło. Nogi miała jak z waty. Musiała natychmiast czegoś się przytrzymać.

Zima 1992 roku upłynęła Lajli na myciu podłogi, szorowaniu ścian łazienki w kolorze dyni, którą dzieliła z Raszidem, praniu ubrań na zewnątrz w dużym miedzianym *lagan*. Czasem miała wrażenie, jakby unosiła się w powietrzu i patrzyła na samą siebie pochyloną nad *lagan* z rękawami podwiniętymi do łokci, zaczerwienionymi dłońmi spłukującą mydliny z którejś z koszulek Raszida. Czuła się wtedy zagubiona, rozglądała się gwałtownie jak rozbitek – żadnego lądu na horyzoncie, tylko bezmiar wód.

Kiedy było za zimno, by wyjść na zewnątrz, Lajla snuła się po domu. Szła, ciągnąc paznokciem po ścianie, przez przedpokój, a potem na dół, po schodach, i znów na górę, z nieumytą buzią, potarganymi włosami.

Chodziła tak, dopóki nie wpadła na Mariam, która rzucała jej ponure spojrzenie i wracała do szatkowania papryki i odkrawania tłuszczu z mięsa. Pomieszczenie wypełniała raniąca cisza i Lajla nieomal widziała wrogość emanującą z Mariam jak gorące opary unoszące się z rozgrzanego asfaltu. Wycofywała się wtedy do swojego pokoju, siadała na łóżku i patrzyła na spadające płatki śniegu.

Raszid zabrał ją któregoś dnia do swojego zakładu.

Kiedy razem wychodzili, szedł obok niej, ściskając ją jedną ręką za ramię. Dla Lajli chodzenie po ulicach stało się ćwiczeniem w unikaniu obrażeń. Jej oczy wciąż nie mogły przyzwyczaić się do ograniczonego, przysłoniętego siatką pola widzenia, które dawała burka. Idąc, bała się, że się potknie, przewróci albo skręci sobie kostkę, wpadając w jakąś dziurę w chodniku. Mimo to anonimowość, jaką zapewniała burka, była dla niej dość przyjemna. Dzięki temu, gdyby wpadła na kogoś znajomego, ten by jej nie poznał. Nie musiałaby oglądać pełnych zdziwienia oczu ani wyrazu współczucia czy złośliwej satysfakcji

z powodu tego, jak daleko udało jej się zajść, jak jej wielkie ambicje zostały obrócone w niwecz.

Zakład Raszida był większy i jaśniejszy, niż Lajla się spodziewała. Posadził ją za swoim zagraconym warsztatem, na którym wznosił się stos starych zelówek i skrawków skóry. Pokazał jej młotki i pełnym dumy głosem objaśnił działanie koła z papierem ściernym.

Dotknął jej brzucha, nie przez koszulę, ale pod nią, i zimnymi, szorstkimi jak kora palcami macał jej napiętą skórę. Lajla przypomniała sobie dłonie Tarigha, miękkie, ale mocne, siateczkę nabrzmiałych żył na wierzchu jego dłoni, które zawsze wydawały jej się takie pociągające, takie męskie.

– Tak szybko rośnie – powiedział Raszid. – To będzie duży chłopiec. Mój syn będzie *pahlawan*! Jak jego ojciec.

Lajla obciągnęła koszulę. Kiedy tak mówił, zaczynała się bać.

– Jak układają się sprawy z Mariam?

– Dobrze. Dobrze.

Nie przyznała się, że po raz pierwszy doszło pomiędzy nimi do prawdziwej kłótni.

Stało się to kilka dni temu. Lajla poszła do kuchni i zastała Mariam ze złością wysuwającą szuflady i trzaskającą nimi z hukiem.

Powiedziała, że szuka długiej drewnianej łyżki do mieszania ryżu.

– Gdzie ją położyłaś? – spytała, obracając się na pięcie i stając twarzą w twarz z Lajlą.

– Ja? – spytała Lajla. – Nie ruszałam jej. Prawie tu nie przychodzę…

– Zauważyłam.

– Czy to oskarżenie? Sama tak chciałaś, pamiętasz? Oświadczyłaś, że będziesz szykowała posiłki. Ale jeśli chcesz się zamienić…

– A więc chcesz powiedzieć, że wyrosły jej małe nóżki i sama gdzieś sobie poszła? Tup, tup, tup, tup. To chcesz powiedzieć, *degar*?

– Mówię tylko… – zaczęła Lajla, próbując nad sobą zapanować. Zazwyczaj potrafiła znieść drwiny i oskarżenia Mariam, ale taraz kostki jej spuchły, bolała ją głowa, a na dodatek miała tego dnia wyjątkowo nieznośną zgagę. – Mówię tylko, że może położyłaś ją w innym miejscu.

– Że położyłam ją w innym miejscu? – Mariam wyciągnęła kolejną szufladę. Leżące w niej łopatki i noże zadźwięczały złowróżbnie. – Jak długo tu jesteś? Kilka miesięcy? Ja mieszkam w tym domu od dziewiętnastu lat, *dochtar dżan*. Trzymałam tę łyżkę w tej szufladzie, kiedy ty jeszcze robiłaś w pieluchę.

– Mimo to – wycedziła Lajla na granicy wytrzymałości, przez zaciśnięte zęby – mogłaś położyć ją gdzie indziej i o tym zapomnieć.

– A ty mogłaś gdzieś ją schować, żeby mnie zezłościć.

– Jesteś smutną, nieszczęśliwą kobietą – stwierdziła Lajla.

Mariam wzdrygnęła się, ale szybko zebrała się w sobie. Zacisnęła usta, po czym powiedziała:

– A ty jesteś dziwką. Dziwką i *dozd*. Złodziejką i dziwką, oto kim jesteś!

Potem zaczęły się wrzaski i łapanie za garnki, choć żaden nie poleciał. Obrzucały się wzajemnie takimi wyzwiskami, że teraz na samą myśl o tym Lajlę oblewał rumieniec. Od tamtej pory nie odezwały się do siebie ani słowem. Lajla nadal była zszokowana tym, że tak szybko dała się wytrącić z równowagi, ale prawda była taka, że jakaś część niej czerpała z tego przyjemność. Krzyczenie na Mariam, przeklinanie jej i w ogóle posiadanie jakiegoś obiektu, na którym mogła wyładować całą nagromadzoną złość i żal, dało jej jakąś satysfakcję.

Lajla zastanawiała się, analizując dogłębnie tę sytuację, czy Mariam nie odczuwała tego podobnie.

Pod koniec awantury Lajla pobiegła na górę i rzuciła się na łóżko Raszida. Z dołu wciąż dochodziły wrzaski Mariam: „Wylać ci pomyje na głowę! Wylać pomyje na głowę!”. Lajla leżała na łóżku i łkała w poduszkę. Nagle ogarnęła ją przemożna tęsknota za rodzicami, jaką czuła tylko w ciągu pierwszych dni po wybuchu. Leżała, zaciskając pięści na prześcieradle, aż nagle odebrało jej oddech w piersiach. Usiadła i położyła dłoń na brzuchu.

Dziecko po raz pierwszy kopnęło.

33

Mariam

Któregoś ranka wiosną 1993 roku Mariam stała przy oknie w dużym pokoju i obserwowała, jak Raszid wyprowadza dziewczynę na zewnątrz. Dziewczyna szła chwiejnym krokiem, zgięta wpół, jedną ręką obejmowała troskliwie napięty jak bęben brzuch, którego zarys było wyraźnie widać pod burką. Zdenerwowany i nadmiernie opiekuńczy Raszid podtrzymywał ją za łokieć i prowadził niczym policjant przez podwórko. Wykonał gest oznaczający „Poczekaj tutaj” i podbiegł do furtki, a potem zamachał do dziewczyny, by się zbliżyła, jedną nogą przytrzymując otwartą na oścież furtkę. Kiedy do niego podeszła, wziął ją za rękę i pomógł przejść. Mariam niemal słyszała, jak mówi: „Uważaj na stopień, kwiatuszku, moja *Gol*”.

Wrócili wczesnym wieczorem następnego dnia.

Raszid pierwszy wszedł na podwórko. Puścił furtkę za wcześnie i mało brakowało, a dziewczyna dostałaby nią w twarz. Kilkoma szybkimi krokami przemierzył podwórko. Mariam dostrzegła cień na jego twarzy, jakiś mrok czający się za miedzianym światłem zmierzchu. Kiedy znalazł się już w domu, zdjął płaszcz i rzucił go na kanapę. Mijając Mariam, powiedział opryskliwym głosem:

– Jestem głodny. Podaj szybko kolację.

Drzwi do domu otworzyły się. Z przedpokoju Mariam zobaczyła dziewczynę i pękate zawiniątko na jej lewej ręce. Jedną nogą stała wciąż na zewnątrz, drugą wsunęła do środka i zablokowała nią drzwi, by się nie zatrzasnęły. Była pochylona i stękała, usiłując sięgnąć po papierową torbę z rzeczami, którą musiała odstawić, aby otworzyć drzwi. Po grymasie na jej twarzy widać było, że wymaga to od niej sporego wysiłku. Podniosła wzrok i zobaczyła Mariam.

Mariam odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni podgrzać jedzenie dla Raszida.

– Zupełnie jakby ktoś wkręcał mi śrubokręt do ucha – powiedział Raszid, pocierając sobie uszy. Stał w drzwiach pokoju Mariam z opuchniętymi oczami, ubrany tylko w luźno przewiązany *tumban*. Jego siwe włosy były potargane i sterczały na wszystkie strony.

– Ten płacz. Nie mogę tego znieść.

Na dole dziewczyna chodziła z dzieckiem na rękach i próbowała coś mu śpiewać.

– Od dwóch miesięcy ani razu porządnie się nie wyspałem – narzekał Raszid. – A na dodatek w pokoju śmierdzi, jakby to był kanał ściekowy. Wszędzie leżą zasrane pieluszki. Wczoraj w nocy w jedną wdepnąłem.

Mariam uśmiechnęła się w duchu z perwersyjną przyjemnością.

– Weź ją na dwór! – krzyknął Raszid przez ramię. – Nie możesz wynieść jej na dwór?

Śpiew nagle się urwał.

– Dostanie zapalenia płuc.

– Jest lato!

– Co?

Raszid zagryzł zęby i podniósł głos:

– Powiedziałem, że na dworze jest ciepło!

– Nie zabiorę jej na dwór!

Znów rozległ się śpiew.

– Czasem, przysięgam, czasem mam ochotę wsadzić tę rzecz do pudełka i wrzucić do rzeki Kabul. Niech płynie z prądem jak dzieciątko Mojżesz.

Mariam nigdy nie słyszała, by nazywał swoją córkę po imieniu, tak jak nazwała ją dziewczyna: Aziza, czyli Umiłowana. Dla niego zawsze była „dzieckiem” albo, kiedy był na skraju wytrzymałości, „tą rzeczą”.

Czasem nocami Mariam słyszała, jak się kłócą. Podchodziła na palcach pod ich drzwi i słuchała jego narzekań na dziecko – zawsze „to dziecko” – ciągłe płacze, zapachy, zabawki, o które się potykał, to, że dziecko pochłaniało całą uwagę Lajli, na czym cierpiał on, Raszid, bo zawsze trzeba było je nakarmić, dopilnować, żeby beknęło, zmienić pieluszki, ponosić na rękach, pokołysać. Natomiast dziewczyna rugała go za palenie w pokoju i zakaz kładzenia dziecka do łóżka, obok nich.

Ściszonymi głosami sprzeczali się też na inne tematy.

– Lekarz powiedział: sześć tygodni.

– Jeszcze nie, Raszidzie. Nie. Zostaw mnie. Przestań. Nie rób tego.

– Minęły już dwa miesiące.

– Szsz. No już. Obudzisz dziecko. – A potem ostrzejszym głosem. – *Chosz szodi?* Zadowolony?

Mariam wślizgiwała się z powrotem do swojego pokoju.

– Nie możesz nic na to poradzić? – spytał teraz Raszid. – Na pewno możesz coś wymyślić.

– A co ja wiem o dzieciach? – powiedziała Mariam.

– Rasziiid! Możesz przynieść butelkę? Stoi na *almari*. Nie chce jeść. Muszę jeszcze raz spróbować.

Wrzask dziecka nasilał się i stawał się równie nieprzyjemny jak odgłos tasaka rozcinającego kawał mięsa.

Raszid zamknął oczy.

– Ta rzecz jest jak jakiś watażka. Jak Hekmatjar. Mówię ci, Lajla wydała na świat Golbuddina Hekmatjara.

Mariam obserwowała, jak całe dnie wypełniają dziewczynie cykle karmienia, kołysania, podrzucania i spacerowania z dzieckiem na rękach. Nawet kiedy dziecko spało, trzeba było prać zabrudzone pieluchy i namaczać je w środkach dezynfekujących, do których zakupu został zmuszony Raszid. Trzeba

było piłować maleńkie paznokietki, prać śpioszki i piżamki. Te ubranka, podobnie jak inne sprawy mające związek z dzieckiem, stały się również powodem kłótni.

– Co jest z nimi nie tak? – spytał Raszid.

– To chłopięce ubranka. Dla *bacza*.

– Myślisz, że to robi jej jakąś różnicę? Sporo za nie zapłaciłem. I jeszcze jedno, nie podoba mi się ten ton. Uznaj to za ostrzeżenie.

Co tydzień, bez wyjątku, dziewczyna podgrzewała nad płomieniem czarne metalowe naczynie, wsypywała do niego szczyptę nasion dzikiej ruty i naganiała dym w stronę dziecka, aby odgonić od niego wszelkie zło.

Już samo obserwowanie szalonego entuzjazmu dziewczyny było dla Mariam wyczerpujące – i musiała przyznać, choć tylko w duchu, że w pewnym stopniu ją podziwiała. Z zadziwieniem obserwowała lśniące uwielbieniem oczy dziewczyny, i to nawet z samego rana, kiedy po nieprzespanej nocy spędzonej na kołysaniu dziecka powieki kleiły jej się do snu i była blada jak ściana. Kiedy dziecko puszczało gazy, dziewczyna wybuchała śmiechem. Najmniejsze zmiany zachodzące w dziecku zachwycały ją, a wszystko, co dziecko robiło, było fascynujące.

– Spójrz! Sięga po grzechotkę. Jaka ona jest mądra.

– Zaraz powiadomię gazety – mruknął Raszid.

Każdego wieczoru odbywały się pokazy. Kiedy dziewczyna nalegała, każąc mu czemuś się przyjrzeć, Raszid unosił głowę i patrzył ze zniecierpliwieniem zza czubka nosa poznaczonego niebieskimi żyłkami.

– Patrz. Patrz, jak się śmieje, kiedy pstrykam palcami. Teraz. Widzisz? Widziałeś?

Raszid wydawał wtedy jakiś pomruk i znów pochylał się nad talerzem. Mariam przypomniała sobie czasy, kiedy sama obecność dziewczyny go zachwycała. Wszystko, co powiedziała, sprawiało mu przyjemność, intrygowało, powodowało, że podnosił głowę znad talerza i przytakiwał z aprobatą.

Dziewczyna bez wątpienia wypadła z łask. Ale, o dziwo, choć powinno to sprawić Mariam przyjemność, dać jej pewne zadośćuczynienie, wcale tak nie było. Zupełnie nie. Ku własnemu zdumieniu Mariam odkryła, że jest jej żal dziewczyny.

Przy kolacji dziewczyna wyrzucała również z siebie długą listę tego, co ją niepokoi. Na pierwszym miejscu znajdowało się zapalenie płuc, które podejrzewała przy każdym

najmniejszym kaszlnięciu. Następnie była dyzenteria, której widmo pojawiało się po każdym luźnym stolcu. Każda wysypka oznaczała albo ospę wietrzną, albo odrę.

– Nie powinnaś tak się przywiązywać – powiedział któregoś wieczoru Raszid.

– Co masz na myśli?

– Poprzedniej nocy słuchałem radia. Głosu Ameryki. Usłyszałem interesujące statystyki. Powiedzieli, że w Afganistanie jedno z czworga dzieci umrze przed ukończeniem piątego roku życia… No, co? Co się dzieje? Dokąd idziesz? Wracaj tu natychmiast!

Spojrzał na Mariam oszołomionym wzrokiem.

– Co się z nią dzieje?

Tej nocy Mariam leżała w łóżku, kiedy znów wybuchła sprzeczka. Była to gorąca, sucha letnia noc, typowa dla miesiąca *saratan* w Kabulu. Mariam otworzyła okna, ale zaraz je zamknęła, bo i tak nie wpadał przez nie żaden powiew łagodzący upał, tylko komary. Czuła, jak z nagrzanej ziemi na zewnątrz paruje gorąco poprzez brunatne, spękane deski wychodka na podwórku i pnie się po ścianach domu aż do jej pokoju.

Zwykle sprzeczki kończyły się po kilku minutach, ale tym razem minęło już pół godziny,

a wymiana zdań nie tyle toczyła się dalej, ile wręcz się zaostrzyła. Mariam słyszała teraz krzyki Raszida. W tle głos dziewczyny brzmiał nieśmiało i przenikliwie. Wkrótce dziecko zaczęło popłakiwać.

Mariam usłyszała trzask gwałtownie otwieranych drzwi. Rankiem na pewno zobaczy na ścianie w przedpokoju okrągły ślad po klamce. Siedziała na łóżku, gdy drzwi do jej pokoju również otworzyły się z hukiem i do środka wszedł Raszid.

Miał na sobie białe slipy i podkoszulek w tym samym kolorze z żółtymi od potu plamami pod pachami, a na stopach klapki. W dłoni ściskał pasek, ten sam brązowy skórzany pasek, który kupił z okazji *nekoh* z tą dziewczyną. Perforowany koniec paska był owinięty wokół jego nadgarstka.

– To twoja sprawka. Wiem o tym – warknął, zbliżając się do niej.

Mariam ześlizgnęła się z łóżka i zaczęła się wycofywać. Instynktownie skrzyżowała ręce na piersiach. Tam zazwyczaj najpierw spadały na nią razy.

– O czym ty mówisz? – wyjąkała.

– O tym, że mi odmawia. Ty ją tego nauczyłaś.

W ciągu tych lat Mariam uodporniła się na jego szyderstwa i wyrzuty, ośmieszanie jej i ciągłe reprymendy. Ale nad tym lękiem nie miała żadnej kontroli. Minęło tyle lat, a ona nadal dygotała ze strachu, kiedy tak się zachowywał, powarkując i zaciskając pas na nadgarstku, kiedy słyszała skrzypienie skóry, widziała błysk w jego przekrwionych oczach. To był strach kozy wpuszczonej do klatki tygrysa, kiedy tygrys spogląda na nią po raz pierwszy z łbem opartym jeszcze na łapach i wydaje z siebie pomruk.

Nagle do pokoju wpadła dziewczyna, z szeroko otwartymi oczami i twarzą wykrzywioną grymasem.

– Powinienem się domyślić, że ją zdeprawujesz – prychnął Raszid, zwracając się do Mariam. Trzasnął pasem, sprawdzając jego działanie na własnej łydce. Sprzączka głośno zadzwoniła.

– Przestań, *bas*! – krzyknęła dziewczyna. – Raszidzie, nie możesz tego zrobić.

– Wracaj do swojego pokoju.

Mariam cofnęła się bardziej.

– Nie! Nie rób tego!

– Ale to już!

Raszid uniósł pas i ruszył na Mariam.

I wtedy stało się coś niesamowitego. Dziewczyna rzuciła się na niego. Złapała go obiema dłońmi, usiłując zmusić do opuszczenia ręki, lecz jedynie zawisła na jego ramieniu. Ale przynajmniej go zatrzymała.

– Puść mnie! – krzyknął Raszid.

– Wygrałeś. Wygrałeś. Nie rób tego, proszę. Proszę, Raszidzie, żadnego bicia! Proszę, nie rób tego.

Szarpali się tak przez jakiś czas, dziewczyna uwieszona na jego ramieniu, błagająca, i Raszid próbujący zrzucić ją z siebie ze wzrokiem wbitym w Mariam, która była zbyt oszołomiona, by cokolwiek zrobić.

W końcu Mariam nabrała pewności, że nie będzie żadnego bicia, przynajmniej nie tej nocy. Raszid i tak osiągnął to, o co mu chodziło. Przez jakiś czas stał tak jeszcze z uniesionymi ramionami, napiętym torsem, z cienką warstwą potu pokrywającą czoło. Powoli opuścił ramię. Dziewczyna dotknęła stopami ziemi, ale mimo to nie puszczała go, jakby mu nie ufała. Musiał wyszarpnąć ramię z jej uchwytu.

– Będę miał cię na oku – powiedział, zarzucając sobie pasek na szyję. – Będę miał was obie na oku. Nie pozwolę zrobić z siebie *ahmagh*, głupca, w moim własnym domu.

Rzucił Mariam ostatnie mordercze spojrzenie i popchnął dziewczynę w stronę drzwi.

Kiedy Mariam usłyszała, że drzwi się zamknęły, wślizgnęła się z powrotem do łóżka, wcisnęła twarz w poduszkę i czekała, że przestanie dygotać.

Tamtej nocy Mariam trzy razy budziła się ze snu. Za pierwszym razem z powodu huku rakiet gdzieś na zachodzie, dochodzącego do strony Karta Se. Za drugim razem przez płacz dziecka na dole, uspokajające szeptanie dziewczyny, dźwięk łyżeczki obijającej się o butelkę z mlekiem. W końcu z łóżka wyciągnęło ją pragnienie.

Na dole w salonie panowały ciemności, nie licząc poświaty księżyca sączącej się przez okno. Mariam słyszała dochodzące skądś bzyczenie muchy, widziała zarys żeliwnego pieca stojącego w kącie ze sterczącą rurą, która tuż pod sufitem się wyginała.

W drodze do kuchni omal się o coś nie potknęła. U jej stóp majaczył jakiś cień. Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do mroku, zobaczyła, że to dziewczyna z dzieckiem leżą na kocu.

Dziewczyna spała na boku, chrapiąc. Dziecko było rozbudzone. Mariam zapaliła lampę naftową, która stała na stole, i nachyliła się. W nikłym świetle po raz pierwszy z bliska przyjrzała się dziecku, kępkom ciemnych włosów, orzechowym oczom ocienionym grubymi rzęsami, różowym policzkom i ustom w kolorze owocu granatu.

Mariam odniosła wrażenie, że dziecko również uważnie jej się przygląda. Dziewczynka leżała na plecach, z główką odrzuconą na bok i spoglądała na Mariam z mieszaniną zachwytu, niepewności i podejrzliwości. Mariam zastanawiała się, czy jej twarz może ją przerażać, ale dziecko po chwili zapiszczało radośnie i Mariam wiedziała już, że została oceniona pozytywnie.

– Szsz – szepnęła. – Bo obudzisz swoją półgłuchą mamę.

Rączka dziecka zacisnęła się w piąstkę. Uniosła się, opadła, i powędrowała gwałtownie w stronę buzi. Z piąstką w ustach dziecko uśmiechnęło się niewyraźnie do Mariam, a w kącikach jego ust połyskiwały małe pęcherzyki śliny.

– Spójrz na siebie. Jak ty wyglądasz, przebrana za chłopca. I cała okutana w takim

upale. Nic dziwnego, że jeszcze nie śpisz.

Mariam ściągnęła kocyk z dziecka i z przerażeniem odkryła pod nim kolejną kołderkę, przygryzła język i ją również ściągnęła. Dziecko zaśmiało się z ulgą i pomachało rączkami jak ptaszek.

– Lepiej, *nei*?

Kiedy Mariam zaczęła się cofać, dziecko złapało ją za mały palec. Malutkie paluszki zacisnęły się mocno wokół niego. Były ciepłe, miękkie i wilgotne od śliny.

– Gunuh – powiedziało dziecko.

– Już dobrze, *bas*, puść mnie.

Dziecko trzymało ją dalej, kopiąc nóżkami.

Mariam uwolniła się z uścisku. Dziecko uśmiechnęło się i wydało z siebie kilka bulgotliwych dźwięków. Piąstki znów powędrowały do buzi.

– Z czego się tak cieszysz? Co? Dlaczego tak się uśmiechasz? Wcale nie jesteś taka mądra, jak mówi twoja mama. Masz ojca brutala i mamę idiotkę. Nie uśmiechałabyś się tak, gdybyś o tym wiedziała. Nie, na pewno nie. A teraz już śpij. No już.

Mariam wstała, ale ledwie uszła kilka kroków, dziecko zaczęło wydawać z siebie dźwięki „eh, eh, eh," które, o czym Mariam doskonale

wiedziała, stanowią zapowiedź głośnego płaczu. Cofnęła się.

– Co się dzieje? Czego ode mnie chcesz?

Dziecko posłało jej bezzębny uśmiech.

Mariam westchnęła. Usiadła, pozwoliła złapać się za palec i patrzyła, jak dziecko piszczy i prostuje pulchne nóżki i kopie. Mariam siedziała tak, przyglądając się, aż dziecko przestało się ruszać i zaczęło cichutko pochrapywać.

Na zewnątrz ptaki przedrzeźniacze śpiewały beztrosko i co jakiś czas, kiedy któryś ze śpiewaków zrywał się do lotu, widziała ich skrzydła w fosforyzującej niebieskiej poświacie księżyca prześwitującego zza chmur. I choć w gardle zaschło jej z pragnienia, a nogi zdrętwiały, minęło dużo czasu, nim delikatnie oswobodziła się z uścisku małych paluszków i odeszła.

34

Lajla

Ze wszystkich ziemskich przyjemności Lajla najbardziej lubiła leżeć razem z Azizą, tak, aby jej buzia znajdowała się na tyle blisko, by mogła widzieć, jak rozszerzają się i zwężają jej wielkie źrenice. Lajla uwielbiała przesuwać palcem po jej miłej miękkiej skórze, po pomarszczonych paluszkach i po wałeczkach tłuszczu na łokciach. Czasem kładła sobie Azizę na piersiach i szeptała nad jej delikatną główką różne rzeczy o Tarighu, ojcu, który na zawsze pozostanie dla Azizy nieznajomym, którego twarzy Aziza nigdy nie pozna. Lajla opowiedziała jej o tym, jaki był biegły w rozwiązywaniu zagadek, o jego sztuczkach i psotach, o tym, jak łatwo wybuchał śmiechem.

– Miał najpiękniejsze rzęsy, takie grube, zupełnie jak twoje. Ładny podbródek, delikatny

nos i krągłe czoło. Och, twój ojciec był taki przystojny, Azizo. Był doskonały. Doskonały tak samo jak ty.

Ale uważała, by nie wymówić jego imienia.

Czasem przyłapywała Raszida, jak patrzy na Azizę dziwnym wzrokiem. Poprzedniej nocy, gdy siedział na podłodze w sypialni i ścierał odcisk ze stopy, powiedział mimochodem:

– A więc jak to było między wami dwojgiem?

Lajla spojrzała na niego zdezorientowana, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi.

– Lajla i Mandżun. Ty i *jaklanga*, kaleka. Co to było między tobą a nim?

– Był moim przyjacielem – odparła, uważając, by nie zdradzić się głosem. Zajęła się przygotowywaniem butelki. – Przecież wiesz.

– Nie wiem, co takiego wiem. – Raszid zebrał strużyny, odłożył je na parapet, po czym opadł na łóżko. Sprężyny zaprotestowały głośnym skrzypnięciem. Rozrzucił nogi i podrapał się w krocze.

– A jako… przyjaciele zrobiliście kiedyś coś niewłaściwego?

– Coś niewłaściwego?

Raszid uśmiechnął się niefrasobliwie, ale Lajla czuła na sobie jego spojrzenie, zimne i uważne.

– Cóż, niech pomyślę. Czy na przykład kiedyś cię pocałował? Może położył rękę tam, gdzie nie powinien?

Lajla skrzywiła się z oburzeniem, a przynajmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało, i poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

– On był dla mnie jak brat.

– A więc był przyjacielem czy bratem?

– Jednym i drugim. On…

– Którym z nich był?

– Był jednym i drugim.

– Ale bracia i siostry są ciekawskimi istotami. Tak. Czasem brat może pozwolić siostrze zobaczyć jego ptaszka, a siostra może…

– Robi mi się niedobrze, kiedy cię słucham – ucięła Lajla.

– A więc nic nie było?

– Nie chcę dłużej o tym rozmawiać.

Raszid pochylił się, zacisnął usta i pokiwał głową.

– Ludzie plotkowali, wiesz. Pamiętam. Mówili o was różne rzeczy. Ale ty twierdzisz, że nic między wami nie było.

Zmusiła się, by na niego spojrzeć.

Musiała wytrzymać jego spojrzenie przez nieznośnie długi czas, nie mrugając, aż zbielały

jej knykcie dłoni zaciśniętej na butelce i Lajla musiała zebrać w sobie wszystkie siły, by się nie zachwiać.

Ciarki przeszły jej po plecach na myśl o tym, co by zrobił, gdyby odkrył, że podkrada mu pieniądze. Co tydzień od czasu urodzin Azizy zaglądała mu do portfela, kiedy spał albo był w wychodku i zabierała jeden banknot. Czasem, kiedy portfel był lekki, zabierała tylko pięć afgani albo nic z obawy, że się zorientuje. Kiedy portfel był gruby, pozwalała sobie na dziesięć albo dwadzieścia, a raz nawet wyjęła dwie dwudziestki. Chowała pieniądze w woreczku, który wszyła pod podszewkę swojego zimowego płaszcza w kratkę.

Zastanawiała się, co zrobiłby Raszid, gdyby wiedział, że zamierza uciec następnej wiosny. Najdalej następnego lata. Lajla miała nadzieję, że do tego czasu uzbiera tysiąc afgani albo więcej, z czego połowa pójdzie na bilet na autobus z Kabulu do Peszawaru. Przedtem zamierzała zastawić swoją obrączkę ślubną, a także resztę biżuterii, jaką Raszid dał jej w ciągu tego pierwszego roku po ślubie, kiedy nadal była *maleka* jego pałacu.

– W każdym razie – powiedział, bębniąc palcami w swój brzuch – nie można mnie winić.

Jestem twoim mężem. A mąż zastanawia się nad takimi rzeczami. Ale miał szczęście, że zginął w taki sposób. Bo gdyby tu teraz był, gdybym dostał go w swoje ręce… – Wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby i pokręcił głową.

– A co z zasadą niemówienia źle o zmarłych?

– Zapewne niektórzy nigdy nie są dość martwi – skwitował.

Dwa dni później Lajla znalazła rano stosik dziecięcych ubranek równo poskładanych pod drzwiami sypialni. Była wśród nich kloszowa sukienka z małymi różowymi rybkami naszytymi na staniku, niebieska wełniana sukienka w kwiatki w komplecie ze skarpetkami i rękawiczkami, żółta piżamka w pomarańczowe kropki i zielone bawełniane spodenki z koronkowymi mankietami.

– Krążą plotki – powiedział Raszid przy kolacji tego wieczoru, oblizując wargi i nie zwracając najmniejszej uwagi na Azizę ani na nową piżamkę, w którą ubrała ją Lajla – że Dostum zamierza przejść na drugą stronę i dołączyć do Hekmatjara. Masud będzie miał pełne ręce roboty, walcząc z nimi dwoma. I nie możemy zapominać o Hazarach. – Nałożył sobie trochę

bakłażanów, które Mariam zamarynowała ostatniego lata. – Miejmy nadzieję, że to tylko plotki. Bo jeśli do tego dojdzie, to ta wojna – pomachał zatłuszczoną dłonią – będzie przypominała piątkowy piknik w Paghmanie.

Później w sypialni rzucił się na Lajlę i ulżył sobie pospiesznie, nie odzywając się do niej ani słowem, w ubraniu, nie licząc *tumbana*, którego nie zdjął, tylko opuścił do kostek. Kiedy szaleńcze kołysanie ustało, sturlał się z niej i w ciągu kilku minut zasnął.

Lajla wyślizgnęła się z sypialni i zeszła do kuchni, gdzie zastała Mariam zajętą czyszczeniem dwóch pstrągów. Obok moczył się w garnku ryż. W kuchni unosił się zapach kuminu, dymu, podsmażonej cebuli i ryb.

Lajla usiadła w kącie i podciągnęła kolana pod brodę, osłaniając je szczelnie sukienką.

– Dziękuję – powiedziała.

Mariam nie zwracała na nią uwagi. Skończyła kroić pierwszego pstrąga i zabrała się do drugiego. Nożem z ząbkami obcięła płetwy, potem przewróciła rybę brzuchem do góry i fachowym ruchem przecięła ją od ogona aż po skrzela. Lajla obserwowała, jak wsuwa kciuk do pyszczka ryby, tuż nad dolną szczęką, wciska go

głębiej i jednym pociągnięciem usuwa skrzela i wnętrzności.

– Ubranka są wspaniałe.

– Nie miałam co z nimi zrobić – wymamrotała Mariam. Położyła rybę na gazecie, poplamionej oślizgłym szarym sokiem, i odcięła jej głowę.

– Mogłam zostawić je molom albo dać twojej córce.

– Gdzie nauczyłaś się tak czyścić rybę?

– Kiedy byłam mała, mieszkałam nad strumieniem. Sama łowiłam ryby.

– Ja nigdy nie łowiłam.

– To nic specjalnego. Przez większość czasu się czeka.

Lajla przyglądała się, jak Mariam przecina wypatroszonego pstrąga na trzy części.

– Sama uszyłaś te ubranka?

Mariam kiwnęła głową.

– Kiedy?

Mariam wrzuciła kawałki ryby do miski z wodą.

– Kiedy byłam po raz pierwszy w ciąży. Albo drugi. Osiemnaście albo dziewiętnaście lat temu. W każdym razie bardzo dawno. Jak mówiłam, nie miałam co z nimi zrobić.

– Jesteś naprawdę dobrą *chajat*. Może mogłabyś mnie czegoś nauczyć.

Mariam ułożyła czyste kawałki pstrąga w drugiej misce. Z jej palców ściekały krople wody. Podniosła głowę i spojrzała na Lajlę, jakby widziała ją po raz pierwszy.

– Tamtej nocy, kiedy on… Nigdy wcześniej nikt się za mną nie ujął – powiedziała.

Lajla przyjrzała się opadającym policzkom Mariam, podkrążonym zmęczonym oczom, głębokim zmarszczkom okalającym jej usta – patrzyła na nią tak, jakby ona również widziała Mariam po raz pierwszy. I po raz pierwszy Lajla nie zobaczyła twarzy przeciwniczki, lecz twarz pełną nigdy niewypowiedzianego żalu, brzemienia niesionego bez cienia protestu, przeznaczenia, któremu trzeba było się poddać i je znieść. Lajla zastanawiała się, czy gdyby została w tym domu, jej twarz za dwadzieścia lat również tak by wyglądała.

– Nie mogłam mu pozwolić – odparła Lajla. – Nie zostałam wychowana w domu, w którym ludzie robią takie rzeczy.

– Ale teraz to jest twój dom. Powinnaś się do tego przyzwyczaić.

– Nie do tego. Nigdy.

– Wiesz, że on na ciebie też w końcu naskoczy. – Mariam, wytarła ręce w ścierkę. – Zapewne

niedługo. Na dodatek dałaś mu córkę, a więc twój grzech jest jeszcze cięższy od mojego.

Lajla wstała.

– Wiem, że na dworze jest chłodno, ale co powiesz na to, żeby dwie grzesznice wypiły po filiżance *czaj* na podwórku?

Mariam wyglądała na zaskoczoną.

– Nie mogę. Muszę jeszcze poobcinać ogonki i umyć fasolkę.

– Pomogę ci w tym rano.

– I muszę posprzątać.

– Zrobimy to razem. Jeśli się nie mylę, powinna tu być jeszcze jakaś *halwa*. Pyszna z *czaj*.

Mariam odłożyła ścierkę na blat. W sposobie, w jaki podwinęła rękawy, poprawiła hidżab i odgarnęła do tyłu kosmyk włosów, Lajla wyczuła napięcie.

– Chińczycy mówią, że lepiej być pozbawionym jedzenia przez trzy dni niż herbaty przez jeden.

Mariam uśmiechnęła się niepewnie.

– To dobre powiedzenie.

– Naprawdę tak jest.

– Ale nie mogę długo zostać.

– Tylko po jednej filiżance.

Usiadły na rozkładanych krzesłach na zewnątrz i zaczęły jeść *halwa* palcami z jednej miski. Potem wypiły jeszcze po jednej filiżance herbaty, a kiedy Lajla spytała, czy Mariam ma ochotę na trzecią, ta odpowiedziała, że tak. Nad wzgórzami rozlegały się odgłosy kanonady, a one obserwowały chmury przesłaniające księżyc i ostatnie w tym sezonie robaczki świętojańskie kreślące w ciemnościach jasnożółte łuki. A kiedy Aziza obudziła się z płaczem i Raszid zawołał Lajlę, żeby przyszła na górę i ją uciszyła, Mariam i Lajla spojrzały na siebie niespodziewanie pełnym zrozumienia wzrokiem. I to przelotne wymowne spojrzenie wystarczyło. Lajla wiedziała, że od tej chwili nie są już wrogami.

35

Mariam

Od tamtego wieczoru Mariam i Lajla wspólnie wykonywały prace domowe. Przesiadywały w kuchni i zagniatały ciasto, siekały zieloną cebulę, rozgniatały czosnek i częstowały kawałkami ogórka Azizę, która bawiła się łyżeczkami i marchewkami. Na podwórku dziewczynka leżała zwykle w wiklinowym koszu, odziana w kilka warstw ubrań z ciepłym szalikiem owiniętym wokół szyi. Mariam i Lajla stale miały na nią oko, kiedy robiły pranie, szorowały na tarze koszule, spodnie i pieluszki, a ich dłonie uderzały o siebie.

Mariam powoli przyzwyczaiła się do tej niezobowiązującej, lecz miłej obecności. Nie mogła doczekać się trzech wieczornych filiżanek *czaj*, które wypijała z Lajlą na podwórku, a które stały się wieczornym rytuałem. Odkryła też, że

rano jest spragniona dźwięku zniszczonych klapek Lajli stukających na stopniach, co zwiastowało jej pojawienie się w kuchni, i przenikliwego śmiechu Azizy, widoku jej ośmiu malutkich ząbków, mlecznego zapachu jej skóry. Jeśli Lajla i Aziza zaspały, Mariam stawała się niespokojna. Niepotrzebnie myła i tak czyste naczynia, przekładała poduszki w salonie, odkurzała czyste parapety. Wynajdywała sobie różne zajęcia do czasu, aż Lajla weszła do kuchni z Azizą na biodrze.

Rankami, kiedy Aziza po raz pierwszy widziała Mariam, otwierała szeroko oczy, zaczynała piszczeć i wić się w objęciach mamy. Wyciągała rączki w stronę Mariam, domagając się, by ta wzięła ją na ręce. Jej malutkie dłonie zaciskały się i otwierały, a na buzi malował się zachwyt przemieszany z głębokim niepokojem.

– Ale robisz scenę – mawiała wtedy Lajla, po czym wypuszczała Azizę z ramion, a dziewczynka od razu raczkowała w stronę Mariam. – Co za scena! Uspokój się. *Chala* Mariam nigdzie się nie wybiera. Twoja ciocia jest tutaj. Widzisz? No, idź.

Aziza, ledwie znalazła się w ramionach Mariam, wciskała sobie kciuk do buzi i wtulała głowę w jej szyję.

Mariam kołysała ją, nieco zesztywniała, z uśmiechem zdziwienia i wdzięczności na ustach. Nigdy dotąd nie czuła, żeby ktoś tak jej potrzebował. Nikt nigdy nie okazywał jej miłości w sposób tak prostolinijny i szczery.

Aziza wzruszała Mariam do łez.

– Dlaczego przyczepiłaś to swoje małe serduszko do takiej starej, brzydkiej wiedźmy jak ja? – szeptała Mariam nad główką Azizy. – Co? Jestem nikim, nie widzisz? Jestem *dehati*. Co ja mogę ci dać?

Ale w odpowiedzi Aziza gaworzyła tylko coś z zadowoleniem i wtulała się w nią jeszcze mocniej. A wtedy Mariam wpadała w uniesienie: oczy zachodziły jej łzami, serce wyrywało się z piersi i zastanawiała się z zachwytem, jak to możliwe, że po tylu latach głębokiej samotności, z tą małą istotą zaczęła łączyć ją pierwsza prawdziwa więź w jej życiu wypełnionym fałszywymi, nieudanymi związkami.

Na początku następnego roku, w styczniu 1994, Dostum rzeczywiście przeszedł na inną stronę: dołączył do Golbuddina Hekmatjara i usadowił się niedaleko Bala Hissar, starych murów cytadeli wznoszącej się nad miastem

w górach Koh-e Szir Dawaza. Wspólnie ostrzeliwali siły Masuda i Rabbaniego, ulokowane w Ministerstwie Obrony i Pałacu Prezydenckim. Z obu stron rzeki Kabul ostrzeliwali się ogniem artyleryjskim. Ulice wypełniły ciała, szkło i kawałki metalu. Szerzyło się szabrownictwo, morderstwa i w coraz większym stopniu gwałty, które miały służyć zastraszeniu cywilów i nagradzaniu bojowników. Mariam słyszała o kobietach, które same się zabijały ze strachu przed gwałtem i o mężczyznach, którzy w imię honoru woleli zabić swoje żony i córki, niż pozwolić, by zgwałcili je bojownicy.

Aziza wrzeszczała, kiedy rozlegał się huk moździerzy. Aby odwrócić jej uwagę, Mariam układała na podłodze domki, koguty lub gwiazdy z ziarenek ryżu, a potem pozwalała jej rozrzucić ziarnka. Rysowała Azizie słonie tak, jak nauczył ją Dżalil, jednym ruchem, nie odrywając ołówka od papieru.

Raszid powiedział, że każdego dnia zabijani są cywile. Całymi tuzinami. Szpitale i magazyny z zaopatrzeniem medycznym również są ostrzeliwane. Pojazdy ze specjalnymi dostawami żywności, powiedział, nie mają wstępu do miasta i do nich też strzelają. Mariam zastanawiała się,

czy w Heracie także toczą się takie walki, a jeśli tak, to jak radzi sobie mułła Faizullah, o ile jeszcze żyje, oraz Bibi *dżan* ze swymi synami, synowymi i wnukami. I oczywiście Dżalil. Czy ukrywa się podobnie jak ona? A może zabrał swoje żony i dzieci i wyjechał z kraju? Miała nadzieję, że Dżalil jest w jakimś bezpiecznym miejscu, że udało mu się uciec od tego całego zabijania.

Walczące oddziały zmusiły nawet Raszida do zostania przez tydzień w domu. Zamknął furtkę i porozstawiał różne pułapki na intruzów. Zamknął też drzwi wejściowe i zabarykadował je kanapą. Krążył po domu, palił, wyglądał przez okna i czyścił pistolet, z którego w kółko wyjmował magazynek i ładował go od nowa. Dwa razy wystrzelił w stronę ulicy, bo jak twierdził, ktoś próbował wspiąć się na mur.

– Zmuszają młodych chłopców, by do nich przystąpili – mówił. – Mudżahedini. W biały dzień przystawiają im pistolet do głowy. Zgarniają chłopców prosto z ulicy. A kiedy żołnierze z konkurencyjnej bojówki złapią takiego dzieciaka, torturują go. Słyszałem, że rażą ich prądem, tak słyszałem, i że zgniatają im jądra obcęgami. Każą zaprowadzić się do ich

domów, a potem włamują się, zabijają ich ojców i gwałcą ich siostry oraz matki.

Pomachał pistoletem nad głową.

– Niech tylko spróbują włamać się do mojego domu. To ja zgniotę ich jądra! Odstrzelę im głowy! Wiecie, jakie szczęście spotkało was obie, że macie męża, który nie boi się nawet szatana?

Spojrzał pod nogi na bawiącą się u jego stóp Azizę.

– Zjeżdżaj z moich butów! – warknął, odganiając ją pistoletem. – Przestań za mną chodzić! I możesz darować sobie to wywijanie rączkami. Nie wezmę cię na ręce. No, idź! Idź, zanim na ciebie nadepnę.

Aziza wzdrygnęła się i poraczkowała do Mariam. Wyglądała na zranioną i zmieszaną. Na kolanach Mariam od razu zaczęła radośnie ssać kciuk, ale patrzyła na Raszida ponurym, zamyślonym wzrokiem. Mariam miała wrażenie, że od czasu do czasu spogląda też na nią w poszukiwaniu otuchy.

Ale w sprawach uczuć ojcowskich Mariam nie potrafiła dodać jej żadnej otuchy.

Mariam odczuła ulgę, kiedy walki osłabły, przede wszystkim dlatego, że nie musiały już

znosić Raszida i jego fatalnego nastroju, który zatruwał atmosferę w domu. Naprawdę bardzo ją przeraził tym wymachiwaniem naładowaną bronią tuż przy Azizie.

Tej zimy któregoś dnia Lajla spytała, czy może zapleść Mariam warkoczyki.

Mariam siedziała bez ruchu i obserwowała w lustrze, jak szczupłe palce Lajli splatają jej włosy. Lajla miała skupioną minę. Aziza spała zwinięta na podłodze. W ręku ściskała lalkę, którą uszyła dla niej Mariam – wypchała ją fasolką, ubrała w sukienkę z ufarbowanego w herbacianej esencji materiału, a na szyi zawiesiła naszyjnik z maleńkich szpulek po niciach, które nawlokła na żyłkę.

Aziza puściła przez sen bąka, Lajla zaczęła się śmiać, a Mariam zaraz do niej dołączyła. Śmiały się długo, patrząc na swoje odbicia w lustrze załzawionymi oczami. Mariam poczuła się tak naturalnie, że nagle zaczęła opowiadać Lajli o Dżalilu i Nanie i dżinnie. Lajla zamarła z dłońmi opartymi na ramionach Mariam. Nie odrywała wzroku od odbicia twarzy Mariam w lustrze. Słowa płynęły potokami, jak krew z otwartej arterii. Mariam opowiedziała jej o Bibi *dżan*, o mulle Faizullahu, upokarzającej wędrówce do domu Dżalila i samobójstwie Nany.

Opowiedziała o żonach Dżalila i pospiesznej *nekoh* z Raszidem, podróży do Kabulu, kolejnych ciążach, niekończącym się cyklu nadziei i rozczarowań i o tym, jak Raszid zaczął ją bić.

Potem Lajla usiadła u stóp Mariam. W zamyśleniu wyjęła jakiś kłaczek, który zaplątał się we włosy Azizy. Zapadła długa cisza.

– Też mam ci coś do opowiedzenia – wyznała wreszcie Lajla.

Tej nocy Mariam nie spała. Siedziała na łóżku i patrzyła na padający bezgłośnie śnieg.

Zmieniały się pory roku, mianowano kolejnych prezydentów Kabulu i ich mordowano; imperium sowieckie zostało pokonane, stare wojny zakończyły się i zaczęły nowe. Ale Mariam ledwo to wszystko zauważała, ledwo obchodziło ją to, co działo się na zewnątrz. Spędziła te lata schowana w jakimś odległym zakamarku swojej świadomości, na suchym jałowym polu, daleko poza pragnieniem i lamentem, poza marzeniem i rozczarowaniem. Tam przyszłość się nie liczyła. A z przeszłości płynęła tylko jedna mądrość: że miłość jest szkodliwym błędem, a jej towarzyszka, nadzieja, podstępną iluzją. I gdy tylko te dwa trujące kwiaty zaczynały kiełkować

na spękanej ziemi tego pola, Mariam je wyrywała. Wyrywała je i odrzucała, nim zdążyły się zakorzenić.

Ale w jakiś sposób w ciągu ostatnich miesięcy Lajla i Aziza – jak się okazało, będąca podobnie jak ona *harami* – stały się przedłużeniem Mariam i teraz bez nich życie, które Mariam tak długo tolerowała, wydawało jej się nie do zniesienia.

„Wyjeżdżamy tej wiosny, Aziza i ja. Jedź z nami, Mariam".

Minione lata nie były dla Mariam łaskawe. Ale może teraz, myślała, czekają ją łaskawsze lata, nowe życie, w którym znalazłaby to błogosławieństwo, które, jak twierdziła Nana, nie było pisane takiej *harami* jak ona. Niespodziewanie w jej życiu zakiełkowały dwa nowe kwiaty i teraz, gdy przyglądała się spadającym płatkom śniegu, przed jej oczami stanął mułła Faizullah przesuwający paciorki *tasbih*. Siedział zgarbiony i szeptał swoim łagodnym drżącym głosem: „Ale to Bóg je zasadził, Mariam. I Jego wolą jest, abyś się nimi opiekowała. To Jego wola, moje dziecko".

36

Lajla

Tego ranka, wiosną 1994 roku, kiedy światło dnia powoli rozjaśniało niebo, Lajla nabrała pewności, że Raszid wie. Że lada moment wyciągnie ją z łóżka i spyta, czy naprawdę miała go za takiego *Char*, takiego osła, by sądzić, że się nie domyśli. Ale rozlegał się *azan*, a potem promienie słońca padały na dachy, koguty zaczynały piać i nie działo się nic nadzwyczajnego.

Słyszała go teraz w łazience, jak stuka brzytwą o brzeg umywalki. Na dole odgłosy krzątaniny, parzenia herbaty. Brzęk kluczy. Teraz Raszid idzie przez podwórko i podchodzi do swojego roweru.

Lajla wyjrzała przez szparę między zasłonami w oknie dużego pokoju. Patrzyła, jak Raszid pedałuje ulicą, duży mężczyzna na małym

rowerze, połysk porannego słońca na kierownicy.

– Lajlo?

Mariam stała w drzwiach. Widać było, że również jest niewyspana. Zastanawiała się, czy Mariam też przez całą noc miała przypływy euforii na zmianę z dręczącym niepokojem.

– Wyjedziemy za pół godziny.

W taksówce nie odzywały się do siebie. Aziza siedziała na kolanach Mariam, ściskając lalkę, i patrzyła zdziwionymi szeroko otwartymi oczami na miasto, przez które przejeżdżali.

– Ona! – zawołała, pokazując grupkę dziewczynek skaczących przez linkę. – Majam! Ona!

Lajla wszędzie, gdziekolwiek spojrzała, widziała Raszida. Wydawało jej się, że wychodzi z zakładu fryzjerskiego o oknach w kolorze pyłu węglowego, że stoi przy straganach z kuropatwami, przy zrujnowanych sklepach wypełnionych od podłogi do sufitu starymi oponami.

Zapadła się głębiej w siedzenie.

Obok niej Mariam szeptała słowa modlitwy. Lajla chciała zobaczyć jej twarz, ale Mariam była

w burce – Lajla zresztą też – i jedyne, co mogła zobaczyć, to błysk oczu za siatką.

Lajla była po raz pierwszy poza domem od wielu tygodni, nie licząc krótkiej wycieczki do lombardu poprzedniego dnia, gdzie rzuciła na szklaną ladę swoją obrączkę i skąd odeszła przerażona nieodwracalnością tej decyzji, świadoma, że nie ma już od niej odwrotu.

Wszędzie wokół widziała teraz skutki niedawnych walk, których odgłosy słyszała w domu. Pozbawione dachów domy, po których zostały stosy cegieł i potłuczonych kamieni, zrujnowane budynki, z których sterczały na wszystkie strony belki nośne, osmalone, pogruchotane łupiny samochodów, poprzewracane do góry kołami, czasem zwalone jedne na drugie, ściany podziurawione wszelkimi możliwymi kalibrami, wszędzie tłuczone szkło. Widziała orszak pogrzebowy zmierzający w stronę meczetu i idące na końcu ubrane na czarno stare kobiety wyrywające sobie włosy z głowy. Minęli cmentarz pełen grobów usypanych z kamieni i postrzępionych chorągiewek *szahid* łopoczących na wietrze.

Lajla wyciągnęła rękę nad walizką i zacisnęła lekko palce na miękkim ramieniu córeczki.

Na dworcu autobusowym Lahore Gate, niedaleko Pol-e Mahmud Chan we wschodnim Kabulu, rząd autobusów czekał bezczynnie na poboczu. Mężczyźni w turbanach wciągali ciężkie pakunki na dachy autobusów i zabezpieczali je sznurami. W środku budynku mężczyźni stali w długiej kolejce do kas. Kobiety ubrane w burki stały w grupach i rozmawiały. U ich stóp piętrzyły się liczne pakunki. Niemowlęta były kołysane, a starsze dzieci upominano, by zbytnio się nie oddalały.

Bojownicy mudżahedinów patrolowali dworzec i pobocze, rzucając co chwila jakieś rozkazy. Mieli na sobie wysokie buty, *pakole* i zakurzone zielone mundury polowe. Wszyscy byli uzbrojeni w kałasznikowy.

Lajla miała wrażenie, że jest obserwowana. Nie patrzyła nikomu w oczy, ale miała wrażenie, że każdy tutaj wie i że każdy patrzy z dezaprobatą na nią i na Mariam.

– Widzisz kogoś? – spytała Lajla.

Mariam podniosła Azizę wyżej na ręku.

– Rozglądam się.

Lajla wiedziała, że będzie to pierwsza ryzykowna część planu: znalezienie mężczyzny, który będzie mógł uchodzić za członka ich rodziny. Prawa i możliwości, jakimi cieszyły się

kobiety pomiędzy 1978 a 1992 rokiem teraz należały do przeszłości – Lajla wciąż pamiętała słowa Babiego na temat reżimu komunistycznego: „W Afganistanie nastały dobre czasy dla kobiet, Lajlo”. Odkąd mudżahedini przejęli władzę w kwietniu 1992 roku, Afganistan zmienił nazwę na Islamskie Państwo Afganistanu. Pod rządami Rabbaniego w Sądzie Najwyższym zasiadali twardogłowi mułłowie, którzy odrzucili dekrety z czasów komunistów, dające kobietom większe prawa, i w ich miejsce zaczęli wydawać wyroki oparte na szarijacie, surowym prawie islamskim, które nakazywało kobietom zakrywać się, zakazywało podróżować bez towarzyszących im mężczyzn z rodziny i karało cudzołóstwo ukamienowaniem, choć te przepisy egzekwowano raczej sporadycznie. „Ale egzekwowaliby je znacznie bardziej surowo – powiedziała Lajla Mariam – gdyby nie byli tacy zajęci zabijaniem siebie nawzajem. I nas”.

Druga ryzykowna część tej podróży miała się zacząć po dotarciu do Pakistanu. Pakistan, przepełniony dwoma milionami afgańskich uchodźców, zamknął granicę z Afganistanem w styczniu tego roku. Lajla słyszała, że wpuszczani będą tylko ludzie z wizami. Ale granica nie była szczelna – zawsze tak było –

i Lajla wiedziała, że tysiące Afgańczyków nadal przechodzą do Pakistanu dzięki łapówkom albo zwykłej ludzkiej życzliwości – no i zawsze są jeszcze przemytnicy, których można wynająć. „Kiedy już tam będziemy, znajdziemy jakiś sposób”, powiedziała do Mariam.

– A co powiesz o nim? – spytała Mariam, wskazując podbródkiem jakiegoś mężczyznę.

– Nie wygląda na godnego zaufania.

– A ten?

– Za stary. I podróżuje z dwoma innymi mężczyznami.

Wreszcie Lajla znalazła kogoś odpowiedniego. Siedział na zewnątrz, na ławce, z żoną o zakrytej twarzy u boku i małym chłopcem w mycce na głowie, mniej więcej w wieku Azizy, na kolanach. Był wysoki, smukły, brodaty, miał rozpiętą pod szyją koszulę i skromny szary płaszcz, przy którym brakowało kilku guzików.

– Zaczekaj tutaj – powiedziała Lajla do Mariam. Kiedy odchodziła, znów usłyszała słowa modlitwy szeptane przez Mariam.

Kiedy Lajla do niego podeszła, mężczyzna podniósł oczy, osłaniając je dłonią od słońca.

– Wybacz, bracie, pytanie, ale czy jedziesz do Peszawaru?

– Tak – odparł, patrząc na nią spod przymrużonych powiek.

– Zastanawiam się, czy mógłbyś nam pomóc. Czy mogę prosić cię o przysługę?

Podał chłopca żonie i odszedł z Lajlą na bok.

– O co chodzi, *hamszira*?

Jego ciepłe oczy i miła twarz dodały jej odwagi.

Opowiedziała mu historię, którą wymyśliły razem z Mariam: Jest *beiwa*, wdową. Ona, jej matka i córka nie mają już nikogo w Kabulu. Jadą do Peszawaru, gdzie zatrzymają się u wujka.

– Chcesz pojechać z moją rodziną? – zapytał młody mężczyzna.

– Wiem, że to *zahmat* dla ciebie. Ale sprawiasz wrażenie przyzwoitego brata i…

– Nie martw się, *hamszira*. Rozumiem. To żaden kłopot. Pozwól, że kupię wam bilety.

– Dziękuję, bracie. To jest *sawab*. Dobry uczynek. Bóg to zapamięta.

Wyjęła kopertę z kieszeni pod burką i podała mu ją. Było w niej tysiąc sto afgani, czyli mniej więcej połowa pieniędzy, które zgromadziła w ciągu ostatniego roku, oraz to, co dostała za pierścionek. Wsunął kopertę do kieszeni spodni.

– Zaczekaj tutaj.

Odprowadziła go wzrokiem do wejścia do budynku stacji. Wrócił pół godziny później.

– Lepiej będzie, jeśli ja będę trzymał wasze bilety – powiedział. – Autobus odjeżdża za godzinę, o jedenastej. Wsiądziemy razem. Nazywam się Wakil. Jeśli zapytają – chociaż nie sądzę, by tak było – powiem, że jesteś moją kuzynką.

Lajla podała mu ich imiona, a on zapewnił, że je zapamięta.

– Trzymajcie się blisko mnie – powiedział.

Usiadły na ławce obok Wakila i jego rodziny. Był słoneczny ciepły ranek, na niebie widać było tylko dwie strzępiaste chmury unoszące się daleko nad wzgórzami. Mariam zaczęła karmić Azizę krakersami, które spakowała. Poczęstowała jednym Lajlę.

– Chybabym zwymiotowała – zaśmiała się Lajla. – Jestem zbyt podekscytowana.

– Ja też.

– Dziękuję, Mariam.

– Za co?

– Za to, że z nami jedziesz. Nie wiem, czy sama dałabym radę to zrobić.

– Nie musisz.

– Wszystko będzie dobrze, prawda, Mariam? To znaczy tam, dokąd jedziemy?

Mariam ścisnęła ją za rękę.

– Koran mówi że Allah jest na Wschodzie i na Zachodzie, zatem, dokąd nie pójdziesz, tam zobaczysz oblicze Allaha.

– *Bov*! – zawołała Aziza, wskazując autobus. – Majam, *bov*!

– Widzę, Aziza *dżan* – odparła Mariam. – Zgadza się, *bov*. Wkrótce wszyscy będziemy jechać, *bov*. Och, ile rzeczy zobaczysz po drodze.

Lajla się uśmiechnęła. Obserwowała stolarza pracującego w warsztacie po drugiej stronie ulicy – piłował kawałki drewna, a wokół leciały drzazgi. Patrzyła na przejeżdżające samochody o szybach pokrytych sadzą i brudem. Patrzyła na autobusy stojące bezczynnie na poboczu, z pawiami, lwami, wschodzącymi słońcami i połyskującymi mieczami wymalowanymi po bokach.

W ciepłym porannym słońcu Lajla czuła się odważna, a od otwierających się przed nimi perspektyw aż kręciło jej się w głowie. Znów ogarnęła ją euforia i kiedy jakiś bezpański pies o żółtych oczach przeszedł obok niej, nachyliła się i pogłaskała go po grzbiecie.

Kilka minut przed jedenastą mężczyzna z megafonem wezwał pasażerów udających się do Peszawaru, by wsiadali do autobusu. Drzwi

otworzyły się z sykiem. Pasażerowie ruszyli pospiesznie, tłocząc się i przeciskając.

Wakil wziął syna na ręce i dał znak Lajli.

– Idziemy – powiedziała.

Wakil szedł przodem. Kiedy zbliżyli się do autobusu, Lajla zobaczyła twarze w oknach, nosy i dłonie przyciśnięte do szyb. Wszędzie wokół słychać było ostatnie pożegnania.

Młody bojownik sprawdzał przed wejściem bilety.

– *Bov*! – zawołała Aziza.

Wakil podał bilety żołnierzowi, a ten przedarł je na pół i mu je oddał. Wakil przepuścił żonę przodem. Lajla zauważyła, że spojrzał na bojownika porozumiewawczym wzrokiem i stojąc na stopniu autobusu, nachylił się i szepnął mu coś do ucha. Bojownik pokiwał głową.

Lajli gwałtownie zabiło serce.

– Wy obie z dzieckiem odejdźcie na bok – powiedział bojownik.

Lajla udawała, że nie słyszy. Postawiła nogę na stopniu, ale bojownik złapał ją za ramię i brutalnie wyciągnął z kolejki.

– Ty też! – zawołał do Mariam. – Pospiesz się! Blokujesz kolejkę.

– O co chodzi, bracie? – spytała Lajla, z trudem poruszając ustami. – Mamy bilety. Czy mój kuzyn ich nie pokazał?

Bojownik przyłożył palec do ust, nakazując jej milczenie, i powiedział coś cichym głosem do drugiego strażnika. Tamten, gruby facet z blizną na prawym policzku, pokiwał głową.

– Chodźcie za mną – polecił.

– Musimy wsiąść do autobusu! – zawołała Lajla, świadoma, że jej głos drży. – Mamy bilety. Dlaczego to robisz?

– Nie wsiądziecie do tego autobusu. Lepiej, żebyś się z tym pogodziła. Pójdziesz ze mną. Chyba że chcesz, aby twoja córeczka zobaczyła, jak stosuję wobec ciebie przemoc.

W drodze do ciężarówki Lajla odwróciła się i zobaczyła synka Wakila w oknie autobusu. Chłopiec też ją zauważył i pomachał jej radośnie rączką.

Na posterunku policji przy skrzyżowaniu Torabaz Chan kazano im usiąść oddzielnie, na dwóch końcach długiego zatłoczonego korytarza. Pośrodku przy biurku siedział mężczyzna, który palił jednego papierosa za drugim i od czasu do czasu stukał w maszynę do pisania. Tak minęły

trzy godziny. Aziza dreptała od Lajli do Mariam i z powrotem. Bawiła się spinaczem do papieru, który dał jej mężczyzna przy biurku. Zjadła wszystkie krakersy. Wreszcie zasnęła na kolanach Mariam.

Około trzeciej po południu Lajla została wezwana do pokoju przesłuchań. Mariam kazano nadal czekać z Azizą na korytarzu.

Mężczyzna siedzący za biurkiem w pokoju przesłuchań miał około trzydziestki i ubrany był po cywilnemu – czarny garnitur, krawat, mokasyny. Miał równo przyciętą brodę, krótkie włosy i zrośnięte brwi. Przyglądał się Lajli, stukając końcówką ołówka z gumką o blat biurka.

– Wiemy – zaczął i odchrząknął, grzecznie zasłaniając dłonią usta – że już raz dzisiaj skłamałaś, *hamszira*. Młody mężczyzna na dworcu nie był twoim kuzynem. Tyle sam nam powiedział. Pytanie brzmi, czy będziesz dalej kłamała. Osobiście radzę ci tego nie robić.

– Miałyśmy zatrzymać się u mojego wujka – oświadczyła Lajla. – To prawda.

Policjant pokiwał głową.

– Czekająca za drzwiami *hamszira* jest twoją matką?

– Tak.

– Ma heracki akcent. Ty nie.

– Wychowała się w Heracie, a ja urodziłam się tutaj, w Kabulu.

– Oczywiście. I jesteś wdową? Powiedziałaś, że jesteś. Bardzo współczuję. A ten wujek, ten *kaka*, gdzie mieszka?

– W Peszawarze.

– Tak, to już mówiłaś. – Polizał końcówkę ołówka i przyłożył ją do czystej kartki papieru. – Ale gdzie w Peszawarze? Czy możesz podać dzielnicę? Nazwę ulicy, numer strefy?

Lajla starała się zdusić ogarniającą ją panikę. Podała jedyną znaną jej nazwę ulicy w Peszawarze – słyszała ją raz na przyjęciu, które Mamusia wydała z okazji wejścia mudżahedinów do Kabulu – Jamrud Road.

– A tak. Przy tej samej ulicy mieści się hotel Pearl Intercontinental. Wujek mógł ci o tym wspomnieć.

Lajla uchwyciła się tej szansy i powiedziała, że wujek coś o tym mówił.

– To ta sama ulica, tak.

– Tyle że ten hotel mieści się przy Khyber Road.

Lajla usłyszała płacz Azizy dochodzący z poczekalni.

– Moja córeczka jest wystraszona. Czy mogę po nią pójść, bracie?

– Wolałbym „panie oficerze”. Zresztą zaraz z nią będziesz. Masz numer telefonu do tego wujka?

– Tak, mam. Ja… – Mimo burki Lajla nie czuła się pewnie pod jego przenikliwym spojrzeniem. – Jestem taka zdenerwowana, chyba zapomniałam.

Mężczyzna westchnął. Spytał o nazwisko wujka i imię jego żony. Ile mają dzieci? Jak się te dzieci nazywają? Gdzie wujek pracuje? Ile ma lat? Jego pytania wytrąciły Lajlę z równowagi.

Odłożył ołówek, splótł dłonie i pochylił się do przodu, jak rodzic starający się wbić coś do głowy małemu dziecku.

– Zdajesz sobie sprawę, *hamszira*, że jeśli kobieta próbuje uciec, popełnia przestępstwo. Sporo tego tu mamy. Kobiety podróżują samotnie i twierdzą, że ich mężowie nie żyją. Czasem mówią prawdę, ale z reguły kłamią. Za coś takiego możesz trafić do więzienia. Chyba rozumiesz, co do ciebie mówię, *nay*?

– Proszę nas puścić, panie oficerze… – przeczytała imię na jego identyfikatorze – panie oficerze Rahman. Oddaj honor znaczeniu swojego imienia i okaż współczucie. Co to zmieni, jeśli pozwolisz dwóm zwykłym kobietom odejść?

Nikomu nie stanie się krzywda, jeśli nas puścisz. Nie jesteśmy przestępcami.

– Nie mogę.

– Błagam cię.

– To kwestia *ghanun*, *hamszira*, kwestia prawa – odparł Rahman surowym, przydającym mu powagi głosem. – Jestem odpowiedzialny za utrzymanie porządku.

Mimo ogarniającej ją rozpaczy Lajla omal nie wybuchła śmiechem. Uderzyło ją, że użył takiego słowa w obliczu wszystkiego, co wyrabiały tu różne ugrupowania mudżahedinów – morderstw, kradzieży, gwałtów, tortur, egzekucji, bombardowań, dziesiątków tysięcy rakiet wystrzeliwanych przez obie strony, bez względu na niewinnych ludzi ginących w trakcie każdej wymiany ognia. Porządek. Ale ugryzła się w język.

– Jeśli odeślesz nas z powrotem – powiedziała za to powoli – nie sposób opisać, co on nam zrobi.

Wiedziała, że uczynił wysiłek, by nie odwrócić wzroku.

– To, co mężczyzna robi we własnym domu, to jego sprawa.

– A co wtedy dzieje się z prawem, panie oficerze Rahman? – W jej oczach pojawiły się łzy

wściekłości. – Czy będziesz tam wtedy, aby zaprowadzić porządek?

– Z zasady nie ingerujemy w prywatne sprawy rodzinne, *hamszira*.

– Oczywiście, że nie. Zwłaszcza że dzieje się tak z korzyścią dla mężczyzn. A czy to nie jest „prywatna sprawa rodzinna”, tak jak powiedziałeś? Czyż tak nie jest?

Odsunął się od biurka i wstał, poprawiając marynarkę.

– Uważam przesłuchanie za zakończone. Stwierdzam, *hamszira*, że bardzo źle ci to wyszło. Naprawdę bardzo źle. A teraz poczekaj, proszę, na zewnątrz. Zamienię kilka słów z twoją… kimkolwiek ona jest.

Lajla zaczęła protestować, potem krzyczeć i musiał zawołać na pomoc dwóch mężczyzn, którzy wypchnęli ją na zewnątrz.

Przesłuchanie Mariam trwało tylko pięć minut. Kiedy wyszła, wyglądała na wstrząśniętą.

– Zadał tyle pytań – wyszeptała. – Przepraszam, Lajla *dżan*. Nie jestem taka mądra jak ty. Zadał tyle pytań, na które nie znałam odpowiedzi. Przepraszam.

– To nie twoja wina, Mariam – powiedziała słabym głosem Lajla. – To moja wina. To wszystko moja wina. To ja zawiniłam.

Było po szóstej, kiedy policyjny samochód zatrzymał się przed domem. Lajla i Mariam musiały czekać w samochodzie na tylnym siedzeniu, pod nadzorem mudżahedina, a kierowca poszedł do domu, zapukał do drzwi i porozmawiał z Raszidem. Potem wrócił i kazał im wysiąść z auta.

– Witajcie w domu – powiedział żołnierz, zapalając papierosa.

– Ty – warknął Raszid do Mariam – ty poczekasz tutaj.

Mariam cichutko usiadła na kanapie.

– A wy dwie na górę.

Raszid złapał Lajlę za ramię i pociągnął w stronę schodów. Nadal miał na sobie buty, które wkładał do pracy, nie włożył jeszcze nawet kapci, nie zdjął zegarka ani nie zrzucił płaszcza. Oczami wyobraźni Lajla widziała go godzinę, a może nawet kilka minut wcześniej, jak wchodzi do domu i biega od jednego pokoju do drugiego, trzaskając drzwiami, wściekły i pełen niedowierzania, klnie pod nosem.

Na szczycie schodów odwróciła się do niego.

– Ona nie chciała tego zrobić – powiedziała. – Zmusiłam ją. Nie chciała jechać…

Lajla nie dostrzegła zbliżającej się pięści. W jednej sekundzie jeszcze mówiła, a w drugiej leżała na ziemi z szeroko otwartymi oczami, z poczerwieniałą twarzą, usiłując złapać oddech. Miała wrażenie, jakby jadący z dużą prędkością samochód uderzył ją w czułe miejsce pomiędzy najniższą częścią mostka a pępkiem. Uświadomiła sobie, że upuściła Azizę i że słyszy jej wrzaski. Spróbowała znów złapać oddech, ale z jej piersi dobył się tylko chrapliwy zdławiony dźwięk. Z jej ust pociekła strużka czegoś wilgotnego.

A potem Raszid pociągnął ją za włosy. Zobaczyła, że podniósł Azizę, sandałki spadły dziecku ze stóp i Aziza kopała małymi nożkami na wszystkie strony. Lajla czuła, że Raszid wyrywa jej włosy z głowy i z bólu oczy zaszły jej łzami. Kopnął drzwi do pokoju Mariam i rzucił Azizę na łóżko. Puścił włosy Lajli i kopnął ją w lewy pośladek czubkiem buta. Zawyła z bólu. Raszid zatrzasnął drzwi. Rozległ się dźwięk klucza przekręcanego w zamku.

Aziza wciąż wrzeszczała. Lajla leżała zwinięta na podłodze, z trudem łapiąc oddech. Podparła się na rękach i podczołgała w stronę łóżka do Azizy.

Na dole zaczęło się bicie. Dla Lajli brzmiało to tak jak metodycznie wykonywana tradycyjna procedura. Nie było żadnego przeklinania, błagania, wołania o pomoc, jedynie systematyczne bicie, głuchy odgłos czegoś solidnego uderzającego o ciało, jakby ktoś walił ciężko w ścianę, trzask rozdzieranego materiału. Co chwila Lajla słyszała pospieszne kroki, bezgłośną gonitwę czy też polowanie, przesuwanie mebli, obijające się o siebie szklanki, a potem znów ten głuchy odgłos.

Lajla wzięła Azizę na ręce. Ciepła, mokra plama przesiąkła przez jej sukienkę, Aziza się posiusiała.

Na dole tupot nóg i gonitwa wreszcie ustały. Teraz rozlegał się taki dźwięk, jakby ktoś drewnianym tłuczkiem równomiernie rozbijał kawałek mięsa.

Lajla kołysała Azizę, dopóki dźwięk nie ucichł, a kiedy usłyszała trzask otwieranych drzwi na podwórko, postawiła Azizę na ziemi i wyjrzała przez okno. Zobaczyła Raszida prowadzącego Mariam, a właściwie ciągnącego ją za kark. Mariam była bosa i zgięta wpół. Widać było krew na jego dłoniach, na jej twarzy, włosach, szyi i plecach. Miała rozdartą na piersiach koszulę.

– Przepraszam, Mariam! – zawołała Lajla przez szybę.

Patrzyła, jak Raszid wpycha ją do szopy. Wszedł za nią i po chwili wyłonił się z młotkiem i kilkoma długimi deskami. Zatrzasnął oba skrzydła drzwi do szopy, wyjął z kieszeni klucz i zamknął kłódkę. Sprawdził drzwi, a potem obszedł szopę i wziął drabinę.

Kilka minut później jego twarz pojawiła się w oknie przy Lajli. W ustach trzymał gwoździe. Miał potargane włosy. Na jego czole widniała smuga krwi. Na jego widok Aziza wzdrygnęła się i wtuliła buzię pod pachę Lajli.

Raszid zaczął zabijać okno deskami.

Ciemność była całkowita, nieprzenikniona i ciągła, pozbawiona warstw i faktury. Raszid wypełnił czymś szczeliny między deskami, a pod drzwiami ustawił jakiś duży, ciężki przedmiot, tak że nie wpadał tamtędy ani jeden promień światła.

Lajla nie była w stanie określić za pomocą wzroku upływu czasu, więc używała do tego dobrego ucha. *Azan* i pianie kogutów zwiastowały ranek, a stukanie talerzy w kuchni na dole i włączone radio wieczór.

Pierwszego dnia szukały się nawzajem po omacku. Lajla nie widziała Azizy, kiedy ta płakała, nie wiedziała też, gdzie ma jej szukać, jeśli poraczkowała gdzieś kawałek dalej.

– *Ajszi* – jęczała Aziza. – *Ajszi*.

– Już niedługo. – Lajla całowała córeczkę, starając się wycelować w jej czoło, a trafiając w czubek głowy. – Niedługo będziemy miały mleko. Bądź cierpliwa. Bądź dobrą, cierpliwą dziewczynką dla mamusi, a zdobędę dla ciebie trochę *ajszi*.

Lajla zaśpiewała jej kilka piosenek.

Azan rozległ się po raz drugi, a Raszid wciąż nie przynosił im żadnego jedzenia i, co gorsza, żadnej wody. Tego dnia spadł na nie ciężki duszący upał. Pokój zamienił się w szybkowar. Lajla przesunęła suchym językiem po wargach, myśląc o studni na podwórku i zimnej świeżej wodzie. Aziza wciąż płakała i Lajla z przerażeniem zauważyła, że kiedy obcierała jej policzki, dłonie pozostawały suche. Ściągnęła z Azizy całe ubranie i starała się znaleźć coś, czym mogłaby ją powachlować. W końcu zaczęła na nią dmuchać, aż zaczęło jej się kręcić w głowie. Po jakimś czasie Aziza przestała raczkować. Budziła się i znów zapadała w sen.

Wiele razy tego dnia Lajla waliła pięściami w ściany, z całych sił wołała o pomoc w nadziei, że usłyszy ją ktoś z sąsiadów. Ale nikt nie przyszedł, a jej krzyki wystraszyły tylko Azizę, która znów zaczęła płakać chrapliwym głosem. Lajla opadła na podłogę. Pełna poczucia winy pomyślała o Mariam, pobitej i zakrwawionej, zamkniętej w taki upał w szopie.

Wreszcie Lajla usnęła, choć jej ciało palił ogień. Przyśniło jej się, że razem z Azizą zobaczyły przypadkiem Tarigha. Był po drugiej stronie zatłoczonej ulicy, pod markizą zakładu krawieckiego. Siedział w kucki i wyjadał figi ze skrzynki. „To twój tata – powiedziała Lajla. – Ten mężczyzna, o tam, widzisz? To twój prawdziwy *baba*”. Zawołała go po imieniu, ale jej głos zginął w ulicznym hałasie i Tarigh jej nie usłyszał.

Obudził ją świst rakiet przelatujących nad domem. Niebo, którego nie mogła zobaczyć, rozbłysło gdzieś wybuchami i rozległ się długi, szalony i dudniący odgłos ognia maszynowego. Lajla zamknęła oczy. Obudziły ją ciężkie kroki Raszida w przedpokoju. Podczołgała się pod drzwi i położyła na nich dłonie.

– Tylko jedną szklankę, Raszidzie. Nie dla mnie. Zrób to dla niej. Nie chcesz przecież, by jej krew splamiła ci dłonie.

Raszid minął drzwi bez słowa.

Zaczęła go przekonywać. Błagała o przebaczenie, składała obietnice. Przeklinała go.

Drzwi do jego pokoju zamknęły się. Włączył radio.

Muezin po raz trzeci wygłosił *azan*. Znów upał. Aziza stała się jeszcze bardziej apatyczna. Przestała płakać i w ogóle przestała się ruszać.

Lajla przykładała ucho do jej ust, za każdym razem bojąc się, że nie usłyszy już płytkiego oddechu. Wystarczyło, by uniosła się na ramionach, a od razu kręciło jej się w głowie. Zasnęła i śniła sny, których potem nie pamiętała. Kiedy się budziła, sprawdzała, w jakim stanie jest Aziza, dotykała jej spękanych suchych warg, badała puls ledwo wyczuwalny na jej szyi i znów się kładła. Lajla była teraz pewna, że obie umrą, ale najbardziej przerażało ją to, że może przeżyć maleńką i kruchą Azizę. Ile jeszcze wytrzyma? Aziza umrze w tym upale, a ona, Lajla, będzie leżała obok jej sztywniejącego maleńkiego ciała i czekała na śmierć. Znów zasnęła. Obudziła się. Zasnęła. Granica między snem a jawą się zatarła.

Tym razem nie obudziły ją koguty ani *azan*, ale hałas spowodowany odsuwaniem czegoś ciężkiego. Usłyszała stukanie. Nagle pokój zalało

światło. Jej oczy zaprotestowały. Lajla uniosła głowę, skrzywiła się i zasłoniła oczy. Przez palce zobaczyła wielką, zamazaną sylwetkę stojącą w plamie światła. Sylwetka poruszyła się. Teraz niewyraźny kształt pochylał się nad nią i usłyszała przy uchu głos.

– Jeszcze raz spróbujesz, a cię znajdę. Przysięgam w imię Proroka, że cię znajdę. A kiedy to się stanie, żaden sąd w tym zapomnianym przez Boga kraju nie obwini mnie za to, co zrobię. Najpierw Mariam, potem jej, a na końcu tobie. Każę ci na to patrzeć. Rozumiesz? Każę ci na to patrzeć.

Po tych słowach wyszedł z pokoju, ale wcześniej wymierzył jej kopniaka, przez który Lajla miała jeszcze przez wiele dni oddawać mocz zmieszany z krwią.

37

Mariam, wrzesień 1996

Dwa lata później, rankiem 27 września, Mariam obudziły krzyki, gwizdy, sztuczne ognie i muzyka. Pobiegła do dużego pokoju. Lajla stała już przy oknie z Azizą na plecach. Odwróciła się do niej i uśmiechnęła.

– Talibowie są w mieście – oznajmiła.

Mariam po raz pierwszy usłyszała o talibach dwa lata temu w październiku 1994 roku, kiedy Raszid przyniósł do domu wiadomości o tym, że talibowie pokonali watażków w Kandaharze i przejęli miasto. To partyzanci, powiedział, młodzi Pasztunowie, których rodziny uciekły do Pakistanu podczas wojny z Sowietami. Większość z nich wychowała się – a niektórzy nawet się urodzili – w obozach dla uchodźców przy granicy z Pakistanem i w pakistańskich medresach, gdzie mułłowie nauczali ich szarijatu. Ich przywódcą

był tajemniczy, niewykształcony, jednooki samotnik imieniem mułła Omar, który, jak oznajmił z niejakim podziwem Raszid, kazał nazywać się Amir ul-Mumenin, czyli Wodzem Wiernych.

– To prawda, że ci chłopcy nie mają żadnych *reisza*, żadnych korzeni – powiedział Raszid, nie zwracając się ani do Mariam, ani do Lajli. Od czasu ich nieudanej ucieczki dwa i pół roku temu Mariam wiedziała, że ona i Lajla zlały się w jego oczach w jedno, obie były równie nędzne, podejrzane i zasługiwały na najwyższą pogardę i lekceważenie. Kiedy przemawiał, Mariam miała wrażenie, że prowadzi rozmowę sam ze sobą albo z jakimś niewidzialnym duchem unoszącym się w pokoju, który w przeciwieństwie do niej i Mariam był godzien wysłuchania opinii Raszida.

– Może i nie mają żadnej przeszłości – powiedział, paląc papierosa i patrząc w sufit. – Może nic nie wiedzą o świecie i historii tego kraju. Tak. A w porównaniu z nimi obecna tu Mariam mogłaby być profesorem uniwersytetu. Ha! Ale rozejrzyjcie się tylko. Co widzicie? Skorumpowanych, chciwych komendantów mudżahedinów, uzbrojonych po zęby, wzbogaconych na heroinie, ogłaszających sobie

nawzajem dżihad i zabijających wszystkich, którzy znajdą się pomiędzy nimi. Oto, co zobaczycie. Przynajmniej talibowie są czyści i nieprzekupni. Przynajmniej są przyzwoitymi muzułmańskimi chłopcami. *Wallah*, kiedy tu się znajdą, oczyszczą to miasto. Zaprowadzą pokój i porządek. Ludzie nie będą już ginęli, idąc po mleko. Nie będzie rakiet! Pomyślcie o tym.

Przez ostatnie dwa lata talibowie torowali sobie drogę do Kabulu, przejmując kolejne miasta z rąk mudżahedinów i kładąc kres frakcyjnym walkom, dokądkolwiek doszli. Złapali komendanta Abdula Ali Mazariego i go stracili. Miesiącami stacjonowali na południe od Kabulu i ostrzeliwali miasto, walcząc z Ahmadem Szahem Masudem. Wcześniej, we wrześniu 1996 roku, przejęli miasta Dżalalabad i Sarobi.

Talibowie mają to, czego brakuje mudżahedinom, mówił Raszid. Są zjednoczeni.

– Niech przyjdą – powiedział. – Przynajmniej ja obsypię ich płatkami róż.

Tego dnia wyszli we czwórkę. Prowadzone przez Raszida przesiadały się kilkakrotnie z autobusu do autobusu, aby powitać nowy świat, nowych przywódców. W każdej

zrujnowanej dzielnicy Mariam widziała, jak pośród gruzów materializują się ludzie i wychodzą na ulice. Widziała staruszkę, która obsypywała przechodniów garściami ryżu z bezzębnym uśmiechem na obwisłych ustach. Dwaj mężczyźni obejmowali się obok ruin spalonego budynku, a na niebie ponad nimi strzelały, świszczały i gwizdały nieliczne fajerwerki puszczane przez stojących na dachach chłopców. Z magnetofonów rozbrzmiewał hymn narodowy, konkurując z klaksonami samochodów.

– Zobacz, Majam! – Aziza wskazała grupę chłopców biegnących Dżadda Majwand. Wyrzucali pięści w górę i ciągnęli zardzewiałe puszki nawleczone na sznurki. Krzyczeli, że Masud i Rabbani wycofali się z miasta.

Wszędzie rozlegały się okrzyki: *Allah-u-akbar!*

Mariam zobaczyła prześcieradło wywieszone w oknie na Dżadda Majwand. Ktoś wypisał na nim wielkimi czarnymi literami trzy słowa: *ZENDA BAD TALIBAN!* NIECH ŻYJĄ TALIBOWIE!

Idąc ulicami, Mariam zauważyła więcej napisów – wymalowanych na oknach, przyczepionych do drzwi, chyboczących na antenach samochodów – które głosiły to samo.

Jeszcze tego samego dnia Mariam na placu Pasztunistan, gdzie znalazła się z Raszidem, Lajlą i Azizą, po raz pierwszy zobaczyła talibów. Zgromadził się tam tłum ludzi. Wszyscy wyciągali szyje, niektórzy wdrapywali się na niebieskie fontanny pośrodku placu, inni wskakiwali do ich suchych basenów. Każdy próbował zapewnić sobie widok na tę część placu, która znajdowała się w pobliżu restauracji Chyber.

Raszid wykorzystał swoją posturę, by przepchnąć się wśród gapiów, i zaprowadził je do miejsca, w którym ktoś przemawiał przez megafon.

Kiedy Aziza to zobaczyła, wydała wrzask i szybko schowała twarz w burkę Mariam.

Głos płynący z megafonu należał do smukłego, brodatego młodego mężczyzny w czarnym turbanie stojącego na prowizorycznej platformie. W drugiej ręce trzymał wyrzutnię rakiet. Obok niego, na sznurach przywiązanych do ulicznych latarni, wisiało dwóch zakrwawionych mężczyzn. Ich ubrania były w strzępach, a wzdęte twarze nabrały purpurowosinej barwy.

– Znam go! – zawołała Mariam. – Tego po lewej.

Młoda kobieta stojąca przed Mariam odwróciła się i powiedziała, że to Nadżibullah. Drugim mężczyzną był jego brat. Mariam przypomniała sobie pulchną, wąsatą twarz Nadżibullaha uśmiechającą się z billboardów i sklepowych witryn za czasów Sowietów.

Potem dowiedziała się, że talibowie wyciągnęli Nadżibullaha z jego schronienia w placówce ONZ przy pałacu Darulaman. Torturowali go przez wiele godzin, a potem przywiązali za nogi do ciężarówki i ciągnęli jego zwłoki przez miasto.

– Zabił wielu muzułmanów! – z megafonów dobiegał donośny głos młodego taliba. Mówił w języku farsi z pasztuńskim akcentem, a potem przeskakiwał na paszto. Podkreślał wagę swych słów, wymachując bronią w stronę wiszących ciał. – Jego przestępstwa są wszystkim dobrze znane. To był komunista i *kafer*. Oto, co robimy z niewiernymi, którzy popełniają przestępstwa przeciw islamowi!

Raszid uśmiechnął się pod nosem.

Aziza zaczęła płakać w ramionach Mariam.

Następnego dnia najazdu na Kabul dokonały ciężarówki. W Chair Chana, Szahr-e Nau, Karta

Parwan, Wazir Akbar Chan i w Tajmani wszędzie ulicami mknęły czerwone ciężarówki marki Toyota. Siedzieli w nich uzbrojeni brodaci mężczyźni w czarnych turbanach. Z każdej ciężarówki przez megafony płynęły obwieszczenia, najpierw w farsi, potem w paszto. Te same obwieszczenia puszczano przez głośniki umieszczone na meczetach, a także w radiu, które teraz nosiło nazwę Głos Szarijatu. Obwieszczenia drukowano również na ulotkach i rozrzucano na ulicach. Mariam znalazła jedną z nich na podwórku.

> Nasz *watan* jest odtąd nazywany Islamskim Emiratem Afganistanu. Oto prawa, które wprowadziliśmy i których będziecie przestrzegali:
>
> Wszyscy obywatele muszą modlić się pięć razy dziennie. Jeśli w porze modlitwy zostaniesz przyłapany na wykonywaniu innej czynności, będziesz bity.
>
> Wszyscy mężczyźni zapuszczą brody. Prawidłowa długość brody powinna być taka, by można było ją ująć w garść. Jeśli się do tego nie zastosujesz, będziesz bity.

Wszyscy chłopcy będą nosili turbany. Chłopcy od klasy pierwszej do szóstej będą nosili czarne turbany, a w wyższych klasach białe. Wszyscy chłopcy będą nosili islamski ubiór. Kołnierzyki koszul mają być zapięte.

Śpiew jest zakazany.

Taniec jest zakazany.

Granie w karty, szachy, gry hazardowe oraz puszczanie latawców jest zakazane.

Pisanie książek, oglądanie filmów i malowanie obrazów jest zakazane.

Jeśli będziesz miał w domu papużki, będziesz bity. Twoje ptaki zostaną zabite.

Jeśli coś ukradniesz, twoja dłoń zostanie odcięta w nadgarstku. Jeżeli jeszcze raz coś ukradniesz, twoja stopa zostanie odcięta.

Jeśli nie jesteś muzułmaninem, nie oddawaj czci w miejscach, w których mogą

cię zobaczyć muzułmanie. Jeśli to uczynisz, będziesz bity i wtrącony do więzienia. Jeśli zostaniesz przyłapany na próbie nakłonienia muzułmanina do zmiany wiary, będziesz stracony.

Uwaga, kobiety:

Będziecie przez cały czas w domach. Rzeczą niewłaściwą jest, by kobiety chodziły bez celu po ulicach. Jeśli wychodzicie, musi towarzyszyć wam *mahram*, mężczyzna będący członkiem waszej rodziny. Jeśli zostaniecie złapane same na ulicy, będziecie bite i odesłane do domu.

Nie będziecie, bez względu na okoliczności, pokazywały twarzy. Na zewnątrz będziecie osłaniały się burkami. W przeciwnym razie zostaniecie zbite.

Kosmetyki są zabronione.

Biżuteria jest zabroniona.

Nie będziecie nosiły strojnej odzieży.

Nie będziecie się odzywały, o ile ktoś nie odezwie się do was pierwszy.

Nie będziecie nawiązywały kontaktu wzrokowego z mężczyzną.

Nie będziecie śmiały się w miejscach publicznych. Jeśli to zrobicie, będziecie bite.

Nie będziecie malowały paznokci. Jeśli to zrobicie, stracicie palec.

Dziewczynkom zabrania się chodzić do szkół. Wszystkie szkoły dla dziewcząt zostaną natychmiast zamknięte.

Kobietom zabrania się pracować.

Jeśli popełnisz cudzołóstwo, zostaniesz ukamienowana.

Słuchajcie. Słuchajcie uważnie. Bądźcie posłuszni. Allah-u-akbar.

Raszid wyłączył radio. Siedzieli w dużym pokoju na podłodze i jedli obiad niecały tydzień po tym, jak widzieli Nadżibullaha wiszącego na latarni.

– Nie mogą zmusić połowy ludności do zostania w domu i bezczynności – powiedziała Lajla.

– Dlaczego nie? – odparł Raszid. Przynajmniej raz Mariam musiała się z nim zgodzić. Przecież to samo zrobił jej i Lajli, prawda? Lajla musiała zdawać sobie z tego sprawę.

– To nie jest jakaś wioska. To jest Kabul. Kobiety pracowały tu jako prawnicy i lekarze, zajmowały stanowiska w rządzie…

Raszid skrzywił się.

– Mówisz jak arogancka córeczka czytającego poezję profesorka, którą zresztą jesteś. Jakie to miejskie. Jakie tadżyckie. Myślisz, że to jakiś nowy radykalny pomysł, który talibowie wcielają w życie? Czy kiedykolwiek mieszkałaś poza swoją maleńką, cudowną muszelką w Kabulu, moja *Gol*? Chciało ci się kiedyś zobaczyć prawdziwy Afganistan, południe i wschód, wzdłuż plemiennej granicy z Pakistanem? Nie?

A ja to widziałem. I mogę ci powiedzieć, że w tym kraju jest wiele miejsc, gdzie zawsze prowadzono takie życie albo bardzo do tego zbliżone. Ale ty przecież o tym nie wiesz.

– Nie uwierzę w to – upierała się Lajla. – Nie mogą mówić tego poważnie.

– To, co talibowie zrobili Nadżibullahowi, dla mnie wyglądało całkiem poważnie – powiedział Raszid. – Zgodzisz się ze mną?

– Był komunistą! Stał na czele tajnej policji.

Raszid się zaśmiał.

Mariam usłyszała w jego śmiechu odpowiedź: że w oczach talibów Nadżibullah, komunista i przywódca przerażającego CHAD-u, był tylko trochę bardziej godny pogardy niż kobieta.

38

Lajla

Kiedy talibowie zabrali się do roboty, Lajla cieszyła się, że Babi nie może być tego świadkiem. To by go całkiem załamało.

Tłum mężczyzn uzbrojonych w kilofy wtargnął do zniszczonego budynku Muzeum Kabulu i rozbił w drobny mak preislamskie posążki – to znaczy te, które dotąd nie zostały zagrabione przez mudżahedinów. Uniwersytet został zamknięty, a studenci odesłani do domów. Ze ścian zrywano obrazy i cięto je nożami. Kopniakami rozwalano telewizory. Książki, za wyjątkiem Koranu, palono całymi stosami, sklepy, w których je sprzedawano, zostały zamknięte. Wiersze takich poetów, jak Chalili, Paźwak, Hadżi Dehghan, Aszraghi, Bejtab, Hafez, Dżami, Nizami, Chajjam, Beidel i wielu innych poszły z dymem.

Lajla słyszała o mężczyznach łapanych na ulicy, oskarżanych o pomijanie *namaz* i wpychanych do meczetów. Dowiedziała się, że restauracja Marco Polo niedaleko ulicy Kurcząt została zamieniona w centrum przesłuchań. Czasami zza zamalowanych czarną farbą okien dochodziły krzyki. Wszędzie brodate patrole przemierzały ulice miasta w ciężarówkach Toyota, wypatrując ogolonych twarzy, które należałoby rozkwasić.

Zamknięto również kina: Cinema Park, Ariana, Arjub. Splądrowano sale projekcyjne i spalono rolki z filmami. Lajla wspominała czasy, kiedy siadywała z Tarighiem w jednym z tych kin i oglądała hinduskie filmy, te wszystkie melodramatyczne opowieści o kochankach rozdzielonych przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności, jedno rzucone gdzieś do jakiegoś dalekiego kraju, drugie zmuszone do małżeństwa, łkanie, śpiew na polach pełnych nagietków, tęsknota za ponownym połączeniem się z ukochanym. Pamiętała, jak Tarigh śmiał się z niej, kiedy wzruszała się na takich filmach do łez.

– Ciekawe, co zrobili z kinem mojego ojca – powiedziała Mariam któregoś dnia. – O ile nadal

tam stoi, oczywiście. I o ile ojciec nadal jest jego właścicielem.

Charabat, dawna dzielnica muzyków, ucichł. Muzyków pobito i wtrącono do więzienia, ich *rababy*, *tambury* i akordeony podeptano. Talibowie udali się również na grób ulubionego śpiewaka Tarigha, Ahmada Zahira, i ostrzelali go.

– Tak jakby po prawie dwudziestu latach nie był dość martwy – powiedziała Lajla do Mariam. – Czy nie wystarczy raz umrzeć?

Raszidowi talibowie zbytnio nie przeszkadzali. Jedyne, co musiał robić, to zapuścić brodę, co uczynił, i chodzić do meczetu, co również robił. Raszid podchodził do talibów z wielkoduszną, serdeczną pobłażliwością, jakby chodziło o narwanego kuzyna mającego skłonność do popełniania nieprzemyślanych, śmiesznych i nieco skandalicznych czynów.

W każdy środowy wieczór Raszid słuchał Głosu Szarijatu, bo wtedy talibowie ogłaszali imiona tych, którzy mieli w najbliższym czasie zostać ukarani. Potem w piątki chodził na stadion Ghazi, kupował pepsi i oglądał spektakl. W łóżku zmuszał Lajlę do wysłuchiwania szczegółowych relacji o obciętych dłoniach, chłoście,

szubienicach i ścinaniu głów, które snuł w co najmniej podejrzanej euforii.

– Dziś widziałem, jak mężczyzna podciął gardło mordercy swojego brata – powiedział którejś nocy, wypuszczając nosem chmurę dymu.

– Oni są dzikusami – odparła Lajla.

– Tak myślisz? W porównaniu z kim? Sowieci zabili milion ludzi. Wiesz, ilu ludzi zabili mudżahedini w Kabulu w ciągu ostatnich czterech lat? Pięćdziesiąt tysięcy. Pięćdziesiąt tysięcy! Czy w porównaniu z tym odrąbanie ręki kilku złodziejom jest aż tak okrutne? Oko za oko, ząb za ząb. Tak mówi Koran. Zresztą powiedz mi, czy gdyby ktoś zabił Azizę, nie chciałabyś mieć szansy, aby ją pomścić?

Lajla rzuciła mu pełne oburzenia spojrzenie.

– Staram się tylko ci to wyjaśnić.

– Jesteś taki sam jak oni.

– Aziza ma taki ciekawy kolor oczu. Nie sądzisz? Ani twój ani mój.

Raszid odwrócił się do niej twarzą i delikatnie podrapał ją po udzie zakrzywionym paznokciem palca wskazującego.

– Pozwól, że ci to wyjaśnię – powiedział. – Gdyby naszła mnie taka ochota, choć wcale nie mówię, że mnie najdzie, ale mogłaby, dlaczego nie, to miałbym pełne prawo pozbyć się Azizy.

Jak by ci się to podobało? Albo mógłbym któregoś dnia pójść do talibów, tak sobie po prostu tam wejść i powiedzieć, że mam pewne podejrzenia co do ciebie. Tyle by wystarczyło. Czyjemu słowu by uwierzyli? Jak sądzisz, co by z tobą zrobili?

Lajla cofnęła udo.

– Nie to, żebym miał taki zamiar – dodał. – Nie zrobiłbym tego. *Nay*. Prawdopodobnie nie. Znasz mnie.

– Jesteś podły.

– To wielkie słowo. Nigdy tego u ciebie nie lubiłem. Nawet kiedy byłaś mała, kiedy biegałaś z tym kaleką, myślałaś, że jesteś taka mądra z twoimi książkami i poematami. A co ci teraz z tych wszystkich mądrości? Co trzyma cię w domu, twoja mądrość czy ja? Ja jestem podły? Połowa kobiet w tym mieście gotowa by była zabić, żeby mieć takiego męża jak ja. Gotowe by były zabić.

Odwrócił się i wypuścił obłoczek dymu w stronę sufitu.

– Lubisz wielkie słowa? Powiem ci jedno: perspektywa. Oto, co ja tu robię, Lajlo. Dbam, żebyś nie straciła właściwej perspektywy.

To, co przez resztę nocy doprowadzało ją do mdłości, to świadomość, że każde, ale to każde

wypowiedziane przez Raszida słowo było prawdą.

Ale rankiem, podobnie jak przez wiele kolejnych ranków, mdłości utrzymywały się, potem nasiliły i w końcu ku jej przerażeniu zaczęła odczuwać je jako coś dobrze znanego.

Niedługo potem, któregoś zimnego pochmurnego popołudnia, Lajla położyła się na plecach na podłodze w sypialni. Mariam usypiała Azizę w swoim pokoju.

W dłoni Lajla ściskała metalową szprychę, którą wyciągnęła za pomocą obcęgów z porzuconego koła rowerowego. Znalazła je w tej samej alejce, w której wiele lat temu całowała się z Tarighiem. Lajla leżała na podłodze z rozłożonymi nogami przez długi czas, wciągając powietrze przez zaciśnięte zęby.

Uwielbiała Azizę od chwili, gdy zaczęła podejrzewać jej istnienie. Nie miała ani cienia wątpliwości, ani odrobiny wahania. Jakie to straszne uczucie dla matki, myślała teraz Lajla, gdy zaczyna obawiać się, że nie będzie mogła zdobyć się na miłość wobec własnego dziecka. Jakie to nienaturalne. A mimo to, leżąc na podłodze i ściskając spoconymi palcami

szprychę, zastanawiała się, czy w istocie byłaby w stanie kochać dziecko Raszida tak samo jak kochała córkę Tarigha.

Koniec końców Lajla nie była w stanie tego zrobić.

Nie odrzuciła szprychy z obawy przed tym, że wykrwawi się na śmierć ani też dlatego, że sam czyn jest godny potępienia – bo podejrzewała, że jest. Lajla wypuściła szprychę z rąk, bo nie mogła zaakceptować tego, co tak ochoczo zaakceptowali mudżahedini: że czasem, kiedy trwa wojna, ktoś niewinny musi stracić życie. To ona toczy wojnę z Raszidem. Dziecko jest niewinne. I dość już zabijania. Lajla widziała wystarczająco dużo niewinnych ludzi, zabitych tylko dlatego, że dostali się w krzyżowy ogień walczących stron.

39

Mariam, wrzesień 1997

– Ten szpital nie przyjmuje już kobiet – warknął strażnik. Stał na szczycie schodów i spoglądał zimnym wzrokiem na tłum zebrany przed szpitalem Malalaj.

Rozległ się pomruk niezadowolenia.

– Ale to szpital dla kobiet! – krzyknęła jakaś kobieta stojąca za Mariam, a zebrani poparli ją głośnymi okrzykami.

Mariam przerzuciła Azizę na drugą rękę. Wolną ręką podtrzymywała Lajlę, która jęczała wsparta z drugiej strony na ramieniu Raszida.

– Już nie – powiedział talib.

– Moja żona rodzi! – zawołał zwalisty mężczyzna. – Chyba nie chcesz, bracie, żeby urodziła na ulicy?

Mariam słyszała obwieszczenie w styczniu tego roku, że mężczyźni i kobiety będą

przyjmowani w różnych szpitalach, a cały kobiecy personel zostanie usunięty z kabulskich szpitali i odesłany do pracy w jednej centralnej placówce. Nikt w to nie wierzył, a talibowie nie wprowadzali tej decyzji w życie. Aż do teraz.

– A co ze szpitalem Ali Abak?! – krzyknął inny mężczyzna.

Strażnik pokręcił głową.

– Wazir Akbar Chan?

– Tylko dla mężczyzn.

– To co mamy robić?

– Jedźcie do Rabia Balchi – odparł strażnik.

Jakaś młoda kobieta przecisnęła się do przodu i powiedziała, że już tam była. Nie mają czystej wody, powiedziała, ani tlenu, ani lekarstw, ani elektryczności.

– Tam nic nie ma.

– Tam właśnie macie jechać – odparł strażnik.

Znów rozległy się pomruki, krzyki, złorzeczenia. Ktoś rzucił kamieniem.

Talib uniósł kałasznikowa i wystrzelił kilka serii w powietrze. Drugi talib, stojący za nim, zaczął wymachiwać batem.

Tłum szybko się rozpierzchł.

W poczekalni Rabia Balchi roiło się od kobiet w burkach i ich dzieci. W powietrzu unosił się zapach potu, brudnych ciał i stóp, moczu, dymu papierosowego i środków antyseptycznych. Pod nieczynnym wentylatorem umieszczonym na suficie biegały dzieci, przeskakując przez wyciągnięte nogi drzemiących ojców.

Mariam pomogła Lajli usiąść pod ścianą, z której odłaziły płaty farby o kształtach przypominających obce kraje na mapach. Lajla kiwała się w przód i w tył z dłońmi przyciśniętymi do brzucha.

– Postaram się, żeby cię szybko przyjęto, Lajla *dżan*. Obiecuję.

– Pospiesz się – powiedział Raszid.

Przed okienkiem rejestracji kłębił się tłum przepychających się kobiet. Niektóre trzymały na rękach niemowlęta, inne odłączyły się od reszty i atakowały podwójne drzwi prowadzące na oddział. Uzbrojony talibski strażnik zagradzał im drogę, każąc się cofnąć.

Mariam ruszyła do ataku. Zanurzyła się w tłum i zaczęła przepychać wśród łokci, bioder i ramion nieznajomych kobiet. Ktoś szturchnął ją łokciem w żebra, bez wahania zrewanżowała się tym samym. Jakaś dłoń rozpaczliwie sięgnęła ku jej twarzy. Odepchnęła ją. Aby posuwać się

naprzód, musiała szarpać inne kobiety za szyje, ramiona, łokcie, włosy, a kiedy jedna z nich syknęła, Mariam syknęła na nią.

Teraz Mariam widziała, do jakich poświęceń zdolna jest matka. Rezygnacja z przyzwoitości była tylko jednym z nich. Pomyślała ze smutkiem o Nanie, o tym, że ona również się poświęcała. Nana, która mogła ją oddać albo zostawić gdzieś w rowie i uciec. Ale nie zrobiła tego. W zamian musiała ścierpieć wstyd noszenia w swoim łonie *harami* i podporządkowała swoje życie niewdzięcznemu zadaniu wychowania Mariam i kochania jej na swój sposób. A koniec końców Mariam wolała Dżalila od niej. Torując sobie bezwzględnie drogę do okienka, Mariam żałowała, że nie była lepszą córką. Żałowała, że nie wiedziała wtedy o macierzyństwie tego, co wie teraz.

Wreszcie stanęła przed pielęgniarką, okrytą od stóp do głów szarą burką. Pielęgniarka rozmawiała z młodą kobietą, której część burki zakrywająca głowę przesiąkła plamami krwi.

– Mojej córce odeszły wody, a dziecko nie chce wyjść – krzyknęła Mariam.

– Teraz ja z nią rozmawiam! – odkrzyknęła zakrwawiona kobieta. – Poczekaj na swoją kolej!

Tłum kobiet zafalował niczym wysokie trawy wokół chaty, kiedy powiew wiatru wpadł na polanę. Kobieta stojąca za Mariam krzyczała, że jej córka złamała łokieć, spadając z drzewa. Inna kobieta wołała, że oddaje stolec z krwią.

– Czy ma gorączkę? – spytała pielęgniarka. Do Mariam dopiero po chwili dotarło, że pytanie skierowane jest do niej.

– Nie – odparła.

– Krwawi?

– Nie.

– Gdzie ona jest?

Ponad okrytymi burkami głowami Mariam wskazała miejsce, w którym siedziała Lajla z Raszidem.

– Zajmiemy się nią – obiecała pielęgniarka.

– Ale kiedy? – krzyknęła Mariam. Ktoś złapał ją za ramię, odciągając do tyłu.

– Nie wiem – odparła pielęgniarka. Powiedziała, że mają tylko dwie lekarki i obie w tej chwili operują.

– Ale ona cierpi – tłumaczyła Mariam.

– Ja też! – krzyknęła kobieta z zakrwawioną głową. – Poczekaj na swoją kolej!

Mariam została odciągnięta do tyłu. Pielęgniarkę zasłaniały teraz ramiona i głowy. Jakieś dziecko beknęło po wypiciu mleka.

– Niech trochę pochodzi na zewnątrz! – krzyknęła pielęgniarka. – I czekajcie.

Było już ciemno, kiedy pielęgniarka wreszcie je wezwała. Na sali porodowej było osiem łóżek, na których jęczały i wierciły się kobiety pod opieką okrytych burkami pielęgniarek. Dwie z nich właśnie rodziły. Pomiędzy łóżkami nie było żadnych zasłon. Lajli przydzielono łóżko na samym końcu, pod oknem, które ktoś zamalował na czarno. Obok znajdował się zlew, popękany i suchy, a nad nim wisiały na sznurku poplamione rękawiczki chirurgiczne. Pośrodku sali Mariam zauważyła aluminiowy stół. Na górnym blacie rozłożono poszarzały koc, dolny był pusty.

Jedna z kobiet zobaczyła, że Mariam mu się przygląda.

– Żywe kładą na górze – powiedziała zmęczonym głosem.

Pani doktor w ciemnoniebieskiej burce była drobną energiczną kobietą, poruszającą się niczym ptaszek. We wszystkim, co mówiła, pobrzmiewało zniecierpliwienie i pośpiech.

– Pierwsze dziecko – powiedziała to tak po prostu, nie w formie pytania, ale stwierdzenia.

– Drugie – odparła Mariam.

Lajla krzyknęła i przewróciła się na bok, zaciskając palce na dłoni Mariam.

– Jakieś problemy przy pierwszym porodzie?

– Jesteś jej matką?

– Tak – odparła Mariam.

Pani doktor podniosła dolną część swojej burki i wyjęła jakiś metalowy instrument w kształcie stożka. Podniosła burkę Lajli i umieściła szerszą część instrumentu na jej brzuchu, a węższą przyłożyła do ucha. Słuchała przez jakąś minutę, przyłożyła instrument w inne miejsce, znów nasłuchiwała, i znów zmieniła miejsce.

– Muszę teraz wyczuć dziecko, *hamszira*.

Włożyła jedną z rękawiczek wiszących nad zlewem. Nacisnęła brzuch Lajli jedną ręką, a drugą wsunęła do środka. Lajla jęknęła z bólu. Po zakończeniu badania pani doktor zdjęła rękawiczkę i podała ją pielęgniarce, która opłukała ją i powiesiła na sznurku.

– Twoja córka musi mieć cesarskie cięcie. Wiesz, co to jest? Musimy otworzyć jej macicę i wyjąć dziecko, bo znajduje się w pozycji pośladkowej.

– Nie rozumiem – powiedziała Mariam.

Pani doktor wyjaśniła, że dziecko jest tak ułożone, że samo nie wyjdzie.

– I minęło już zbyt wiele czasu. Musimy natychmiast operować.

Lajla kiwnęła głową z grymasem bólu na twarzy.

– Ale muszę cię o czymś uprzedzić – powiedziała pani doktor. Zbliżyła się do Mariam, nachyliła i szepnęła coś cichym poufnym tonem. W jej głosie brzmiało teraz lekkie zakłopotanie.

– Co ona mówi? – jęknęła Lajla. – Czy coś jest nie tak z dzieckiem?

– Ale jak ona to wytrzyma? – spytała Mariam.

Pani doktor musiała wyczuć oskarżenie w jej głosie, bo odparła obronnym tonem:

– Myślisz, że mnie to nie przeszkadza? Ale co mam robić? Nie dają mi tego, co jest mi potrzebne. Nie mam też rentgena, ssaka, tlenu, a nawet zwykłych antybiotyków. Kiedy jakieś organizacje pozarządowe proponują nam pieniądze, talibowie odsyłają je z kwitkiem albo kierują pieniądze tam, gdzie przyjmowani są mężczyźni.

– Ale, doktor *saheb*, czy naprawdę nic nie może jej pani podać? – spytała Mariam.

– Co się dzieje? – jęknęła Lajla.

– Możesz sama kupić leki znieczulające, ale…

– Proszę napisać nazwy – powiedziała Mariam. – Proszę napisać, a ja je przyniosę.

Pod burką pani doktor pokręciła gwałtownie głową.

– Nie ma czasu. Po pierwsze, w żadnej z pobliskich aptek nie ma tych środków, więc musiałabyś przedzierać się przez miasto z jednego miejsca na drugie, może nawet na drugi koniec Kabulu, i jest bardzo mało prawdopodobne, że w ogóle byś je dostała. Jest prawie ósma trzydzieści, więc zapewne zostałabyś aresztowana za łamanie godziny policyjnej. Nawet jeżeli dostaniesz ten lek, zapewne nie będzie cię na niego stać. Albo zaczniesz się licytować z kimś równie zdesperowanym jak ty. Nie ma na to czasu. Dziecko musi wyjść teraz.

– Powiedzcie mi, co się dzieje! – krzyknęła Lajla, unosząc się na łokciach.

Pani doktor wzięła głęboki oddech i powiedziała Lajli, że w szpitalu nie ma środków znieczulających.

– Ale jeśli będziemy zwlekały, stracisz dziecko.

– Więc tnijcie – poleciła Lajla, opadła na łóżko i podciągnęła kolana. – Tnijcie i dajcie mi moje dziecko.

W starej obskurnej sali operacyjnej Lajla leżała na stole operacyjnym, a pani doktor szorowała ręce nad umywalką. Lajla dygotała. Wciągała powietrze przez zaciśnięte zęby za każdym razem, kiedy pielęgniarka przecierała jej brzuch szmatką zamoczoną w żółtobrązowym płynie. Druga pielęgniarka stała w drzwiach.

Pani doktor nie miała już na sobie burki i Mariam widziała, że ma siwe włosy, bardzo podkrążone oczy i opadające ze zmęczenia kąciki ust.

– Chcą, żebyśmy operowały w burkach – wyjaśniła pani doktor, wskazując głową pielęgniarkę stojącą w drzwiach. – Pilnuje. Jak zobaczy, że nadchodzą, to się zakryję.

Powiedziała to pragmatycznym, niemal obojętnym tonem i Mariam zrozumiała, że ta kobieta już dawno przestała się oburzać. Oto kobieta, pomyślała Mariam, która już zrozumiała, że ma szczęście, że w ogóle może pracować, że zawsze, ale to zawsze pozostaje coś jeszcze, co mogą jej zabrać.

Po obu stronach stołu przytwierdzone były dwa metalowe pręty. Pielęgniarka, która umyła brzuch Lajli, przypięła do nich spinaczami płachtę materiału, odgradzając ją od pani doktor.

Mariam stanęła za łóżkiem, nad głową Lajli, i nachyliła się tak bardzo, że dotykały się policzkami. Czuła, że Lajla szczęka zębami. Ścisnęły się za ręce.

Przez zasłonę Mariam widziała cień pani doktor po lewej stronie Lajli, a pielęgniarki po prawej. Lajla rozciągnęła usta w grymasie. Na jej zaciśniętych zębach pojawiły się pęcherzyki śliny. Wykonała kilka szybkich wdechów.

Pani doktor powiedziała:

– Odwagi, siostrzyczko.

Pochyliła się nad Lajlą.

Oczy Lajli rozwarły się szeroko. Potem otworzyła usta. Wytrzymała tak długo, dygocząc, z naciągniętymi więzadłami szyi, pot spływał jej po twarzy, jej palce miażdżyły palce Mariam.

Mariam zawsze podziwiała Lajlę za to, że tyle czasu minęło, nim po raz pierwszy krzyknęła z bólu.

40

Lajla, jesień 1999

To Mariam wpadła na pomysł, by wykopać ten dół. Któregoś ranka pokazała kawałek ziemi za szopą.

– Możemy wykopać go tutaj. To dobre miejsce.

Na zmianę uderzały szpadlami w twarde podłoże, a potem odrzucały na bok ziemię. Dół nie miał być szczególnie duży ani głęboki, więc nie spodziewały się, że zadanie będzie tak trudne. To przez tę suszę, która zaczęła się w 1998 roku i trwała już drugi rok, wszędzie siejąc spustoszenie. Ostatniej zimy prawie nie było śniegu, a wiosną w ogóle nie padało. W całym kraju rolnicy porzucali spieczone pola, sprzedawali swoje mienie i ruszali od wioski do wioski w poszukiwaniu wody, przenosili się do Pakistanu albo Iranu. Osiadali w Kabulu. Ale w mieście poziom wody również był niski

i płytkie studnie powysychały. Kolejki do studni głębokich były tak długie, że Lajla i Mariam stały w nich całymi godzinami, czekając na swoją kolej. Rzeka Kabul, wylewająca każdej wiosny, zupełnie wyschła. Zamieniła się teraz w publiczną toaletę – nie było w niej nic poza odchodami i śmieciami.

Więc na zmianę stukały szpadlami, ale spalona słońcem ziemia stała się twarda jak skała, zbita, nieustępliwa, niemal skostniała.

Mariam miała teraz czterdzieści lat. W jej zebranych nad czołem włosach połyskiwały siwe pasma. Pod oczami miała ciemne worki w kształcie półksiężyca. Straciła dwa zęby. Jeden wypadł, kiedy Raszid uderzył ją za to, że niechcący wypuściła z rąk Zalmaja. Jej skóra stała się szorstka i ogorzała, bo sporo czasu spędzała na podwórku pod palącym słońcem. Przesiadywały razem i patrzyły, jak Zalmaj ugania się za Azizą.

Kiedy skończyły, stanęły nad wykopanym dołem i spojrzały na swoje dzieło.

– To powinno wystarczyć – stwierdziła Mariam.

Zalmaj miał już prawie dwa lata. Był pulchnym małym chłopczykiem o kręconych włosach. Miał małe brązowe oczka i zaróżowione bez względu na pogodę policzki, zupełnie jak Raszid. Po ojcu odziedziczył również włosy, gęste i nisko zarastające czoło.

Przy Lajli Zalmaj był słodkim, wesołym i skorym do zabawy chłopcem. Lubił wdrapywać się Lajli na plecy i bawić na podwórku w chowanego z Azizą. Czasem, kiedy był spokojniejszy, siadał Lajli na kolanach i domagał się, by mu śpiewała. Jego ulubioną piosenką był *Mułła Mohammad dżan*. Kiwał grubiutkimi nóżkami, kiedy Lajla nuciła z twarzą pochyloną nad jego kręconymi włosami, i przyłączał się do refrenu, śpiewając cienkim głosikiem te słowa piosenki, które udało mu się wymówić:

Przybądź i jedźmy do Mazar, mułło Mohammad dżan
na tulipanowe pola, cny towarzyszu mój!

Lajla uwielbiała wilgotne pocałunki Zalmaja, składane na jej policzkach, uwielbiała jego pulchne łokcie i mocne małe stopy. Uwielbiała go łaskotać, budować dla niego tunele z poduszek, do których się wczołgiwał, i patrzeć, jak zasypia

w jej ramionach, jedną dłonią zawsze ściskając jej ucho. Na samą myśl o tym popołudniu, kiedy leżała na podłodze ze szprychą od roweru między nogami, robiło jej się niedobrze. Jak blisko była tej decyzji. Teraz wydawało jej się to nie do pomyślenia, że w ogóle rozważała taki pomysł. Jej syn był prawdziwym błogosławieństwem i Lajla z ulgą odkryła, że jej obawy były nieuzasadnione, że miłość do Zalmaja, tak samo jak miłość do Azizy, przenika ją do szpiku kości.

Ale Zalmaj uwielbiał swojego ojca i przez to zmieniał się całkowicie, kiedy Raszid był w pobliżu, gotów w każdej chwili hołubić swojego synka. W takich chwilach Zalmaj zaczynał drwiąco chichotać albo robił bezczelne miny. Łatwo się obrażał. Z uporem psocił, mimo upomnień Lajli, co nigdy mu się nie zdarzało, kiedy Raszida nie było w domu.

Raszid wszystko to akceptował.

– To świadczy o inteligencji – mówił. Takie samo zdanie miał na temat lekkomyślności Zalmaja – kiedy połykał szklane kulki, a potem wydalał je ze stolcem, albo bawił się zapałkami czy żuł papierosy Raszida.

Kiedy Zalmaj się urodził, Raszid przeniósł go do łóżka, które dzielił z Lajlą. Potem kupił mu

nowe łóżeczko i pomalował jego boki w lwy i pantery. Zapłacił za nowe ubranka, nowe grzechotki, nowe butelki, nowe pieluszki, choć nie było ich na to stać, a stare, należące kiedyś do Azizy, nadawały się jeszcze do użytku. Któregoś dnia wrócił do domu z karuzelą na baterie. Małe żółto-czarne trzmiele kołysały się na słoneczniku, a potem wirowały i piszczały, kiedy się je ścisnęło w palcach. Kiedy zabawka była włączona, grała muzyka.

– Wydawało mi się, że mówiłeś, że interesy źle idą – zauważyła Lajla.

– Mam przyjaciół, od których mogę pożyczyć pieniądze – odparł wymijająco.

– Jak je oddasz?

– Sytuacja się zmieni. Zawsze tak jest. Zobacz, to mu się podoba. Widzisz?

Przez większość dnia Lajla nie miała przy sobie syna. Raszid zabierał go do warsztatu, pozwalał mu wczołgiwać się pod zagracony stół do pracy, bawić starymi gumowymi podeszwami i ścinkami skóry. Raszid wbijał żelazne gwoździe i kręcił kołem z papierem ściernym, zerkając jednym okiem na synka. Jeśli Zalmaj przewrócił stojak z butami, Raszid upominał go z uśmiechem, spokojnym głosem. Kiedy przewracał stojak po raz drugi, Raszid odkładał

młotek, sadzał Zalmaja na stole i przemawiał do niego łagodnie.

Jego cierpliwość wobec Zalmaja była jak głęboka, nigdy niewyczerpująca się studnia.

Wieczorami wracali razem. Zalmaj podskakiwał, siedząc na barana na ramionach Raszida, obaj przesiąknięci byli zapachem kleju i skóry. Uśmiechali się chytrze jak ludzie, których łączy jakaś tajemnica, jakby nie siedzieli przez cały dzień w ciemnym warsztacie, szyjąc buty, tylko przygotowywali jakiś spisek. Przy obiedzie Zalmaj lubił siedzieć obok ojca, a kiedy Mariam, Lajla i Aziza rozkładały talerze na obrusie, obaj grali w jakieś swoje gierki. Na zmianę szturchali się w piersi, chichotali, obrzucali się okruchami chleba, szeptali sobie na ucho rzeczy, których one nie mogły usłyszeć. Kiedy Lajla odzywała się do nich, Raszid spoglądał na nią nieprzyjemnie, jak na intruza. Kiedy chciała wziąć Zalmaja na ręce albo co gorsza, jeśli Zalmaj wyciągał do niej ręce, Raszid rzucał jej gniewne spojrzenie.

A wtedy Lajla odchodziła dotknięta do żywego.

Któregoś wieczoru, kilka tygodni przed drugimi urodzinami Zalmaja, Raszid wrócił do

domu z telewizorem i magnetowidem. Dzień był ciepły, niemal balsamiczny, ale wieczorem zrobiło się chłodniej i zapowiadała się bezgwiezdna, zimna noc.

Raszid postawił telewizor na stole w dużym pokoju. Powiedział, że kupił go na czarnym rynku.

– Kolejna pożyczka? – mruknęła Lajla.

– To Magnavox.

Do pokoju weszła Aziza. Kiedy zobaczyła telewizor, od razu do niego podbiegła.

– Uważaj, Aziza *dżan* – upomniała ją Mariam. – Nie dotykaj.

Aziza miała teraz równie jasne włosy jak Lajla. Lajla widziała na jej policzkach takie same dołeczki jak na swoich. Aziza wyrosła na spokojną, zamyśloną dziewczynkę, która zdaniem Lajli zachowywała się jak na swoje sześć lat niezwykle dojrzale. Lajla podziwiała sposób mówienia córki, tempo i rytm jej wypowiedzi, pełne namysłu przerwy i intonację, takie dojrzałe i pozostające w kontraście z dziecięcym ciałem, z którego dobiegał ten głos. To Aziza z zabawną władczością przejęła obowiązek budzenia Zalmaja rano, ubierania go, karmienia, czesania mu włosów. To ona układała go do drzemki, odgrywała rolę zrównoważonego

rozjemcy wobec swego nieprzewidywalnego brata. Przy nim Aziza nabrała zwyczaju potrząsania głową jak dorosły doprowadzony do rozpaczy wybrykami dziecka.

Aziza nacisnęła przycisk włączający telewizor. Raszid wrzasnął, złapał ją za nadgarstek i przygwoździł jej dłoń do blatu stołu.

– To telewizor Zalmaja – warknął.

Aziza odwróciła się, poszła do Mariam i usiadła jej na kolanach. Były teraz nierozłączne. Ostatnio z przyzwoleniem Lajli Mariam zaczęła uczyć Azizę wersetów Koranu. Aziza już teraz potrafiła recytować z pamięci surę *ikhlas*, surę *fatiha* i wiedziała, jak należy odmówić cztery *rakaty* porannej modlitwy.

„To wszystko, co mogę jej dać – powiedziała kiedyś Mariam do Lajli – tę wiedzę, te modlitwy. To jedyne, co tak naprawdę mam”.

Teraz do pokoju wszedł Zalmaj. Raszid obserwował go, niecierpliwie czekając na jego reakcję, tak jak widzowie czekają, aż uliczny magik wykona jakaś prostą sztuczkę. Zalmaj pociągnął za kabel telewizora, zaczął naciskać różne przyciski, a potem przyłożył dłonie do ekranu. Następnie je oderwał, a małe odciski jego dłoni zaczęły powoli zanikać. Raszid uśmiechnął

się z dumą i patrzył, jak Zalmaj przyciska dłonie i odrywa je w nieskończoność.

Talibowie zakazali oglądania telewizji. Kasety wideo zostały publicznie roztrzaskane, wyciągnięto z nich taśmy i rozciągnięto na płotach i parkanach. Talerze anten satelitarnych zawisły bezczynnie na latarniach. Ale Raszid powiedział, że to, iż coś jest zakazane, nie oznacza jeszcze, że nie można tego zdobyć.

– Jutro zacznę rozglądać się na bazarach za jakimiś kreskówkami – oznajmił. – To nie będzie trudne. Na czarnym rynku można kupić wszystko.

– Więc może mógłbyś kupić nam nową studnię – powiedziała Lajla, czym zasłużyła sobie na pogardliwe spojrzenie Raszida.

Jakiś czas później, kiedy zjedli jak co wieczór kolejny talerz ryżu i kolejny raz zrezygnowali z herbaty z powodu suszy, Raszid wypalił papierosa, po czym poinformował Lajlę o swojej decyzji.

– Nie – odparła Lajla.

Raszid burknął, że wcale nie pytał jej o zdanie.

– Nie dbam o to, czy mnie pytasz, czy nie.

– Dbałabyś, gdybyś znała wszystkie szczegóły.

Powiedział, że pożyczył od kilku znajomych dużo więcej, niż jest w stanie spłacić, i że pieniądze z warsztatu nie wystarczają już na utrzymanie ich pięcioosobowej rodziny.

– Nie mówiłem ci wcześniej, bo nie chciałem cię martwić. Poza tym będziesz zdziwiona, gdy się dowiesz, ile one mogą zebrać pieniędzy.

Lajla znów powiedziała: „nie”. Siedzieli w salonie. Mariam z dziećmi była w kuchni. Lajla słyszała brzęk talerzy, wysoki śmiech Zalmaja, spokojny, rozsądny głos Azizy mówiącej coś do Mariam.

– Będą tam inne dziewczynki, nawet młodsze od niej – tłumaczył Raszid. – Wszyscy w Kabulu tak robią.

Lajla oznajmiła, że nie obchodzi jej, co inni robią ze swoimi dziećmi.

– Będę jej pilnował – powiedział Raszid, tracąc już cierpliwość. – To bezpieczny kąt. Po drugiej stronie ulicy jest meczet.

– Nie pozwolę na to. Nie zrobisz z mojej córki ulicznej żebraczki.

Rozległo się głośne plaśnięcie, kiedy Raszid wymierzył Lajli otwartą dłonią siarczysty policzek. Jej głowa poleciała do tyłu. Odgłosy dobiegające z kuchni ucichły. Przez chwilę w domu panowała absolutna cisza. A potem

rozległ się tupot nóg w przedpokoju i Mariam wpadła do salonu razem z dziećmi, które przenosiły zdziwione oczy z Raszida na Lajlę i z powrotem.

I wtedy Lajla zdzieliła go pięścią.

Po raz pierwszy w życiu kogoś uderzyła, nie licząc kuksańców, których nie szczędzili sobie w zabawie z Tarighiem. Ale wtedy biła otwartą dłonią, były to raczej klepnięcia niż ciosy, świadome i koleżeńskie, stanowiące wyraz pragnień, które wprawiały ją zarazem w niepokój i przeszywały dreszczem emocji. Celowała w mięsień, który Tarigh, tonem profesjonalisty, określał mianem „mięśnia naramiennego".

Lajla patrzyła, jak jej zaciśnięta pięść rozcina powietrze, poczuła pod knykciami pomarszczoną, szczeciniastą i szorstką skórę Raszida. Rozległ się taki odgłos, jakby ktoś upuścił torbę ryżu na podłogę. Uderzyła go naprawdę mocno, tak bardzo, że zachwiał się i zrobił dwa kroki do tyłu.

Z drugiej strony pokoju dobiegło westchnienie zdziwienia, wołanie o pomoc i krzyk. Lajla nie wiedziała, kto krzyczy. Była zbyt zszokowana, by zwracać na to uwagę. To, co zrobiła jej ręka, nie mieściło jej się w głowie. Kiedy wreszcie się z tym

pogodziła, poczuła, że na jej twarzy pojawia się uśmiech. A kiedy, ku jej zdziwieniu, Raszid spokojnie wyszedł z pokoju, chyba nawet uśmiechnęła się szeroko.

Nagle Lajla miała wrażenie, że cały trud życia, które wspólnie znosiły – ona, Aziza i Mariam – po prostu rozpłynął się, wyparował jak odciski palców Zalmaja z ekranu telewizora. Wszystko, co wycierpiały, wydało się niespodziewanie warte, jakkolwiek absurdalne by było to uczucie, tej jednej wyjątkowej chwili, tego aktu sprzeciwu, który miał zakończyć znoszenie wszystkich upokorzeń.

Lajla nie zauważyła, że Raszid wrócił do pokoju, dopóki jego dłoń nie zacisnęła się na jej gardle. Dopóki nie uniósł jej w górę i nie rzucił nią o ścianę.

Z bliska jego szydercza twarz wydawała się niesłychanie wielka. Lajla zauważyła, jak z wiekiem jego rysy stały się obrzmiałe, ile czerwonych popękanych żyłek pojawiło się na jego nosie. Raszid nie powiedział ani słowa. Bo co można powiedzieć, co trzeba powiedzieć, kiedy wciska się lufę pistoletu w usta swojej żony?

To przez te rajdy kopały dół na podwórku. Zdarzały się co miesiąc, a czasem co tydzień. Zwykle pod koniec dnia. Zazwyczaj talibowie konfiskowali różne przedmioty, dawali komuś kopniaka, uderzali w tył głowy. Ale czasem dochodziło do publicznej chłosty, bito ludzi w podeszwy stóp i po dłoniach.

– Delikatnie – mówiła teraz Mariam, klęcząc na brzegu. Opuszczały telewizor do dziury, każda z nich trzymała jeden koniec plastikowej płachty, w którą był owinięty.

– Powinno wystarczyć – uznała Mariam.

Zasypały telewizor ziemią, uklepały i znów dosypały więcej ziemi. Rozrzuciły też trochę ziemi wokół, by zatrzeć ślady.

– Gotowe – powiedziała Mariam, ocierając dłonie o sukienkę.

Uzgodniły, że jak zrobi się bezpieczniej, kiedy talibowie zaprzestaną rajdów, za miesiąc, dwa, pół roku, a może dłużej, wykopią telewizor.

We śnie Lajli ona i Mariam znów stały za szopą, kopiąc dół. Ale tym razem opuszczają do środka Azizę. Folia, którą ją owinęły, jest zaparowana od jej oddechu. Aziza błaga. Lajla nie może słuchać jej krzyków. Tylko na trochę,

woła do niej, to tylko na trochę. „To przez rajdy, nie rozumiesz, kochanie? Kiedy rajdy się skończą, mamusia i *chala* Mariam odkopią cię. Obiecuję, kochanie. Potem będziemy mogły się bawić. Będziemy się bawili, w co tylko zechcesz”. Nabiera ziemię na łopatę. Lajla budzi się, bez tchu, ze smakiem ziemi w ustach, kiedy pierwsze grudki lecą na plastik.

41

Mariam

Latem 2000 roku susza trwała już trzeci, najstraszniejszy rok.

W prowincjach Helmand, Zabol i Kandahar wioski zamieniły się w stada nomadycznych wspólnot, stale w ruchu, w poszukiwaniu wody i zielonych pastwisk dla inwentarza. Kiedy nie mogli znaleźć ani jednego, ani drugiego, a ich kozy i owce padały, przyjeżdżali do Kabulu. Zajęli wzgórze Kareh-Ariana, gdzie mieszkali w skleconych z byle czego slumsach, stłoczeni w budach po piętnaście albo po dwadzieścia osób.

Było to również lato *Titanica*, lato, podczas którego Mariam i Aziza stale obejmowały się, przewracały i chichotały, a Aziza nalegała, aby to ona odgrywała Jacka.

– Spokojnie, Aziza *dżan*.

– Jack! Powiedz moje imię, *chala* Mariam. Powiedz to: „Jack”!

– Twój ojciec zezłości się, jeśli go obudzisz.

– Jack! A ty jesteś Rose.

W końcu Mariam poddawała się i lądowała na jej plecach, znów odgrywając rolę Rose.

– Dobrze, będziesz Jackiem – ustępowała. – Umrzesz młodo, a ja dożyję późnego wieku.

– Tak, ale umrę jako bohater – odpowiadała Aziza – a ty, Rose, przez całe nieszczęśliwe życie będziesz za mną tęskniła. – Potem, siadając okrakiem na piersiach Mariam, oznajmiała: – Teraz musimy się pocałować! – Mariam kręciła głową na boki, a Aziza, zachwycona swoim skandalicznym zachowaniem, chichotała przez złożone w ciup wargi.

Czasem Zalmaj zaglądał do pokoju i przypatrywał się ich zabawie. „A kim ja mogę być?” – pytał.

– Ty możesz być górą lodową – odpowiadała Aziza.

Tego lata Kabul ogarnęła gorączka *Titanica*. Ludzie przemycali pirackie kopie filmu z Pakistanu – czasem w bieliźnie. Po godzinie policyjnej wszyscy ryglowali drzwi, gasili światła, ściszali głos i wylewali łzy nad Jackiem, Rose i pasażerami nieszczęsnego statku. Jeśli był prąd,

Mariam, Lajla i dzieci również oglądały film. Ze dwanaście razy albo i więcej późnym wieczorem wykopały z ziemi za szopą telewizor i oglądały film przy zagaszonych światłach i rozwieszonych w oknach narzutach.

Z czasem sprzedawcy przenieśli się do wyschłego koryta rzeki Kabul. Wkrótce w wypalonym słońcem spękanym łożysku rzeki pojawiły się wózki, w których po kryjomu sprzedawano dywany Titanic i ubrania Titanic, a także titanicowe dezodoranty, pastę do zębów, perfumy, *pakory*, a nawet burki. Wyjątkowo wytrwały żebrak określił siebie mianem „Titanicowego Żebraka".

Narodziło się „Titanicowe Miasto"

„To przez tę melodię", mówili jedni.

„Nie, to raczej morze. Luksus. Statek".

„To przez seks", szeptali inni.

„Leo – orzekła Aziza. – To wszystko przez Leo".

– Wszyscy chcą Jacka – wyjaśniła Lajla Mariam. – To o to chodzi. Wszyscy chcą, żeby Jack uratował ich od katastrofy. Ale nie ma żadnego Jacka. Jack nie wróci. Jack nie żyje.

Później tego lata pewien sprzedawca tkanin przysnął, zapominając zgasić papierosa. Uratował się z pożaru, ale jego sklepik nie. Pożar zajął przyległy magazyn z tkaninami, a także sklep z używanymi ubraniami, mały sklepik z meblami i piekarnię.

Później ktoś powiedział Raszidowi, że gdyby wiatr wiał na wschód zamiast na zachód, jego warsztat, mieszczący się na rogu tej ulicy, mógłby ocaleć.

Sprzedali wszystko.

Najpierw rzeczy Mariam, potem Lajli. Dziecięce ubranka Azizy, kilka jej zabawek, których zakup Lajla wymogła na Raszidzie. Aziza przyglądała się temu z uległą miną. Zegarek Raszida również został sprzedany, jego stare radio tranzystorowe, dwa krawaty, buty i obrączka. Kanapa, stół, dywan i krzesła też poszły na sprzedaż. Zalmaj wpadł w złość, kiedy Raszid sprzedał telewizor.

Od czasu pożaru Raszid przez większość dnia siedział w domu. Policzkował Azizę, bił Mariam. Rzucał różnymi przedmiotami. O wszystko miał pretensję do Lajli: o to, jak pachnie, jak się ubiera, jak czesze włosy i o to, że żółkną jej zęby.

– Co się z tobą dzieje? – mówił. – Ożeniłem się z *pari*, a teraz mam na głowie wiedźmę. Stajesz się taka jak Mariam.

Zwolniono go z kebabiarni w pobliżu placu Hadżi Jaghub, ponieważ wdał się w bójkę z klientem. Klient poskarżył się, że Raszid nieuprzejmie rzucił mu chleb na stół. Padły mocne słowa. Raszid nazwał klienta Uzbekiem o małpiej gębie. Pojawiła się broń. Z drugiej strony szpikulec. Według wersji Raszida to on trzymał szpikulec, ale Mariam miała co do tego pewne wątpliwości.

Kiedy wyrzucono go z restauracji w Tajmani, bo klienci narzekali, że muszą długo czekać, Raszid powiedział, że to kucharz był powolny i leniwy.

– Pewnie uciąłeś sobie drzemkę na zapleczu – stwierdziła Lajla.

– Nie prowokuj go, Lajla *dżan* – zwróciła jej uwagę Mariam.

– Ostrzegam cię, kobieto – warknął Raszid.

– Albo drzemka, albo papieros.

– Przysięgam na Boga.

– Co możesz poradzić na to, że jesteś, jaki jesteś.

A wtedy rzucał się na Lajlę i okładał pięściami jej piersi, głowę, brzuch, szarpał ją za włosy,

rzucał nią o ścianę. Aziza wrzeszczała, ciągnąc go za koszulę. Zalmaj też krzyczał, próbując odciągnąć go od mamy. Raszid odpychał dzieci, rzucał Lajlę na podłogę i zaczynał ją kopać. Mariam zasłaniała Lajlę swoim ciałem. A on kopał i kopał, teraz już Mariam, z jego ust leciała ślina, oczy rozszerzały mu się, jakby opętały go jakieś mordercze instynkty, i kopał, póki starczyło mu sił.

– Przysięgam, Lajlo, że kiedyś doprowadzisz mnie do tego, że cię zabiję – mówił, ciężko dysząc. A potem wybiegał z domu.

Kiedy skończyły się pieniądze, ich życiem zawładnął głód. Mariam była zaszokowana tym, jak szybko zaspokojenie głodu stało się kluczową sprawą w ich życiu.

Zwykły gotowany ryż, bez mięsa ani sosu, stał się teraz rzadkim rarytasem. Coraz częściej pomijali niektóre posiłki. Czasem Raszid przynosił do domu sardynki w puszce i kruchy, wysuszony chleb, który smakował jak trociny. Czasem kradł torbę jabłek, ryzykując odcięcie dłoni. W sklepach spożywczych ostrożnie wsuwał do kieszeni pierożki w puszkach, które dzielili na pięć porcji, przy czym Zalmaj zawsze

dostawał lwią część. Jedli surową brukiew posypaną solą. Uschnięte liście sałaty i sczerniałe banany na kolację.

Śmierć z głodu nagle stała się czymś całkiem realnym. Niektórzy woleli tego nie doczekać. Mariam słyszała, że pewna wdowa z sąsiedztwa zmełła suchy chleb, wymieszała go z trucizną na szczury i nakarmiła nim siedmioro swoich dzieci. Największą porcję zachowała dla siebie.

Azizie zaczęły przez skórę wystawać żebra, a jej pulchne dotąd policzki zapadły się. Nogi miała chude jak patyki, a cera nabrała koloru słabej herbaty. Kiedy Mariam brała ją na ręce, czuła jej kość biodrową sterczącą pod napiętą skórą. Zalmaj kładł się gdzieś w domu z wpółprzymkniętymi matowymi oczami albo leżał na kolanach ojca jak dywanik. Płakał, póki nie zasnął, o ile miał dość sił, ale jego sen był niespokojny i przerywany. Mariam przy każdym ruchu tańczyły białe plamki przed oczami. Serce jej waliło, a w uszach słyszała dzwonienie. Przypomniała sobie coś, co mówił o głodzie mułła Faizullah, kiedy zaczynał się ramadan: „Nawet człowiek ukąszony przez węża zaśnie, ale nie głodny”.

– Moje dzieci umrą – powiedziała Lajla. – Na moich oczach.

– Nie umrą – odparła Mariam. – Nie pozwolę na to. Wszystko będzie dobrze, Lajla *dżan*. Wiem, co powinnam zrobić.

Pewnego dnia, kiedy żar lał się z nieba, Mariam włożyła burkę i poszła z Raszidem do hotelu Intercontinental. Opłata za przejazd autobusem stanowiła teraz dla nich luksus, na który nie mogli sobie pozwolić, więc kiedy dotarli na szczyt stromego wzgórza, Mariam była wyczerpana. Gdy wspinała się na górę, kręciło jej się w głowie i kilka razy musiała stanąć, czekając, aż zawroty głowy miną.

Przy wejściu do hotelu Raszid pozdrowił i uściskał portiera ubranego w bordowy uniform i myckę… Wywiązała się między nimi przyjacielska rozmowa. Raszid trzymał dłoń na jego ramieniu. W pewnym momencie wskazał Mariam i obaj przez chwilę na nią spojrzeli. Mariam miała wrażenie, że portier wygląda znajomo.

Portier wszedł do środka, a Mariam i Raszid poczekali na zewnątrz. Z góry rozciągał się widok na Instytut Politechniczny, starą dzielnicę Chair Ohana i na drogę do Mazaru. Na południu widziała piekarnię Silo, od dawna opuszczoną.

Jej jasnożółte mury były podziurawione od pocisków. Dalej na południu dostrzegła puste ruiny pałacu Darulaman, dokąd wiele lat temu Raszid zabrał ją na piknik. Wspomnienie tego dnia było jak relikt przeszłości, który już od dawna jakby do niej nie należał.

Mariam skupiła się na tym, co widziała, na tych wszystkich widokach. Bała się, że straci odwagę, jeśli pozwoli myślom swobodnie krążyć.

Co kilka minut pod wejście do hotelu podjeżdżały jeepy i taksówki.

Portier wychodził przed hotel i witał pasażerów. Byli wśród nich sami mężczyźni, wszyscy uzbrojeni, brodaci, w turbanach, i wszyscy wysiadali z pojazdów z takim samym poczuciem pewności siebie. Mariam słyszała strzępy ich rozmów, gdy znikali w hotelowych drzwiach. Słyszała paszto i farsi, ale również urdu i arabski.

– Poznaj naszych prawdziwych panów – powiedział Raszid ściszonym głosem. – Pakistańskich i arabskich islamistów. Talibowie są ich maskotkami. Oto prawdziwi gracze, a Afganistan jest tylko ich placem zabaw.

Raszid powiedział, że słyszał plotki, jakoby talibowie pozwalali tym ludziom zakładać w całym kraju tajne obozy, w których młodzi

mężczyźni są szkoleni na terrorystów-samobójców i bojowników dżihadu.

– Dlaczego to tyle trwa? – niecierpliwiła się Mariam.

Raszid splunął i czubkiem buta roztarł plwocinę.

Godzinę później Mariam i Raszid weszli do środka prowadzeni przez portiera. Ich obcasy stukały na płytach posadzki, kiedy szli przez przyjemny chłodny hol. Mariam zobaczyła dwóch mężczyzn siedzących na obitych skórą krzesłach. Pomiędzy nimi stały strzelby i niski stoliczek. Popijali czarną herbatę i wyjadali z talerza oblane syropem *dżelabi*, krążki posypane cukrem pudrem. Pomyślała o Azizie, która uwielbiała *dżelabi*, i szybko odwróciła wzrok.

Portier wyprowadził ich na balkon. Wyjął z kieszeni mały bezprzewodowy telefon i kawałek papieru z jakimiś cyframi. Powiedział Raszidowi, że to telefon jego przełożonego.

– Mam dla was pięć minut – oznajmił. – Nie więcej.

– *Taszakkor* – podziękował Raszid. – Będę pamiętał.

Portier skinął głową i odszedł. Raszid wybrał numer. Podał Mariam telefon.

Mariam wsłuchiwała się w niewyraźny sygnał i odpłynęła myślami do czasów, kiedy po raz ostatni widziała Dżalila, trzynaście lat temu, wiosną 1987 roku. Stał na ulicy przed jej domem, wsparty na lasce, obok niebieskiego mercedesa z heracką rejestracją i białymi pasami wymalowanymi na dachu, masce i bagażniku. Stał tam całe godziny, czekając na nią, co jakiś czas wołając ją po imieniu, tak jak kiedyś ona wołała jego imię pod jego domem. Mariam tylko raz uchyliła zasłonę, tylko odrobinę, i zobaczyła go przez ułamek sekundy. Tylko kątem oka, ale wystarczająco długo, by dostrzec, że posiwiały mu włosy, a on sam zaczął się garbić. Miał okulary, jak zwykle czerwony krawat i białą trójkątną chusteczkę w kieszeni na piersi. Najbardziej uderzyło ją to, że był szczuplejszy, dużo szczuplejszy, niż kiedy widziała go po raz ostatni, marynarka brązowego garnituru wisiała mu na ramionach, a spodnie marszczyły się przy kostkach.

Dżalil też ją zobaczył, choć tylko przez tę jedną chwilę. Ich oczy spotkały się na moment w szparze między zasłonami, podobnie jak wiele lat temu spotkały się w szparze między innymi zasłonami. Ale w tej samej chwili Mariam szybko

odeszła od okna, usiadła na łóżku i czekała, aż ojciec odjedzie.

Pomyślała teraz o liście, który Dżalil zostawił w drzwiach. Przez wiele dni trzymała go pod poduszką, brała w ręce, przekładała. W końcu podarła list, nie czytając go.

I teraz po tylu latach stała tu i dzwoniła do niego.

Mariam żałowała teraz swojego głupiego, pełnego dziecinnej dumy zachowania. Żałowała, że go nie wpuściła. Co by jej szkodziło, gdyby go wpuściła, usiadła z nim na kanapie i pozwoliła mu powiedzieć to, co miał do powiedzenia? Był jej ojcem. Nie był dobrym ojcem, to prawda, ale jego wina wydawała się teraz całkiem przeciętna w porównaniu z niegodziwością Raszida albo brutalnością i przemocą innych ludzi.

Żałowała, że podarła tamten list.

W telefonie rozległ się głęboki męski głos i poinformował ją, że dodzwoniła się do biura burmistrza Heratu.

Mariam odchrząknęła.

– *Salam*, bracie. Szukam kogoś, kto mieszka w Heracie. Albo mieszkał wiele lat temu. Nazywa się Dżalil Chan. Mieszkał w Szahr-e Nau i był właścicielem kina. Czy wiesz, gdzie teraz przebywa?

Irytacja w głosie mężczyzny była wyraźnie słyszalna.

– To dlatego dzwonisz do biura burmistrza?

Mariam powiedziała, że nie wiedziała, dokąd ma w tej sprawie zadzwonić.

– Wybacz, bracie. Wiem, że czekają na ciebie niecierpiące zwłoki sprawy, ale to kwestia życia i śmierci, dzwonię w sprawie życia i śmierci.

– Nie znam go. Kino już od wielu lat jest zamknięte.

– Może jest tam ktoś, kto go znał, ktoś…

– Nie ma nikogo takiego.

Mariam zamknęła oczy.

– Proszę, bracie. Tu chodzi o małe dzieci. Malutkie dzieci.

Długie westchnienie.

– Może ktoś tam…

– Jest tu zarządca boiska. Zdaje się, że całe życie mieszka w Heracie.

– Tak, spytaj go, proszę.

– Zadzwoń jutro.

Mariam powiedziała, że to niemożliwe.

– Dostałam ten telefon tylko na pięć minut. Nie mam…

Po drugiej stronie rozległ się trzask i Mariam pomyślała, że mężczyzna się rozłączył. Ale po chwili usłyszała odgłosy kroków, czyjeś głosy,

daleki dźwięk klaksonu i szum jakiegoś urządzenia, może wentylatora, przerywany w równych odstępach stukotem. Przyłożyła telefon do drugiego ucha i zamknęła oczy.

Przed oczami stanął jej Dżalil sięgający do kieszeni.

Ach, no tak, oczywiście. Proszę, to dla ciebie, bez dalszych…

Naszyjnik z wisiorkiem w kształcie liścia z gwiazdkami i maleńkimi monetami, na których widniały księżyce.

Przymierz, Mariam dżan.

Jak ci się podoba?

Wyglądasz jak królowa.

Minęło kilka minut. Potem czyjeś kroki, trzask i kliknięcie.

– On go znał.

– Naprawdę?

– Gdzie on jest? – spytała Mariam. – Czy ten człowiek wie, gdzie znajduje się Dżalil Chan?

Zapadła cisza.

– Mówi, że zmarł wiele lat temu, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku.

Żołądek podszedł Mariam do gardła. Oczywiście brała pod uwagę taką możliwość. Dżalil byłby już teraz grubo po siedemdziesiątce, ale…

1987.

A więc wtedy umierał. Przejechał całą drogę z Heratu, by się pożegnać.

Podeszła do balustrady. Widziała stamtąd niegdyś słynny hotelowy basen, teraz pusty i brudny, zeszpecony dziurami po pociskach i odpadającymi kafelkami. Widziała też zniszczony kort tenisowy, z zerwaną siatką leżącą pośrodku jak zrzucona przez węża martwa skóra.

– Muszę już kończyć – oświadczył głos po drugiej stronie.

– Przepraszam, że cię niepokoiłam – powiedziała Mariam, łkając bezgłośnie do telefonu. Zobaczyła Dżalila machającego do niej i przeskakującego z kamienia na kamień z kieszeniami wypchanymi podarkami. Ile razy wstrzymywała oddech, prosząc Boga, by dał jej więcej czasu, który mogłaby z nim spędzić.

– Dziękuję – zaczęła mówić Mariam, ale mężczyzna już się rozłączył.

Raszid patrzył na nią pytająco. Pokręciła głową.

– Do niczego – powiedział, wyrywając jej telefon. – Jaka córka, taki ojciec.

W drodze do wyjścia, w holu, Raszid przeszedł szybko obok stoliczka, przy którym nikt teraz nie

siedział, i schował do kieszeni ostatni krążek *dżelabi*. Zabrał go do domu i dał Zalmajowi.

42

Lajla

Aziza spakowała do papierowej torby koszulę w kwiatowy deseń, jedyną parę skarpetek, dwie wełniane rękawiczki nie do pary, stary koc w kolorze dyni w gwiazdki i komety, wyszczerbiony plastikowy kubek i swój zestaw kości do gry.

Był zimny kwietniowy poranek 2001 roku, krótko przed dwudziestymi trzecimi urodzinami Lajli. Niebo było świetliście szare, a porywy lepkiego zimnego wiatru trzęsły drzwiami z moskitierą prowadzącymi na podwórko.

Kilka dni wcześniej Lajla dowiedziała się, że Ahmad Szah Masud pojechał do Francji i przemówił w Parlamencie Europejskim. Masud wrócił teraz w rodzinne strony, na północ kraju, i stał na czele Sojuszu Północnego, jedynego ugrupowania, które nadal walczyło z talibami.

W Europie Masud ostrzegał Zachód, uprzedzając o istnieniu obozów terrorystów w Afganistanie, i prosił Stany Zjednoczone o pomoc w walce z talibami.

– Jeżeli prezydent Bush nam nie pomoże – powiedział wtedy – ci sami terroryści wkrótce zaatakują Stany Zjednoczone i Europę.

Miesiąc wcześniej Lajla dowiedziała się, że talibowie umieścili trotyl w szczelinach gigantycznych posągów Buddy w Bamjanie i wysadzili je w powietrze, twierdząc, że stanowią bałwochwalcze i grzeszne przedmioty. Cały świat, od Stanów Zjednoczonych po Chiny, był tym oburzony. Rządy, historycy i archeologowie z całego świata pisali listy i błagali talibów, by nie niszczyli dwóch największych, historycznych obiektów kultury w Afganistanie. Ale talibowie postanowili zrealizować swój zamiar i zdetonowali ładunki wybuchowe w liczących dwa tysiące lat posągach. Przy każdym wybuchu intonowali *Allah-u-akbar* i za każdym razem, gdy ramię albo noga Buddy rozpadała się, spowita tumanami kurzu, ogarniała ich radość. Lajla wspominała ten dzień, gdy stała na głowie tego większego Buddy z Babim i Tarighiem w 1987 roku, ich skąpane w słońcu twarze owiewał lekki wiatr,

a oni obserwowali jastrzębia zataczającego ślizgowym lotem koła nad doliną u ich stóp. Ale kiedy usłyszała wiadomość o zniszczeniu posągów, przyjęła to obojętnie. Co ją obchodzą posągi, skoro jej własne życie zamieniło się w owianą tumanem kurzu ruinę.

Lajla siedziała na podłodze w kącie dużego pokoju, w milczeniu i z kamienną twarzą, na którą opadały jej rozwichrzone loki, dopóki Raszid nie powiedział, że czas iść. Wdychała i wydychała powietrze, ale i tak miała wrażenie, że nie jest w stanie napełnić nim płuc.

W drodze do Karta Se Zalmaj kiwał się w ramionach Raszida, a Aziza trzymała Lajlę za rękę i szła szybkim krokiem obok niej. Wiatr rozwiał brudny szal zawiązany pod brodą Azizy i zadarł rąbek jej sukienki. Aziza miała coraz bardziej ponurą minę, jakby z każdym krokiem coraz bardziej wyczuwała, że została nabrana. Lajla nie była w stanie wyznać jej prawdy. Powiedziała jej, że idzie do szkoły, do specjalnej szkoły, gdzie dzieci jedzą i śpią, i po lekcjach nie wracają do domu. Teraz Aziza zarzucała Lajlę tymi samymi pytaniami, które zadawała od wielu dni. Czy uczniowie śpią w różnych pokojach, czy

w jednej dużej sali? Czy z kimś się zaprzyjaźni? Czy Lajla jest pewna, że nauczyciele będą mili?

A przede wszystkim: „Jak długo tam zostanę?”.

Zatrzymali się dwie przecznice od niskiego budynku przypominającego koszary.

– Poczekam tu z Zalmajem – powiedział Raszid. – Och, byłbym zapomniał…

Wyjął z kieszeni gumę, pożegnalny prezent, i podał ją Azizie ze sztywną, wielkoduszną miną. Aziza przyjęła prezent i wymamrotała podziękowanie. Lajla podziwiała jej wdzięk, ogromną zdolność przebaczania i jej oczy napełniły się łzami. Pękało jej serce i była bliska omdlenia na samą myśl, że tego popołudnia Azizy już przy niej nie będzie i nie poczuje ciężaru jej chudziutkich ramion na swoich piersiach, jej głowy wtulonej w swoje żebra, jej ciepłego oddechu na swojej szyi, jej pięt na swoim brzuchu.

Kiedy odeszły z Azizą kawałek dalej, Zalmaj zaczął wyć, krzycząc: „Ziza!, Ziza!”. Wiercił się i kopał w ramionach ojca, wołając siostrę, aż jego uwagę przyciągnęła małpka kataryniarza po drugiej stronie ulicy.

Ostatnie dwie przecznice przeszły same, Mariam, Lajla i Aziza. Kiedy zbliżyły się do

budynku, Lajla zobaczyła popękaną fasadę, zapadający się dach, okna zabite deskami i huśtawkę przymocowaną do walącej się ściany.

Zatrzymały się przed drzwiami i Lajla jeszcze raz przećwiczyła z Azizą to, co powiedziała jej wcześniej.

– A jeśli zapytają o twojego ojca, to co masz powiedzieć?

– Że zabili go mudżahedini – odparła ostrożnie Aziza z rezerwą w głosie.

– Bardzo dobrze, Azizo. Rozumiesz, dlaczego masz tak powiedzieć?

– Bo to jest szkoła specjalna – odparła Aziza. Teraz, kiedy już się tu znalazły i budynek stał się czymś jak najbardziej rzeczywistym, wyglądała na wstrząśniętą. Jej dolna warga drżała, a w oczach lśniły łzy i Lajla wyraźnie widziała, że Aziza ze wszystkich sił stara się być dzielna. – Jeżeli powiemy prawdę – powiedziała Aziza słabym głosem pozbawionym tchu – to mnie nie przyjmą. To jest specjalna szkoła. Chcę do domu.

– Będę cię często odwiedzała – wykrztusiła Lajla. – Obiecuję.

– Ja też – dodała Mariam. – Będziemy przychodziły do ciebie, Aziza *dżan*, i będziemy się razem bawiły, tak jak zawsze. To tylko na jakiś czas, dopóki twój ojciec nie znajdzie pracy.

– Mają tu jedzenie – powiedziała drżącym głosem Lajla. Cieszyła się, że ma na sobie burkę i że Aziza nie może zobaczyć, jak bardzo jest załamana. – Tu nie będziesz głodna. Mają ryż i chleb, i wodę, może nawet owoce.

– Ale ciebie tu nie będzie. I *chala* Mariam też nie.

– Będę cię odwiedzała – powtórzyła Lajla. – Często. Spójrz na mnie, Azizo. Będę cię odwiedzała. Jestem twoją matką. Choćby nie wiem co, będę cię odwiedzała.

Dyrektor sierocińca był zgarbionym, chudym mężczyzną o sympatycznej, pokrytej zmarszczkami twarzy. Łysiał, miał zmierzwioną brodę i oczy jak dwa groszki. Nazywał się Zaman. Na głowie nosił myckę. Lewe szkło jego okularów było pęknięte.

W drodze do gabinetu zapytał Lajlę i Mariam o ich imiona. To samo pytanie zadał Azizie i spytał ją, ile ma lat. Mijali słabo oświetlone korytarze, gdzie bosonogie dzieci rozstępowały się przed nimi. Miały potargane włosy albo ogolone głowy, a na sobie bluzy z postrzępionymi rękawami, znoszone poprzecierane na kolanach dżinsy, płaszcze reperowane taśmą izolacyjną.

Lajla poczuła zapach mydła, talku, amoniaku i moczu i narastający lęk Azizy, która zaczęła łkać.

Lajla rzuciła też okiem na podwórko: porośnięty chwastami plac, rozklekotana huśtawka, stare opony, sflaczała piłka do siatkówki. Pokoje, które mijali, były gołe, okna zakryte płachtami plastiku. Z którychś drzwi wypadł na korytarz chłopiec, złapał Lajlę za ramię i próbował wskoczyć jej na ręce. Opiekun, który wycierał coś, co wyglądało na kałużę moczu, odłożył szmatę i odciągnął chłopca na bok.

Zaman miał łagodne, ojcowskie podejście do sierot. Po drodze co chwila głaskał któreś z nich po głowie, mówił kilka miłych słów, mierzwił im włosy bez cienia protekcjonalności. Dzieci wyraźnie lubiły, kiedy ich dotykał. Lajla odniosła wrażenie, że wszystkie patrzą na niego z nadzieją lub aprobatą.

Wprowadził je do gabinetu, zwykłego pokoju, w którym stały trzy składane krzesła i zdezelowane biurko zasłane stertą papierów.

– Pochodzisz z Heratu – powiedział Zaman do Mariam. – Poznaję po akcencie.

Oparł się wygodnie na krześle, splótł dłonie na brzuchu i powiedział, że jego szwagier kiedyś

tam mieszkał. Najzwyklejsze gesty zdradzały trud, który sprawiało mu poruszanie się. I choć lekko się uśmiechał, Lajla wyczuwała, że pod tym uśmiechem kryje się zatroskanie, ból, rozczarowanie i klęska tuszowane pozorami dobrego humoru.

– Szwagier był szklarzem – oznajmił Zaman. – Robił te piękne jadeitowozielone łabędzie. Gdy się je trzymało pod słońce, to mieniły się w środku, zupełnie jakby były wypełnione maleńkimi diamencikami. Byłaś tam ostatnio?

Mariam zaprzeczyła.

– Ja pochodzę z Kandaharu. Byłaś kiedyś w Kandaharze, *hamszira*? Nie? Jest wspaniały. Co za ogrody! I te winogrona! Są balsamem dla podniebienia.

Kilkoro dzieci zebrało się pod drzwiami i zaczęło zaglądać do środka. Zaman delikatnie zwrócił im uwagę w języku paszto.

– Oczywiście kocham też Herat. Miasto artystów i pisarzy, sufich i mistyków. Znasz ten stary dowcip, że w Heracie nie możesz poruszyć nogą, żeby nie kopnąć jakiegoś poety w tyłek.

Siedząca obok Lajli Aziza parsknęła śmiechem.

Zaman z udawanym zdziwieniem wydał okrzyk.

– No, proszę. Udało mi się ciebie rozśmieszyć, mała *hamszira*. Zazwyczaj to jest najtrudniejsza część. Już się zaczynałem martwić. Myślałem, że będę musiał gdakać jak kura albo ryczeć jak osioł. Ale proszę, jednak się roześmiałaś. Jesteś taka kochana.

Wezwał opiekuna, który miał przez chwilę zająć się Azizą. Dziewczynka wskoczyła na kolana Mariam i kurczowo ją objęła.

– Tylko porozmawiamy, kochanie – powiedziała Lajla. – Nigdzie się stąd nie ruszam. Dobrze? Będę cały czas tutaj.

– Wyjdź na chwilkę na zewnątrz, Aziza *dżan*, dobrze? – poprosiła Mariam. – Twoja mama musi porozmawiać z *kaką* Zamanem. Tylko na chwilkę. No, idź już.

Kiedy zostali sami, Zaman spytał o datę urodzin Azizy, przebyte choroby, alergie. Spytał też o jej ojca i Lajla dziwnie się poczuła, opowiadając kłamstwa, które w istocie były prawdziwe. Zaman słuchał, a jego twarz nie zdradzała ani wiary w jej słowa, ani sceptycyzmu. Powiedział, że prowadzi ten sierociniec w oparciu o zasady honoru, jeśli *hamszira* mówi, że jej mąż nie żyje, a ona nie jest w stanie zadbać o swoje dzieci, nie kwestionuje tego.

Lajla zaczęła płakać.

Zaman odłożył ołówek.

– Jest mi wstyd – szepnęła Lajla z dłonią przyciśniętą do ust.

– Spójrz na mnie, *hamszira*.

– Jaka matka porzuca własne dziecko?

– Spójrz na mnie.

Lajla podniosła wzrok.

– To nie twoja wina. Słyszysz? Nie twoja. To te dzikusy, ci *wahszi*, są temu winni. Okrywają mnie, Pasztuna, wstydem. Przynoszą hańbę moim ludziom. I nie jesteś osamotniona, *hamszira*. Wciąż przychodzą do nas takie matki jak ty, matki, które nie mogą nakarmić swoich dzieci, bo talibowie nie pozwalają im wyjść z domów i pracować. Więc nie wiń siebie. Nikt tu ciebie nie wini. Ja to rozumiem – nachylił się w jej stronę. – *Hamszira*, ja ciebie rozumiem.

Lajla otarła oczy rąbkiem burki.

– Jeśli chodzi o to miejsce – Zaman westchnął i zakreślił dłonią krąg w powietrzu – jak widzisz, znajduje się w opłakanym stanie. Stale jesteśmy niedofinansowani, stale męczymy się, improwizujemy. Talibowie nie dają nam nic albo bardzo niewiele. Ale jakoś dajemy sobie radę. Podobnie jak ty, robimy to, co musimy. Allah jest dobry i życzliwy, Allah zapewnia wszystko,

a dopóki On wszystko zapewnia, dopilnuję, żeby Aziza była nakarmiona i ubrana. Tyle mogę ci obiecać.

Lajla pokiwała głową.

– W porządku?

Uśmiechał się przyjacielsko.

– Tylko nie płacz, *hamszira*. Nie pozwól, aby zobaczyła, jak płaczesz.

Lajla znów otarła oczy.

– Niech cię Bóg błogosławi – powiedziała niewyraźnie. – Niech cię Bóg błogosławi, bracie.

Ale kiedy nadeszła chwila pożegnania, rozegrała się dokładnie taka scena, jakiej obawiała się Lajla.

Aziza wpadła w panikę.

Przez całą drogę do domu Lajla, wsparta na ramieniu Mariam, słyszała rozdzierający krzyk Azizy. Widziała mocne, szorstkie dłonie Zamana zaciskające się na ramionach Azizy, widziała, jak ciągnie ją najpierw delikatnie, a potem mocniej, aby uwolnić Lajlę z uścisku córki. Widziała, jak Aziza kopie w ramionach Zamana, który pospiesznie skręca za róg, słyszała, jak Aziza wrzeszczy, tak jakby ona, Lajla, miała zaraz zniknąć z powierzchni ziemi. I widziała samą

siebie biegnącą korytarzem z pochyloną głową i bólem podchodzącym jej do gardła.

– Czuję jej zapach – powiedziała do Mariam, kiedy znalazły się w domu. Błądziła niewidzącym wzrokiem gdzieś nad ramieniem Mariam, gdzieś za podwórkiem, za murem, w stronę brunatnych jak plwociny palacza gór. – Czuję jej zapach. A ty? Czujesz go?

– Och, Lajla *dżan* – powiedziała Mariam. – Przestań. Co ci to da? Co ci to da?

Na początku Raszid spełniał prośby Lajli i towarzyszył im – jej, Mariam i Zalmajowi – do sierocińca, choć po drodze nie szczędził jej zranionych spojrzeń i narzekań na trudy, które musi dla niej znosić, na ból w plecach i nogach spowodowany pokonywaniem drogi do sierocińca i z powrotem. Robił wszystko, by nie miała wątpliwości, jaki to dla niego wysiłek.

– Nie jestem już młodym człowiekiem – mówił. – Ale ciebie to nie obchodzi. Doprowadziłabyś mnie do grobu, gdybyś mogła. Ale nie możesz, Lajlo. Nie masz jak tego zrobić.

Rozstawali się dwie przecznice przed sierocińcem, a on nigdy nie dawał im więcej niż piętnaście minut.

– Spóźnicie się choćby minutę, a idę do domu. Przysięgam – zapowiadał.

Lajla musiała wykłócać się z nim, dręczyć go i błagać, by zgodził się wydłużyć trochę czas przydzielony na widzenie z Azizą. Dla samej siebie i dla Mariam, która była głęboko niepocieszona z powodu nieobecności Azizy, choć, jak zwykle, cierpiała w ciszy i samotnie. A także dla Zalmaja, który codziennie dopytywał się o siostrę i wpadał w złość, która czasem przeradzała się w niepohamowany napad płaczu.

Czasem w drodze do sierocińca Raszid zatrzymywał się, narzekając, że boli go noga. A potem odwracał się na pięcie i wracał do domu, sadząc długie pewne kroki i ani odrobinę nie kulejąc. Albo mlaskał językiem i mówił:

– To przez płuca. Brak mi tchu, Lajlo. Może jutro poczuję się lepiej albo pojutrze. Zobaczymy. – Nigdy nawet nie usiłował udawać, że ciężko mu się oddycha. Lajla musiała wtedy iść za nim do domu, bezradna, drżąc z żalu i bezsilnej wściekłości.

Potem któregoś dnia oznajmił Lajli, że nie będzie już jej tam zabierał.

– Całymi dniami chodzę po ulicach, szukając pracy. To wystarczająco męczące – powiedział.

– Wobec tego pójdę sama – odparła Lajla. – Nie zatrzymasz mnie, Raszidzie. Słyszysz mnie? Możesz mnie bić, ile chcesz, ale mnie nie powstrzymasz.

– Rób, jak chcesz. Ale talibowie cię zatrzymają. Nie mów potem, że cię nie ostrzegałem.

– Idę z tobą – powiedziała Mariam.

Lajla nie zamierzała na to pozwolić.

– Musisz zostać w domu z Zalmajem. Jeśli nas zatrzymają, nie chcę, by na to patrzył…

I tak życie Lajli zaczęło nagle kręcić się wokół dotarcia do sierocińca. Mniej więcej co drugi raz nie była w stanie tam dotrzeć. Zatrzymywali ją talibowie i nękali pytaniami: „Jak się nazywasz? Dokąd idziesz? Dlaczego jesteś sama? Gdzie jest twój *mahram*?” – a potem odsyłali z powrotem do domu. Jeśli miała szczęście, kończyło się na paru niemiłych słowach albo jednym kopniaku czy szturchnięciu. Ale nieraz spadały na nią drewniane pałki, kije, krótkie bicze, czasem pięści.

Któregoś dnia jakiś młody talib pobił Lajlę anteną radiową. Kiedy skończył, uderzył ją w potylicę i powiedział:

– Jeśli jeszcze raz cię zobaczę, będę cię bił tak długo, aż z twoich kości popłynie mleko twojej

matki.

Lajla zawróciła wtedy do domu. Położyła się na brzuchu, czując się jak głupie żałosne stworzenie, i syczała, kiedy Mariam kładła wilgotne szmatki na jej zakrwawionych plecach i udach. Ale zazwyczaj nie zawracała. Udawała, że idzie do domu, a potem zmieniała kierunek i szła inną trasą, bocznymi ulicami. Czasem znów ją łapano, przepytywano, besztano – dwa, trzy, czasem nawet cztery razy w ciągu dnia. Potem leciały bicze, anteny cięły powietrze i Lajla wracała do domu cała we krwi, w ogóle nie zobaczywszy Azizy. Wkrótce zaczęła wkładać dodatkowe warstwy ubrania, nawet w najgorszy upał, po dwie, trzy bluzy pod burkę, co dawało jej pewną ochronę przed razami.

Ale nagroda, która ją spotykała, jeśli udało jej się ominąć patrole talibów, była tego warta. Mogła wtedy spędzić tyle czasu, ile tylko chciała – nawet całe godziny – z Azizą. Siadywały na podwórku, obok huśtawki, wśród innych dzieci i odwiedzających je matek, i rozmawiały o tym, czego nauczyła się Aziza w ciągu ostatniego tygodnia.

Aziza powiedziała, że *kaka* Zaman stara się każdego dnia czegoś ich nauczyć, zazwyczaj czytania i pisania, czasem geografii, trochę

historii albo przedmiotów ścisłych, czegoś o roślinach i zwierzętach.

– Ale musimy zaciągać zasłony – tłumaczyła Aziza – żeby talibowie nas nie widzieli. *Kaka* Zaman zawsze ma pod ręką igły do szycia i motki przędzy, na wypadek inspekcji talibów. Wtedy chowamy książki i udajemy, że szyjemy.

Któregoś dnia podczas odwiedzin u Azizy Lajla zobaczyła kobietę w średnim wieku, z odrzuconą zasłoną burki, która odwiedzała trzech chłopców i dziewczynkę. Lajla poznała jej ostre rysy twarzy i ciężkie brwi, choć zapadnięte usta i siwe włosy nie wyglądały już znajomo. Przypomniała sobie chusty, czarne spódnice, szorstki głos, kruczoczarne włosy zebrane w kok, tak że na jej szyi wiły się ciemne kosmyki. Lajla przypomniała sobie, jak ta kobieta zabroniła kiedyś uczennicom zakrywania głów, mówiąc, że kobiety i mężczyźni są sobie równi, że nie ma żadnego powodu, dla którego kobiety mają się zakrywać, skoro mężczyźni tego nie robią.

W którymś momencie *chala* Rangmal podniosła wzrok i ich spojrzenia się spotkały, ale Lajla nie dostrzegła w oczach nauczycielki niczego, co świadczyłoby o tym, że ją sobie przypomina.

– W skorupie ziemskiej są pęknięcia – powiedziała Aziza. – Nazywane są uskokami.

Było ciepłe piątkowe popołudnie pierwszego czerwca 2001 roku. Siedzieli we czwórkę, Lajla, Zalmaj, Mariam i Aziza, na podwórku na tyłach sierocińca. Tym razem Raszid się poddał – co nieczęsto mu się zdarzało – i odprowadził ich na miejsce. Czekał teraz na ulicy, przy przystanku autobusowym.

Wokół nich biegały bosonogie dzieci. Apatycznie kopały sflaczałą piłkę i uganiały się za nią.

– A po obu stronach tych uskoków znajdują się warstwy skał, które tworzą skorupę ziemską – ciągnęła Aziza.

Ktoś uczesał jej włosy, zaplótł je w warkoczyki i upiął ładnie na głowie. Lajla zazdrościła tej osobie, kimkolwiek była, która usiadła na krześle za jej córką i dzieliła jej włosy na pasma, prosząc, by siedziała bez ruchu.

Aziza wyciągnęła teraz dłonie, odwróciła je i ocierała o siebie, demonstrując, co dzieje się ze skorupą ziemską. Zalmaj przyglądał się temu z ogromnym zainteresowaniem.

– To się nazywa płyty kektoniczne? – zapytał.

– Tektoniczne – poprawiła go Lajla. Z trudem mogła mówić. Jej szczęki wciąż były obolałe,

plecy i szyja też. Usta jej napuchły, a język wciąż trafiał w pustą dziurę po dolnym siekaczu, który wybił jej Raszid dwa dni temu. Przed śmiercią Mamusi i Babiego, nim jej życie przewróciło się do góry nogami, Lajla nigdy by nie uwierzyła, że ciało ludzkie może wytrzymać tyle złośliwego regularnego bicia i wciąż normalnie funkcjonować.

– Tak. A kiedy się mijają, to zderzają się i ocierają o siebie, widzisz, mamusiu? I wtedy uwalnia się energia, która biegnie na powierzchnię i sprawia, że ziemia drży.

– Stajesz się taka mądra – powiedziała Mariam. – O wiele mądrzejsza od twojej tępej *chala*.

Twarz Azizy pojaśniała.

– Wcale nie jesteś tępa, *chala* Mariam. I *kaka* Zaman mówi, że czasami przemieszczenia skał odbywają się tak głęboko, bardzo głęboko w ziemi, i są tak potężne i straszne tam w głębi, ale tu na powierzchni czujemy tylko lekkie drżenie. Tylko delikatne drżenie.

Podczas poprzedniej wizyty opowiadała o atomach tlenu w atmosferze rozpraszających niebieskie światło słońca. Gdyby ziemia nie miała atmosfery, powiedziała wtedy Aziza, niemal jednym tchem, to niebo wcale nie byłoby

niebieskie, tylko przypominałoby czarny jak smoła ocean, a słońce świeciłoby jak jasna gwiazda w ciemnościach.

– Czy Aziza wraca dziś z nami do domu? – spytał Zalmaj.

– Już niedługo, kochanie – odparła Lajla. – Już niedługo.

Lajla obserwowała go, jak chodzi dookoła, krokiem swego ojca, pochylony do przodu, z palcami stóp zwróconymi do środka. Podszedł do huśtawki, rozhuśtał ją, sam usiadł na betonie i zaczął wyrywać chwasty z jakiejś szczeliny.

– Woda paruje z liści. Wiedziałaś o tym, Mamusiu? Tak jak z prania rozwieszonego na sznurze. I przez to woda płynie w drzewie w górę. Z ziemi, przez korzenie, a potem przez cały pień do góry, do gałęzi i w końcu do liści. To nazywa się transpiracją.

Lajla nieraz zastanawiała się, co talibowie by zrobili, gdyby dowiedzieli się o tajnych lekcjach *kaki* Zamana.

W trakcie odwiedzin Aziza nie dawała im dojść do słowa. Wypełniała cały czas potokami słów wypowiadanych wysokim, dźwięcznym głosem. Przeskakiwała z tematu na temat, energicznie gestykulując z zupełnie dla niej nietypową nerwowością. I śmiać zaczęła się jakoś

inaczej. W zasadzie nie był to śmiech, ale nerwowa interpunkcja mająca służyć, jak podejrzewała Lajla, dodaniu im otuchy.

Zaszły też inne zmiany. Lajla zauważyła pod paznokciami Azizy brud, a Aziza zauważyła, że Lajla zauważyła, i zaczęła wsuwać dłonie pod uda. Ilekroć w pobliżu płakało jakieś zasmarkane dziecko albo któreś biegało z gołą pupą i skołtunionymi z brudu włosami, Aziza mrugała oczami i szybko wyjaśniała powody takiej sytuacji. Zachowywała się jak gospodyni, zażenowana wobec gości nędzą panującą w jej domu, swoimi brudnymi dziećmi.

Na pytania o to, jak sobie radzi, odpowiadała niejasno, ale radośnie.

„Dobrze sobie radzę, *chala*. Całkiem dobrze".

Czy dzieci ci dokuczają?

„Nie, mamusiu. Wszyscy są bardzo mili".

Czy jesz? Dobrze sypiasz?

„Jem. I śpię. Tak. Ostatnio mieliśmy jagnięcinę. No, właściwie to było dwa tygodnie temu".

Kiedy Aziza tak przemawiała, Lajla widziała w niej jakby odbicie Mariam.

Aziza zaczęła się też jąkać. Mariam pierwsza to zauważyła. Było to delikatne, ale zauważalne, zwłaszcza przy słowach zaczynających się od „t".

Lajla spytała o to Zamana. Zmarszczył brwi i powiedział:

– Sądziłem, że zawsze tak miała.

Tego piątkowego popołudnia wyszli z Azizą na krótko z sierocińca i spotkali się z Raszidem czekającym na przystanku. Kiedy Zalmaj zobaczył ojca, wydał radosny pisk i niecierpliwie wyrwał się z ramion Lajli. Powitanie Azizy z Raszidem było sztywne, ale nie wrogie.

Raszid powiedział, że muszą się pospieszyć, bo za dwie godziny musi wrócić do pracy. To był jego pierwszy tydzień pracy na stanowisku portiera w Intercontinentalu. Od południa do ósmej przez sześć dni w tygodniu Raszid otwierał drzwi samochodów, nosił bagaże i czyścił posadzkę, jeśli ktoś splunął. Czasem pod koniec dnia kucharz z restauracji pozwalał Raszidowi zabrać do domu jakieś resztki – pod warunkiem że zrobi to dyskretnie – zimne klopsiki pływające w oleju, smażone kurze skrzydełka w stwardniałej suchej panierce, nadziewany makaron w kształcie muszelek, który pod koniec dnia przeżuwało się z trudem, twardy, żwirowaty ryż. Raszid obiecał Lajli, że gdy zaoszczędzi trochę pieniędzy, Aziza będzie mogła wrócić do domu.

Raszid miał teraz na sobie uniform, ubranie z poliestru w kolorze ciemnowiśniowym, białą koszulę, przyczepiany krawat i czapkę z daszkiem wciśniętą na jego siwe włosy. W uniformie Raszid stawał się innym człowiekiem. Wyglądał bezbronnie, żałośnie, niemal niegroźnie, jak ktoś, kto bez cienia protestu przyjął upokorzenia, które zesłało na niego życie. Ktoś żałosny i zarazem godny podziwu w swej łagodności.

Pojechali autobusem do „Titanicowego Miasta”. Zeszli do koryta rzeki, po którego obu stronach stały byle jak sklecone stragany uczepione jego suchych brzegów. Schodząc po schodach niedaleko mostu, zauważyli bosonogiego mężczyznę powieszonego na dźwigu. Miał odcięte uszy, a jego przewiązana sznurem szyja opadała bezwładnie. W korycie rzeki wmieszali się w stłoczony tłum kupujących, cinkciarzy i znudzonych pracowników organizacji pozarządowych, sprzedawców papierosów, zakrytych kobiet, które wciskały ludziom fałszywe recepty na antybiotyki, żądając pieniędzy za ich wypełnienie. Patrole talibów ściskających w dłoniach bicze i żujących *naswar* patrolowały „Titanicowe Miasto”, nasłuchując

nazbyt donośnego śmiechu i wypatrując niezakrytych twarzy.

W kiosku z zabawkami usytuowanym między sprzedawcą płaszczy *pustin* a straganem ze sztucznymi kwiatami Zalmaj wybrał sobie piłkę do koszykówki w żółto-białe pasy.

– Wybierz sobie coś – powiedział Raszid do Azizy.

Aziza najeżyła się i zesztywniała ze wstydu.

– Pospiesz się. Za godzinę muszę być w pracy.

Aziza wybrała dozownik z gumą w kulkach – kiedy wrzucało się monetę, wypadała jedna z kolorowych kulek, moneta zaś wylatywała przez drzwiczki z klapką umieszczone na samym dole.

Raszid uniósł brwi, kiedy sprzedawca podał mu cenę. Zaczęło się targowanie, po czym Raszid powiedział Azizie kłótliwym tonem, tak jakby to z nią się targował:

– Musisz to oddać. Nie stać mnie na obie rzeczy.

W drodze powrotnej radosna mina Azizy bladła coraz bardziej, w miarę jak zbliżali się do sierocińca. Nie wymachiwała już rękami, jej buzia spochmurniała. Działo się tak za każdym razem. Teraz Lajla przejmowała pałeczkę, przy pewnym wsparciu Mariam: gadała, śmiała się

nerwowo, wypełniała pełną smutku ciszę niekończącymi się błahymi żartami.

Później kiedy Raszid odwiózł je do sierocińca i pojechał do pracy, Lajla patrzyła, jak Aziza macha jej na pożegnanie i powłóczy nogami, idąc podwórkiem wzdłuż muru. Pomyślała o jąkaniu się Azizy i o tym, co wcześniej powiedziała o szczelinach i potężnych zderzeniach, do których dochodzi w głębi ziemi, i o tym, że czasem na powierzchni czujemy tylko słabe drżenie.

– Idź stąd! – krzyknął Zalmaj.

– Cicho – upomniała go Mariam. – Na kogo krzyczysz?

Zalmaj wyciągnął rączkę.

– Tam. Ten mężczyzna.

Lajla podążyła wzrokiem za jego palcem. Rzeczywiście, przy bramie stał mężczyzna oparty o mur. Kiedy zobaczył, że się zbliżają, odwrócił głowę i opuścił splecione na piersiach ręce. Zrobił kilka kroków w ich stronę.

Lajla zatrzymała się.

Z jej gardła wydobył się chrapliwy jęk. Kolana jej zadrżały. Nagle Lajla rozpaczliwie zapragnęła, wręcz musiała złapać Mariam za rękę, oprzeć się

na jej ramieniu, złapać ją za nadgarstek, musiała na czymś się wesprzeć. Ale niczego takiego nie zrobiła. Nie miała odwagi. Nie miała odwagi się poruszyć. Nie miała odwagi oddychać ani nawet zamrugać oczami z obawy, że mężczyzna jest tylko mirażem migoczącym w oddali, ulotnym złudzeniem, które zniknie przy najmniejszym poruszeniu. Lajla stała bez ruchu i patrzyła na Tarigha, aż jej piersi zaczęły domagać się powietrza, a oczy zaczęły ją palić. I jakimś cudem, kiedy odetchnęła, zamknęła i otworzyła oczy, on nadal tam stał. Tarigh wciąż stał w tym samym miejscu.

Lajla odważyła się zrobić krok w jego stronę. Potem kolejny. I jeszcze jeden. A potem puściła się biegiem.

43

Mariam

Na górze w pokoju Mariam siedział głęboko urażony Zalmaj. Przez chwilę kopał swoją nową piłkę do koszykówki, odbijał ją od podłogi i ścian. Mariam poprosiła, by przestał, ale wiedziała, że nie ma autorytetu, by czegokolwiek od niego wymagać, więc chłopiec nadal kopał piłkę, patrząc jej wyzywająco w oczy. Przez chwilę bawili się jego samochodzikiem, karetką pogotowia z dużymi czerwonymi napisami na bokach, puszczając go między sobą w tę i z powrotem.

Wcześniej, kiedy przywitali Tarigha w drzwiach, Zalmaj przycisnął piłkę do swoich piersi, a do ust włożył sobie kciuk – czego nie robił już od dawna, chyba że był czymś zaniepokojony. Podejrzliwie spoglądał na gościa.

– Kim jest ten mężczyzna? – spytał teraz. – Nie lubię go.

Mariam zamierzała jakoś mu to wyjaśnić, powiedzieć coś o tym, jak on i Lajla razem dorastali, ale Zalmaj przerwał jej, mówiąc, by przestawiła karetkę przodem do niego, a kiedy to zrobiła, powiedział, że chce z powrotem piłkę.

– Gdzie ona jest? – zapytał. – Gdzie jest piłka, którą dał mi Baba *dżan*? Gdzie ona jest? Chcę piłkę! Chcę piłkę! – Jego głos stawał się z każdym słowem coraz głośniejszy i przejmujący.

– Jest tutaj – odparła Mariam, ale wtedy on zawołał:

– Nie, zgubiła się. Wiem o tym. Wiem, że się zgubiła. Gdzie ona jest? Gdzie jest piłka? Gdzie jest piłka?

– Tutaj – powiedziała Mariam, sięgając do szafy, do której wtoczyła się piłka. Ale Zalmaj wrzeszczał, bił piąstkami powietrze, krzycząc, że to nie może być ta sama piłka, że to niemożliwe, bo jego piłka się zgubiła, a ta jest fałszywa, gdzie podziała się jego prawdziwa piłka? Gdzie? Gdzie, gdzie, gdzie?

Krzyczał tak długo, aż Lajla musiała wejść na górę, wziąć go na ręce, ukołysać, pogładzić go po grubych ciemnych włosach, wytrzeć łzy z policzków i pocmokać go w ucho.

Mariam czekała pod drzwiami. Z góry schodów widziała kawałek podłogi, na której już od jakiegoś czasu nie było dywanu, i długie nogi Tarigha, tę prawdziwą i sztuczną, w spodniach khaki. Wtedy nagle zrozumiała, dlaczego tamtego dnia, gdy poszła z Raszidem zadzwonić do Dżalila, portier w Continentalu wyglądał dziwnie znajomo. Na głowie miał czapkę i okulary przeciwsłoneczne, dlatego wcześniej się nie zorientowała. Ale teraz Mariam przypomniała sobie tego mężczyznę, który dziewięć lat temu przyszedł do ich domu i ocierał sobie chusteczką pot z czoła, prosząc o szklankę wody. Przez głowę przemknęło jej teraz tysiąc pytań: Czy sulfonamidy też były zmyślone? Który z nich wymyślił to kłamstwo, który dostarczył przekonujących szczegółów? I ile Raszid zapłacił Abdulowi Szarifowi – o ile to było jego prawdziwie imię – aby przyszedł do ich domu i doprowadził Lajlę do rozpaczy opowieścią o śmierci Tarigha?

44

Lajla

Tarigh powiedział, że jeden z mężczyzn, z którymi dzielił celę, miał kuzyna, który został raz publicznie wychłostany za malowanie flamingów. Ten kuzyn miał do nich wyjątkową słabość.

– Całe szkicowniki – opowiadał Tarigh – tuziny olejnych obrazów przedstawiających flamingi brodzące w lagunach, wygrzewające się w słońcu na moczarach. Zdaje się, nawet lecące w stronę zachodzącego słońca.

– Flamingi – powtórzyła Lajla. Patrzyła, jak siedzi pod ścianą, ze zdrową nogą zgiętą w kolanie. Znów chciała go dotknąć, tak jak wcześniej przy furtce, kiedy do niego podbiegła. Była teraz zakłopotana tym, że zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła łkać wtulona w jego tors, powtarzając na okrągło jego imię niewyraźnym,

drewnianym głosem. Czy zareagowała zbyt żarliwie, zastanawiała się teraz, zbyt desperacko? Może tak. Ale nie mogła się powstrzymać. A teraz marzyła, by go dotknąć, udowodnić sobie raz jeszcze, że Tarigh naprawdę tu jest, że nie jest snem ani zjawą.

– W istocie – powiedział. – Flamingi.

Kiedy talibowie znaleźli obrazy, mówił dalej, uznali długie nagie nogi ptaków za nieprzyzwoite. Związali kuzynowi nogi, wychłostali mu pięty i postawili przed wyborem: albo zniszczy obrazy, albo zrobi coś, by flamingi były przyzwoite. Więc kuzyn wziął pędzel i domalował każdemu ptakowi spodnie.

– I oto, co mamy: islamskie flamingi – powiedział Tarigh.

Lajla wybuchła śmiechem, ale zaraz zamilkła. Wstydziła się swoich pożółkłych zębów, brakującego siekacza. Wstydziła się zaniedbanego wyglądu i opuchniętej wargi. Żałowała, że nie umyła twarzy ani nie uczesała włosów.

– Ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni – powiedział Tarigh. – Kuzyn namalował te spodnie farbami wodnymi. Więc gdy talibów już nie będzie, po prostu je zmyje. – Uśmiechnął się –

Lajla zauważyła, że on też nie ma jednego zęba – i spojrzał na swoje ręce. – W istocie.

Miał na sobie czapkę *pakol*, wysokie sznurowane buty i czarny wełniany sweter wciśnięty w spodnie. Uśmiechał się lekko i kiwał głową. Lajla nie przypominała sobie, by wcześniej mówił „w istocie”, i te pełne namysłu ruchy, trzymanie złożonych dłoni na podołku, to potakiwanie też były nowe. Takie dorosłe wyrażenie, takie dorosłe gesty. I dlaczego miałoby to być dziwne? Przecież Tarigh jest teraz dorosły. Tarigh, dwudziestopięcioletni mężczyzna o powolnych ruchach i zmęczeniu w głosie. Wysoki, brodaty, szczuplejszy, niż go sobie wyobrażała, ale o mocnych spracowanych dłoniach, z widocznymi krętymi, nabrzmiałymi żyłami. Jego twarz wciąż była gładka i przystojna, ale straciła delikatny wygląd. Miał ogorzałe od wiatru, spalone słońcem czoło, podobnie jak szyję, niczym podróżnik u kresu długiej wędrówki. *Pakol* odsunął na tył głowy i Lajla zauważyła, że zaczyna tracić włosy. Jego orzechowe oczy były bardziej matowe, bledsze, niż pamiętała, a może tylko tak wyglądały w tym oświetleniu.

Lajla przypomniała sobie mamę Tarigha, jej niespieszne ruchy, sprytny uśmiech, wyblakłą

fioletową perukę. I jego ojca, patrzącego spod zmrużonych powiek, jego cierpkie poczucie humoru. Wcześniej, przy drzwiach, głosem nabrzmiałym od łez, połykając słowa, powiedziała Tarighowi, co, jak sądziła, stało się z nim i z jego rodzicami. Tarigh pokręcił głową. Zapytała, co wobec tego robią teraz jego rodzice. Ale zaraz pożałowała tego pytania, bo Tarigh spuścił głowę i powiedział nieco roztargniony:

– Nie żyją.

– Tak mi przykro.

– Cóż. Tak. Mnie też. Proszę – wyjął z kieszeni małą papierową torebkę i podał jej – z pozdrowieniami od Aljony. – W środku znajdował się kawałek sera owinięty plastikiem.

– Aljona. Bardzo ładne imię. – Lajla starała się zadać kolejne pytanie bez wahania w głosie – To twoja żona?

– Moja koza. – Uśmiechał się do niej wyczekująco, jakby oczekiwał, że wzbudzi to w niej jakieś skojarzenia.

I nagle Lajla sobie przypomniała: radziecki film. Aljona była córką kapitana, dziewczyną zakochaną w pierwszym oficerze. Tego samego dnia oglądali razem z Hasiną sowieckie czołgi i jeepy opuszczające Kabul, a Tarigh założył na głowę tę idiotyczną rosyjską futrzaną czapę.

– Musiałem przywiązać ją do słupka, i zbudować płot. Z powodu wilków. U stóp wzgórza, gdzie mieszkam, jest taki zalesiony teren. Może kilkaset metrów dalej. W większości rosną tam sosny, trochę jodeł, cedry. Zwykle trzymają się wśród drzew, te wilki, ale mecząca koza, taka, co lubi się włóczyć, może je przyciągnąć. Po to ten płotek. I słupek.

Lajla spytała, gdzie są te wzgórza.

– Pir Pandżal. Pakistan – odparł. – Ja mieszkam w Muri, to letniskowa miejscowość, godzinę drogi od Islamabadu. Jest tam górzyście i zielono, rośnie mnóstwo drzew. Muri jest położona wysoko nad poziomem morza, więc latem jest tam chłodno. Idealne miejsce dla turystów.

Brytyjczycy założyli tę miejscowość jako górską stację w pobliżu ich głównej kwatery w Rawalpindi, opowiadał, aby uciec od upału. Wciąż jeszcze jest tam trochę reliktów epoki kolonialnej: herbaciarnia, parterowe domy pokryte cynową blachą, zwane *cottage*, tego typu rzeczy. Samo miasteczko jest małe i sympatyczne. Główna ulica nosi nazwę Mall. Znajduje się przy niej poczta, bazar, kilka restauracji, sklepy, w których turyści przepłacają za malowane szkło i ręcznie tkane dywany. Co

ciekawe, ruch na jednokierunkowej ulicy Mall w jednym tygodniu płynie w jednym kierunku, a w kolejnym – w przeciwną stronę.

– Miejscowi mówią, że w Irlandii gdzieniegdzie też obowiązują takie zasady – powiedział Tarigh. – Ja nie mam o tym pojęcia. W każdym razie jest tam bardzo miło. To proste życie, ale mnie się podoba. Lubię tam mieszkać.

– Ze swoją kozą, Aljoną.

Lajla nie tyle chciała zażartować, ile raczej dyskretnie przejść do innych tematów, na przykład do tego, czy jest tam ktoś jeszcze, kto dzieli jego lęk przed wilkami zjadającymi kozy. Ale Tarigh kiwał tylko głową.

– Mnie też jest bardzo przykro z powodu twoich rodziców – powiedział.

– A więc wiesz, co się stało.

– Rozmawiałem wcześniej z kilkoma sąsiadami. – Zapadła cisza, a Lajla zastanawiała się, co jeszcze słyszał od sąsiadów. – Nikogo tu nie poznaję. To znaczy z dawnych czasów.

– Wszyscy wyjechali. Nie został nikt, kogo byś znał.

– Nie poznaję też Kabulu.

– Ja też nie – powiedziała Lajla. – A nigdy stąd nie wyjechałam.

– Mamusia ma nowego przyjaciela – zakomunikował Zalmaj tego samego dnia po kolacji, kiedy Tarigh wyszedł. – Mężczyznę.

Raszid podniósł wzrok.

– Doprawdy?

Tarigh spytał, czy może zapalić. Przez jakiś czas zatrzymali się w Nasir Bagh, obozie dla uchodźców niedaleko Peszawaru, powiedział Tarigh, strząsając popiół do popielniczki. Kiedy przybył tam z rodzicami, w obozie mieszkało już sześćdziesiąt tysięcy uchodźców.

Nie było tak źle jak w innych obozach na przykład w, Boże broń, Dżalozaj, opowiadał. Zdaje się, że w pewnym momencie był to nawet taki obóz modelowy, jeszcze za czasów zimnej wojny, miejsce, które Zachód mógł pokazać i udowodnić światu, że broń nie jest jedynym, co kieruje do Afganistanu.

Ale to było jeszcze za czasów wojny z Sowietami, mówił Tarigh, w czasach dżihadu, zainteresowania całego świata, hojnego dofinansowania i wizyt Margaret Thatcher.

– Resztę znasz, Lajlo. Po wojnie Związek Radziecki się rozpadł, a Zachód ruszył dalej. W Afganistanie nie było dla nich już nic

ciekawego i pieniądze się skończyły. Teraz Nasir Bagh to namioty, kurz i otwarte kanały ściekowe. Kiedy tam przyjechaliśmy, dano nam słupek, płachtę płótna i polecono zbudować sobie namiot.

Tarigh powiedział, że to, co szczególnie zapadło mu w pamięć po Nasir Bagh, gdzie spędzili cały rok, to brunatne barwy.

– Brunatne namioty. Brunatni ludzie. Brunatne psy. Brunatna owsianka.

Rosło tam bezlistne drzewo, na które wspinał się każdego dnia, siadał na gałęzi i przyglądał się rannym i okaleczonym uchodźcom leżącym w słońcu. Patrzył na małych chłopców niosących wodę w kanistrach, zbierających psie odchody, by rozpalić ogień, rzeźbiących w drewnie AK-47 tępymi nożami, taszczących worki białej mąki, z której nikt nie potrafił upiec chleba, który by się nie rozsypywał w dłoniach. Wszędzie wokół miasteczka uchodźców wiatr łopotał namiotami. Nawiewał kępy chwastów, unosił latawce puszczane z dachów nor ulepionych z gliny.

– Umierało dużo dzieci. Dyzenteria, gruźlica, głód i co tylko jeszcze chcesz. Przede wszystkim przeklęta dyzenteria. Boże, Lajlo. Na moich oczach pochowano tyle dzieci. Trudno wyobrazić sobie straszniejszy widok.

Założył nogę na nogę. Przez chwilę panowała między nimi cisza.

– Mój ojciec nie przeżył tej pierwszej zimy – podjął Tarigh. – Zmarł we śnie. Chyba bezboleśnie.

Tej samej zimy, mówił, mama zachorowała na zapalenie płuc i omal nie umarła, z pewnością by umarła, gdyby nie obozowy lekarz, który pracował w wagonie kolejowym przerobionym na klinikę na kółkach. Budziła się wiele razy w ciągu nocy, z gorączką, i kaszlała, wypluwając gęstą rdzawą flegmę. Kolejki do lekarza były bardzo długie, powiedział Tarigh. Wszyscy dygotali, jęczeli, kasłali, niektórzy robili pod siebie, inni byli zbyt zmęczeni albo zbyt głodni, by wymówić choćby jedno słowo.

– Ale on był przyzwoitym człowiekiem, ten lekarz. Leczył moją mamę, dawał jej jakieś tabletki i tamtej zimy uratował jej życie.

Tej samej zimy Tarigh napadł jednego dzieciaka.

– Dwunasto- albo trzynastolatka – opowiadał spokojnym tonem. – Przyłożyłem mu kawałek szyby do gardła i zabrałem koc. Dałem go mojej mamie.

Powiedział, że po chorobie mamy przysiągł sobie, że nie spędzą kolejnej zimy w obozie.

Będzie pracował, oszczędzał i przeprowadzi ich oboje do mieszkania w Peszawarze z ogrzewaniem i czystą wodą. Kiedy nadeszła wiosna, zaczął rozglądać się za pracą. Od czasu do czasu wczesnym rankiem przyjeżdżały ciężarówki i zabierały kilkudziesięciu chłopców na pola do przenoszenia kamieni albo do sadów do zbierania jabłek w zamian za niewielkie pieniądze, czasem za koc albo parę butów. Ale jego nigdy nie chcieli.

– Jedno spojrzenie na moją nogę i było po wszystkim.

Były też inne zajęcia: kopanie rowów, budowanie lepianek, noszenie wody, nieczystości, które trzeba było usunąć z wychodków. Ale młodzi mężczyźni bili się o każdą pracę i Tarigh nie miał szans.

A potem któregoś dnia, jesienią 1993 roku, poznał sklepikarza.

– Zaproponował mi pieniądze za przewiezienie skórzanego płaszcza do Lahore. Niezbyt dużo, ale starczyłoby na opłacenie przez miesiąc, a może nawet dwa, czynszu.

Sklepikarz dał mu bilet na autobus, powiedział Tarigh, a także adres niedaleko dworca w Lahore, gdzie miał dostarczyć płaszcz przyjacielowi sklepikarza.

– Wiedziałem. Oczywiście od razu wiedziałem – mówił Tarigh. – Ostrzegł, że jak zostanę złapany, muszę sobie radzić sam, i żebym pamiętał, że on wie, gdzie szukać mojej matki. Ale pieniądze były zbyt duże, żeby przepuścić taką okazję. I nadchodziła kolejna zima.

– Jak daleko dojechałeś? – spytała Lajla.

– Niedaleko. – Zaśmiał się przepraszająco zawstydzony. – Nie wsiadłem nawet do autobusu. Ale myślałem, że jestem nietykalny, wiesz, bezpieczny. Jakby gdzieś tam siedział jakiś księgowy, facet z ołówkiem zatkniętym za ucho, który wszystko zapisywał, a potem oceniał i mówił: „Tak, tak, może to dostać, pozwolimy mu. On już swoje zapłacił”.

Haszysz znajdował się pod podszewką i rozsypał się po całej ulicy, kiedy policjant rozciął nożem płaszcz.

Opowiadając o tym, Tarigh znów się zaśmiał, ciężkim, niepewnym śmiechem, a Lajla przypomniała sobie, że śmiał się w taki sam sposób, kiedy byli mali, aby ukryć zawstydzenie, odjąć nieco wagi czynom, które popełnił, a które były lekkomyślne albo skandaliczne.

– Ma protezę – oświadczył Zalmaj.

– Czy to ten, co myślę?

– Przyszedł tylko z wizytą – powiedziała Mariam.

– Ty się zamknij – warknął Raszid, unosząc palec. Odwrócił się do Lajli. – I co powiesz? Lajla i Mandżun znowu razem. Jak za dawnych czasów. – Jego twarz zastygła. – A więc wpuściłaś go. Tutaj. Do mojego domu. Wpuściłaś go. Był tutaj z moim synem.

– Oszukałeś mnie. Okłamałeś – powiedziała Lajla, zagryzając zęby. – Przysłałeś tego człowieka, który usiadł naprzeciw mnie i… Wiedziałeś, że wyjechałabym, gdybym wiedziała, że żyje.

– A TY MNIE NIE OKŁAMAŁAŚ?! – zagrzmiał Raszid. – Myślisz, że się nie domyśliłem? O twojej *harami*? Masz mnie za głupca, ty dziwko?

Im dłużej Tarigh mówił, tym bardziej Lajla zaczynała obawiać się chwili, gdy zamilknie. Ciszy, która wtedy nastąpi, zwiastującej, że nadeszła jej kolej, by zdać relację, powiedzieć dlaczego, jak i kiedy, poświadczyć to, co na pewno już wie. Za każdym razem, kiedy milkł, czuła przypływ mdłości. Unikała jego spojrzenia. Patrzyła w dół na jego dłonie, na gęste ciemne

włosy, które wyrosły na ich grzbiecie w ciągu minionych lat.

Tarigh nie mówił zbyt wiele o latach spędzonych w więzieniu, poza tym, że nauczył się tam języka urdu. Kiedy Lajla spytała, jak tam było, pokręcił tylko głową ze zniecierpliwieniem. W tym ruchu Lajla zobaczyła zardzewiałe kraty i nieumyte ciała, porywczych mężczyzn i zatłoczone sale, cele przegniłe od pleśni. Z wyrazu jego twarzy wyczytała, że było to miejsce poniżenia i rozpaczy.

Tarigh powiedział, że mama próbowała go odwiedzać po aresztowaniu.

– Przyszła trzy razy, ale nigdy nie pozwolono mi się z nią zobaczyć.

Napisał do niej list, a potem jeszcze kilka, choć wątpił, czy je kiedykolwiek dostanie.

– I pisałem do ciebie.

– Naprawdę?

– Och, całe tomy – powiedział. – Twój dobry przyjaciel Rumi mógłby mi pozazdrościć takiej twórczości. – Potem znów się zaśmiał, tym razem pełną piersią, choć był zaszokowany własną zuchwałością i zawstydzony swoimi słowami.

Na górze Zalmaj zaczął wrzeszczeć.

– Zupełnie jak za dawnych czasów – powiedział Raszid. – Sami, we dwójkę. Podejrzewam, że pozwoliłaś mu zobaczyć swoją twarz.

– Tak, pozwoliła – potwierdził Zalmaj, po czym powtórzył, zwracając się do Lajli: – Pozwoliłaś, mamusiu. Sam widziałem.

– Twój syn nie jest zbytnio mną zachwycony – zauważył Tarigh, kiedy Lajla wróciła z góry.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie o to chodzi. On po prostu… Nie zwracaj na niego uwagi.

Potem szybko zmieniła temat, bo czuła się winna, myśląc tak o Zalmaju, który był tylko małym chłopcem, kochającym swego ojca, i którego instynktowna niechęć do tego obcego mężczyzny była zrozumiała i uzasadniona.

„I pisałem do ciebie”.

„Tomy”.

„Tomy”.

– Od jak dawna mieszkasz w Muri?

– Niecały rok – odparł Tarigh.

W więzieniu zaprzyjaźnił się z pewnym starszym mężczyzną, człowiekiem o imieniu Salim, Pakistańczykiem, byłym graczem

w hokeja, który całe lata spędził w więzieniach, a teraz odsiadywał dziesięć lat za napaść na policyjnego tajniaka. W każdym więzieniu jest ktoś taki jak Salim, powiedział Tarigh. Zawsze jest ktoś sprytny i z powiązaniami, kto rozpracował system i potrafił wynaleźć różne sposoby, ktoś, wokół kogo powietrze drży od możliwości i zarazem niebezpieczeństw. To Salim posyłał zapytania Tarigha na temat mamy i to Salim posadził go któregoś dnia i powiedział miękkim, ojcowskim głosem, że zmarła z zimna.

Tarigh spędził w pakistańskim więzieniu siedem lat.

– Upiekło mi się – stwierdził. – Miałem szczęście. Sędzia, który wydawał wyrok w mojej sprawie, miał, jak się okazało, brata, który ożenił się z Afganką. Może okazał mi litość? Nie wiem.

Kiedy Tarigh skończył odsiadywać wyrok, wczesną zimą 2000 roku, Salim dał mu adres i numer telefonu swojego brata. Brat nazywał się Sajid.

– Powiedział, że Sajid jest właścicielem małego hotelu w Muri. Dwadzieścia pokoi i salon, mały pensjonat dla turystów. I dodał: „Powiedz mu, że cię przysyłam”.

Tarigh od pierwszej chwili, kiedy tylko wysiadł z autobusu, polubił Muri: obsypane

śniegiem sosny, zimne, rześkie powietrze, domki z drewnianymi okiennicami, smużki dymu unoszące się z kominów.

– Powiedziałem sobie: oto miejsce, w którym można żyć.

Tarigh został zatrudniony jako dozorca i złota rączka. Dobrze sobie radził podczas pierwszego próbnego miesiąca, za który dostawał pół normalnej stawki, i Sajid zatrudnił go na stałe. Kiedy Tarigh opowiadał, Lajla zaczęła wyobrażać sobie Sajida. Zobaczyła go jako mężczyznę o wąskich oczach, rumianego, stojącego przy oknie recepcji. Wyobraziła sobie, jak przygląda się Tarighowi, kiedy ten rąbie drwa i odśnieża podjazd. Zobaczyła, jak staje nad Tarighiem, który leży pod zlewem, i obserwuje postępy w naprawie przeciekającej rury. Wyobraziła sobie, jak sprawdza, czy w kasie nie brakuje pieniędzy.

Chałupka Tarigha mieściła się za domkiem kucharki, powiedział. Kucharką była stara matrona, wdowa o imieniu Adiba. Domki stały osobno, oddzielone od głównego budynku migdałowcami, ławką i kamienną fontanną w kształcie piramidy, w której latem przez cały dzień tryska woda. Lajla wyobraziła sobie

Tarigha w jego chałupce, siedzącego na łóżku i patrzącego na zielony świat za oknem.

Po zakończeniu okresu próbnego Sajid podniósł pensję Tarigha, powiedział, że ma obiady gratis, dał mu wełniany płaszcz i załatwił nową nogę. Tarigh płakał ze wzruszenia nad dobrocią tego mężczyzny.

Z pierwszą wypłatą w kieszeni Tarigh poszedł do miasteczka i kupił kozę.

– Ma nieskazitelnie białe futro – opowiadał z uśmiechem. – Czasem rano, kiedy przez całą noc pada śnieg, wyglądasz przez okno i widzisz tylko oczy i pysk.

Lajla pokiwała głową. Znów zapadła cisza. Na górze Zalmaj znów zaczął odbijać piłkę o ścianę.

– Myślałam, że nie żyjesz – powiedziała Lajla.

– Wiem. Mówiłaś mi.

Lajli załamał się głos. Musiała odchrząknąć, zebrać się w sobie.

– Mężczyzna, który przyniósł tę wiadomość, był taki poważny, taki szczery… Uwierzyłam mu. Żałuję, że tak się stało, ale mu uwierzyłam. A potem poczułam się taka samotna i przerażona. Inaczej nigdy nie zgodziłabym się wyjść za Raszida. Nie zrobiłabym tego…

– Nie musisz tego mówić – powiedział miękko, unikając jej wzroku. W jego głosie i zachowaniu

nie było cienia skrywanego wyrzutu czy oskarżenia. Żadnej sugestii, że o coś ją obwinia.

– Ale muszę. Bo istniał dużo ważniejszy powód, dla którego wyszłam za Raszida. Jest coś, o czym nie wiesz, Tarighu. Ktoś. Muszę ci powiedzieć.

– Ty też siedziałeś i z nim rozmawiałeś? – Raszid spytał Zalmaja.

Zalmaj milczał. Lajla widziała teraz w jego oczach wahanie i niepewność, jakby właśnie zrozumiał, że to, co ujawnił, jest dużo ważniejsze, niż sądził.

– Zadałem ci pytanie, chłopcze.

Zalmaj przełknął ślinę. Jego wzrok ślizgał się pomiędzy rodzicami.

– Byłem na górze i bawiłem się z Mariam.

– A twoja matka?

Zalmaj spojrzał na Lajlę przepraszająco, na granicy łez.

– W porządku, Zalmaju – uspokoiła go Lajla. – Powiedz prawdę.

– Ona była… Była na dole i rozmawiała z tym mężczyzną – powiedział cienkim głosem, niewiele głośniejszym od szeptu.

– Rozumiem – powiedział Raszid. – Praca zespołowa.

Wychodząc, Tarigh oznajmił:

– Chcę ją poznać. Chcę ją zobaczyć.

– Załatwię to – obiecała Lajla.

– Aziza. Aziza. – Uśmiechnął się, delektując się tym słowem. Zawsze, kiedy Raszid wymawiał imię córki, w jego ustach brzmiało wręcz nieprzyjemnie, niemal wulgarnie. – Aziza. To urocze imię.

– Ona też jest urocza. Zobaczysz.

– Nie mogę się doczekać.

Minęło niemal dziesięć lat, odkąd widzieli się po raz ostatni. Lajli migały w pamięci wszystkie te chwile, kiedy spotykali się w alejce, potajemnie całowali. Zastanawiała się, jakie zrobiła teraz na nim wrażenie? Czy nadal uważa, że jest ładna? Czy też sprawiła wrażenie zniszczonej, żałosnej kobiety, jak zalękniona szurająca nogami staruszka? Niemal dziesięć lat. Ale przez chwilę, kiedy stała z Tarighiem w słońcu, poczuła się tak, jakby te lata nigdy nie minęły. Śmierć jej rodziców, małżeństwo z Raszidem, masakry, rakiety, talibowie, bicie, głód, nawet jej dzieci, wszystko to wydawało jej się jak sen, dziwaczny

przystanek w podróży, zwykła przerwa między ostatnim spędzonym razem popołudniem a tą chwilą.

Nagle Tarigh zmienił się na twarzy. Spochmurniał. Znała tę minę. Tak samo wyglądał tamtego dnia, wiele lat temu, kiedy byli jeszcze dziećmi, a on odczepił protezę i ruszył na Chadima. Wyciągnął teraz rękę i dotknął kącika jej wargi.

– On ci to zrobił – powiedział zimnym głosem.

Jego dotyk przywołał wspomnienie tego szalonego popołudnia, gdy poczęli Azizę. Jego oddech na jej szyi, napięte mięśnie jego pośladków, tors opadający na jej piersi, ich splecione ręce.

– Żałuję, że cię wtedy nie zabrałem – powiedział Tarigh niemal szeptem.

Lajla musiała spuścić wzrok, żeby się nie rozpłakać.

– Wiem, że teraz jesteś zamężną kobietą i matką. I oto zjawiam się po tylu latach, po tym wszystkim, co się wydarzyło, i staję pod twoimi drzwiami. Zapewne nie jest to stosowne, ale przejechałem tak długą drogę, żeby cię zobaczyć… Och, Lajlo, tak żałuję, że cię zostawiłem.

– Przestań – szepnęła.

– Powinienem bardziej się postarać. Powinienem ożenić się z tobą wtedy, kiedy miałem szansę. Wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Nie mów tak, proszę. To boli.

Pokiwał głową, zrobił krok do tyłu, ale potem się zatrzymał.

– Nie chcę niczego z góry zakładać. I nie chcę przewracać twojego życia do góry nogami, pojawiając się tak znienacka. Jeśli chcesz, bym odjechał, wrócił do Pakistanu, powiedz tylko słowo, Lajlo. Naprawdę. Powiedz, a od razu odjadę. Nie będę cię już więcej niepokoił. Nie będę…

– Nie! – Lajla powiedziała to ostrzej, niż zamierzała. Zdała sobie sprawę, że kurczowo trzyma go za ramię. Opuściła rękę. – Nie. Nie wyjeżdżaj, Tarighu. Nie. Proszę, zostań.

Tarigh pokiwał głową.

– On pracuje od dwunastej do ósmej wieczorem. Wróć jutro po południu. Zabiorę cię do Azizy.

– Nie boję się go, wiesz o tym.

– Wiem. Wróć jutro po południu.

– A potem?

– A potem… Nie wiem. Muszę pomyśleć. To jest…

– Wiem. Rozumiem. Wybacz mi. Tak mi przykro z powodu tego wszystkiego.

– Niepotrzebnie. Obiecałeś, że wrócisz. I wróciłeś.

Oczy zaszły mu łzami.

– Tak dobrze cię widzieć, Lajlo.

Odprowadziła go wzrokiem, stojąc nieruchomo w drzwiach i dygocząc. Pomyślała, „całe tomy”, i wstrząsnął nią kolejny dreszcz, prąd czegoś smutnego i żałosnego, ale zarazem entuzjastycznego i pełnego zuchwałej nadziei.

45

Mariam

– Byłem na górze i bawiłem się z Mariam – powiedział Zalmaj.

– A twoja matka?

– Ona była… Była na dole i rozmawiała z tym mężczyzną.

– Rozumiem – powiedział Raszid – Praca zespołowa.

Mariam widziała, że jego twarz się rozluźnia, zmarszczki na czole wygładzają. Zmrużył podejrzliwie oczy pełne najgorszych przypuszczeń. Przez kilka chwil siedział sztywno, jakby po prostu głęboko się zamyślił, niczym kapitan statku, którego poinformowano o wiszącym w powietrzu buncie, rozważając swój następny ruch.

Podniósł wzrok.

Mariam zaczęła coś mówić, ale uniósł rękę i nie patrząc na nią, powiedział:

– Już za późno, Mariam.

Zalmajowi nakazał chłodnym głosem:

– Idź na górę, chłopcze.

Mariam zobaczyła niepokój na twarzy chłopca. Rozglądał się nerwowo, spoglądając na troje dorosłych. Wyczuł, że jego paplanina wywołała coś poważnego – coś poważnego i dorosłego – co zawisło teraz w powietrzu. Rzucił przygnębione skruszone spojrzenie Mariam, a potem swojej mamie.

Nieznoszącym sprzeciwu głosem Raszid warknął:

– Ale to już!

Wziął Zalmaja za łokieć, a Zalmaj dał się potulnie zaprowadzić na górę.

Mariam i Lajla stały jak zamurowane, nie patrzyły na siebie, lecz wbiły wzrok w ziemię, jakby obawiały się, że gdy ich spojrzenia się spotkają, uwiarygodnią sposób myślenia Raszida, który uważał, że podczas gdy on otwierał drzwi i nosił bagaże ludzi, którzy nawet na niego nie patrzyli, za jego plecami, w jego domu, na oczach jego syna, zawiązywał się spisek. Żadna z nich nie odezwała się słowem. Słyszały kroki na górze w przedpokoju, jedne ciężkie i złowieszcze,

drugie przypominające truchtanie płochliwego zwierzątka. Słyszały przyciszone słowa, piskliwe błaganie, szorstką ripostę, trzaśnięcie drzwi i zgrzyt klucza w zamku. Kroki wracają, tym razem zdradzając większe zniecierpliwienie.

Mariam zobaczyła jego stopy dudniące o stopnie. Zobaczyła klucz chowany do kieszeni, zobaczyła jego pasek, perforowany koniec owinięty ciasno wokół palców. Sprzączka z imitacji miedzi ciągnęła się za Raszidem, stukając o stopnie.

Rzuciła się, by go powstrzymać, ale odepchnął ją na bok. Bez słowa trzasnął pasem w Lajlę. Zrobił to tak szybko, że nie miała czasu, by się cofnąć albo zrobić unik, czy zasłonić się ramieniem. Lajla dotknęła palcem skroni i spojrzała ze zdumieniem na krew, a potem na Raszida. Ten wyraz niedowierzania utrzymał się tylko przez krótką chwilę, bo zaraz zastąpiła go nienawiść.

Raszid znów trzasnął pasem.

Tym razem Lajla zasłoniła się ramieniem, usiłując równocześnie złapać pas. Nie udało jej się i Raszid znów go uniósł. Lajla złapała go na ułamek sekundy przed uderzeniem. A potem Lajla zaczęła uciekać po całym pokoju, a Mariam krzyczeć i błagać Raszida, który gonił Lajlę,

zastępował jej drogę i okładał ją pasem. W pewnej chwili Lajla zrobiła unik i zdzieliła go pięścią w ucho. Raszid zaklął i zaczął ją gonić z jeszcze większą furią. Wreszcie jej dopadł, rzucił o ścianę i zaczął uderzać pasem jeszcze raz, i jeszcze raz, klamra waliła ją w piersi, kark, uniesione ramiona, raniąc do krwi.

Mariam straciła rachubę, nie wiedziała już, ile razy pas spadł na Lajlę, ile błagalnych słów wykrzyczała do Raszida, ile razy okrążyła ich dwoje splątanych w bezładnej masie zębów, pięści i wijącego się pasa, nim zobaczyła paznokcie drapiące Raszida po twarzy, nierówne paznokcie wbite w jego szczękę, ciągnące za jego włosy i drapiące mu czoło. Nim zrozumiała, zszokowana i zarazem zadowolona, że to są jej własne paznokcie.

Raszid puścił Lajlę i odwrócił się do Mariam. Najpierw patrzył na nią niewidzącym wzrokiem, potem zmrużył oczy i przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Zawiesił na niej przez chwilę wzrok. Jego spojrzenie wyrażało najpierw zdziwienie, a potem szok, dezaprobatę, wręcz rozczarowanie.

Mariam przypomniała sobie ten dzień, kiedy po raz pierwszy zobaczyła jego oczy pod ślubnym welonem, w lustrze, z Dżalilem

siedzącym obok i przypatrującym się tej scenie. Przypomniała sobie, jak ich spojrzenia prześlizgnęły się w lustrze i spotkały – jego obojętne, jej uległe, poddańcze, niemal przepraszające.

Przepraszające.

Teraz w tych samych oczach Mariam zobaczyła, jak bardzo była głupia.

Czy była kłamliwą żoną? – zadała sobie pytanie. Żoną zbyt pewną siebie? Niecną żoną? Kompromitującą? Wulgarną? Jaką krzywdę wyrządziła temu mężczyźnie, by zasłużyć sobie na taką niegodziwość, ciągłe napaści, uciechę, z jaką ją molestował? Czy nie opiekowała się nim, kiedy był chory? Czy nie karmiła jego i jego przyjaciół, czy sumiennie po nim nie sprzątała?

Czy nie oddała temu mężczyźnie swojej młodości?

Czy kiedykolwiek zasłużyła sobie na jego niegodziwość?

Pasek uderzył głucho o podłogę, kiedy Raszid wypuścił go z dłoni i ruszył na Mariam. Niektóre zadania, mówił ten głuchy odgłos, należy wykonać gołymi rękami.

Ale kiedy już niemal jej dosięgał, Mariam zobaczyła, że Lajla podnosi coś z ziemi. Patrzyła, jak dłoń Lajli unosi się do góry, a potem spada na

jego policzek. Na ziemię poleciały kawałki rozbitej szklanki. Na dłoniach Lajli pojawiła się krew, krew płynęła też z otwartej rany na policzku Raszida i spływała mu po szyi na koszulę. Odwrócił się z obnażonymi zębami i wściekłością w oczach.

Skłębili się na podłodze, Raszid i Lajla, wierzgając nogami. Raszid wylądował w końcu na górze i zacisnął dłonie na szyi Lajli.

Mariam rzuciła się na niego z pazurami. Biła go w klatkę piersiową. Rzuciła się na niego całym swoim ciężarem. Walczyła, usiłując oderwać jego palce od szyi Lajli. Gryzła je. Ale Raszid wciąż zaciskał palce kurczowo na tchawicy Lajli i Mariam zrozumiała, że nie zamierza popuścić.

Chciał ją udusić i żadna z nich nie mogła temu zapobiec.

Mariam wycofała się i wybiegła z pokoju. Słyszała stukanie na górze, wiedziała, że małe rączki walą w zamknięte drzwi. Wybiegła do holu. Wypadła frontowymi drzwiami. Przebiegła przez podwórko.

W szopie złapała szpadel.

Raszid nie zauważył, że wróciła. Wciąż siedział na Lajli, z szaleństwem w szeroko rozwartych oczach i dłońmi zaciśniętymi na jej gardle. Lajla posiniała na twarzy, a oczy

wychodziły jej z orbit. Mariam zobaczyła, że przestała już walczyć. On ją zabije, pomyślała. On naprawdę zamierza ją zabić. A Mariam nie mogła, absolutnie nie mogła na to pozwolić. Zabrał jej tak wiele w ciągu dwudziestu siedmiu lat małżeństwa. Nie chciała patrzeć, jak zabiera wszystko również Lajli.

Mariam stanęła pewnie i złapała mocniej trzonek szpadla. Uniosła go. Wypowiedziała jego imię. Chciała, by to widział.

– Raszidzie.

Spojrzał na nią.

Mariam zamachnęła się.

Uderzyła go w skroń. Cios oderwał go od Lajli.

Raszid dotknął swojej głowy. Spojrzał na krew na swoich palcach, a potem na Mariam. Miała wrażenie, że jego twarz łagodnieje. Wyobrażała sobie, że między nimi coś przepłynęło, że może dosłownie wbiła mu trochę rozumu do głowy. Może on również dostrzegł coś w jej twarzy, pomyślała Mariam, coś co sprawiło, że się wycofał. Może dostrzegł ślady samozaparcia, tych wszystkich poświęceń, tego całego wysiłku, którego wymagało od niej dzielenie z nim życia przez tyle lat, z jego ciągłą protekcjonalnością i przemocą, jego obwinianiem i złośliwością.

Czyżby w oczach Raszida dostrzegła szacunek? Żal?

Ale wtedy jego górna warga wykrzywiła się w złośliwym grymasie i Mariam pojęła, jak bardzo byłoby to bezsensowne, może nawet nieodpowiedzialne, gdyby tego nie dokończyła. Gdyby pozwoliła mu teraz odejść, to ile czasu minie, nim wyciągnie z kieszeni klucz, i pójdzie na górę do pokoju, w którym zamknął Zalmaja, po pistolet? Gdyby Mariam miała pewność, że zadowoli się zastrzeleniem tylko jej, że jest jakiś cień szansy, że oszczędzi Lajlę, zapewne wypuściłaby szpadel z dłoni. Ale w oczach Raszida zobaczyła wyrok śmierci dla nich obu.

Więc uniosła szpadel wysoko, tak wysoko, jak tylko mogła, tak, że jego koniec dotykał jej pleców. Potem obróciła go ostrą krawędzią do przodu, a kiedy to robiła, przyszła jej do głowy myśl, że oto po raz pierwszy w życiu ona sama decyduje o tym, jak potoczy się jej życie.

I z tą myślą opuściła szpadel. Tym razem z całą siłą, jaką mogła z siebie wykrzesać.

46

Lajla

Lajla była świadoma, że pochyla się nad nią ta twarz, wyszczerzone zęby, smród tytoniu i złowieszcze oczy. Uświadamiała sobie też niewyraźnie, że gdzieś niedaleko, gdzieś za nim, jest Mariam, że okłada go pięściami. Ponad nimi był sufit i to sufit przyciągnął całą uwagę Lajli, ciemne plamy pleśni rozlewające się jak tusz na sukience, pęknięcie tynku przypominające szeroki uśmiech albo zmarszczoną brew, w zależności od tego, z którego końca pokoju się patrzy. Lajla pomyślała o tych wszystkich razach, kiedy obwiązywała szczotkę szmatą i ściągała z sufitu pajęczyny. Przypomniała sobie, jak trzykrotnie z Mariam malowały sufit na biało. Pęknięcie nie przypominało już uśmiechu, lecz szydercze oko. I cofało się. Sufit się kurczył, unosił, odsuwał od niej w stronę jakiegoś

mglistego półmroku. Unosił się i kurczył, aż osiągnął rozmiary znaczka pocztowego, białego i jasnego, a wszystko wokół niego ginęło w głębokich ciemnościach. Twarz Raszida wyłaniała się z mroku jak plama na słońcu.

Krótkie drobne wybuchy oślepiającego światła, nim jej oczy eksplodowały srebrnymi gwiazdami. Dziwne geometryczne kształty w świetle, robaczki, jajowate kształty, poruszające się w górę, w dół, na boki, łączące się ze sobą, rozdzielające, przekształcające w coś innego, a potem zanikające, ustępujące miejsca ciemności.

Stłumione odległe głosy.

Pod zamkniętymi powiekami rozbłyskiwały twarze jej dzieci, a potem znikały. Aziza, zaniepokojona i przygnębiona, rozumiejąca, skryta. Zalmaj, spoglądający na swego ojca z niecierpliwym entuzjazmem.

Tak to się skończy, pomyślała Lajla. Co za żałosny koniec.

Ale wtedy ciemności zaczęły ustępować. Miała wrażenie, że ktoś ją unosi, dźwiga w górę. Sufit powoli wrócił, rozszerzył się, Lajla znów dostrzegła pęknięcie i był to ten sam stary tępy uśmiech.

Ktoś nią potrząsał. „Nic ci nie jest? Odpowiedz, nic ci nie jest?”. Twarz Mariam, poorana zadrapaniami, poważna i zatroskana pochyliła się nad Lajlą.

Lajla próbowała wziąć oddech. Paliło ją w gardle. Spróbowała jeszcze raz. Tym razem palenie było jeszcze silniejsze, i to nie tylko w gardle, ale również w piersiach. Dyszała. Ale oddychała. Zaczęło jej dzwonić w zdrowym uchu.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, kiedy usiadła, był Raszid. Leżał na plecach ze wzrokiem wbitym w przestrzeń, nie mrugał i miał rybi wyraz twarzy. Z ust wyciekło mu na policzek trochę różowej piany. Przód jego spodni był mokry. Zobaczyła jego czoło.

A potem zobaczyła szpadel.

Krzyknęła.

– Och! – Była przerażona, z trudem wydobywała z siebie głos. – Och, Mariam!

Lajla krążyła wokół, zawodząc i załamując ręce, a Mariam siedziała obok Raszida z dłońmi

na podołku, spokojna i nieruchoma. Od dłuższego czasu nie odezwała się ani słowem.

Lajla miała sucho w ustach, mamrotała coś do siebie i cała dygotała. Zmuszała się, by nie patrzeć na Raszida, na jego sztywne usta, otwarte oczy, krew zastygającą na kołnierzyku.

Na dworze zapadał zmrok, cienie stawały się coraz wyrazistsze. Twarz Mariam wyglądała w tym świetle na szczupłą i zapadniętą, ale ona sama nie sprawiała wrażenia wzburzonej czy zdenerwowanej. Wyglądała raczej na zmartwioną, zamyśloną i tak zatopioną w myślach, że kiedy mucha usiadła jej na policzku, w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Po prostu siedziała tam z wysuniętą dolną wargą, jak zawsze, kiedy była zamyślona.

Wreszcie powiedziała:

– Usiądź, Lajla *dżan*.

Lajla posłusznie usiadła.

– Musimy go stąd zabrać. Zalmaj nie może tego zobaczyć.

Zanim owinęły go w prześcieradła, Mariam wyjęła klucz z kieszeni Raszida. Potem Lajla złapała go za nogi, pod kolanami, a Mariam za ręce. Próbowały go podnieść, ale był tak ciężki, że

w końcu musiały przeciągnąć go po ziemi. Kiedy wywlekły go przez frontowe drzwi na podwórko, noga Raszida zaczepiła o framugę i wykręciła się na bok. Musiały się cofnąć i znów spróbować, a wtedy coś załomotało na górze, Lajla zachwiała się i upuściła Raszida. Opadła na ziemię, łkając i dygocząc, i Mariam musiała stanąć nad nią z rękami wspartymi na biodrach i powiedzieć, żeby wzięła się w garść. Że co się stało, to się nie odstanie.

Po jakimś czasie Lajla podniosła się, otarła twarz i wyniosły Raszida na podwórko bez większych kłopotów. Schowały go w szopie, za stołem do pracy, na którym leżała jego piła, trochę gwoździ, dłuto, młotek i kloc drewna, z którego Raszid zamierzał wyrzeźbić coś dla Zalmaja, ale nigdy się do tego nie zabrał.

Potem wróciły do domu. Mariam umyła ręce, przygładziła włosy i wzięła głęboki oddech.

– Teraz zajmę się twoimi ranami. Jesteś cała zakrwawiona, Lajla *dżan*.

Mariam oświadczyła, że musi to wszystko przemyśleć przez najbliższą noc. Zebrać myśli i opracować plan.

– Jest jakiś sposób – powiedziała – muszę tylko na niego wpaść.

– Musimy wyjechać! Nie możemy tu zostać – tłumaczyła Lajla łamiącym się, chrapliwym głosem. Nagle pomyślała o odgłosie, jaki musiał się rozlec, gdy szpadel uderzył w głowę Raszida, i wzdrygnęła się. Do gardła podeszła jej żółć.

Mariam cierpliwie czekała, aż Lajla poczuje się lepiej, a potem kazała jej się położyć, z głową na jej kolanach, i gładziła jej włosy, powtarzając, żeby się nie martwiła, że wszystko będzie dobrze. Powiedziała, że wyjadą, ona, Lajla, dzieci i Tarigh. Wyjadą z tego domu i tego bezlitosnego miasta. W ogóle wyjadą z tego ponurego kraju, przekonywała Mariam, gładząc ją po włosach, i pojadą w jakieś odległe i bezpieczne miejsce, gdzie nikt ich nie znajdzie, gdzie będą mogły odciąć się od przeszłości i gdzie znajdą schronienie.

– Gdzieś, gdzie rosną drzewa – powiedziała. – Tak. Dużo drzew.

Będą mieszkali w małym domku na przedmieściach jakiegoś miasta, o którym nigdy wcześniej nie słyszeli, opowiadała Mariam, albo w jakiejś odległej wiosce, gdzie drogi są wąskie i niebrukowane, ale rosną wzdłuż nich najróżniejsze rośliny i krzewy. Może będzie tam

jakaś ścieżka prowadząca na porośnięte trawą pole, na którym będą mogły bawić się dzieci, albo żwirowana droga, która wyprowadzi ich na brzeg czystego niebieskiego jeziora z pstrągami i kępami trzcin. Będą hodowali owce i kurczaki, i będą razem piekli chleb i uczyli dzieci czytać. Zaczną nowe życie – spokojne i samotne – a wtedy spadnie z nich brzemię tego wszystkiego, co musiały przecierpieć, i będą zasługiwały na tyle szczęścia i zwykłej pomyślności, ile tylko znajdą.

Lajla zamruczała coś zachęcająco. Będzie to życie pełne trudności, tak to widziała, ale trudności przyjemnych, z których pokonania jest się dumnym, które się ceni, tak jak ceni się pamiątki rodzinne. Miękki matczyny głos Mariam płynął, przynosząc jej pocieszenie i otuchę. Musi istnieć jakiś sposób, przekonywała i obiecała, że rankiem powie jej, co mają zrobić, i to zrobią, i może o tej samej porze następnego dnia będą już w drodze do tego nowego życia, życia pełnego możliwości, radości i satysfakcji z pokonywanych przeszkód. Lajla była wdzięczna, że Mariam przejęła dowodzenie, i że była w stanie przemyśleć to wszystko trzeźwo i klarownie za nie obie. Jej własny umysł

znajdował się w stanie roztrzęsienia i otumanionego zamętu.

Mariam wstała.

– Powinnaś teraz zająć się synem – powiedziała z najbardziej zbolałą miną, jaką Lajla kiedykolwiek widziała.

Lajla znalazła go w ciemnościach, zwiniętego na tej stronie łóżka, na której sypiał Raszid. Wślizgnęła się do łóżka i nakryła siebie i jego kołdrą.

– Śpisz?

Nie odwracając się w jej stronę, powiedział:

– Nie mogę zasnąć. Baba *dżan* nie odmówił jeszcze ze mną modlitw *Bablou*.

– Może dziś wieczorem ja mogę odmówić je z tobą?

– Nie możesz odmówić ich tak samo jak on.

Ścisnęła jego drobne ramię i pocałowała go w szyję.

– Mogę spróbować.

– Gdzie jest Baba *dżan*?

– Baba *dżan* wyjechał – wyszeptała Lajla przez zaciśnięte gardło.

I oto po raz pierwszy zostało wypowiedziane to wielkie, ciężkie kłamstwo. Ile jeszcze razy

trzeba będzie je powtórzyć? – zastanawiała się Lajla. Ile jeszcze razy trzeba będzie oszukać Zalmaja? Wyobraziła go sobie radośnie wybiegającego na powitanie, kiedy Raszid wracał do domu, brał go za ręce i zaczynał kręcić się w kółko, a nóżki Zalmaja zataczały coraz szybsze kręgi, a potem Zalmaj zataczał się jak pijany i obaj chichotali jak wariaci. Przypomniała sobie ich chaotyczne zabawy i hałaśliwe śmiechy, ich porozumiewawcze spojrzenia.

Lajlę spowił całun wstydu i żalu z powodu syna.

– Dokąd pojechał?

– Nie wiem, kochanie.

Kiedy wróci? Czy Baba *dżan* przywiezie mu prezent?

Odmówiła modlitwy z Zalmajem. Dwadzieścia jeden *Bismallah-e-rahman-rahim* – po jednej na każdy knykieć siedmiu palców. Patrzyła, jak składa dłonie na wysokości buzi i dmucha w nie, a potem znów składa obie dłonie na czole i wykonuje ruch odpędzania, szepcząc: „*Babalu*, odejdź, nie przychodź do Zalmaja, on nie ma nic do ciebie. *Babalu*, odejdź”. A potem na zakończenie trzykrotnie powtórzyli: *Allah-u-akbar*. A jeszcze później, nocą, Lajla, ku swojemu zaskoczeniu, usłyszała cichutki głos: „Czy Baba

dżan wyjechał przeze mnie? Przez to, co powiedziałem o tobie i tym mężczyźnie na dole?”.

Pochyliła się nad nim, by go zapewnić, że nie. Miała powiedzieć: „To nie miało nic wspólnego z tobą, Zalmaju”. Ale on już spał, a jego maleńkie piersi wznosiły się i opadały miarowo.

Kiedy Lajla kładła się spać, jej umysł był wyciszony, zachmurzony, niezdolny do racjonalnego myślenia. Ale gdy obudziło ją wezwanie muezina do porannej modlitwy, otępienie ją opuściło.

Usiadła i przez chwilę patrzyła na Zalmaja, wciąż śpiącego, z piąstką wciśniętą pod podbródek. Lajla wyobraziła sobie Mariam wślizgującą się w nocy do sypialni, obserwującą ich pogrążonych we śnie i snującą plany.

Wstała z łóżka i z trudem stanęła na nogach. Bolało ją wszystko: szyja, kark, plecy, ramiona, uda. Całe ciało miała poorane ranami po klamrze paska Raszida. Krzywiąc się z bólu, cicho wyszła z sypialni.

W pokoju Mariam światło było o ton ciemniejsze od szarości, takie, jakie zawsze kojarzyło się Lajli z piejącymi kogutami i rosą

spadającą ze źdźbeł trawy. Mariam siedziała w kącie na dywaniku do modlitwy twarzą do okna. Lajla osunęła się na podłogę naprzeciwko niej.

– Powinnaś dziś rano pójść do Azizy – powiedziała Mariam.

– Wiem, co zamierzasz zrobić.

– Nie idź na piechotę. Pojedź autobusem, zmieszasz się z tłumem. Taksówki zbytnio rzucają się w oczy. Na pewno by cię zatrzymali za to, że jedziesz sama.

– To, co obiecałaś ostatniego wieczoru…

Lajla nie potrafiła dokończyć. Drzewa, jezioro, bezimienna wioska. Zobaczyła złudzenie. Cudowne kłamstwo, które miało ukoić jej ból. Jak gruchanie do zrozpaczonego dziecka.

– Naprawdę miałam to na myśli – zapewniła Mariam. – Miałam to na myśli dla ciebie, Lajla *dżan*.

– Nie chcę żadnej z tych rzeczy bez ciebie – szepnęła Lajla łamiącym się głosem.

Mariam uśmiechnęła się blado.

– Chcę, żeby wszystko było dokładnie tak, jak powiedziałaś, Mariam, żebyśmy pojechali razem, ty, ja, dzieci. Tarigh ma takie miejsce w Pakistanie. Możemy ukryć się tam na jakiś czas, poczekać, aż wszystko się uspokoi…

– To nie jest możliwe – tłumaczyła cierpliwie Mariam, jak rodzic przemawiający do dziecka, które chce dobrze, ale nie ma rozeznania.

– Zaopiekujemy się sobą nawzajem – mówiła Lajla, połykając łzy. – Tak jak powiedziałaś. Nie. Nie, to ja zaopiekuję się dla odmiany tobą.

– Och, Lajla *dżan*.

Lajla, zacinając się, wygłaszała swoją tyradę. Targowała się. Składała obietnice. Będę wszystko sprzątać, powiedziała, i gotować.

– Nie będziesz musiała nic robić. Nigdy więcej. Będziesz odpoczywała, spała, uprawiała ogródek. Cokolwiek zechcesz, wystarczy, że poprosisz, a ja to zrobię. Nie rób tego, Mariam. Nie zostawiaj mnie. Nie łam serca Azizie.

– Odcinają dłonie za kradzież chleba – powiedziała Mariam. – Jak sądzisz, co zrobią, kiedy znajdą martwego męża i dowiedzą się, że jego dwie żony gdzieś przepadły?

– Nikt się o tym nie dowie – wyrzuciła z siebie jednym tchem Lajla. – Nikt nas nie znajdzie.

– Znajdą. Wcześniej czy później. To żądni krwi tropiciele. – Mariam mówiła cichym, ostrożnym głosem. Obietnice Lajli brzmiały niesamowicie, nieprawdopodobnie głupio.

– Mariam, proszę…

– Kiedy już się dowiedzą, uznają cię za równie winną, jak mnie. Tarigha też. Nie pozwolę, żebyście oboje żyli, uciekając jak zbiegowie. Co stanie się z twoimi dziećmi, jeśli cię złapią?

Oczy Lajli napełniły się piekącymi łzami.

– Kto się wtedy nimi zajmie? Talibowie? Myśl jak matka, Lajla *dżan*. Myśl jak matka. Ja tak myślę.

– Nie mogę.

– Musisz.

– To nie jest w porządku – jęknęła Lajla.

– Ależ jest. Chodź tutaj. Chodź, połóż się tutaj.

Lajla podczołgała się do niej i znów położyła głowę na jej kolanach. Przed oczami stanęły jej te wszystkie popołudnia, które spędziły razem, zaplatając sobie włosy, Mariam słuchająca cierpliwie jej bezładnych myśli i zwykłych opowieści z wdzięcznością, z miną osoby, której przyznano jedyny i wyjątkowy przywilej.

– To jest w porządku – powiedziała Mariam. – Zabiłam naszego męża. Pozbawiłam twojego syna ojca. To nie byłoby w porządku, gdybym uciekła. Nie mogę. Nawet gdyby nigdy nas nie złapali, ja nigdy bym… – Jej usta zadrżały. – Ja nigdy nie ucieknę przed rozpaczą twojego syna. Jak miałabym spojrzeć mu w oczy? Jak ja w ogóle

kiedykolwiek miałabym na niego spojrzeć, Lajla *dżan*?

Mariam przeczesała palcami włosy Lajli, rozplotła niesforny kosmyk.

– Dla mnie w tym miejscu wszystko się kończy. Niczego więcej nie pragnę. Wszystko, czego pragnęłam jako mała dziewczynka, dostałam z ciebie. Ty i twoje dzieci daliście mi tyle szczęścia. Tak jest dobrze, Lajla *dżan*. Tak jest dobrze. Nie bądź smutna.

Lajla nie znajdowała żadnej rozsądnej odpowiedzi na to, co powiedziała Mariam. Ale i tak rozwodziła się bez końca, bezładnie, dziecinnie, nad drzewami owocowymi, które czekały, aż razem je zasadzą, i kurczakami, które miały hodować. Opowiadała o małych domkach w bezimiennych wioskach i spacerach nad pełnymi pstrągów jeziorami. Aż wreszcie, kiedy zabrakło jej słów, łez wciąż miała pod dostatkiem, i poddała się, płacząc i łkając jak dziecko przygniecione niezbitą logiką dorosłego. Wszystko, co mogła zrobić, to zwinąć się w kłębek i po raz ostatni wtulić twarz w ciepłe, serdeczne łono Mariam.

Nieco później Mariam zapakowała Zalmajowi lunch składający się z chleba i suszonych fig. Dla Azizy również zapakowała trochę fig i kilka ciasteczek w kształcie zwierzątek. Włożyła wszystko do papierowej torby i wręczyła ją Lajli.

– Ucałuj ode mnie Azizę – powiedziała. – Powiedz jej, że jest *nur* moich oczu i sułtanem mojego serca. Zrobisz to dla mnie?

Lajla pokiwała głową z zaciśniętymi ustami.

– Wsiądź do autobusu, tak jak ci mówiłam, i trzymaj głowę nisko pochyloną.

– Kiedy cię zobaczę, Mariam? Chcę cię zobaczyć, zanim złożę zeznania. Powiem im, co się stało. Wytłumaczę, że to nie była twoja wina. Że musiałaś to zrobić. Zrozumieją, prawda, Mariam? Zrozumieją.

Mariam spojrzała na nią łagodnie.

Schyliła się tak, by jej oczy znalazły się na tym samym poziomie co oczy Zalmaja. Miał na sobie czerwony podkoszulek, znoszone spodnie khaki i używane kowbojki, które Raszid kupił mu na Mandaii. W dłoniach ściskał nową piłkę do koszykówki. Mariam ucałowała go w policzek.

– Masz być teraz dobrym, silnym chłopcem – powiedziała. – I traktuj dobrze swoją mamę. – Ujęła jego twarz w dłonie. Próbował się odsunąć, ale trzymała go mocno. – Jest mi tak przykro,

Zalmaj *dżan*. Uwierz mi, jest mi bardzo przykro z powodu twojego bólu i smutku.

Lajla trzymała go za rękę, kiedy szli ulicą. Nim skręcili za róg, odwróciła się i zobaczyła Mariam w drzwiach. Miała na sobie białą chustę, ciemnoniebieski sweter zapinany na guziki i białe bawełniane spodnie. Spod chusty wymykały się pasma siwych włosów. Na jej twarz i ramiona padały promienie słońca. Mariam pomachała do nich pogodnie.

Skręcili za róg. Lajla nigdy więcej nie zobaczyła Mariam.

47

Mariam

Po tylu latach miała wrażenie, jakby znów znalazła się w *kolbie*.

Więzienie dla kobiet Walajat mieściło się w ponurym, kwadratowym budynku w Szahr-e Nau, niedaleko ulicy Kurcząt. Budynek stał w samym środku większego kompleksu, w którym przebywali mężczyźni. Zamykane na kłódkę drzwi oddzielały Mariam i pozostałe kobiety od otaczających je więźniów. Mariam doliczyła się pięciu cel. Były to nieumeblowane izby o brudnych ścianach, z których tynk odłaził całymi płatami, i małych oknach wychodzących na podwórze. Okna były zakratowane, choć drzwi do cel pozostawiono otwarte i kobiety mogły wchodzić i wychodzić na podwórko, kiedy im się podobało. W oknach nie było szyb. Nie było w nich również zasłon i talibscy strażnicy,

którzy krążyli po podwórku, mogli zaglądać do cel. Niektóre kobiety narzekały, że strażnicy palą pod oknami, pożądliwi, drapieżni zaglądają do środka i szeptem wymieniają między sobą nieprzyzwoite żarty na ich temat. Z tego powodu większość kobiet w ciągu dnia nosiła burki, zdejmując je dopiero po zachodzie słońca, kiedy zamykano główną bramę, a strażnicy wracali na swoje stanowiska.

Nocami w celi, którą Mariam dzieliła z pięcioma innymi kobietami i czworgiem dzieci, panowały ciemności. Kiedy był prąd, podnosiły Naghmę, niską dziewczynkę, płaską jak deska, o czarnych kręconych włosach, wysoko pod sufit. Był tam przewód elektryczny, z którego ktoś zdarł izolację. Naghma gołymi rękoma owijała przewód wokół podstawy żarówki, żeby zapalić światło.

Toalety były wielkości szafy z cementową popękaną podłogą. Pośrodku znajdował się mały prostokątny otwór, na którego dnie leżały odchody. Przez dziurę wlatywały i wylatywały muchy.

Pośrodku więzienia znajdowało się niezadaszone, prostokątne podwórze, a pośrodku podwórza – studnia. Studnia nie miała systemu odprowadzającego wodę, przez co podwórze

często zamieniało się w bagno, a woda była niesmaczna. Sznury do suszenia bielizny, pełne skarpetek i pieluch, kołysały się, uderzając w twarz przechodzące osoby. To tam więźniowie spotykali się z odwiedzającymi i gotowali ryż, który przyniosły im rodziny – więzienie nie zapewniało żadnego jedzenia. Podwórze było również placem zabaw dzieci – Mariam dowiedziała się, że wiele z nich urodziło się w Walajat i nigdy nie widziało świata za murami. Przyglądała się ich zabawom, patrzyła, jak ich bose stopy ślizgają się po błocie. Przez cały dzień uganiały się po podwórzu, wymyślając przeróżne zabawy, nieświadome smrodu odchodów i moczu, który przenikał Walajat i ich ciała, nie zwracając uwagi na talibskich strażników, dopóki jeden z nich nie uderzył któregoś z dzieci w twarz.

Mariam nikt nie odwiedzał. To była pierwsza i jedyna rzecz, o którą poprosiła talibskich urzędników więziennych. Żadnych odwiedzin.

Żadna z kobiet w celi Mariam nie odsiadywała wyroku za brutalną zbrodnię – wszystkie znalazły się tutaj z powodu zwykłego przestępstwa: „ucieczki z domu”. W efekcie

Mariam zyskała wśród nich pewną sławę, stała się osobistością. Kobiety zerkały na nią z nabożną, wręcz pełną podziwu miną. Oddawały jej swoje koce. Konkurowały ze sobą o to, która podzieli się z nią jedzeniem.

Najbardziej podekscytowana była Naghma, która łapała Mariam za łokieć i wszędzie za nią chodziła. Naghmę bawiło rozgłaszanie informacji o nieszczęściach, własnych lub cudzych. Powiedziała, że ojciec obiecał ją pewnemu starszemu od niej o trzydzieści lat krawcowi.

– Śmierdzi jak *goh* i ma mniej zębów niż palców – opisała krawca Naghma.

Próbowała uciec do Gardez z młodym mężczyzną, w którym się zakochała, synem miejscowego mułły. Dotarli zaledwie na przedmieścia Kabulu. Kiedy ich złapano i odesłano z powrotem, syn mułły został wychłostany, po czym wyraził skruchę i stwierdził, że to Naghma uwiodła go swymi wdziękami. Że rzuciła na niego urok. Obiecał, iż poświęci się studiom Koranu. Syn mułły odzyskał wolność. Naghma dostała wyrok pięciu lat więzienia.

Nie przeszkadzało jej to, powiedziała, że siedzi w więzieniu. Jej ojciec przysiągł, że w dniu,

w którym Naghma wyjdzie na wolność, poderżnie jej gardło.

Słuchając Naghmy, Mariam przypomniała sobie stłumiony blask zimnych gwiazd i pierzaste różowe chmury ciągnące się nad górami Safed-koh dawno temu, gdy Nana powiedziała do niej: „Tak jak igła kompasu zawsze wskazuje północ, tak oskarżycielski palec mężczyzny zawsze znajdzie kobietę. Zawsze. Pamiętaj o tym, Mariam”.

Mariam została osądzona tydzień wcześniej. Nie miała adwokata, nie było oficjalnej rozprawy sądowej, żadnego sprawdzania dowodów czy możliwości apelacji. Mariam zrezygnowała z prawa do świadków. Wszystko trwało mniej niż piętnaście minut.

Sędzia siedzący pośrodku, talib, sprawiający wrażenie bardzo kruchego, prowadził rozprawę. Był wymizerowany, miał żółtą pergaminową skórę i kręconą rudą brodę. Nosił okulary, które powiększały jego oczy i ukazywały żółte białka. Jego szyja sprawiała wrażenie zbyt cienkiej, by utrzymać misternie zawiązany na głowie turban.

– Przyznajesz się do tego, *hamszira*? – spytał ponownie zmęczonym głosem.

– Tak, przyznaję się – odparła Mariam.

Mężczyzna pokiwał głową. A może tylko tak jej się zdawało. Trudno było powiedzieć, bo zarówno dłonie, jak i broda drżały mu w sposób przypominający Mariam drżenie mułły Faizullaha. Kiedy chciał napić się herbaty, nie sięgał sam po kubek. Dawał znak mężczyźnie o szerokich ramionach siedzącemu po lewej, który z szacunkiem unosił kubek do jego ust, a talib przymykał delikatnie oczy, wytwornie, bez słów okazując wdzięczność.

Mariam dostrzegła w nim coś rozbrajającego. Kiedy mówił, w jego głosie wyczuwało się nutę przebiegłości i delikatności. Jego uśmiech był cierpliwy. Nie patrzył na Mariam z pogardą. Nie zwracał się do niej tonem oskarżycielskim, tylko lekko przepraszającym.

– Czy w pełni rozumiesz to, co mówisz? – spytał talib o kościstej twarzy, nie ten od herbaty, siedzący po prawicy sędziego. Był najmłodszy z całej trójki. Mówił szybko, dobitnie, z aroganckim poczuciem pewności siebie. Irytowało go, że Mariam nie mówi po pasztuńsku. A ona miała wrażenie, że jest swarliwym młodzieńcem, który delektuje się władzą, wszędzie dostrzega powód do obrazy

i uważa, że z urodzenia przysługuje mu prawo do wydawania wyroków.

– Rozumiem – odparła Mariam.

– Zastanawiam się – powiedział młody talib. – Bóg uczynił nas innymi, was kobiety i nas mężczyzn. Nasze mózgi są inne. Nie jesteście w stanie myśleć tak jak my. Zachodni lekarze i ich nauka tego dowiodły. Dlatego wymagamy na świadka tylko jednego mężczyznę, ale dwóch kobiet.

– Przyznaję się do tego, co zrobiłam, bracie – odezwała się Mariam. – Ale gdybym tego nie zrobiła, on by ją zabił. Dusił ją.

– Tak mówisz. Ale kobiety często pod przysięgą mówią różne rzeczy.

– Masz świadków? Innych niż twoja *ambagh?*

– Nie mam.

– Cóż. – Wyrzucił ręce w górę i zarżał śmiechem.

Potem przemówił schorowany talib.

– Znam takiego jednego lekarza w Peszawarze. Miłego, młodego Pakistańczyka. Poprosiłem go: „Powiedz mi prawdę, przyjacielu”, a on odparł: „trzy miesiące, mułło *sahebie*, może co najwyżej sześć”, wszystko oczywiście zależy od bożej woli.

Dyskretnie dał znak mężczyźnie o szerokich ramionach po lewej i upił kolejny łyk herbaty, którą ten mu podał. Otarł usta wierzchem drżącej dłoni.

– Nie przeraża mnie to, że opuszczę tę ziemię, którą mój jedyny syn opuścił pięć lat temu, to życie, które wymaga, abyśmy znosili kolejne smutki długo po tym, gdy zaczyna nam się wydawać, że więcej już nie zniesiemy. Nie. Ja wierzę, że gdy nadejdzie czas, z pogodą ducha opuszczę ten padół. To, co mnie przeraża, *hamszira*, to świadomość, że Bóg postawi mnie przed swoim obliczem i zapyta: „Dlaczego nie postąpiłeś tak, jak mówiłem, mułło? Dlaczego nie przestrzegałeś moich praw?”. Jak ja mu się wytłumaczę, *hamszira*? Czym usprawiedliwię to, że nie zważałem na jego przykazania? Wszystko, co mogę zrobić, co każdy z nas może zrobić w czasie, który jest nam dany, to przestrzegać praw, które On dla nas ustanowił. Im wyraźniej widzę swój koniec, *hamszira*, im bliżej jestem dnia mojego sądu, z tym większym zdecydowaniem niosę Jego słowo. Choćby było to bardzo bolesne.

Uniósł się na poduszkach i skrzywił.

– Wierzę ci, kiedy mówisz, że twój mąż był człowiekiem o niemiłym usposobieniu –

podsumował, przyszpilając Mariam zza okularów surowym i współczującym spojrzeniem. – Ale jestem zaniepokojony brutalnością twojego czynu, *hamszira*. Martwi mnie to, co zrobiłaś. Martwi mnie, że ten mały chłopiec płakał na górze, kiedy to robiłaś. Jestem zmęczony i umieram, i chcę okazać miłosierdzie. Chcę ci przebaczyć. Ale gdy Bóg mnie wezwie i powie: „Ale to nie ty miałeś przebaczyć, mułło, co mu odpowiem?”.

Jego towarzysze pokiwali głowami i spojrzeli na niego z podziwem.

– Coś mi mówi, że nie jesteś niegodziwą kobietą, *hamszira*. Ale popełniłaś niegodziwy czyn. I musisz zapłacić za to, co uczyniłaś. Szarijat wypowiada się na ten temat jasno. Mówi, że muszę wysłać cię tam, gdzie wkrótce sam się znajdę. Rozumiesz, *hamszira*?

Mariam spojrzała na swoje ręce i powiedziała, że rozumie.

– Niech Allah ci wybaczy.

Nim ją wyprowadzili, podali Mariam dokument i polecili, by podpisała się pod swoim zeznaniem i wyrokiem mułły. Pod okiem trzech talibów Mariam napisała swoje imię – najpierw literę *mim*, potem *ra*, *ja* i znów *mim* – przypominając sobie ostatni raz, gdy

podpisywała własnym imieniem dokument, dwadzieścia siedem lat temu, przy stole Dżalila, pod uważnym spojrzeniem innego mułły.

Mariam spędziła w więzieniu dziesięć dni. Siedziała przy oknie celi i obserwowała więzienne życie na podwórku. Kiedy wiał letni wiatr, patrzyła na strzępki papieru unoszone podmuchami, wirujące spiralnym ruchem i rzucane to tu, to tam, wysoko ponad mury więzienia. Obserwowała wiatry wzbudzające bunt pośród pyłu, unoszące go w gwałtownych wirach miotających się po podwórzu. Wszyscy – strażnicy, więźniowie, dzieci, Mariam – chowali twarze w ramiona, ale pyłu nie sposób było powstrzymać. Wdzierał się do uszu i nosa, między rzęsy i zmarszczki na skórze, nawet między zęby. Dopiero o zmierzchu wiatr ustawał. A wtedy, jeśli nawet pojawiała się nocna bryza, to tak nieśmiała, jakby chciała odpokutować za ekscesy swego dziennego brata.

W ostatnim dniu pobytu Mariam w Walajat Naghma dała jej mandarynkę. Wsunęła ją w dłonie Mariam i zacisnęła na niej jej palce. A potem wybuchła płaczem.

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką – powiedziała.

Mariam spędziła resztę dnia przy zakratowanym oknie, obserwując więźniów. Ktoś gotował jedzenie i przez okno wpadła smuga pachnącego kuminem dymu i ciepłego powietrza. Mariam widziała dzieci bawiące się w ciuciubabkę. Dwie małe dziewczynki śpiewały rymowankę i Mariam przypomniała ją sobie z dzieciństwa, przypomniała sobie, jak Dżalil śpiewał jej, siedząc z nią na kamieniach i łowiąc ryby:

Luli, luli, ptasia studnia,
w ptasiej studni woda brudna.
Mała płotka przypłynęła,
chciała pić, lecz utonęła.

Tej ostatniej nocy Mariam miała chaotyczne sny. Śniły jej się kamyki, jedenaście kamyków ułożonych pionowo. Dżalil, znów młody, uśmiechnięty, z dołeczkami w policzkach, plamami potu na koszuli, z marynarką przerzuconą przez ramię, przyjechał wreszcie, by zabrać swoją córkę na przejażdżkę czarnym buickiem roadmasterem. Mułła Faizullah przesuwał paciorki różańca, spacerował z nią

brzegiem strumienia, ich bliźniacze cienie ślizgały się po powierzchni wody i zielonym brzegu obsypanym niebieskolawendowymi dzikimi irysami, które we śnie Mariam pachniały jak goździki. Śniła jej się Nana stojąca w drzwiach *kolby*, jej przytłumiony odległy głos wołający ją na kolację, a ona sama bawiła się wśród chłodnych splątanych traw, po których pięły się mrówki, pomykały chrząszcze i skakały koniki polne, pośród wszelkich możliwych odcieni zieleni. Skrzypienie kół taczek mozolnie pnących się zakurzoną ścieżką. Dzwonienie dzwonków uwiązanych na szyjach krów. Owce beczące na wzgórzu.

W drodze na stadion Ghazi Mariam podskakiwała na ławce ciężarówki, która starała się omijać dziury w jezdni, a spod jej kół pryskał na boki żwir. Od tego podskakiwania bolała ją kość ogonowa. Naprzeciw niej siedział młody uzbrojony talib i się jej przyglądał.

Mariam zastanawiała się, czy to będzie właśnie on, ten młodzieniec o nieco wydłużonej twarzy, stukający czarnym od brudu paznokciem palca wskazującego w bok ciężarówki.

– Jesteś głodna, matko? – spytał.

Mariam pokręciła głową.

– Mam ciasteczko. Jest smaczne. Możesz je zjeść, jeśli jesteś głodna. Nie mam nic przeciwko temu.

– Nie. *Taszakkor*, bracie.

Pokiwał głową i spojrzał na nią łagodnie.

– Boisz się, matko?

Ścisnęło ją w gardle. Drżącym głosem Mariam wyznała mu prawdę:

– Tak, bardzo się boję.

– Mam zdjęcie mojego ojca – powiedział. – Nie pamiętam go. Kiedyś zajmował się naprawą rowerów, tyle o nim wiem. Ale nie pamiętam, jak chodził, jak się śmiał ani nie pamiętam jego głosu. – Odwrócił wzrok, a potem znów spojrzał na Mariam. – Moja matka powtarzała, że był najdzielniejszym mężczyzną, jakiego znała. Był jak lew, tak mawiała. Ale powiedziała, że płakał jak dziecko tego ranka, kiedy zabrali go komuniści. Mówię ci to, żebyś wiedziała, że lęk jest czymś normalnym. Nie ma się czego wstydzić, matko.

Tysiąc oczu spoglądało na nią z góry. Na zatłoczonych trybunach ludzie wyciągali szyje, by mieć lepszy widok. Mlaskali językami. Kiedy

Mariam wysiadała z ciężarówki, przez stadion przetoczył się pomruk. Kiedy z głośników popłynęła wiadomość o popełnionej przez nią zbrodni, Mariam wyobraziła sobie, jak widzowie kręcą głowami. Ale nie podniosła wzroku, by zobaczyć, czy kręcą głowami z dezaprobatą, czy z życzliwością, z wyrzutem, czy litością. Mariam była na to wszystko ślepa.

Wcześniej, rankiem, obawiała się, że się ośmieszy, że zacznie błagać i widowiskowo łkać. Bała się, że może zacząć krzyczeć albo wymiotować, albo nawet się zmoczy, że w ostatnich chwilach życia zdradzi ją zwierzęcy instynkt albo zawiedzie ciało. Ale kiedy wysiadała z ciężarówki, nie ugięły się pod nią nogi. Jej ramiona nie zaczęły młócić powietrza. Nie trzeba było wyciągać jej na siłę. A gdy poczuła, że słabnie, pomyślała o Zalmaju, któremu zabrała miłość jego życia, którego życie wypełni teraz smutek po ojcu, który przepadł. I wtedy Mariam stanęła pewnie na nogach i mogła iść, nie protestując.

Zbliżył się do niej jakiś uzbrojony mężczyzna i kazał jej iść do południowej bramki. Mariam czuła, że tłum tężeje w oczekiwaniu. Nie spojrzała w górę. Wbiła wzrok w ziemię, w swój cień, w cień kata podążający za jej cieniem.

Choć zdarzyły się piękne chwile, Mariam wiedziała, że na ogół życie nie było dla niej łaskawe. Ale kiedy pokonywała ostatnie dwadzieścia kroków, nic nie mogła poradzić na to, że chciała mieć go więcej. Pragnęła znów zobaczyć Lajlę, usłyszeć jej dźwięczny śmiech, usiąść z nią raz jeszcze przy filiżance *czaj* i resztkach *halwa* pod roziskrzonym gwiazdami niebem. Żałowała, że nigdy nie zobaczy, jak Aziza dorasta, nie zobaczy tej pięknej młodej kobiety, którą się kiedyś stanie, nie pomaluje jej dłoni henną i nie rozrzuci słodkich *noghel* na jej weselu. Nigdy nie będzie bawić się z dziećmi Azizy. Bardzo tego chciała, zestarzeć się i bawić z dziećmi Azizy.

Idący za nią mężczyzna kazał jej zatrzymać się przed bramką. Mariam usłuchała. Przez siatkę burki zobaczyła cienie jego ramion unoszących cień kałasznikowa.

W tych ostatnich chwilach Mariam żałowała tak wielu rzeczy. A jednak, gdy zamknęła oczy, nie spłynęło na nią poczucie żalu, ale wrażenie obfitości. Pomyślała o tym, jak zjawiła się na tym świecie jako dziecko *harami* ubogiej wieśniaczki, coś niezamierzonego, nędzny, godny pożałowania przypadek. Chwast. A mimo to opuszczała świat jako kobieta, która kochała

i była kochana… Opuszczała ten świat jako przyjaciółka, towarzyszka, opiekunka. Jako matka. Wreszcie jako ważna osobistość. Nie. Nie jest tak źle, pomyślała Mariam, że umiera akurat taką śmiercią. Nie tak źle. To prawowity koniec nieprawowitego życia.

Ostatnie myśli Mariam krążyły wokół kilku słów z Koranu, które szeptała:

On stworzył niebiosa i ziemię prawdziwie. On nawija noc na dzień i On nawija dzień na noc. On podporządkował słońce i księżyc – każde wędruje do naznaczonego kresu. Czyż On nie jest Potężny, Przebaczający?[9].

– Uklęknij – powiedział talib.

O mój Panie! Przebacz nam więc i okaż miłosierdzie! Ty jesteś najlepszym z przebaczających![10].

– Uklęknij tu, *hamszira*. I opuść głowę.

Mariam po raz ostatni zrobiła to, co jej nakazano.

CZĘŚĆ CZWARTA

48

Tarigh miewa teraz bóle głowy.

Czasem Lajla budzi się w nocy i zastaje go siedzącego na brzegu łóżka, kołyszącego się, z koszulką owiniętą wokół głowy. Bóle zaczęły się w Nasir Bagh, mówi Tarigh, i zaostrzyły w więzieniu. Czasem powodują wymioty albo chwilowy zanik widzenia w jednym oku. Tarigh mówi, że czuje się tak, jakby nóż rzeźnicki przecinał mu skroń, powoli wwiercając się w jego mózg, by wyjść drugą stroną.

– Kiedy się zaczynają, czuję w ustach smak metalu.

Czasem Lajla zwilża szmatkę i kładzie na jego czole, co przynosi mu pewną ulgę. Małe okrągłe pastylki, które dał Tarighowi lekarz Sajida, też pomagają. Ale w niektóre noce Tarigh może tylko trzymać się za głowę i jęczeć, ma przekrwione oczy i kapie mu z nosa. Kiedy ma taki atak, Lajla siedzi przy nim, masuje mu kark, trzyma go za

ręce, czując w swych ciepłych dłoniach jego zimną obrączkę.

Pobrali się tego samego dnia, w którym przyjechali do Muri. Sajidowi wyraźnie ulżyło, kiedy Tarigh powiedział, że mają taki zamiar. Dzięki temu nie musiał poruszać z Tarighiem delikatnej kwestii związanej z przebywaniem na terenie jego hotelu pary niezwiązanej węzłem małżeńskim. Sajid w ogóle nie jest taki, jakim wyobrażała go sobie Lajla. Wcale nie jest rumiany na twarzy, a jego oczy nie są wąskie. Ma za to siwawe wąsy, które zakręca ostro na końcach, i grzywę szpakowatych włosów zaczesanych do tyłu. Mówi miękko, w sposób wyważony, ma nienaganne maniery i z wdziękiem gestykuluje.

To Sajid wezwał przyjaciela oraz mułłę na *nekoh*, która miała się odbyć tego dnia. I to również on wziął Tarigha na bok, by dać mu trochę pieniędzy. Tarigh nie chciał ich przyjąć, ale Sajid nalegał. Wtedy Tarigh poszedł na ulicę Mall i wrócił z dwiema prostymi obrączkami. Pobrali się wieczorem, kiedy dzieci poszły spać.

W lustrze, pod zielonym welonem, który mułła rozłożył na ich głowach, oczy Lajli spotkały się z oczami Tarigha. Nie było łez ani uśmiechów charakterystycznych dla takich

uroczystości, żadnych szeptem wygłaszanych obietnic o wiecznej miłości. W ciszy Lajla spojrzała na ich odbicia, twarze, które postarzały się ponad ich wiek, worki pod oczami i zmarszczki, które znaczyły teraz ich niegdyś gładkie, młodzieńcze twarze. Tarigh otworzył usta i zaczął coś mówić, ale ledwie zaczął, ktoś ściągnął welon i Lajla nie dowiedziała się, co zamierzał powiedzieć.

Tej nocy leżeli w łóżku jako mąż i żona, a dzieci pochrapywały niżej na polowych łóżkach. Lajla wspominała łatwość, z jaką kiedyś, kiedy byli młodsi, zapełniali dzielącą ich przestrzeń słowami, które płynęły wartkim strumieniem. Szybko wymieniali myśli, wpadali sobie w słowo, szarpali się za kołnierzyki, aby podkreślić wagę tego, co mówią, wybuchali śmiechem i wszystkim się zachwycali. Od czasów ich dzieciństwa wydarzyło się tak wiele. Tak wiele trzeba było sobie opowiedzieć. Ale tej pierwszej nocy ogrom tego, co się wydarzyło, odebrał jej wszystkie słowa. Tej nocy błogosławieństwem było to, że leżała obok niego, czuła ciepło jego ciała, ich głowy się stykały, jego prawa dłoń spoczywała na jej lewej dłoni.

W środku nocy Lajla obudziła się spragniona i odkryła, że ich dłonie wciąż są splecione, mieli

zbielałe knykcie, jak dzieci niecierpliwie ściskające sznurki baloników.

Lajla lubi zimne mgliste poranki w Muri i olśniewające światło o zmierzchu, ciemne, lśniące niebo, zieleń sosen i jasnobrązowe wiewiórki śmigające w górę i w dół mocnych pni drzew, a także gwałtowne ulewy, które zmuszają przechodniów na ulicy Mall do szukania schronienia pod markizami sklepów. Lubi też sklepy z pamiątkami i liczne hotele goszczące turystów, choć miejscowi narzekają, że ciągle gdzieś coś się buduje, że infrastruktura rozrasta się, odbierając Muri jego naturalne piękno. Lajlę dziwi, że ludzie narzekają na to, że powstają nowe budynki. W Kabulu byłby to powód to radości.

Podoba jej się to, że mają łazienkę, nie wychodek, ale prawdziwą łazienkę z toaletą, w której spuszcza się wodę, z prysznicem i umywalką z dwoma kranami, z których, gdy przekręca się kurek, leci woda, ciepła lub zimna. Lubi, kiedy rankiem budzi ją meczenie Aljony i nieszkodliwe zrzędzenie kucharki Adiby, która w kuchni dokonuje prawdziwych cudów.

Czasem, kiedy Lajla patrzy na Tarigha pogrążonego we śnie i dzieci wiercące się i mamroczące coś przez sen, wzruszenie łapie ją za gardło, czuje ogromną wdzięczność i oczy zachodzą jej łzami.

Przed południem Lajla chodzi za Tarighiem od pokoju do pokoju. Klucze przypięte do jego paska dzwonią, a butelka płynu do mycia szyb z rozpylaczem dynda zaczepiona o szlufkę jego dżinsów. Lajla niesie kubeł ze szmatami, środkiem dezynfekującym, szczotką do toalet i woskiem w sprayu do mebli. Aziza wlecze się z tyłu z mopem w jednej ręce i wypchaną fasolkami lalką, którą zrobiła dla niej Mariam, w drugiej. Zalmaj podąża za nimi niechętnie, pochmurny, zawsze kilka kroków z tyłu.

Lajla ścieli łóżka i wyciera kurze. Tarigh myje umywalki i wanny, czyści toalety i zmywa podłogę wyłożoną linoleum. Kładzie na półkach czyste ręczniki, małe buteleczki z szamponem i kostki pachnącego migdałami mydła. Aziza wzięła na siebie przecieranie okien. Lalkę zawsze kładzie gdzieś w zasięgu ręki.

Lajla powiedziała Azizie prawdę o Tarighu kilka dni po ceremonii *nekoh*.

To dziwne, myśli Lajla, a właściwie intrygujące, jak układają się sprawy między

Azizą a Tarighiem. Już teraz Aziza wpada mu w słowo i kończy za niego zdanie, i odwrotnie. Podaje mu różne rzeczy, zanim on o nie poprosi. Przy obiedzie wymieniają między sobą porozumiewawcze uśmiechy, jakby w ogóle nie byli obcymi sobie ludźmi, lecz przyjaciółmi, którzy spotkali się po długiej rozłące.

Aziza, słuchając Lajli, patrzyła w zamyśleniu na swoje dłonie.

– Lubię go – oznajmiła po długim milczeniu.

– On cię kocha.

– Tak powiedział?

– Nie musi tego mówić, Azizo.

– Opowiedz mi resztę, mamusiu. Opowiedz, żebym wiedziała.

I Lajla opowiedziała.

– Twój ojciec jest dobrym człowiekiem. Jest najlepszym człowiekiem, jakiego znałam.

– A jeśli nas opuści? – spytała Aziza.

– On nigdy nas nie opuści. Spójrz na mnie, Azizo. Twój ojciec nigdy cię nie skrzywdzi i nigdy cię nie opuści.

Wyraz ulgi, jaki pojawił się na twarzy Azizy, złamał Lajli serce.

Tarigh kupił Zalmajowi konia na biegunach i zbudował mu wózek do zabawy. Od kolegi z więzienia nauczył się robić zwierzęta z papieru, więc składał, wycinał i zwijał niezliczone ilości kartek, tworząc z nich dla Zalmaja lwy, kangury, konie i jaskrawo upierzone ptaki. Ale Zalmaj bezceremonialnie, a czasem jadowicie odrzuca te przyjazne gesty.

– Jesteś osłem! – krzyczy. – Nie chcę twoich zabawek!

– Zalmaj! – upomina go Lajla.

– W porządku – mówi Tarigh. – Nic się nie stało, Lajlo. Niech się wykrzyczy.

– Nie jesteś moim Baba *dżan*! Mój prawdziwy Baba *dżan* jest w podróży, a kiedy wróci, zbije cię! I nie będziesz mógł uciec, bo masz tylko jedną nogę!

Nocami Lajla przytula Zalmaja do piersi i recytuje z nim modlitwy *Bablau*. Kiedy Zalmaj zadaje pytania, powtarza to samo kłamstwo, mówi mu, że Baba *dżan* wyjechał, a ona nie wie, kiedy wróci. Nie cierpi tego robić i nienawidzi siebie za to, że okłamuje dziecko.

Lajla wie, że to karygodne kłamstwo trzeba będzie powtarzać w kółko. Będzie musiała to robić, bo Zalmaj będzie pytał, zeskakując z huśtawki, budząc się z popołudniowej drzemki,

a także później, gdy będzie już na tyle duży, by samemu wiązać sobie sznurowadła i chodzić do szkoły. Kłamstwo trzeba będzie wciąż podtrzymywać.

Lajla wie, że w pewnym momencie pytania wygasną. Stopniowo Zalmaj przestanie zastanawiać się, dlaczego ojciec go opuścił. Przestanie mieć wrażenie, że widzi go nagle na światłach ulicznych albo w zgarbionym staruszku szurającym nogami po ulicy czy popijającym herbatę w ogródku herbaciarni. I któregoś dnia, kiedy będzie szedł brzegiem jakiejś wijącej się zakolami rzeki albo patrzył na zasypane nieskazitelnym śniegiem pole, uderzy go świadomość, że zniknięcie jego ojca nie jest już otwartą, żywą raną. Że stało się czymś zupełnie innym, czymś dużo łagodniejszym i niebolesnym. Jak podanie ludowe czy legenda. Czymś otoczonym szacunkiem i niepojętym.

Lajla jest szczęśliwa w Muri. Ale nie jest to łatwe szczęście. Nie jest to szczęście za darmo.

W wolne dni Tarigh zabiera Lajlę i dzieci na ulicę Mall, przy której mieszczą się sklepy ze świecidełkami, a obok stoi kościół anglikański zbudowany w połowie dziewiętnastego wieku.

Tarigh kupuje im od ulicznych sprzedawców pikantne kebaby *czapli* . Przechadzają się w tłumie miejscowych, Europejczyków z telefonami komórkowymi i cyfrowymi aparatami i Pendżabczyków, którzy przyjeżdżają tu, uciekając przed upałem panującym na równinach.

Od czasu do czasu jeżdżą autobusem do punktu widokowego Kaszmir Point. Tarigh pokazuje im stamtąd dolinę rzeki Dżhelam, zbocza pokryte kobiercem sosen i porośnięte bujną roślinnością wzgórza, gdzie, jak mówi, wciąż można zobaczyć małpy skaczące z gałęzi na gałąź. Jeżdżą też do obrośniętego klonami Nathiagali oddalonego mniej więcej trzydzieści kilometrów od Muri, gdzie idą, trzymając się za ręce, ocienioną drzewami drogą do Domu Gubernatora. Zatrzymują się przy starym brytyjskim cmentarzu albo jadą taksówką na szczyt góry, skąd rozciąga się widok na leżącą poniżej zieloną, spowitą mgłą dolinę.

Czasem w trakcie takich wycieczek, gdy przechodzą obok jakiegoś sklepu, Lajla dostrzega w witrynie ich odbicia. Mężczyzna, żona, córka, syn. Wie, że w oczach nieznajomych wyglądają jak najzwyklejsza rodzina, wolna od tajemnic, kłamstw i żalu.

Aziza ma nocne koszmary, z których budzi się z krzykiem. Lajla kładzie się wtedy obok niej na łóżku polowym, ociera jej łzy rękawem koszuli i ją uspokaja.

Lajla też miewa niemiłe sny. W tych snach zawsze znajduje się znów w domu w Kabulu, idzie przez przedpokój, wchodzi po schodach. Jest sama, ale za drzwiami słyszy miarowe syczenie żelazka, szelest rozkładanych i składanych prześcieradeł, czasem niski kobiecy głos nucący starą heracką piosenkę. Ale kiedy wchodzi do środka, okazuje się, że pokój jest pusty. Nikogo tam nie ma.

Po tych snach Lajla jest roztrzęsiona. Budzi się zlana potem, w oczach pieką ją łzy. Każdy taki sen jest druzgoczący.

49

Którejś niedzieli, we wrześniu tego samego roku, kiedy Lajla układa przeziębionego Zalmaja do popołudniowej drzemki, do domku wpada nagle Tarigh.

– Słyszałaś? – mówi, lekko dysząc. – Zabili go. Ahmada Szaha Masuda. Nie żyje.

– Co takiego?

Stojąc w drzwiach, Tarigh relacjonuje jej to, czego się dowiedział.

– Mówią, że udzielał wywiadu dwóm dziennikarzom, którzy twierdzili, że przyjechali z Belgii, a pochodzą z Maroka. W trakcie rozmowy wybuchła bomba ukryta w kamerze. Zabiła Masuda i jednego z dziennikarzy. Drugiego zastrzelono, kiedy próbował uciekać. Teraz mówią, że ci dziennikarze byli prawdopodobnie ludźmi Al Kaidy.

Lajla pamięta plakat z Ahmadem Szahem Masudem, który Mamusia przyczepiła do ściany

w sypialni. Masud pochylony do przodu, jedna brew uniesiona do góry, ściągnięta pełna skupienia twarz, jakby z szacunkiem kogoś słuchał. Lajla pamięta, jak bardzo Mamusia była wdzięczna, że Masud odmówił modlitwę na pogrzebie jej synów, jak wszystkim o tym opowiadała. Nawet gdy wybuchły walki pomiędzy jego ugrupowaniem a pozostałymi, Mamusia nie chciała go winić. „Jest dobrym człowiekiem – mawiała. – Chce pokoju. Chce odbudować Afganistan. Ale oni mu nie pozwalają. Po prostu mu nie pozwalają”. Dla Mamusi do samego końca, nawet wtedy, gdy wszystko potoczyło się tak fatalnie i Kabul legł w gruzach, Masud nadal był Lwem Pandższiru.

Lajla nie jest tak wielkoduszna. Gwałtowna śmierć Masuda nie cieszy jej, ale zbyt dobrze pamięta, jak na jego oczach całe dzielnice Kabulu były ścierane z powierzchni ziemi, jak spod gruzów wyciągano ciała, a rączki i nóżki dzieci znajdowano na dachach albo wysoko na gałęziach drzew jeszcze wiele dni po ich pogrzebach. Zbyt wyraźnie pamięta wyraz twarzy Mamusi na kilka sekund przed tym, nim uderzyła rakieta i, choć bardzo stara się o tym zapomnieć, bezgłowy tułów Babiego spadający

obok niej, wieżę mostu wydrukowaną na jego koszulce wyłaniającą się we mgle i krwi.

– Odbędzie się pogrzeb – mówi teraz Tarigh. – Jestem pewien. Prawdopodobnie w Rawalpindi. Przyjdą na niego tłumy.

Zalmaj, który już niemal zasnął, siedzi teraz i przeciera oczy zaciśniętymi piąstkami.

Dwa dni później podczas sprzątania jednego z pokoi słyszą nagle jakiś zgiełk. Tarigh rzuca szczotkę i wybiega na korytarz. Lajla za nim.

Hałas dochodzi z hotelowego lobby. Przy recepcji, po prawej stronie urządzono salonik z kilkoma krzesłami i dwiema kanapami obitymi beżowym zamszem. W kącie, naprzeciwko kanap, znajduje się telewizor, przed którym stoją teraz Sajid, recepcjonista i kilku gości.

Lajla i Tarigh dołączają do nich.

Telewizor nastawiony jest na stację BBC. Na ekranie widać jakiś budynek, wieżę, z której górnych pięter unoszą się kłęby czarnego dymu. Tarigh mówi coś do Sajida, a ten właśnie zaczyna odpowiadać, gdy w rogu ekranu pojawia się samolot. Rozbija się o sąsiednią wieżę i eksploduje ognistą kulą przyćmiewającą wszystkie kule ognia, jakie Lajla kiedykolwiek widziała. Z ust osób zebranych w lobby wyrywa się okrzyk.

W niecałe dwie godziny obie wieże runęły.

Wkrótce we wszystkich stacjach telewizyjnych mówiono o Afganistanie, talibach i Osamie bin Ladenie.

– Słyszałaś, co powiedzieli talibowie o bin Ladenie? – pyta Tarigh.

Aziza siedzi naprzeciw niego na łóżku i rozmyśla pochylona nad szachownicą. Tarigh nauczył ją grać w szachy. Marszczy brwi i stuka palcem w dolną wargę, naśladując zachowanie ojca, kiedy ten rozważa kolejny ruch.

Przeziębienie Zalmaja wygląda już nieco lepiej. Teraz śpi, a Lajla wciera maść Vick w skórę na jego piersiach.

– Słyszałam – odpowiada.

Talibowie ogłosili, że nie wyrzekną się bin Ladena, ponieważ jest *mehman*, gościem, który znalazł schronienie w Afganistanie, a zwracanie się przeciwko gościowi jest sprzeczne z normami etycznymi Pasztunwali. Tarigh śmieje się gorzko, a Lajla słyszy w tym śmiechu, że jest oburzony takim przeinaczaniem honorowego pasztuńskiego obyczaju.

Kilka dni po atakach Lajla i Tarigh znów stoją w lobby. Na ekranie telewizora przemawia

George W. Bush. Za nim widać dużą amerykańską flagę. W pewnej chwili głos zaczyna mu drżeć i Lajla podejrzewa, że zaraz uroni łzę.

Sajid, który zna angielski, wyjaśnia im, że Bush właśnie ogłosił wojnę.

– Przeciw komu? – pyta Tarigh.

– Na początek przeciw waszej ojczyźnie.

– To może wcale nie być takie złe – mówi Tarigh.

Przed chwilą skończyli się kochać. Tarigh leży obok Lajli z głową na jej piersiach. Ręką obejmuje jej brzuch. Na początku, ilekroć próbowali, pojawiały się trudności. Tarigh rozpływał się w przeprosinach, a Lajla w zapewnieniach, że wszystko jest w porządku. Nadal mają trudności, ale już nie fizyczne, tylko logistyczne. Domek, który dzielą z dziećmi, jest malutki. Dzieci śpią na łóżkach polowych tuż obok, więc brakuje im prywatności. Zwykle kochają się w milczeniu, z kontrolowaną obopólnie namiętnością, całkowicie ubrani, pod kołdrą, na wypadek gdyby któreś z dzieci im przerwało. Zawsze uważają, by pościel zbytnio nie szeleściła albo sprężyny nie skrzypiały. Ale

dla Lajli bycie z Tarighiem warte jest tych drobnych niewygód. Kiedy się kochają, Lajla czuje się zakorzeniona, chroniona. Jej niepokój o to, że ich wspólne życie jest tylko chwilowym błogosławieństwem i że wkrótce znów zostanie podarte na strzępy, schodzi na bok. Jej obawy o to, że coś ich rozdzieli, znikają.

– Co masz na myśli? – pyta Lajla.

– To, co dzieje się w naszej ojczyźnie. Koniec końców to może wcale nie być takie złe.

W ich ojczyźnie znów spadają bomby, tym razem bomby amerykańskie – Lajla codziennie, zmieniając pościel i odkurzając, ogląda telewizję. Amerykanie znów uzbroili watażków i pozyskali pomoc Sojuszu Północnego, by wypędzić talibów i odnaleźć bin Ladena.

Ale to, co mówi Tarigh, napełnia ją goryczą. Szorstkim gestem odpycha jego głowę od swoich piersi.

– Nie takie złe? Ginący ludzie? Kobiety, dzieci, starcy? Niszczone domy? Nie takie złe?

– Szsz. Obudzisz dzieci.

– Jak możesz tak mówić, Tarighu? – wyrzuca z siebie gwałtownie. – Po tej tak zwanej pomyłce w Karam. Stu niewinnych ludzi! Sam widziałeś ciała!

– Nie – odpowiada Tarigh. Unosi się na łokciu i patrzy na Lajlę. – Źle mnie zrozumiałaś. Miałem na myśli…

– Ty nie masz o tym pojęcia – mówi Lajla. Wie, że podnosi głos, i jest świadoma, że to ich pierwsza kłótnia, odkąd zostali mężem i żoną. – Wyjechałeś, kiedy zaczęły się walki między mudżahedinami, pamiętasz? To ja tam zostałam. Ja wiem, co znaczy wojna. Straciłam rodziców z powodu wojny. Moich rodziców, Tarighu. I teraz mam słuchać, jak mówisz, że wojna nie jest taka zła?

– Przepraszam, Lajlo. Przepraszam. – Ujmuje jej twarz w dłonie. – Masz rację. Przepraszam. Wybacz mi. Chciałem powiedzieć, że może ta wojna da nam jakąś nadzieję, że może po raz pierwszy od bardzo dawna…

– Nie chcę dłużej o tym mówić – oznajmia Lajla zaskoczona, że tak na niego napadła. Wie, że to, co mu powiedziała, nie było w porządku – czy on sam nie stracił rodziców z powodu wojny? – i cała złość, jaka w niej płonęła, zaczyna wygasać. Tarigh mówi dalej łagodnie i kiedy przyciąga ją do siebie, Lajla nie opiera się. Kiedy całuje jej dłoń, a potem brew, również się nie opiera. Wie, że Tarigh zapewne ma rację. Wie, co chciał przez to powiedzieć. Może to jest

konieczne. Może pojawi się jakaś nadzieja, kiedy bomby Busha przestaną już spadać. Ale nie potrafi się zmusić, by to powiedzieć, nie teraz, gdy to, co stało się z Babim i Mamusią, przytrafia się komuś innemu w Afganistanie, gdy jakaś niczego niepodejrzewająca dziewczynka albo chłopiec zostali osieroceni – bo rakieta zabiła ich rodziców – tak jak niegdyś ona. Lajla nie potrafi się zmusić, by to powiedzieć. Trudno jest cieszyć się takim obrotem spraw. Lajla ma wrażenie, że to by była hipokryzja, przewrotność.

Tej nocy Zalmaj budzi się, kaszląc. Nim Lajla zdążyła zareagować, Tarigh przerzuca nogi na krawędź łóżka, zakłada protezę, podchodzi do Zalmaja i bierze go na ręce. Leżąc w łóżku, Lajla obserwuje cień Tarigha kołyszący się w ciemności w przód i w tył. Widzi zarys głowy Zalmaja na jego ramieniu, jego zaciśniętą piąstkę na szyi Tarigha, małe nóżki obijające się o biodro Tarigha.

Kiedy Tarigh wraca do łóżka, żadne z nich nic nie mówi. Lajla wyciąga rękę i dotyka jego twarzy. Policzki Tarigha są mokre.

50

Dla Lajli życie w Muri to wygoda i spokój. Praca nie jest ciężka, a w wolne dni ona i Tarigh zabierają dzieci na przejażdżkę wyciągiem krzesełkowym na wzgórze Patriata albo jadą do Pindi Point, skąd w pogodne dni można nawet zobaczyć Islamabad i centrum Rawalpindi. Rozkładają obrus na trawie i jedzą kanapki z kulkami mięsnymi i ogórkiem, popijając je zimnym gazowanym napojem imbirowym.

To dobre życie, powtarza sobie Lajla, życie, za które powinno się być wdzięcznym. W zasadzie jest to dokładnie takie życie, o jakim marzyła w najgorsze dni z Raszidem. Każdego dnia Lajla to sobie przypomina.

Pewnej ciepłej nocy, w czerwcu 2002 roku, Lajla leży z Tarighiem w łóżku. Ściszonymi głosami rozmawiają o zmianach zachodzących w ojczyźnie. Jest ich tak wiele. Siły koalicji usunęły talibów ze wszystkich większych miast

i zepchnęły ich na granicę z Pakistanem i w góry leżące na południu i wschodzie Afganistanu. ISAF, międzynarodowe oddziały mające zapewnić bezpieczeństwo, wysłano do Kabulu. Kraj ma teraz tymczasowego prezydenta Hameda Karzaja.

Lajla postanawia, że nadszedł czas, by powiedzieć Tarighowi.

Rok temu chętnie oddałaby rękę, byle tylko wydostać się z Kabulu. Ale w ostatnich kilku miesiącach odkryła, że tęskni za miastem swojego dzieciństwa. Tęskni za pełnym zgiełku Szor Bazar, ogrodami Babura, nawoływaniem nosiwodów taszczących swoje bukłaki z koźlej skóry. Tęskni za handlarzami odzieży i domokrążcami sprzedającymi melony w Karta Parwan.

Ale nie tylko tęsknota za domem i nostalgia sprawiają, że Lajla ostatnimi czasy tak często rozmyśla o Kabulu. Nęka ją ciągłe uczucie niepokoju. Docierają do niej wieści o szkołach budowanych w Kabulu, odnawianych drogach, kobietach wracających do pracy i życie, jakie tu prowadzi, choć jest bardzo miłe i choć jest za nie wdzięczna, wydaje jej się… niewystarczające. Niekonsekwentne. Gorzej nawet: marnotrawne. Ostatnio coraz częściej rozbrzmiewa w jej głowie

głos Babiego. „Możesz zostać, kimkolwiek zechcesz, Lajlo. Wiem o tym. I wiem również, że kiedy skończy się ta wojna, Afganistan będzie cię potrzebować”.

Lajla słyszy również głos Mamusi. Pamięta, co Mamusia odpowiedziała Babiemu, gdy sugerował, by wyjechali z Afganistanu. „Chcę zobaczyć, jak spełnia się marzenie moich synów. Chcę tu być, kiedy to się stanie, kiedy Afganistan będzie wolny, aby chłopcy też mogli to zobaczyć. Zobaczą to moimi oczami”. Jakaś część Lajli chce teraz wrócić do Kabulu, dla Mamusi i Babiego, aby zobaczyli to jej oczami.

I jest jeszcze Mariam, najbardziej przekonujący argument dla Lajli. Czy Mariam za to zginęła? – zadaje sobie pytanie Lajla. Czy poświęciła się po to, by Lajla została pokojówką w obcym kraju? Może dla Mariam nie miałoby znaczenia, co Lajla robi, o ile ona sama i dzieci są szczęśliwi. Ale dla Lajli ma to znaczenie. Nagle ma to dla niej ogromne znaczenie.

– Chcę wrócić – mówi.

Tarigh siada na łóżku i spogląda na nią.

Lajlę po raz kolejny uderza jego niezwykła uroda, idealna linia czoła, smukłe mięśnie ramion, jego zamyślone, inteligentne oczy. Minął już rok, ale nadal zdarzają się takie chwile jak ta,

kiedy Lajla nie może uwierzyć, że się odnaleźli, że on naprawdę tu jest, z nią, że jest jej mężem.

– Wrócić? Do Kabulu? – pyta.

– Tylko jeśli ty również tego chcesz.

– Nie jesteś tu szczęśliwa? Wyglądasz na szczęśliwą. Dzieci również.

Lajla siada. Tarigh unosi się, robiąc dla niej miejsce.

– Jestem szczęśliwa – zapewnia Lajla. – Oczywiście, że jestem. Ale… Dokąd stąd pojedziemy, Tarighu? Jak długo tu zostaniemy? To nie jest nasz dom. Kabul nim jest, a teraz tyle się tam dzieje, tyle dobrego. Chcę być tego częścią. Chcę coś zrobić. Chcę się do tego przyczynić. Rozumiesz?

Tarigh powoli kiwa głową.

– A więc tego właśnie chcesz? Jesteś pewna?

– Tak, chcę tego. Na pewno. Ale jest coś jeszcze. Czuję, że muszę tam wrócić. Siedzenie tu dłużej nie jest w porządku.

Tarigh patrzy na swoje dłonie, a potem znów przenosi wzrok na Lajlę.

– Ale tylko… tylko… jeśli ty również chcesz wrócić.

Tarigh się uśmiecha. Zmarszczki na jego czole znikają i przez chwilę znów wygląda jak dawny Tarigh, Tarigh, który nie miewał bólów głowy,

Tarigh, który powiedział kiedyś, że na Syberii smark zamienia się w lód, nim spadnie na ziemię. To może być tylko wyobraźnia, ale Lajla ma wrażenie, że ostatnio coraz częściej widuje takiego Tarigha.

– Ja? – mówi Tarigh. – Ja pojechałbym za tobą nawet na koniec świata, Lajlo.

Lajla przyciąga go do siebie i całuje w usta. Ma wrażenie, że nigdy nie kochała go tak mocno jak w tej chwili.

– Dziękuję – odpowiada, przyciskając czoło do jego czoła.

– Jedźmy do domu.

– Ale najpierw chcę pojechać do Heratu – mówi Lajla.

– Do Heratu?

Lajla zaczyna mu wszystko wyjaśniać.

Każde z dzieci na swój sposób potrzebuje zapewnienia i słów otuchy. Lajla musi usiąść z niespokojną Azizą, która nadal ma nocne koszmary i która tydzień wcześniej wybuchła płaczem, gdy ktoś oddał kilka serii strzałów w powietrze podczas jakiegoś wesela. Lajla musi wytłumaczyć Azizie, że gdy wrócą do Kabulu, talibów już tam nie będzie, nie będzie żadnych

walk, a ona sama nie zostanie odesłana do sierocińca.

– Będziemy mieszkali razem. Twój ojciec, ja i Zalmaj. I ty, Azizo. Już nigdy, przenigdy, nie będziemy rozdzielone. Obiecuję. – Uśmiecha się do córki. – Aż do dnia, w którym ty będziesz tego chciała. Kiedy zakochasz się w jakimś młodzieńcu i zechcesz wyjść za niego za mąż.

W dniu wyjazdu z Muri Zalmaj jest niepocieszony. Zarzucił rączki na szyję Aljony i nie chce jej puścić.

– Nie mogę go od niej odciągnąć – skarży się Aziza.

– Zalmaju, nie możemy wziąć kozy do autobusu – tłumaczy po raz kolejny Lajla.

Dopiero gdy Tarigh klęka obok niego i obiecuje, że kupi mu taką samą kozę w Kabulu, Zalmaj z ociąganiem puszcza Aljonę.

Pożegnaniu z Sajidem również towarzyszą łzy. Aby zapewnić im szczęście, Sajid staje w progu z Koranem w dłoniach, który Tarigh, Lajla i dzieci całują trzykrotnie, po czym unosi księgę wysoko, by pod nią przeszli. Pomaga Tarighowi wtaszczyć dwie walizki do bagażnika swojego samochodu. To Sajid odwozi ich na dworzec, a potem stoi na poboczu, machając im

na pożegnanie, kiedy autobus charkocze i odjeżdża.

Lajla odwraca się, patrzy na Sajida znikającego w tylnym oknie autobusu, a w jej głowie zaczyna rozbrzmiewać głos powątpiewania. Czy są głupcami, zastanawia się, opuszczając bezpieczne Muri? Wracając do kraju, w którym zginęli ich rodzice i bracia, gdzie dym po bombach dopiero się rozwiał?

Ale wtedy spośród zaciemnionych spirali jej pamięci wyłaniają się dwie linijki wiersza, którym Babi żegnał Kabul:

Nikt nie policzy księżyców, co lśnią na jego dachach
ani tysiąca wspaniałych słońc, co kryją się za jego murami.

Lajla rozsiada się wygodnie na swoim miejscu i mruga załzawionymi oczami. Kabul czeka. Potrzebuje ich. Ten powrót do domu jest czymś właściwym.

Ale przedtem czeka ją jeszcze jedno pożegnanie.

Wojny w Afganistanie zniszczyły drogi łączące Kabul, Herat i Kandahar. Najprostsza droga do Heratu prowadzi teraz przez Meszhed w Iranie. Lajla i jej rodzina zatrzymują się tam tylko na jedną noc. Spędzają ją w hotelu, a następnego ranka wsiadają do kolejnego autobusu.

Meszhed to zatłoczone, pełne zgiełku miasto. Lajla ogląda parki, meczety i restauracje z *czelau* kebab, które mijają. Kiedy autobus przejeżdża obok mauzoleum Imama Rezy, ósmego imama szyitów, Lajla wyciąga szyję, by lepiej zobaczyć lśniące kafelki, minarety i wspaniałą złotą kopułę, a wszystko idealnie zachowane i piękne. Myśli o posągach Buddy w jej własnym kraju. Teraz są okruchami kurzu, który unosi się z wiatrem nad doliną Bamjan.

Jazda do granicy irańsko-afgańskiej trwa prawie dziesięć godzin. Im bliżej Afganistanu, ziemia wygląda na bardziej opuszczoną, jałową. Przed granicą w pobliżu Heratu mijają obóz dla afgańskich uchodźców. Lajla widzi zamazaną plamę żółtego pyłu, czarnych namiotów i jakieś nieliczne konstrukcje ze skorodowanych blach. Wychyla się i bierze Tarigha za rękę.

W Heracie większość ulic jest brukowana, a wzdłuż nich rosną pachnące sosny. Są tam parki miejskie i odbudowywane księgarnie, zadbane dziedzińce, świeżo odmalowane budynki. Sygnalizacja świetlna działa i, co najbardziej dziwi Lajlę, nie ma przerw w dostawach prądu. Lajla słyszała, że watażka Heratu, Esmail Chan, znany z feudalnego stylu rządzenia, pomógł odbudować miasto dzięki znacznym wpływom z opłat celnych, które pobierał na granicy afgańsko-irańskiej. W Kabulu mówiono, że te pieniądze nie należą do niego, tylko do rządu centralnego. Kiedy taksówkarz, który wiezie ich do hotelu Mowaffagh, wspomina Esmaila Chana, w jego głosie pobrzmiewa zarazem nabożny i pełen lęku ton.

Dwudniowy pobyt w Mowaffagh będzie ich kosztować niemal jedną piątą oszczędności, ale podróż z Meszhedu była długa i męcząca, a dzieci są wyczerpane. Recepcjonista w podeszłym wieku, sięgając po klucz do pokoju, mówi Tarighowi, że Mowaffagh jest popularny wśród dziennikarzy i pracowników organizacji pozarządowych.

– Raz spał tu bin Laden – przechwala się.

W pokoju są dwa łóżka i łazienka z bieżącą zimną wodą. Na ścianie między łóżkami wisi obraz przedstawiający poetę Chodża Abdullaha Ansari. Z okna Lajla widzi ruchliwą ulicę poniżej, a po drugiej stronie ulicy park z gęstymi klombami kwiatów i z alejkami wyłożonymi kostką w pastelowych barwach. Przyzwyczajone do telewizji dzieci są rozczarowane, bo w pokoju nie ma odbiornika. Ale i tak wkrótce zasypiają. Lajla i Tarigh również padają z nóg. Lajla zasypia mocnym snem w ramionach Tarigha i tylko raz budzi się w nocy za sprawą snu, którego nie może sobie przypomnieć.

– Nie jesteś z Heratu – mówi taksówkarz.

Ma ciemne, długie do ramion włosy – wyraźnie na przekór dawnym zarządzeniom talibów – i bliznę przecinającą jego wąsy po lewej stronie twarzy. Na przedniej szybie przykleił zdjęcie – widnieje na nim mała dziewczynka z zaróżowionymi policzkami, przedziałkiem pośrodku głowy i dwoma warkoczykami.

Lajla zaczyna mu opowiadać, że przez ostatni rok była w Pakistanie, i że teraz wraca do Kabulu. Do Deh-Mazang.

Przez szybę widzi kotlarzy spawających mosiężne rączki do dzbanów i siodlarzy rozkładających kawałki niewyprawionej skóry na słońcu.

– Długo tu mieszkasz, bracie? – pyta.

– Och, całe życie. Urodziłem się tutaj. Wszystko widziałem. Pamiętasz powstanie?

Lajla odpowiada, że tak, ale on mówi dalej:

– To stało się w marcu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku, jakieś dziewięć miesięcy przed inwazją sowiecką. Wściekli heratczycy zabili paru sowieckich doradców, więc Sowieci przysłali czołgi i helikoptery i zbombardowali miasto. Przez trzy dni, *hamszira*, trwał ostrzał. Zawaliły się budynki, zniszczony został jeden z minaretów, zginęły tysiące ludzi. Tysiące. W ciągu tych trzech dni straciłem dwie siostry. Jedna z nich miała dwanaście lat. – Stuka palcem w fotografię na szybie. – To ona.

– Przykro mi – mówi Lajla. Nie może się nadziwić, jak to możliwe, że życie każdego Afgańczyka naznaczone jest śmiercią, utratą najbliższych i niewyobrażalnym bólem. A mimo to widzi ludzi, którzy znajdują sposób, by przeżyć, by iść dalej. Lajla zastanawia się nad własnym życiem i wszystkim, co się jej

przydarzyło, i jest zaskoczona, że ona również przetrwała, że żyje i siedzi teraz w taksówce, słuchając historii tego człowieka.

Gol Daman to wioska z kilkoma domami otoczonymi murem, wznoszącymi się pośród płaskich *kolb* zbudowanych z gliny i trawy. Przed chatami Lajla widzi spalone słońcem kobiety zajęte gotowaniem, ich twarze ociekają potem od pary buchającej z dużych sczerniałych garnków ustawionych na prowizorycznych rusztach. Muły jedzą z koryt. Dzieciaki uganiające się za kurczakami zaczynają biec za taksówką. Lajla widzi mężczyzn pchających taczki wypełnione kamieniami. Zatrzymują się i patrzą na mijający ich samochód. Kierowca skręca i jadą teraz wzdłuż cmentarza, pośrodku którego wznosi się nadszarpnięte zębem czasu mauzoleum. Kierowca mówi Lajli, że pochowany jest tutaj miejscowy sufi.

Jest tam też wiatrak. W cieniu jego bezczynnych rdzawych skrzydeł przykucnęło trzech chłopców bawiących się w błocie. Kierowca zatrzymuje się i wychyla przez okno. Wyglądający na najstarszego z całej trójki chłopiec udziela odpowiedzi. Pokazuje dom,

który stoi nieco dalej przy drodze. Kierowca dziękuje i rusza dalej.

Zatrzymują się przed otoczonym murem jednopiętrowym domem. Lajla widzi czubki drzew figowych wystające zza muru, niektóre gałęzie wychylają się na drugą stronę.

– To nie potrwa długo – mówi do kierowcy.

Mężczyzna w średnim wieku, który otwiera jej drzwi, jest niski, szczupły i ma rudawe włosy. W jego brodzie widać siwe, równoległe pasma. Ma na sobie *czapan* nałożony na *peirahan-o-tomban*[11].

Wymieniają pozdrowienia.

– Czy to dom mułły Faizullaha? – pyta Lajla.

– Tak. Jestem jego synem. Nazywam się Hamza. Czy mogę w czymś ci pomóc, *hamszira*?

– Przyjechałam tutaj z powodu dawnej przyjaciółki twojego ojca, Mariam.

Hamza mruga oczami. Na jego twarzy pojawia się wyraz zmieszania.

– Mariam…

– Córki Dżalila Chana.

Hamza znów mruga szybko, a potem przykłada dłoń do policzka i jego twarz rozjaśnia uśmiech odsłaniający braki i dziury w uzębieniu.

– Och! – wykrzykuje. Brzmi to bardziej jak „ohhhhhhh”, jak gwałtownie wypuszczone powietrze. – Och! Mariam! Jesteś jej córką? Czy ona… – Wykręca teraz szyję i spogląda z przejęciem za ramię Lajli, wypatrując. – Czy ona tu jest? Tyle czasu minęło! Czy Mariam tu jest?

– Niestety, Mariam nie żyje.

Uśmiech znika z twarzy Hamzy.

Przez chwilę stoją w drzwiach, Hamza patrzy pod nogi. Gdzieś ryczy osioł.

– Wejdź – mówi Hamza. Otwiera drzwi na oścież. – Proszę, wejdź.

Siedzą w skromnie umeblowanym pokoju. Na podłodze leży heracki dywan i ozdobione koralikami poduszki do siedzenia, na ścianie wisi oprawione zdjęcie Mekki. Siedzą przy otwartym oknie, a między nimi jaśnieje podłużna smuga słońca. Lajla słyszy kobiece głosy szepczące coś w sąsiednim pokoju. Mały bosonogi chłopiec stawia przed nimi tacę z zieloną herbatą i pistacjowymi nugatami *gaz*. Hamza pokazuje na niego.

– Mój syn.

Chłopiec bezgłośnie wychodzi z pokoju.

– A zatem opowiedz mi – mówi Hamza zmęczonym głosem.

Lajla zaczyna mówić. Opowiada mu wszystko. Trwa to dłużej, niż się spodziewała. Pod koniec z trudem zachowuje spokój. Minął rok, a jej wciąż mówienie o Mariam przychodzi z wielkim trudem.

Kiedy milknie, Hamza przez długi czas się nie odzywa. Powoli obraca filiżanką na spodku w jedną stronę, a potem w drugą.

– Mój ojciec, niech spoczywa w pokoju, uwielbiał Mariam – mówi wreszcie. – To on śpiewał *azan* do jej ucha, kiedy się urodziła, wiesz? Odwiedzał ją co tydzień, nie opuścił ani jednej wizyty. Czasem zabierał mnie ze sobą. Był jej nauczycielem, to prawda, ale również przyjacielem. Mój ojciec był bardzo dobrym człowiekiem. Kiedy Dżalil Chan wydał ją za mąż, niemal pękło mu serce.

– Przykro mi to słyszeć o twoim ojcu. Niech Bóg ma go w opiece.

Hamza kiwa głową, dziękując.

– Dożył sędziwego wieku. Zresztą przeżył Dżalila Chana. Pochowaliśmy go na miejscowym cmentarzu, niedaleko grobu matki Mariam. Mój ojciec był wspaniałym, dobrym człowiekiem, na pewno zasłużył na to, by znaleźć się w niebie.

Lajla odstawia swoją filiżankę.

– Mogę o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Czy mógłbyś pokazać mi to miejsce? – prosi. – Gdzie mieszkała Mariam. Możesz mnie tam zaprowadzić?

Kierowca zgadza się jeszcze trochę poczekać.

Hamza i Lajla wychodzą z wioski i idą w dół wzgórza drogą łączącą Gol Daman z Heratem. Po blisko piętnastu minutach Hamza pokazuje wąską lukę wśród wysokich traw rosnących po obu stronach drogi.

– Tędy się tam idzie – mówi. – Tam jest ścieżka.

Ścieżka jest zarośnięta, kręta i cienista, skryta wśród roślinności i krzaków. Wiatr porusza wysokimi trawami, które smagają Lajlę po łydkach, kiedy wraz z Hamzą pokonuje kolejne zakręty. Po obu stronach migają jak w kalejdoskopie polne kwiaty kołyszące się na wietrze, niektóre wysokie, z falistymi płatkami, inne niskie, z liśćmi przypominającymi wachlarze. Gdzieniegdzie wśród niskich krzaków wychylają się postrzępione jaskry. Lajla słyszy

świergotanie jaskółek nad głową, a pod stopami pracowite trajkotanie koników polnych.

Idą ścieżką na wzgórze przez co najmniej dwieście metrów. Potem ścieżka wychodzi na płaski odcinek gruntu. Zatrzymują się, łapiąc oddech. Lajla ociera czoło rękawem i odgania chmary komarów krążących przed jej twarzą. Widzi niskie góry na horyzoncie, kilka topoli i różne dzikie krzewy, których nazw nie zna.

– Kiedyś płynął tędy strumień – mówi Hamza nieco zdyszany. – Ale już dawno wysechł.

Mówi, że poczeka tu na nią. Mówi, żeby przeszła przez suche koryto i kierowała się w stronę gór.

– Ja tu poczekam – oznajmia, siadając na skale pod topolą. – A ty idź.

– Nie będę…

– Nie martw się. Nie musisz się spieszyć. No idź, *hamszira*.

Lajla dziękuje. Przechodzi przez koryto strumienia, przeskakując z kamienia na kamień. Pomiędzy skałami dostrzega pogniecione butelki po napojach gazowanych, zardzewiałe puszki i pokryty pleśnią metalowy pojemnik z ocynkowaną pokrywą, do połowy zakopany w ziemi.

Rusza w stronę gór, w stronę płaczących wierzb, które teraz widzi. Ich długie gałęzie drżą w każdym porywie wiatru. Widzi, że wierzby rosną tak, jak opowiadała Mariam, w okrągłym zagajniku z polaną pośrodku. Lajla przyspiesza kroku, niemal biegnie. Ogląda się przez ramię i widzi drobną sylwetkę Hamzy, jego *czapan*, niczym eksplozję koloru na tle brunatnych pni drzew. Lajla potyka się o kamień, prawie się przewraca, po czym odzyskuje równowagę. Resztę drogi pokonuje pospiesznie, podwinąwszy nogawki spodni. Kiedy dociera do wierzb, jest zdyszana.

Kolba Mariam nadal tam stoi.

Kiedy Lajla podchodzi bliżej, widzi, że w jedynym oknie brakuje szyby. Nie ma też drzwi. Mariam opisała jej zagrodę dla kur i *tandur*, a także drewniany wychodek, ale teraz nie ma po nich ani śladu. Lajla zatrzymuje się przed wejściem do *kolby*. Słyszy bzyczące w środku muchy.

Aby wejść do środka, musi ominąć wielką, trzepoczącą pajęczynę. W środku panuje półmrok. Lajla potrzebuje kilku chwil, aby jej oczy przywykły do mroku. Wtedy widzi, że wnętrze jest jeszcze mniejsze, niż sobie wyobrażała. Po deskach podłogowych została

tylko przegniła i popękana połówka jednej z nich. Reszta, jak przypuszcza Lajla, została zerwana i wykorzystana jako opał. Podłogę zaścielają teraz liście o suchych brzegach, popękane butelki i papierki po gumie do żucia, dzikie grzyby, stare pożółkłe niedopałki. Ale przede wszystkim rosną tam chwasty, niektóre są skarłowaciałe, inne strzelają bezczelnie w górę, sięgając połowy wysokości ścian.

Piętnaście lat, myśli Lajla, piętnaście lat w tym miejscu.

Lajla siada i opiera się plecami o ścianę. Słucha wiatru przenikającego tu poprzez wierzby. Pod sufitem jest jeszcze więcej pajęczyn. Ktoś napisał coś sprayem na jednej ze ścian, ale większość liter jest zatarta i Lajla nie może odczytać napisu. Potem uświadamia sobie, że to litery rosyjskie. W jednym kącie widać porzucone ptasie gniazdo, a w drugim, w miejscu, w którym niskie ściany stykają się z sufitem, zwisa do góry nogami nietoperz.

Lajla zamyka oczy i siedzi tam przez chwilę.

W Pakistanie czasem trudno jej było przypomnieć sobie rysy twarzy Mariam. Czasem twarz Mariam umykała jej, niczym słowo na końcu języka. Ale teraz, w tym miejscu, łatwo przywołuje pod powiekami obraz Mariam: jej

łagodne, promienne spojrzenie, podłużną brodę, szorstką skórę szyi, uśmiech zaciśniętych ust. Tu Lajla może znów położyć policzek na kolanach Mariam, może poczuć, jak Mariam kołysze się w przód i w tył, recytując wersety Koranu, może poczuć, jak słowa wibrują w jej ciele, biegną do jej kolan, a potem do jej własnych uszu.

Nagle chwasty znikają, jakby wyrwane z ziemi z korzeniami. Zapadają się niżej i niżej, dopóki klepisko *kolby* nie wchłonęło ostatnich kolczastych liści. Pajęczyny rozplątują się w magiczny sposób. Ptasie gniazdo rozpada się, gałązki wypadają jedna po drugiej i wylatują z *kolby*. Niewidoczna gąbka ściera rosyjski napis ze ściany.

Deski podłogowe znów są na swoim miejscu. Lajla widzi teraz dwa posłania, drewniany stół, dwa krzesła, żeliwny piec w kącie, półki na ścianach, na których stoją gliniane dzbanki i garnki, poczerniały czajnik do herbaty, filiżanki i łyżeczki. Słyszy gdakanie kur na zewnątrz, daleki szum strumienia.

Młodziutka Mariam siedzi przy stole i robi lalkę w świetle lampy oliwnej. Coś nuci. Ma gładką, dziewczęcą buzię, jej włosy są umyte i zaczesane do tyłu. Ma wszystkie zęby.

Lajla patrzy, jak Mariam przykleja pasma przędzy do głowy lalki. Za kilka lat ta mała dziewczynka stanie się kobietą, niewiele wymagającą od życia, nigdy niesprawiającą kłopotu innym, nigdy niewspominającą o tym, że ona również miała swoje smutki, rozczarowania, marzenia, które zostały ośmieszone. Kobietą, która będzie jak skała w korycie rzeki, znoszącą wszystko bez narzekania, jej urok nie zostanie skalany, lecz ukształtowany przez obmywające ją zawirowania. Lajla już teraz widzi coś w oczach tej małej dziewczynki, coś, co tkwi głęboko w jej wnętrzu, czego ani Raszid, ani talibowie nie będą w stanie złamać. Coś tak twardego i nieugiętego jak skała wapienna. Coś, co na koniec stanie się jej zgubą, a zbawieniem Lajli.

Mała dziewczynka podnosi wzrok. Odkłada lalkę. Uśmiecha się.

Lajla *dżan*?

Lajla gwałtownie otwiera oczy. Ciężko oddycha, jej ciało pochyla się do przodu. Wpatruje się w nietoperza, który śmiga od jednej ściany do drugiej, bijąc skrzydłami, które są niczym karty książki, po czym wylatuje przez okno.

Lajla wstaje, otrzepuje zwiędłe liście ze spodni i wychodzi z *kolby*. Na zewnątrz światło

jest nieco inne. Wieje wiatr, targając trawami i sprawiając, że gałęzie wierzb obijają się o siebie.

Lajla przed opuszczeniem polany spogląda po raz ostatni na chatę, w której Mariam spała, jadła, śniła i wstrzymywała oddech dla Dżalila. Wierzby rzucają na zapadające się ściany przygarbione cienie, które unoszą się z każdym podmuchem wiatru. Na płaskim dachu wylądowała wrona. Skubie coś, kracze i odfruwa.

– Do widzenia, Mariam.

I z tymi słowami, nieświadoma tego, że łka, Lajla zaczyna biec przez trawy.

Hamza wciąż siedzi na skale. Na jej widok wstaje.

– Wracajmy – mówi. A potem dodaje: – Mam coś dla ciebie.

Lajla czeka na Hamzę w ogrodzie przed drzwiami wejściowymi. Chłopiec, który wcześniej podał im herbatę, stoi pod jednym z figowców, trzymając kurczaka, i przygląda jej się beznamiętnie. Lajla dostrzega dwie twarze, starszej kobiety i młodej dziewczyny w hidżabach, przyglądające jej się nieśmiało przez okno.

Drzwi do domu otwierają się i wyłania się z nich Hamza, niosąc jakieś pudełko.

Wręcza je Lajli.

– Dżalil Chan dał to mojemu ojcu jakiś miesiąc przed śmiercią – mówi Hamza. – Prosił ojca, by przechował to dla Mariam, do czasu, aż ona wróci i o to poprosi. Ojciec trzymał to pudełko przez dwa lata. Potem, tuż przed śmiercią, dał je mnie, prosząc, bym przechował je dla Mariam. Ale ona… wiesz, nigdy nie przyjechała.

Lajla patrzy na owalne pudełko. Wygląda na stare pudełko po czekoladkach. Jest oliwkowozielone, z wyblakłymi złoconymi wzorami biegnącymi wokół pokrywki na zawiasach. Na bokach jest trochę rdzy, a na krawędzi pokrywki z przodu widać dwa niewielkie wgniecenia. Lajla próbuje otworzyć pudełko, ale zapadka jest zamknięta.

– Co jest w środku? – pyta.

Hamza podaje jej kluczyk.

– Mój ojciec nigdy go nie otworzył. Ani ja. Przypuszczam, że Bóg chciał, abyś ty to zrobiła.

Tarigha i dzieci nie ma jeszcze w hotelu.

Lajla siada na łóżku z pudełkiem na kolanach. Jedna jej część woli pozostawić pudełko

zamknięte, pozwolić, by zamiar Dżalila pozostał tajemnicą. Ale w końcu ciekawość przeważa. Wsuwa kluczyk do zamka. Trochę musi nim pokręcić, ale wreszcie otwiera pudełko.

W środku znajdują się trzy rzeczy: koperta, woreczek z grubego płótna i kaseta wideo.

Lajla bierze kasetę i schodzi do recepcji. Od starszego recepcjonisty, który powitał ich poprzedniego dnia, dowiaduje się, że w hotelu jest tylko jeden odtwarzacz wideo w największym apartamencie. Apartament nie jest teraz zajęty, więc recepcjonista może ją tam zaprowadzić. Zostawia na dyżurze w recepcji wąsatego młodego człowieka w garniturze, który rozmawia przez telefon komórkowy.

Starszy recepcjonista prowadzi Lajlę na drugie piętro, do drzwi na końcu długiego korytarza. Otwiera zamek i wpuszcza ją do środka. Wzrok Lajli pada na odtwarzacz. Niczego więcej nie widzi.

Włącza telewizor i odtwarzacz. Wsuwa kasetę do środka i naciska przycisk PLAY. Przez kilka chwil na ekranie nic nie widać i Lajla zaczyna zastanawiać się, czy Dżalil zadał sobie tyle trudu, by przekazać Mariam pustą kasetę. Ale wtedy rozlega się muzyka i na ekranie pojawiają się obrazy.

Lajla marszczy brwi. Przez minutę lub dwie ogląda obraz. Potem naciska STOP, przewija kasetę do przodu i znów naciska PLAY. Nadal ten sam film.

Starszy mężczyzna spogląda na nią w sposób, który zdradza lekkie zdziwienie.

Film na ekranie to *Pinokio* Walta Disneya. Lajla nic z tego nie rozumie.

Tarigh wraca z dziećmi do hotelu tuż po szóstej. Aziza podbiega do Lajli i pokazuje kolczyki, które kupił jej Tarigh, srebrne z emaliowymi motylkami. Zalmaj obejmuje nadmuchiwanego delfina, który piszczy, jeśli naciśnie się jego pyszczek.

– Jak się czujesz? – pyta Tarigh, obejmując ją.

– Dobrze – odpowiada Lajla. – Opowiem ci później.

Idą coś zjeść do pobliskiej kebabiarni. To małe pomieszczenie z lepkimi winylowymi obrusami, zadymione i głośne. Ale jagnięcina jest krucha i soczysta, a chleb gorący. Później przez jakiś czas spacerują ulicami. Tarigh kupuje dzieciom w kiosku różane lody. Jedzą, siedząc na ławce, za nimi rysują się góry odcinające się od

szkarłatnego pyłu. Powietrze jest ciepłe, przesycone aromatem cedrów.

Lajla otworzyła już wcześniej kopertę, gdy tylko wróciła do pokoju po obejrzeniu taśmy wideo. Znajdował się w niej list napisany odręcznie na kremowej kartce papieru w linie.

Jego tekst był następujący:

13 maja, 1987
Moja droga Mariam!

Modlę się, aby ten list zastał Cię w dobrym zdrowiu.

Jak wiesz, przyjechałem do Kabulu miesiąc temu, by z Tobą porozmawiać. Ale Ty nie chciałaś mnie widzieć. Byłem rozczarowany, ale nie mogę Cię za to winić. Na Twoim miejscu zachowałbym się podobnie. Dawno temu straciłem przywilej cieszenia się Twoimi względami i za to mogę winić jedynie samego siebie. Ale jeśli czytasz ten list, to oznacza, że przeczytałaś list, który zostawiłem pod Twoimi drzwiami. Przeczytałaś go i przyjechałaś odwiedzić mułłę Faizullaha, tak jak Cię prosiłem. Jestem wdzięczny Mariam dżun,

że to zrobiłaś. Jestem wdzięczny za to, że mam szansę powiedzieć Ci parę słów.

Od czego mam zacząć?

Twój ojciec, Mariam dżun, zaznał wielu smutków, odkąd ostatnio rozmawialiśmy. Twoja macocha, Afsun, została zabita w pierwszym dniu powstania 1979 roku. Zbłąkana kula tego samego dnia zabiła Twoją siostrę Nilufar. Nadal mam ją przed oczami, moją maleńką Nilufar, stającą na głowie, by zrobić wrażenie na gościach. Twój brat, Farhad, przystąpił do dżihadu w 1980 roku. Sowieci zabili go w 1982 roku, tuż przed Helmand. Nigdy nie widziałem jego ciała. Nie wiem, Mariam, czy masz własne dzieci, ale jeśli tak, modlę się, by Bóg miał nad nimi pieczę i oszczędził Ci bólu, którego ja zaznałem. Wciąż mi się śnią. Wciąż śnią mi się moje zabite dzieci.

Ty również mi się śnisz, Mariam dżun. Tęsknię za Tobą. Tęsknię za dźwiękiem Twojego głosu, za Twoim śmiechem. Tęsknię za chwilami, gdy Ci czytałem, i gdy łowiliśmy razem ryby. Pamiętasz, jak łowiliśmy razem ryby? Byłaś dobrą córką, Mariam dżun, i nie potrafię myśleć o Tobie bez uczucia wstydu i żalu… Żal… jeśli

chodzi o Ciebie, Mariam dżun, to są to całe oceany żalu. Żałuję, że nie spotkałem się z Tobą tego dnia, gdy przyszłaś do Heratu. Żałuję, że nie otworzyłem drzwi i nie uczyniłem Cię moją córką, że pozwoliłem, byś tyle lat mieszkała w tamtym miejscu. I w imię czego? Strachu przed utratą twarzy? Splamieniem mojego tak zwanego dobrego imienia? Jak niewiele to wszystko teraz dla mnie znaczy po stracie tylu bliskich, po tych strasznych rzeczach, które widziałem podczas tej przeklętej wojny. Ale teraz oczywiście jest już za późno. Być może jest to kara dla tych, którzy byli bezduszni: zrozumieć to wszystko dopiero wtedy, gdy niczego nie można już naprawić. Teraz mogę Ci jedynie powiedzieć, że byłaś dobrą córką, Mariam dżun, i że nigdy nie byłem Ciebie godzien. Teraz mogę jedynie prosić Cię o przebaczenie. Zatem przebacz mi, Mariam dżun. Przebacz mi. Przebacz mi. Przebacz mi.

Nie jestem już zamożnym człowiekiem, którego niegdyś znałaś. Komuniści skonfiskowali większość moich posiadłości, a także wszystkie sklepy, które miałem. Ale nie mogę narzekać, ponieważ Bóg –

z powodów, których nie rozumiem – nadal pobłogosławił mi bardziej niż większości ludzi. Po powrocie z Kabulu zdołałem sprzedać to, co zostało z mojej ziemi. Razem z listem przekazuję ci Twoją część spadku. Zobaczysz, że bynajmniej nie jest to duży majątek, ale zawsze coś. Zawsze to coś. (Zauważysz też, że pozwoliłem sobie zamienić nasze pieniądze na dolary. Myślę, że tak jest najlepiej. Bóg jeden wie, jaki los jest pisany naszej znękanej walucie).

Mam nadzieję, że nie myślisz, iż próbuję kupić sobie Twoje przebaczenie. Mam nadzieję, że docenisz, iż jestem świadom, że Twoje przebaczenie nie jest na sprzedaż. Nigdy nie było. Ja jedynie daję Ci to, choć poniewczasie, co przez cały czas Ci się należało. Za życia nie byłem wobec Ciebie sumiennym ojcem. Może w chwili śmierci mogę nim się stać.

Ach, śmierć. Nie będę zaprzątał Cię szczegółami, ale śmierć jest już blisko mnie. Słabe serce, tak mówią lekarze. Myślę, że dla słabego mężczyzny to stosowny sposób, by umrzeć.

Mariam dżun,

ośmielam się, ośmielam się mieć nadzieję, że kiedy to przeczytasz, będziesz wobec mnie bardziej miłosierna, niż ja byłem wobec Ciebie. Że może odnajdziesz to w Swym sercu i przyjdziesz odwiedzić swego ojca. Że zapukasz do mych drzwi jeszcze jeden raz i dasz mi szansę, bym je tym razem otworzył, powitał Cię, wziął w ramiona moją córkę, tak jak powinienem był uczynić wiele lat temu. To nadzieja równie słaba, jak moje serce. To wiem. Ale będę czekał. Będę nasłuchiwał Twojego pukania. Będę miał nadzieję.

Niech Bóg da Ci długie i szczęśliwe życie, moja córko. Niech Bóg da Ci wiele zdrowych i pięknych dzieci. Obyś znalazła szczęście, pokój i akceptację, których ja Ci nie dałem. Bądź zdrowa. Zostawiam Cię w kochających rękach Boga.

Twój ojciec, który na to nie zasłużył,
Dżalil

Tej nocy, kiedy wrócili do hotelu, a dzieci pobawiły się i poszły spać, Lajla opowiada Tarighowi o liście. Pokazuje mu pieniądze schowane w sakiewce z grubego płótna. Kiedy

zaczyna płakać, Tarigh całuje jej twarz i trzyma ją w ramionach.

51

Kwiecień 2005

Susza się skończyła. Ostatniej zimy wreszcie spadł śnieg po kolana, a teraz od wielu dni pada deszcz. Rzeka Kabul znów płynie i jak zwykle na wiosnę wezbrała, zmywając „Titanicowe Miasto”.

Teraz ulice pełne są błota. Buty grzęzną, samochody zapadają się po felgi. Osły obładowane jabłkami brną naprzód z mozołem, spod ich kopyt bryzga błoto z kałuż. Ale nikt nie narzeka na błoto, nikt nie opłakuje „Titanicowego Miasta”. „Kabul znów musi się zazielenić”, powtarzają ludzie.

Wczoraj Lajla obserwowała swoje dzieci bawiące się w ulewnym deszczu. Skakały na podwórku za domem pod ołowianym niebem od jednej kałuży do drugiej. Lajla obserwowała je z kuchennego okna małego domu z dwoma sypialniami, który wynajmują w Deh-Mazang. Na

podwórku rośnie granatowiec i krzaki dzikiej róży. Tarigh załatał ściany i zbudował dla dzieci zjeżdżalnię, huśtawkę oraz małą zagrodę dla nowej kozy Zalmaja. Lajla obserwowała deszcz spływający z ogolonej głowy Zalmaja – chciał być ogolony tak samo jak Tarigh, który jest teraz odpowiedzialny za odmawianie z Zalmajem modlitw *Bablau*. Deszcz przyklepał długie włosy Azizy, zamienił je w mokre kosmyki, które opryskały Zalmaja, gdy Aziza gwałtownie poruszyła głową.

Zalmaj ma prawie sześć lat. Aziza dziesięć. W ostatnim tygodniu obchodzili jej urodziny. Zabrali ją do Cinema Park, gdzie wreszcie mieszkańcy Kabulu mogli legalnie i jawnie obejrzeć na dużym ekranie *Titanica*.

– Chodźcie, dzieci, bo się spóźnimy! – woła Lajla, pakując dla nich drugie śniadanie do papierowych torebek.

Jest ósma rano. Lajla wstała o piątej. Jak zwykle Aziza obudziła ją na poranny *namaz*. Lajla wie, że w ten sposób Aziza kurczowo czepia

się Mariam i utrzymuje z nią bliskość, nim czas zrobi swoje i wyszarpie Mariam z ogrodu jej pamięci, jak chwast wyrwany z korzeniami.

Po *namaz* Lajla wróciła do łóżka i dalej spała, gdy Tarigh wychodził z domu. Pamięta jak przez mgłę, że pocałował ją w policzek. Tarigh dostał pracę we francuskiej organizacji pozarządowej, która wyposaża w protezy kończyn tych, którzy przeżyli wybuch miny i przeszli amputację.

Zalmaj wpada za Azizą do kuchni.

– Macie swoje zeszyty? Ołówki? Podręczniki?

– Są tutaj – odpowiada Aziza, podnosząc swój plecak. Lajla po raz kolejny zwraca uwagę, na to, że Aziza już się tak nie jąka.

Wyprowadza dzieci z domu, zamyka drzwi. Wychodzą na dwór w zimny poranek. Dziś nie pada. Niebo jest błękitne i Lajla nie widzi żadnych chmur na horyzoncie. Trzymając się za ręce, idą we trójkę na przystanek autobusowy. Na ulicach panuje już spory ruch, płyną strumienie riksz, taksówek, ciężarówek ONZ, autobusów, jeepów ISAF-u. Zaspani sklepikarze podnoszą metalowe rolety opuszczone na noc, otwierają sklepy. Sprzedawcy siedzą za wieżami gum do żucia i paczek papierosów. Wdowy zajęły już swoje miejsca na rogach ulic, prosząc przechodniów o drobne monety.

Lajla dziwnie się czuje, znów mieszkając w Kabulu. Miasto się zmieniło. Każdego dnia widzi teraz ludzi sadzących małe drzewka, malujących domy, dźwigających cegły do budowy nowych. Kopią ścieki i studnie. Na parapetach Lajla zauważa kwiaty, zasadzone w pustych czerepach rakiet – „rakietowe kwiaty", tak nazywają je mieszkańcy Kabulu. Niedawno Tarigh zabrał Lajlę i dzieci do ogrodów Babura, które są odnawiane. Po raz pierwszy od lat Lajla słyszy muzykę na rogach ulic Kabulu, *rabab* i tabla, *dotar*, akordeon i bęben, stare pieśni Ahmada Zahera.

Lajla żałuje, że Mamusia i Babi nie mogą zobaczyć tych zmian. Ale, podobnie jak list Dżalila, pokuta Kabulu nadeszła za późno.

Lajla i dzieci mają właśnie przejść przez ulicę na przystanek autobusowy, gdy nagle nadjeżdża czarny land cruiser z przyciemnionymi szybami. W ostatniej chwili gwałtownie skręca, mijając Lajlę w odległości mniejszej niż na wyciągnięcie ręki, i ochlapuje deszczówką o barwie herbaty koszule dzieci.

Lajla odciąga dzieci na chodnik. Serce podchodzi jej do gardła.

Land cruiser mknie w dół ulicy, dwukrotnie trąbi i gwałtownie skręca w lewo.

Lajla stoi w miejscu, próbując złapać oddech, jej palce zaciskają się kurczowo na nadgarstkach dzieci.

To ją dobija. Dobija ją, że znów wpuszczono watażków do Kabulu. Że mordercy jej rodziców żyją w luksusowych, otoczonych murami domach z ogrodami, że mianowano ich ministrami tego albo wiceministrami tamtego, że jeżdżą bezkarnie w lśniących, kuloodpornych SUV-ach przez dzielnice, które sami zburzyli. To ją dobija.

Ale Lajla postanowiła, że nie pozwoli, by okaleczyła ją uraza. Mariam by tego nie chciała. Jaki to ma sens? – spytałaby z niewinnym i zarazem mądrym uśmiechem. I tak Lajla pogodziła się z tym, że trzeba żyć dalej. Dla jej własnego dobra, dla dobra Tarigha i dzieci. I dla Mariam, która wciąż odwiedza Lajlę w snach i która nigdy nie jest dalej niż jeden albo dwa oddechy poza jej świadomością. Lajla żyje dalej, ponieważ koniec końców wie, że tylko to jej pozostało. To i nadzieja.

Zaman stoi na linii rzutów wolnych, na ugiętych kolanach, odbijając piłkę. Instruuje grupę chłopców w takich samych koszulkach

piłkarskich siedzących półkręgiem na boisku. Zaman zauważa Lajlę, wsuwa piłkę pod pachę i macha do niej. Mówi coś do chłopców, którzy również zaczynają machać rękami, wołając: *Salam, moallem saheb!*

Lajla w odpowiedzi macha do nich ręką.

Teraz na placu zabaw sierocińca wzdłuż wschodniego muru rośnie rząd młodych jabłoni. Lajla zamierza również zasadzić ich trochę przy południowym murze, gdy tylko zostanie odbudowany. Na placu zabaw stoją też nowe huśtawki, pozioma drabinka i małpi gaj.

Lajla wchodzi do budynku przez drzwi z moskitierą.

Odmalowali sierociniec z zewnątrz i w środku. Tarigh i Zaman naprawili przeciekający dach, załatali ściany, wstawili szyby w okna, wyłożyli wykładziną sale, w których dzieci śpią i się bawią. Ostatniej zimy Lajla kupiła kilka nowych łóżek do sypialni, a także poduszki i porządne wełniane kołdry. Na zimę zainstalowała żeliwne piece.

„Anis”, jedna z kabulskich gazet, miesiąc temu wydrukowała artykuł o odnawianym sierocińcu. Zrobili też zdjęcie Zamana, Tarigha, Lajli i jednego z opiekunów stojących rzędem za grupą dzieci. Kiedy Lajla zobaczyła artykuł,

pomyślała o swoich przyjaciółkach z dzieciństwa, Giti i Hasinie, i o tym, co powiedziała Hasina: „Nim skończymy dwadzieścia lat, obie, Giti i ja, wydamy na świat po czworo albo pięcioro dzieci. Ale ty, Lajlo, jeszcze nas zaskoczysz i będziemy z ciebie dumne jak pawie. Zostaniesz kimś. Wiem, że któregoś dnia wezmę do ręki gazetę i zobaczę na pierwszej stronie twoje zdjęcie”. Zdjęcie nie znalazło się co prawda na stronie tytułowej, ale jednak zostało wydrukowane, tak jak przewidziała Hasina.

Lajla skręca i idzie tym samym korytarzem, na którym dwa lata temu wraz z Mariam zostawiła Azizę pod opieką Zamana. Lajla wciąż pamięta, jak musiały odrywać palce Azizy od jej nadgarstków. Pamięta, jak biegła tym korytarzem, powstrzymując krzyk: Mariam wołała ją, a Aziza krzyczała spanikowana. Teraz ściany korytarza pokrywają plakaty przedstawiające dinozaury, postaci z kreskówek, posągi Buddy z Bamjanu, a także wystawa rysunków mieszkańców sierocińca. Na wielu obrazkach widać czołgi rozjeżdżające chaty, mężczyzn wymachujących AK-47, namioty w obozach dla uchodźców, sceny z dżihadu.

Lajla skręca za róg korytarza i widzi już grupkę dzieci czekających przed klasą. Jej oczom

ukazują się ich chusty, ogolone główki przykryte myckami, małe, smukłe postaci, piękne w swej monotonii.

Kiedy dzieci zauważają Lajlę, ruszają biegiem w jej stronę. Wkrótce Lajla jest oblężona. Spada na nią lawina piskliwych pozdrowień, głaskania, kurczowego zaciskania rączek, szarpania, dotykania, przepychania się, by wspiąć się jej na ręce. Wyciągnięte małe rączki i domaganie się uwagi. Niektóre dzieci nazywają ją „Matką”. Lajla ich nie poprawia.

Tego ranka uspokojenie dzieci, ustawienie ich w szeregu i wprowadzenie do klasy wymaga od niej nieco więcej wysiłku.

To Tarigh i Zaman wygospodarowali to pomieszczenie na klasę, burząc ścianę pomiędzy dwoma pokojami. W podłodze nadal są spore wyrwy i brakuje płytek. Na razie jest przykryta brezentem, ale Tarigh obiecał, że wkrótce wstawi brakujące płytki i położy na podłodze wykładzinę.

Nad drzwiami klasy wisi prostokątna tablica, którą Zaman oszlifował i pomalował lśniącą białą farbą. Na tablicy wypisał pędzlem cztery linijki wiersza, swoją odpowiedź – Lajla wie o tym – dla tych, którzy narzekają, że obiecana pomoc finansowa dla Afganistanu nie nadchodzi,

że odbudowa trwa zbyt wolno, że panuje korupcja, że talibowie już się przegrupowują i wkrótce wrócą, aby dokonać zemsty, że świat znów zapomni o Afganistanie. Te cztery linijki pochodzą z jego ulubionego gazelu Hafeza:

Józef powinien powrócić do Kanaan, ale żal nie.
Rudery powinny zamienić się w różane ogrody, ale żal nie.
Jeśli ma nadejść potop, by zatopić wszystko, co żyje
Noe będzie twoim przewodnikiem w oku tajfunu, ale żal nie.

Lajla przechodzi pod tablicą i wchodzi do klasy. Dzieci zajmują swoje miejsca, otwierają zeszyty, gadają. Aziza rozmawia z dziewczynką w sąsiednim rzędzie. Papierowy samolot przecina klasę wysokim łukiem. Ktoś odrzuca go z powrotem.

– Otwórzcie podręczniki do języka farsi, dzieci – mówi Lajla, kładąc swoje książki na biurku.

Wśród szelestu przewracanych kartek Lajla podchodzi do okna, w którym nie ma zasłon. Przez szybę widzi chłopców na placu zabaw ustawiających się rzędem, by ćwiczyć rzuty wolne. Ponad nimi, ponad górami, wznosi się

poranne słońce. Jego promienie lśnią na metalowej obręczy kosza do koszykówki, łańcuchach, na których zawieszono opony huśtawek, gwizdku wiszącym na szyi Zamana, na jego nowych, niepopękanych okularach. Lajla przykłada otwartą dłoń do szyby. Zamyka oczy. Pozwala słońcu opaść na swoje policzki, powieki, brwi.

Tuż po powrocie do Kabulu Lajla cierpiała, ponieważ nie wiedziała, gdzie talibowie pochowali Mariam. Żałowała, że nie może pójść na jej grób, posiedzieć z nią chwilę, zostawić kwiaty. Ale teraz Lajla widzi, że nie ma to znaczenia. Mariam nigdy nie jest daleko. Jest tutaj, w tych ścianach, które odmalowali, w drzewach, które zasadzili, w kocach, dzięki którym dzieciom jest ciepło, w tych poduszkach, książkach i długopisach. Jest w śmiechu dzieci. Jest w wersetach, które recytuje Aziza i w modlitwach, które wypowiada, składając pokłon w stronę Zachodu. Ale najczęściej Mariam jest w sercu Lajli, gdzie lśni oszałamiającym blaskiem tysiąca słońc.

Lajla uświadamia sobie, że ktoś ją woła. Odwraca się, instynktownie przechylając głowę i nastawiając zdrowe ucho.

– Mamusiu? Dobrze się czujesz?

W klasie zapadła cisza. Dzieci ją obserwują.

Lajla ma właśnie odpowiedzieć, gdy nagle zapiera jej dech w piersiach. Jej dłonie opadają. Dotykają miejsca, w którym przed sekundą poczuła przenikającą ją falę. Czeka. Ale nic już się nie porusza.

– Mamusiu?

– Tak, kochanie? – Lajla uśmiecha się. – Czuję się dobrze. Tak. Nawet bardzo dobrze.

Podchodząc do biurka, myśli o zabawie imionami, w którą znów się bawili ostatniego wieczoru przy kolacji. Odkąd Lajla przekazała nowinę Tarighowi i dzieciom, stało się to codziennym rytuałem. W kółko rozważają wybrane przez siebie imiona. Tarighowi podoba się Mohammad. Zalmaj, który ostatnio obejrzał *Supermana* na wideo, głowi się nad tym, dlaczego afgański chłopiec nie może nazywać się Clark, Aziza ostro walczy o Amana. Lajla woli imię Omar.

Ale gra dotyczy tylko męskich imion. Bo jeśli to będzie dziewczynka, Lajla już nadała jej imię.

Posłowie

Już od ponad trzech dekad kryzysowa sytuacja afgańskich uchodźców należy do najgorszych na świecie. Wojna, głód, anarchia i ucisk zmusiły miliony ludzi – takich jak Tarigh i jego rodzina z tej opowieści – do opuszczenia swych domów i przekroczenia granic Afganistanu, by osiedlić się w sąsiednich Pakistanie i Iranie. W szczycie tego exodusu poza Afganistanem mieszkało aż osiem milionów uchodźców. Dziś w Pakistanie pozostaje ponad dwa miliony afgańskich uchodźców.

W ciągu ostatniego roku miałem przywilej pracować jako wysłannik Stanów Zjednoczonych dla UNHCR[12], agencji ONZ do spraw uchodźców, jednej z głównych światowych agencji humanitarnych. Zadaniem UNHCR jest ochrona podstawowych praw uchodźców, niesienie pomocy w razie potrzeby i pomoc w rozpoczęciu na nowo życia w bezpiecznym środowisku.

UNHCR zapewnia pomoc ponad dwudziestu milionom wysiedleńców na całym świecie, nie tylko w Afganistanie, ale również w takich miejscach jak Kolumbia, Burundi, Kongo, Czad i region Darfur w Sudanie. Praca z UNHCR na rzecz pomocy uchodźcom była jednym z najcenniejszych i najbardziej znaczących doświadczeń w moim życiu.

Aby pomóc albo po prostu dowiedzieć się czegoś więcej na temat UNHCR, jej działań albo sytuacji uchodźców, proszę odwiedzić stronę: www. UNrefugees.org.

Dziękuję.

Khaled Hosseini
31 stycznia 2007

Podziękowania

Kilka wyjaśnień, zanim złożę podziękowania. Wioska Gol Daman jest, o ile mi wiadomo, miejscem fikcyjnym. Ci, którym nieobce jest miasto Herat, zauważą, że pozwoliłem sobie na pewną dowolność przy opisywaniu otaczającej je okolicy. Tytuł powieści pochodzi z poematu autorstwa Saeba Tabriziego, siedemnastowiecznego perskiego poety. Ci, którzy znają ten poemat w oryginale, w języku farsi, z pewnością zauważą, że angielski przekład linijki, w której zawarty jest tytuł tej powieści, nie jest dosłowny. Jest to jednak ogólnie akceptowany przekład dr Josephine Davis. Uważam, że jest doskonały i jestem jej bardzo wdzięczny.

Chciałbym podziękować Qayoum Sarwar, Hekmat Sadat, Elyse Hathaway, Rosemary Stasek, Lawrence'owi Quillowi i Halleemie Jazminie Quill za ich pomoc i wsparcie.

Szczególne podziękowania winien jestem mojemu ojcu, Babie. Za przeczytanie manuskryptu, za jego opinie i jak zawsze za miłość i wsparcie. A także mojej matce, której bezinteresowny, szlachetny duch przenika tę opowieść. Jesteś moją roztropnością, Mamo *dżun*. Składam podziękowania moim teściom za ich wspaniałomyślność i dobroć. Wobec reszty rodziny pozostaję dłużnikiem i jestem każdemu z nich wdzięczny.

Chciałbym podziękować mojej agentce, Elaine Koster, za to, że zawsze, i to zawsze, wierzyła, Jody Hotchkiss (Naprzód!), Davidowi Grossmanowi, Helen Heller i niestrudzonej Chandler Crawford. Jestem wdzięczny i zobowiązany każdej osobie z Riverhead Books. Chciałbym szczególnie podziękować Susan Peterson Kennedy i Geoffreyowi Kloske za ich wiarę w tę historię. Serdeczne podziękowania kieruję również do Marilyn Ducksworth, Mih-Ho Cha, Catharine Lynch, Craiga D. Burke'a, Leslie Schwartz, Honi Werner i Wendy Pearl. Szczególne podziękowania składam mojemu adiustatorowi o sokolim oku, Tony'emu Davisowi, któremu nic nie umknie, i wreszcie mojej utalentowanej redaktorce, Sarah McGrath,

za jej cierpliwość, dalekowzroczność i wskazówki.

Na koniec, dziękuję ci, Roya. Za to, że czytałaś tę historię wciąż od nowa, przetrzymałaś moje drobne kryzysy pewności siebie (i kilka większych), za to, że nigdy nie wątpiłaś. Tej książki nie byłoby bez ciebie. Kocham cię.

Przypisy

[1] *Noor* (farsi) – światło.

[2] *Dżun* (pers.) – m.in. dusza, duszyczka; przy imieniu oznacza „droga”, „kochana”.

[3] *Czapan* – element tradycyjnego afgańskiego stroju noszonego przez mężczyzn, wierzchnie okrycie.

[4] Koran, rozdział 67, werset 1–2, przekł. J. Bielawskiego, Warszawa 1986.

[5] *Czaman* – duża polana na przedmieściach Kabulu, na której spotykają się Kabulczycy z okazji świąt i uroczystości państwowych.

[6] Koran, rozdział 2, werset 115.

[7] Koran, rozdział 67, werset 1–2.

[8] Koran, rozdz. 3:27. Słowo *sustenance* w polskim przekładzie Koranu, „zaopatrzenie” – oznacza strawę duchową, ale też i pożywienie.

[9] Koran, 39:5.

[10] Koran, 7:155.

[11] *Peirahan-o-tomban* – tradycyjny, męski ubiór afgański, składający się z bluzy i szerokich spodni.

[12] UNHCR – United Nations High Commissioner for Refugees.